

STEFAN

Mistrz horroru w nowej, przerażająco realistycznej odsłonie

DARDA

THRILLER



Zabij mnie, tato

VIDEOGRAF

STEFAN
DARDA
THRILLER

Zabij mnie, tato

VIDEOGRAF

Redakcja
Anna Seweryn-Sakiewicz
Ilustracja na okładce
Dariusz Kocurek
Redakcja techniczna, skład, łamanie i opracowanie wersji elektronicznej
Grzegorz Bociek
Korekta
Urszula Bańcerk

Wydanie I, Chorzów 2015
Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c
tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35
fax 32-348-31-25
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2015
Tekst © Stefan Darda
ISBN 978-83-7835-463-5

*Nie wyobrażaliśmy sobie życia poza Polską.
Wróciliśmy ze stuprocentowym przekonaniem,
że tylko tutaj będziemy naprawdę szczęśliwi.*

Kamil Szykowiak

*Mieć w rękach sznurki
sterujące losami dziesiątków milionów ludzi
i nie umieć myśleć w perspektywie dalszej niż parę lat?
Przecież normalnemu człowiekowi to się w pale nie mieści.*

Marian Majka

PRELUDIUM

12 marca 2015 (czwartek)

— Zauważyłeś, że każdy dom pachnie inaczej?

Spoglądam na zegarek.

Nie dlatego, że interesuje mnie, która jest godzina. Bardziej chodzi o próbę ukrycia własnego zmieszania czy może — tak, to chyba bardziej precyzyjne — niepokoju i troski. Mimowolnie spostrzegam, że po raz ostatni wymieniliśmy zdawkowo kilka słów ponad dziesięć minut temu. Podnoszę głowę dopiero wtedy, gdy jestem pewien, że moja twarz nie wyraża żadnych emocji.

Przygląda mi się uważnie, właściwie świdruje mnie wzrokiem. Wytrzymuję jego spojrzenie, ale nie odpowiadam w obawie, że moja reakcja będzie niewłaściwa.

Od poniedziałku jego rysy wyraźnie się wyostrzyły, co jeszcze bardziej podkreślają lekko zapadnięte policzki i kilkudniowy zarost. Okrągła i szczerą twarz dorosłego dziecka poszarzała, stała się podejrzliwa, a wesołe wcześniej oczy jakby zapadły się w głąb czaszki, zmieniając go nie do poznania. Patrzę w nie teraz i widzę ból zmieszany ze strachem. Są zmęczone, mocno przekrwione z niewyspania, ale wciąż bystre.

O co mu, do cholery, może chodzić?

Siedzimy w przestronnym salonie powiększonym jeszcze o niewielki aneks kuchenny. Jest późne popołudnie, przez firanki sączy się złotawy blask słońca, które właśnie zaczyna chylić się ku zachodowi. Z zewnątrz docierają hałasy marcowego dnia — szum przejeżdżających samochodów, wesoły ptasi świergot i głośnie, sprawiające wrażenie bez troskich, rozmowy przechodniów. Dzięki przyjemnym pastelowym barwom ścian, jasnobrązowej tonacji mebli oraz zestawowi wypoczynkowemu obitemu skórą w kolorze écru salon powinien być równie pogodny, jak dzień, do którego śmierci pozostało jeszcze co najmniej ładnych kilkadziesiąt minut.

Powinien być, ale nie jest.

Znajdujemy się w dusznej kapsule niepewności i obaw, w której śpiew ptaków wydaje się nadmiernie wesoły, a rozmowy przechodniów jakby niestosownie bez troskie.

Nagle do tych przeciskających się przez zamknięte okno odgłosów dołącza dziecięcy śmiech. Trudno określić, czy dziewczynki, czy małego

chłopca. Po chwili wtóruje mu drugi, głośniejszy, bardziej perlisty. Przez ułamek sekundy doświadczam czegoś w rodzaju *déjà vu*. To przez ten śmiech z zewnątrz, podobny do tego z przedwczoraj, i fakt, że wtedy, po południu, siedzieliśmy dokładnie na tych samych miejscach, co dziś. Zachowanie Kamila teraz jest jednak zupełnie inne, więc wrażenie przeżywania tej samej chwili gaśnie równie nagle, jak się pojawiło.

Wtedy poderwał się na równe nogi i natychmiast znalazł przy oknie. Dziś tylko lekko prostuje plecy, zaczyna nasłuchiwać i odruchowo spogląda w stronę zasłoniętych firanek. Zaraz potem jego wzrok znów spoczywa na mojej twarzy. W tej chwili Kamil sprawia wrażenie, że nie wie, kim jestem, skąd i po co się tu wziąłem. Mam nadzieję, że zanim mnie rozpozna, zdąży zapomnieć o swoim dziwacznym pytaniu.

— Nie zauważyłeś, panie Zdzichu? — pyta. — Tak mówią i chyba to jest prawda. Przynajmniej tak mi się wydaje. Wiesz, ludzie i ich zapachy, kosmetyki, meble, farby na ścianach, wszystko. I tak się zastanawiam właśnie, czy...

Przenosi spojrzenie na jakieś miejsce gdzieś poza moimi plecami, usytuowane o wiele dalej niż ograniczająca przestrzeń pokoju ściana, i przez moment milczy. Później znów patrzy w moje oczy, lecz tym razem spoza wilgotnej zasłony łez.

— Tak się właśnie zastanawiam, czy tutaj też będzie pachniało inaczej, jeśli one nie wrócą.

Kamil

I.

Pamiętam dokładnie chwilę, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, w tamto ponure piątkowe popołudnie. Był trzydziesty września dwa tysiące jedenastego roku, a ja siedziałem przy dużym oknie pizzerii Isabella e Camillo.

Na zewnątrz nie działo się nic ciekawego, co było zresztą zupełnie naturalne. W niewielkich powiatowych miastach rzadko kiedy dzieje się coś, na czym warto przez dłużej niż kilka sekund zawiesić oko. Zwłaszcza jeśli spieszące gdzieś co tchu dziewczyny opatulone są w ciepłe ubrania i skryte pod parasolkami przed wczesnojesiennym deszczem, niesionym porywami nieprzyjemnego wiatru.

Byłem w tym lokalu po raz pierwszy i stanowił on o niebo ciekawszy obiekt do obserwacji niż wszystko to, co działo się na dworze. Czekałem cierpliwie na pizzę i sączyłem drugie piwo, podziwiając wnętrze. Czego w nim nie było! Na przeciwległej ścianie, drewnianej od podłogi aż po sufit — dwa góralskie kapelusze wiszące pomiędzy zasuszonymi rozgwiazdami, a pod nimi sporej wielkości kilim z nieforemnymi dzikami i jeleniem na rykowisku, przypominającym konia, któremu ktoś dla hecy domalował rogi. W kącie po prawej stała migająca wszelkimi barwami tęczy maszyna do gier, a obok niej, na parapecie, dwa radia lampowe, zapewne jeszcze z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nad moją głową wisiało ogromne poroże jelenia, które zauważyłem dopiero wtedy, gdy również za sobą zacząłem szukać czegoś ciekawego. Nie zawiodłem się więc, zwłaszcza że obok rogów wisiały dwie skrzyżowane ciupagi i olejny obraz przedstawiający nagą, choć wstydliwie zakrywającą się prześcieradłem i zupełnie bez talentu namalowaną kobietę.

Zdążyłem jeszcze omieść wzrokiem toporne drewniane, pokryte grubą warstwą lakieru stoły wraz z pasującymi do nich krzesłami, gdy właśnie brzdąknął dzwoneczek zamontowany przy drzwiach i do knajpy wkroczył mniej więcej trzydziesto-, może trzydziestopięcioletni mężczyzna. Drzwi musiał otworzyć sobie barkiem, ponieważ obie ręce miał zajęte hurtowymi ilościami keczupu i na pierwszy rzut oka nieciekawie wyglądającymi, zapakowanymi próżniowo wędlinami. Zmierzając do baru, spojrzał w moją stronę i przywitał zdawkowym: „Dzień dobry”. Odpowiedziałem tym samym, zastanawiając się jednocześnie, jak bardzo głupio wyglądam

z wiszącym tuż nade mną wielkim porożem, ale uspokoiłem się, gdy wyjrzałem przez okno. Na ulicy, dokładnie przed wejściem do pizzerii, stał biały citroen berlingo z włączonymi światłami awaryjnymi, opatrzony logiem Isabella e Camillo. Zapewne taki rogaty klient nie był dla pracownika lokalu czymś niezwykłym, jednak dla własnego komfortu postanowiłem nigdy więcej nie siadać w tym miejscu.

„O ile w ogóle będzie jeszcze jakiś następny raz” — pomyślałem.

Piwo było dobrze schłodzone i świeże, ale byłem pełen obaw odnośnie do pizzy, na którą czekałem. Przyniesione przez tego faceta produkty prezentowały się naprawdę bardzo nieatrakcyjnie.

Położył wszystko, co niósł, na kontuarze, obok sporej wielkości srebrnego ruskiego samowara, a następnie pchnął kowbojskie drzwi i zniknął w kuchennej części knajpy, z której już od dłuższego czasu dochodził całkiem smakowity, przyprawiający mnie o lekki ślinotok zapach.

Spodziewałem się, że nie przyjdzie mi już długo czekać i faktycznie, po jakichś trzech minutach dostawca znów pojawił się w polu mojego widzenia, tym razem niosąc przed sobą spory talerz z dymiącą pizzą. Postawił ją przede mną i wtedy mogłem się bliżej przyjrzeć człowiekowi, który teraz dla odmiany wcielił się w rolę kelnera. Miał ociekające wodą, lekko przerzedzone ciemnoblond włosy i okrągłą, pucułowatą twarz lekko otyłego, liczącego na pewno ponad metr osiemdziesiąt dzieciaka, ozdobioną ufnym, przyjacielskim uśmiechem. Szare oczy również się do mnie śmiały.

— Pan, zdaje się, pierwszy raz u nas? — zapytał.

— Owszem. I nie mogę się nadziwić wystrojowi wnętrza. Mam nadzieję, że smak pizzy będzie równie spektakularny — pozwoliłem sobie na zawołany żart, ciekaw, czy zostanie on w jakiś sposób pociągnięty przez mojego nowego znajomego.

Wyszczerzył zęby, więc chciałem dodać jakąś złośliwą uwagę, ale nie zdążyłem, bo z kuchni dobiegło:

— Kamil, zamówienie!

Rozłożył dłonie w geście bezradności świadczącym o tym, że chętnie by sobie jeszcze ze mną pogawędził, ale obowiązki wzywają, a następnie życzył mi smacznego i prawie biegiem pognął po dwa pudełka, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiły się na kontuarze, zastępując przyniesione przed chwilą hurtowe zakupy.

Obserwując, jak odjeżdża, zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest właścicielem lub współwłaścicielem tego przybytku, na co wskazywałby drugi człon nazwy, dumnie wymalowany na drzwiach białego auta. No i ta wszechstronność, której trudno byłoby się spodziewać po zwykłym pracowniku... Wzruszyłem ramionami, będąc pewnym, że za jakiś czas z pewnością moje wątpliwości w tej kwestii zostaną rozstrzygnięte, po czym zabrałem się za jedzenie.

Pierwsze obiekcje związane z pizzerią Isabella e Camillo zostały rozwiane niemal natychmiast. Nie przypuszczałem, że w tym obskurnym przybytku uda mi się dostać tak wyśmienitą pizzę.

II.

Mamaj często mawia, że Ryków to dziura w dupie świata. Zwykle mu wtedy odpowiadam, że wcale niekoniecznie, choć, obiektywnie rzecz biorąc, faktycznie nie sposób się czymkolwiek w tym miasteczku zachwycić. Trudno się spodziewać, żeby licząca niecałe dwadzieścia tysięcy mieszkańców aglomeracja jakoś nadzwyczajnie tętniła życiem, ale jeśli ktoś jednak ma co do tego chociażby resztki złudzeń, to ledwie kwadrans spędzony w centrum Rykowa pozwoli mu się ich z powodzeniem pozbyć. Jest tu trochę jak w polskim filmie — nic się nie dzieje, nuda i dłużyzny. Dialogi pomiędzy mieszkańcami też przeważnie są niedobre. Inżynier Mamoń i sierżant sztabowy Mamaj z pewnością mogliby znaleźć wspólny język, gdyby los skrzyżował kiedyś ich drogi.

— Niekoniecznie? — odpowiada zazwyczaj z niedowierzaniem i kręci tą swoją wielką głową, która Bóg wie jakim cudem trzyma się na długiej, przeraźliwie cienkiej szyi.

— To dlaczego stąd nie wyjedziesz, skoro tak ci źle? — pytam.

— Wrosłem tutaj — mówi stanowczo i aby potwierdzić swoje słowa, przytakuje skinieniem łepetyny tak energicznie, że aż siwiejąca grzywka opada mu na wysokie czoło. — Zresztą, wiesz, Elżbieta pewno nie znalazłaby gdzie indziej roboty, no i dzieci nie chciałyby...

Przez niecałe trzy i pół roku znajomości odbyliśmy podobną rozmowę wielokrotnie. Prawie za każdym razem Mamaj zawieszał się po wspomnieniu o dzieciach, jakby właśnie ich zdanie było argumentem koronnym i kończącym wszelkie dywagacje odnośnie do ewentualnej przeprowadzki w inne — lepsze i bardziej interesujące — miejsce. I prawie za każdym razem po rytualnej chwili milczenia odzywałem się, pytając:

— W takim razie po co narzekać, skoro nie zamierzasz nic z tym zrobić? Widocznie nie jest ci aż tak źle, skoro nie próbujesz się stąd wyrwać.

— Może i tak... — kwitował takim tonem, jak gdyby właśnie ktoś przed sekundą doradzał mu, że powinien się udać z wizytą do ginekologa.

Często łapię się na nadmiernej skłonności do pouczenia i dawania tak zwanych dobrych rad innym, zwłaszcza tym, których lubię i na których przynajmniej trochę mi zależy. Co ciekawe, nie potrafię się przed tym powstrzymać, ale zawsze gryzę się w język dokładnie wtedy, gdy już jest za późno, gdy właśnie przed sekundą błysnąłem jakąś swoją złotą myślą. Wielokrotnie więc doradzałem Mamajowi rozważenie przeprowadzki i tyle samo razy chwilę potem się za to na siebie wściekałem.

Łatwo doradzać wywrócenie życia o sto osiemdziesiąt stopni, gdy się ma czterdzieści parę lat i jest się samotnym, niezależnym facetem bez zobowiązań. Z drugiej strony, w takiej sytuacji warto być przynajmniej na tyle rozsądnym, żeby zdawać sobie sprawę, do kogo się coś takiego mówi. To, że ja zdecydowałem się na taki krok, nie znaczy, że wszystkim byłoby równie łatwo.

Kiedy po raz pierwszy jadłem pizzę w dziwacznej knajpie o jeszcze dziwniejszej nazwie, nie znałem jeszcze Mamaja, ale dużo myślałem o tym, gdzie i po co się znalazłem. Byłem pewien, że takiego właśnie zapyziałego miasteczka mi potrzeba. Trochę już mu się zdążyłem przyjrzeć przez ten miesiąc, od kiedy udało mi się znaleźć robotę w miejscowej fabryce okien (określając początek zatrudnienia na początek października) i jego brzydota wydawała mi się wręcz porażająco piękna. Niewielki rynek, w ładne dni pełen wygrzewających się w słońcu emerytów, dziurawe drogi, po których miejscowi szpanerzy nie mogli pędzić z wyciem podrasowanych silników, świeże powietrze przesycone wonią otaczających Ryków sosnowych lasów. Do tego dochodził brak znajomych, z którymi nie wypada się nie spotykać od czasu do czasu, i śmiesznie niski koszt mieszkania, którego metr wyceniano mniej więcej o połowę taniej niż w Mieście Wojewódzkim, więc po sprzedaniu starego mogłem sobie pozwolić na bardziej przestronne cztery kąty, a i tak zostało jeszcze sporo na bankowym rachunku.

Kończąc pizzę, która była tak duża, że ledwie udało mi się ją w siebie wcisnąć, solennie przyrzekłem w duchu, że będę robił wszystko, by prowadzić tutaj życie samotnika i odludka, że będę stronił od ludzi, ich problemów, dzieci, kłopotów ze zdrowiem, kochanek, teściowych i czort

wie czego jeszcze. Chciałem po prostu spokojnego i nudnego życia, dokładnie takiego samego jak miejscowość, do której przeprowadziłem się kilka dni temu.

Plan był doskonały, więc postanowiłem go oblać kolejnym i ostatnim już tego popołudnia kuflem piwa. Nazajutrz czekał mnie pierwszy dzień w nowej pracy i nie wypadało pojawić się na kacu, bo prywatny właściciel nigdy nie jest tak wyrozumiały, jak państwowy pracodawca.

Właśnie w tej chwili do knajpy ponownie wszedł mężczyzna, którego widziałem już wcześniej. Spozrzegł, że mój talerz jest pusty, więc podszedł, by go zabrać.

— I jak, proszę pana, smakowała pizza? — zapytał.

— Muszę przyznać, że dawno nie jadłem tak dobrej.

— Cieszę się. Recepturę zdobyłem we Włoszech, gdy pojechałem tam po maturze, żeby trochę zarobić i przed studiami liznąć prawdziwego życia. Do woja mnie nie chcieli, więc pomyślałem, że może przynajmniej do kuchni się nadam. — Patrzył na mnie pogodnymi oczyma z tym swoim rozbajającym uśmiechem. Być może z Włoch przywiózł nie tylko przepis na ciasto, ale też tak otwarty, nieskrępowany sposób bycia, chociaż bardziej skłaniałem się do opinii, że po prostu taki się już urodził. — Ale z włoskiej pizzy właściwie zostało tylko ciasto, bo Polacy jednak wolą inaczej podane składniki, prawda?

— Nie mam pojęcia, nigdy nie byłem we Włoszech — odparłem zgodnie z prawdą.

Powinienem być wtedy nieprzystępny i nieprzyjemny, wszak nie dalej niż kilka minut wcześniej sobie to obiecywałem. Ale nie potrafiłem.

Mój rozmówca wziął talerz, a następnie wskazał na pusty kufel.

— Może jeszcze jedno?

Dziś sobie myślę, że zrobiłem wielki błąd, nie odmawiając. Gdybym podziękował, zapłacił i wyszedł, wszystko byłoby przecież inaczej. Być może nie doszłoby do tego, że kilka lat później będziemy siedzieć w jego mieszkaniu i zastanawiać się, czy „tutaj będzie pachniało inaczej, jeśli one nie wrócą”, bo przecież każde nasze spotkanie miało wpływ na dalsze losy jego i jego najbliższej rodziny.

III.

Sam nalał mi piwo do czystego kufła i przyniósł do stolika.

— Skoro pizza da się zjeść, to może zajrzy pan do nas jeszcze kiedyś? — spytał. — Chyba że jest pan w Rykowie tylko przejazdem...

— Zawiesił głos.

Uśmiechnąłem się do niego i pociągnąłem łyk. Nie bardzo miałem ochotę spowiadać się z moich planów, ale też musiałem się liczyć z tym, że w tym miasteczku zbyt długo nie uda mi się być anonimowym.

— Jeśli jest pan przejazdem, to zapraszam, kiedy znów się pan pojawi w okolicy — zakończył i zrobił krok do tyłu, dając w ten sposób sygnał, że nie zamierza mi już zawracać głowy.

— Nie, nie jestem przejazdem, panie Kamilu. Tak ma pan na imię, prawda?

Odpowiedział skinieniem głowy, a ja ciągnąłem:

— Od kilku dni jestem nowym mieszkańcem tego uroczego miasteczka i zamierzam się tu zatrzymać przynajmniej przez parę lat. Wcześniej nie było okazji wpaść do... — Spojrzałem przez okno na stojący w deszczu samochód. — ...Isabella e Camillo, ponieważ miałem sporo na głowie w związku z kupnem mieszkania i przeprowadzką, ale teraz z pewnością będę zaglądał od czasu do czasu.

— To świetna wiadomość — rzekł, wciąż nie przestając się uśmiechać. — Niedawno zaczęliśmy i każdy nowy klient jest na wagę złota. — Znów zbliżył się do stolika i wyciągnął do mnie rękę. — Nazywam się Kamil Szykowiak, współwłaściciel lokalu, a jednocześnie barman, kierowca, sprzątacze, zaopatrzeniowiec i kelner w jednym.

— Zdzisław Mokryna — również się przedstawiłem i uścisnąłem jego dłoń. — Usatysfakcjonowany klient.

— Cieszę się i mam nadzieję, że takim pan już pozostanie.

— Ja również.

W tej chwili do pizzerii weszła para nastolatków i skierowała się do stolika usytuowanego obok wiekowych radioodbiorników. Szykowiak nie zwracał na nich uwagi, tylko przyglądał mi się jak jakiemuś rzadkiemu okazowi w muzeum.

— A wie pan...? — zagał po chwili. — Wszyscy stąd wyjeżdżają, zostają prawie sami emeryci, renciści i zatrudnieni na państwowych albo samorządowych etatach. Tak się właśnie zastanawiam, czy do tej pory zdarzyło mi się poznać kogoś, kto się tutaj sprowadził i zamieszkał na stałe...

— Pan, zdaje się, nie należy do żadnej z wymienionych grup?

— Fakt, jest jeszcze handel i usługi, ale od kiedy otworzyli to centrum handlowe przy wylotówce, to wszystko zaczyna powoli padać na łeb.

Czasem ma się wrażenie, że Ryków to miasto trup, a ci, którzy jeszcze się tu pałętają, są jak robaki, żywiące się resztkami padliny.

Roześmiałem się.

— Zaczynam się cieszyć, że nie spotkałem pana przed przeprowadzką, bo jeszcze bym zmienił zdanie.

Zreflektował się i palnął otwartą ręką w czoło.

— Faktycznie, nie ma co, potrafię umilić czas i tchnąć w nowego klienta nieco optymizmu na powitanie.

Zaraz potem przeprosił mnie i poszedł odebrać zamówienie od dwójki dzieciaków. Obserwowałem go bacznie, zastanawiając się, czy uprzejmość, którą mi okazywał, była efektem wyrachowania związanego z chęcią zdobycia nowego stałego bywalca, ale już po chwili wiedziałem, że nie. Rozmawiał z nastolatkami jak ze swoimi rówieśnikami, żartował i śmiał się razem z nimi w sposób zupełnie naturalny. Coś mi mówiło, że jeśli tego nie zmieni, to nawet na takim nieboszczyku, jakim miał być rzekomo Ryków, uda mu się ukreślić niezły interes. Dobra kuchnia, przyjemna obsługa i sympatyczne wnętrza potrafią zdziałać cuda. Dwa pierwsze elementy prezentowały się nienagannie, gorzej z trzecim, ale skoro biznes funkcjonował od niedawna, to istniała szansa, że lokal urządził poprzedni właściciel, a Szykowiak nie zdążył jeszcze zmienić wystroju pizzerii.

* * *

Obserwując mojego nowego znajomego przy pracy, trochę zastanawiałem się nad swoją najbliższą przyszłością, a trochę nad tym, co zostawiłem za sobą. Nie obawiałem się nadchodzącego czasu, bardziej byłem go ciekaw. Trzy miesiące wcześniej stałem się emerytem, zajęć mi od wtedy nie brakowało, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, że już teraz zaniecham zupełnie jakiegokolwiek pracy. Było na to za wcześnie, a poza tym, gdyby okazało się, że nowe zatrudnienie nie będzie mnie satysfakcjonowało, to przecież drzwi do skromnego, ale w miarę wygodnego życia w każdej chwili mogły stanąć przede mną otworem.

Kilku kolegów z byłej roboty zdecydowało się na odejście mniej więcej w moim wieku i potem, zwykle po upływie kilku miesięcy, próbowali dostać jakąś fuchę, choćby i na pół etatu. Nie tylko ze względu na wymagania finansowe ich rodzin, ale, zdaje się, że przede wszystkim nie potrafili odnaleźć się wśród czterech ścian własnych mieszkań, które nagle zaczynały być niebezpiecznie duszne.

Czy wyobrażałem sobie wtedy, że resztę życia spędzę w Rykowie? Chyba nie, ale też, o ile dobrze pamiętam, w tych pierwszych dniach zapoznawania się z moim nowym miejscem na ziemi w ogóle nie starałem się planować czegoś w dalszej perspektywie. Było dobrze, jak było i życzyłem sobie, aby ten stan się nie zmieniał tak długo, jak tylko będzie to możliwe.

* * *

Rozprowiłem się z ostatnim, jak sądziłem, tego dnia piwem i podszedłem do kontuaru, żeby zapłacić. Szykowiak akurat zniknął gdzieś na zapleczu, więc o rachunek poprosiłem szczupłą, niebrzydka brunetkę średniego wzrostu, która przyjmowała moje pierwsze zamówienie.

— Mąż mówił, że właśnie przeprowadził się pan do Rykowa — zagadnęła, nabijając na kasę fiskalną i spoglądając na mnie z zainteresowaniem.

— Skoro pan Kamil jest pani mężem, to pani ma zapewne na imię Izabella?

— Prawie pan zgadł, tyle że mam w imieniu tylko jedno „el”. On uparł się na dwa, żeby było bardziej po włosku. — Komicznie zmarszczyła brwi i pokręciła głową z udawaną irytacją, a potem podała mi paragon. — Ta nazwa pasuje do Rykowa jak wół do karety, prawda?

— Wszystko słyszałem! — dobiegło z części kuchennej. — Panie Zdzichu, niech pan jej powie, że ta nazwa wcale nie jest taka zła!

— Pani Izabelo, ta nazwa wcale nie jest taka zła — powiedziałem, dbając, żeby w moim głosie zabrzmiało możliwie najmniej entuzjazmu.

Z kuchni dobiegł wesoły rechot, a zaraz potem w prowadzących do niej drzwiach pojawił się mój nowy znajomy. Podszedł do żony, objął ją lewym ramieniem, czule pocałował w czoło, po czym zwrócił się w moją stronę i rzekł:

— Najgorsze jest to, że była między mną i Izą taka umowa: jedno wybiera nazwę knajpy, a drugie decyduje o wystroju wnętrza. Poszedłem na to, bo byłem pewien, że małżonka nie zechce zmienić tu nawet najdrobniejszego szczegółu. No i niech pan sobie wyobrazi, panie Zdzichu, że ona zamierza przeprowadzić tu absolutną rewolucję, wszystko powyrzucać, nawet ściany z drewna odrzeć — lamentował, markując oburzenie i żywo gestykulując wolną ręką. — Może pan, jako, jak sądzę, obiektywny i zapewne znający się na rzeczy światowy człowiek, będzie potrafił ją przekonać?

Pomimo rozbawienia całą sytuacją, wynikającą również z moich wcześniejszych spostrzeżeń w kwestii urządzenia lokalu, popatrzyłem na niego z całkowitą powagą i po chwili dramatycznego milczenia odparłem:

— Przykro mi, panie Kamilu, ale nawet gdybym chciał wykazać się teraz męską solidarnością, to dla pańskiego dobra nie mogę tego zrobić. Pańska żona ma w sprawie remontu całkowitą rację.

Ona klasnęła z zadowoleniem, a on przewrócił dramatycznie oczyma i z niedowierzaniem pokręcił głową, nie próbując już teraz hamować uśmiechu.

— Ustaliliście to, zanim przyszedłem, prawda? — spytał. — Człowiek nawet na moment nie może opuścić stanowiska pracy, bo gdy wróci, to od razu odkryje, że spiskują za jego plecami.

Wyjąłem portfel i wyjąłem z niego pieniądze, a następnie położyłem je obok paragonu.

— Szczerze i z ręką na sercu mogę stwierdzić: kiedyś nam pan jeszcze za te spiski podziękuje.

Zadzwoił telefon. Kobieta wyswobodziła się z objęć męża i podniosła słuchawkę, a ja raz jeszcze stwierdziłem, że pizza była doskonała, po czym pożegnałem się z nimi skinieniem głowy i ruszyłem w stronę wieszaka, na którym czekała na mnie polarowa bluza. Ledwie zdążyłem ją założyć, a tuż obok ponownie wyrósł Szykowiak.

— Przepraszam, mam do pana jeszcze pytanie... — zaczął. — Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie pan mieszka?

Po momencie zaskoczenia spojrzałem na niego wzrokiem wyraźnie sugerującym, że są granice, których nie powinien przekraczać, nawet pomimo przyjaznej atmosfery, jaka towarzyszyła naszym wcześniejszym rozmowom. W lot pojął niezręczność swojego pytania, bo natychmiast z zakłopotaniem dodał:

— Pada coraz bardziej, a pan, jak widzę, nie ma nic od deszczu, więc pomyślałem, że chętnie podwiozę. Mam właśnie zamówienie, za kilkanaście minut będę je dostarczał do klienta, więc przy okazji mógłby się pan ze mną zabrać.

Tym razem mnie zrobiło się łyso. Spojrzałem za okno, za którym świat tonął w strugach ulewnego deszczu.

— Bardzo to miłe z pana strony — powiedziałem. — Z przyjemnością bym skorzystał, gdyby jechał pan gdzieś w stronę Osiedla Solidarności.

Jego twarz pojaśniała.

— Świetnie, to prawie po drodze. Może w takim razie jeszcze piwo, zanim pizza będzie gotowa? Tym razem na koszt firmy Isabella e Camillo.

Z ociąganiem wyraziłem zgodę na małe, sprzeciwiając się jednocześnie temu, by było gratis.

— Skoro ma pan ochotę tylko na małe, to tym chętniej firma je zasponsoruje — w ten sposób uciął ze śmiechem moje protesty i poszedł za bar, by napełnić szklanekę.

IV.

— Wybrał pan chyba najbardziej atrakcyjne osiedle w naszej miejscinie — powiedział, gdy zatrzasnęliśmy za sobą drzwi jego firmowego auta. — Ładne, przestronne mieszkania, niedawno wybudowane bloki z dala od większej drogi... Cicho tam jest, prawda?

— Tak, wprawdzie dzieci trochę hałasują popołudniami na placu zabaw, ale da się wytrzymać.

— To kawałek od centrum, ale za to las pod nosem i powietrze jak balsam — ciągnął, jakby w ogóle nie usłyszał, że się odezwałem. — Nie miałby pan nic przeciw temu, bym najpierw dostarczył pizzę? Klienci lubią, gdy przyjeżdża gorąca.

— Absolutnie nic.

Wycieraczki z trudem nadażały z usuwaniem deszczu z przedniej szyby. Musiałbym być niespełna rozumu, gdyby w tej sytuacji robiło mi różnicę kilka minut zwłoki. Byłem naprawdę wdzięczny Szykowiakowi, że pomyślał o podwiezieniu mnie do domu.

— Do dzieci można się przyzwyczaić, nie tylko do tych hałasujących na podwórku — jak gdyby nigdy nic nawiązał do tego, co powiedziałem wcześniej. — Kiedyś sądziłem, że to niemożliwe, wnerwiała mnie gówniarzeria, jak nie wiem co... Wszystko się zmieniło, gdy urodziła mi się pierwsza córka. Jakoś wtedy człowiek inaczej zaczął patrzeć na maluchy. Pan pewnie nie ma dzieci, panie Zdzichu?

Potwierdziłem jego przypuszczenie dopiero po chwili milczenia. Dziwnie się czułem, gdy dopiero co poznany facet zadawał mi osobiste pytania, ale z drugiej strony nie potrafiłem mieć mu tego za złe. Po części ze względu na jego bezpośredni sposób bycia, a po części dlatego, że w pewien sposób było to ujmujące. Być może przez dziesięciolecia spędzone w dużym mieście odzwyczaiłem się od naturalnych, nieskrępowanych rozmów, które mogą prowadzić ze sobą nawet prawie obcy sobie ludzie.

Pizzeria Isabella e Camillo położona jest jakieś pięćdziesiąt metrów od rykowskiego ryneczku, przy ulicy Parkowej, prowadzącej do niego od południowego wschodu. Jechaliśmy nią do samego końca, po czym skręciliśmy pod skosem w lewo, w stronę Osiedla Solidarności, by zaraz potem odbić ku północy, zagłębiając się w długą na jakieś dwa kilometry ulicę Łokietka. Widoczne w oddali bloki, w tym mój, zostawiając po prawej.

— To zabawne, jak człowiekowi zmieniają się priorytety i punkt widzenia — odezwał się ponownie Szykowiak. — Wspomniałem panu wcześniej, że wyjechałem po ogólniaku do Włoch. To było w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Miałem tam zostać najwyżej przez dwa, może trzy miesiące, ale wróciłem dopiero po czterech latach. Dokładnie rzecz ujmując, wróciliśmy, bo w dziewięćdziesiątym siódmym dołączyła do mnie Iza. Jesteśmy ze sobą, od kiedy ona zaczęła naukę w liceum. Ja byłem klasę wyżej, wpadła mi w oko i już w październiku ze sobą chodziliśmy. No i chodzimy aż do teraz, da pan wiarę? — Spojrzał w moją stronę i się roześmiał.

— Dam — odparłem, starając się, by moja odpowiedź zabrzmiała jak najbardziej pogodnie.

Uwierzenie w taki związek przyszło mi bez najmniejszego problemu. Sam w takim kiedyś byłem przez wiele lat.

— Przyjechała do mnie, do Neapolu, zaraz po maturze. Ja od roku już wydeptywałem ścieżki w jednej z tamtejszych knajp, zaczynając od zmywaka, poprzez kelnerowanie, na pomocy kucharskiej kończąc. Jak na rok niezła kariera, no nie? Chyba właściciel mnie polubił. Zresztą starałem się za dwóch, więc nawet jakby nie darzył mnie sympatią, to nie za bardzo miałyby się do czego przyczepić. Przez kilka miesięcy Iza nie mogła znaleźć żadnej pracy, ale wreszcie szczęśliwie zwolnił się etat kelnerki, więc szef dał jej szansę. Kokosów nie zarabialiśmy, ale to i tak było o niebo więcej niż w Polsce, tym bardziej że z czasem właściciel miał do nas coraz więcej zaufania. Pod koniec to nawet pełniłem funkcję w podobie kierownika lokalu. Nie na papierze, ale w portfelu dało się to wyraźnie odczuć.

Szykowiak zatrzymał samochód na prawym poboczu, obok eleganckiego, prawdopodobnie niedawno postawionego bliźniaka.

— Poczekaj pan chwilę? Zaraz jestem z powrotem.

— No jasne, że poczekam. Zdaje się, że teraz mam do siebie dalej niż z pańskiej pizzerii — powiedziałem z udawanym wyrzutem.

— Gdybym był złośliwy, to odparłbym, że do tej pory nie byłby pan nawet w połowie drogi, ale z pewnością już przemoknięty do suchej nitki. — Mrugnął do mnie. — Ale nie jestem, więc zmykam i za minutę jedziemy dalej.

— Mogłem wziąć taksówkę albo pojechać miejskim autobusem.

— Też prawda — odparł, cicho zarechotał, zabrał pizzę z tylnego siedzenia i już go nie było.

Taksówek w Rykowie jest dokładnie tyle samo, co miejskich autobusów, więc tak naprawdę w przypadku konieczności powrotu w deszczu człowiek może liczyć jedynie na własne nogi i porządną parasolkę lub nieprzemakalne ubranie. O ile, rzecz jasna, nie zainspirował go wcześniej tańczący w deszczu Gene Kelly.

Rozejrzałem się po wnętrzu samochodu. Już w trakcie jazdy, gdy jednym uchem słuchałem Szykowiaka, zwróciłem uwagę na to, że zawieszenie niebezpiecznie skrzeczy i stuka, a kierownica drży przy prędkości większej niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Ten konkretny egzemplarz citroena berlingo miał, jak na moje oko, jakieś dziesięć lat. Widać było, że nie jest to zbyt zadbane auto. Na podłodze za przednimi siedzeniami wałały się jakieś papierki po cukierkach i gumach do żucia, a tapicerka była mocno sfatygowana i niezbyt czysta. Trzy siedzenia w tylnym rzędzie mogły zostać wyjęte w razie potrzeby powiększenia pakowności, a jednocześnie można było na nich dość komfortowo przewozić pasażerów, którym przesuwne drzwi ułatwiały wsiadanie i wysiadanie. Gdybym miał pięcioosobową rodzinę i firmę, a jednocześnie nie stać byłoby mnie na dwa samochody, to pewnie rozważyłbym zakup czegoś podobnego.

Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się.

— Widzę, że ogląda pan moją bestię? — zapytał Szykowiak, moszcząc się za kierownicą. — Szału nie ma, duży przebieg i dziewięć lat dość ostrej eksploatacji, no ale wszystko, co mieliśmy, niedawno władowaliśmy w zakup lokalu i mieszkania, więc i poszaleć nie bardzo było można.

— Ważne, że w miarę wygodne i jeździ.

— Mam nadzieję, że do pana jakoś się doturlamy — rzekł, przekręcając kluczyk w stacyjce i włączając lewy kierunkowskaz.

— Co do tego nie mam wątpliwości, ale mam za to wyrzuty sumienia, że pana fatygowałem. Osiedle Solidarności nie było raczej po drodze.

Zawrócił, a później machnął lekceważąco ręką.

— Żaden problem. Poza tym skąd miał pan to wiedzieć?

— Fakt. No i co? Nie lepiej było zostać?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Ale gdzie?

— Mówił pan wcześniej o Włoszech, że wszystko się układało, lepsze zarobki, praca chyba w miarę pewna dla was obojga...

— Ach, tak, rzeczywiście. — Przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią. — Wie pan, niby to racja, ale to jednak obca ziemia. Zawsze bylibyśmy tam tymi z zewnątrz, napływowymi, imigrantami, czy jak to jeszcze inaczej można nazwać. Nigdy nie bylibyśmy u siebie, tęskniliśmy. Pieniądze to przecież nie wszystko. Nie wyobrażaliśmy sobie życia poza Polską. Wróciliśmy ze stuprocentowym przekonaniem, że tylko tutaj będziemy naprawdę szczęśliwi. No i jak na razie, odpukać w niemalowane, tak faktycznie jest.

Skręciliśmy w lewo, ku mojemu osiedlu.

— We Włoszech żyliśmy bardzo skromnie — ciągnął. — Odkładaliśmy każdego lira, którego tylko mogliśmy zaoszczędzić... Wtedy jeszcze we Włoszech zarabiano się w lirach — uściślił, na wszelki wypadek. — Wszystko po to, żeby po powrocie tu jako tako się urządzić, założyć biznes, najchętniej właśnie pizzerię. To, na czym oboje najlepiej się znaliśmy, było prowadzenie lokalu gastronomicznego.

Zatrzymał Citroëna na parkingu przed moim blokiem, pozostawiając uruchomiony silnik.

— Ależ pana chyba zanudziłem tą moją gadaniną, prawda? — zapytał.

— A wie pan, panie Kamilu, że nawet nie. Bardzo interesująco pan opowiada. Jednego nie rozumiem... Mówił pan, że wróciliście po czterech latach od pana wyjazdu, czyli w roku dwutysięcznym, a we wcześniejszej rozmowie na temat wystroju wspomniał pan, że Isabella e Camillo działa od niedawna.

— Tak, rzeczywiście, otworzyliśmy z początkiem września. — Spojrzał na mnie, a na jego twarzy ponownie zagościł uśmiech. — A więc i my, i pan równocześnie zaczynamy w pewien sposób nowe życie.

— Na to wygląda, panie Kamilu.

— Więc mam nadzieję, że i panu się wszystko dobrze poukłada, czego serdecznie życzę. — Wyciągnął dłoń i przybiliśmy piątkę.

— Dziękuję — odrzekłem.

— Faktycznie, wróciliśmy już dość dawno, zaraz po wakacjach jedenaście lat temu, dwa lata przed wyprodukowaniem tego naszego grata — zauważył, nie kryjąc w głosie zaskoczenia własnym odkryciem, i uderzył w kierownicę otwartymi dłońmi. — No ale to wszystko nie było takie proste. Harowaliśmy we Włoszech, cały czas obiecując sobie, że po powrocie jakąś niewielką część zarobionej kwoty przeznaczymy na podróż po Europie. Na pewno pana nie nudzę?

— Bynajmniej — powiedziałem, całkowicie zgodnie z prawdą. Przyjemnie było słuchać kogoś, komu się ułożyło w życiu.

Kiwnął głową i wyłączył silnik.

— No i tak też się stało. Wyjechaliśmy dwa razy — najpierw jesienią w dwutysięcznym, a później wczesną wiosną dwa tysiące pierwszego. Miesiąc w Hiszpanii, potem miesiąc we Francji. Zamierzaliśmy zobaczyć trochę świata przed założeniem rodziny i próbą ułożenia życia na nowo. Te dwa wyjazdy były fantastyczne. Był pan może kiedyś w Hiszpanii?

Pokręciłem przecząco głową, a potem, zapewne uprzedzając jego pytanie, powiedziałem:

— We Francji też nie.

Spojrzał na mnie z ukosa, chyba z lekkim niedowierzaniem, ale nie pokusił się o jakikolwiek komentarz. Zamiast tego kontynuował swoją opowieść:

— W czerwcu dwa tysiące pierwszego roku wzięliśmy ślub. Już wtedy rozglądaliśmy się za lokalem, w którym moglibyśmy umiejscowić naszą pizzerię, ale znalezienie czegoś odpowiedniego na naszą kieszeń nie było proste. Nawet w niewielkim i dość tanim mieście. Wiadomo, że jeśli chodzi o knajpę, najważniejsza jest lokalizacja. Udało mi się znaleźć pracę w lokalnej hurtowni spożywczej, żeby były pieniądze na bieżące wydatki. No a potem, dziewiątego marca dwa tysiące drugiego roku, urodziła nam się pierwsza córka, więc trzeba było pozmieniać plany. Iza nie wyobrażała sobie wychowywania dziecka bez poświęcania mu możliwie największej ilości czasu, więc ja pracowałem, a ona zajmowała się Wiktoria. Oboje uznaliśmy, że takie rozwiązanie będzie dla nas wszystkich najlepsze...

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz.

— Przepraszam, to żona — powiedział i odebrał, by chwilę później poinformować mnie, że w pizzerii zostało złożone kolejne zamówienie z dostawą do domu.

— Dziękuję za podwiezienie — rzekłem, otwierając drzwi.

— Nie ma sprawy, panie Zdzichu. Chyba dobrze się stało, że muszę jechać. Czasem tak mam, że jak zacznę gadać, to się zapominam i plotę jak nakręcony.

— Sam pana ciągnąłem za język, więc ewentualne pretensje mogą mieć tylko do siebie. A tak serio, to bardzo mi było miło pana poznać. Do zobaczenia.

Ponieważ deszcz wciąż mocno padał, nie czekałem, aż Szykowiak odjedzie, tylko lekkim truchtem pobiegłem do swojej klatki.

Wspinając się po schodach, z niedowierzaniem pokręciłem głową. Nie lubię swojego imienia, a już wręcz alergicznie reaguję, gdy ktoś zwraca się do mnie per Zdzichu. Mój nowy znajomy z upodobaniem i kilkakrotnie nazwał mnie „panem Zdzichem”, a ja wcześniej zupełnie nie zwróciłem na to uwagi. Wtedy pomyślałem sobie, że następnym razem nie omieszkam poprosić go delikatnie, by mówił do mnie jakoś inaczej, na przykład „panie Zdzisławie” albo „panie Zdziszku”.

Do dziś nie udało mi się go do tego przekonać, zresztą tak po prawdzie, to nigdy tego nawet nie próbowałem. Choć nazajutrz przeszliśmy na ty, ja i tak na zawsze już zostałem dla niego „panem Zdzichem”.

V.

Sobota była dniem, w którym w miejscu mojego nowego zatrudnienia pracowało się w zależności od liczby aktualnych zamówień i planowanych terminów ich realizacji, dlatego podejrzewałem, że pierwszego października nie będzie zbyt wielkiego ruchu w żadnej z trzech hal produkcyjnych. Kalendarz mówił mi jasno: w firmie związanej z budowlanką nie może to być przesadnie gorący okres, dlatego tym bardziej zdziwiłem się, gdy na pierwszej zmianie stawiła się pełna obsada dwóch budynków. Przeszło mi przez myśl, że powinienem zweryfikować opinię o moim nowym pracodawcy i przyjąć do wiadomości, że nawet w takim mieście jak Ryków coś może funkcjonować ze sporym rozmachem.

Z ostatnich formalności zostało mi jeszcze kilka podpisów w kadrach. Szefowa tego akurat działu miała soboty wolne, ale już wcześniej ustaliliśmy, że jeśli odpowiednie cyrografy złożę kilka dni później, to ani firma, ani tym bardziej świat nie ulegną z tego powodu nagłej destrukcji.

* * *

Już w trakcie pierwszej rozmowy prezes ostrzegł mnie, że stanowisko, o które się ubiegam, jest samodzielne i z reguły na zmianie będę sam.

Trudno mi było sobie wyobrazić lepszą wiadomość po tych wszystkich latach spędzonych w zdecydowanie zbyt zaludnionym i gwarnym „Mordorze”, czyli budynku komendy policji w Mieście Wojewódzkim. Zależny tylko od siebie, niemający nad sobą Głównego, wiecznie ujadającego i domagającego się kolejnych, z każdym miesiącem bardziej satysfakcjonujących, ale jednocześnie stale absurdalnie udziwnianych tabelk ze statystykami, które potrzebne są jedynie do tego, żeby nie wziął tego naszego pierdolnika na widelec.

— Będzie pan przeważnie pracował sam, panie Zdzisławie. Nie przeszkadza to panu?

— Nie, panie prezesie. Wydaje mi się, że powinienem dać sobie radę.

Lustrował mnie bystrym spojrzeniem jasnoniebieskich oczu — człowiek, który mimo że zatrudnia ponad setkę osób, to niczego nie pozostawia przypadkowi. Właściciel, prezes, a jeśli trzeba to także sprzedawca albo szef rekrutacji, przy którym uczestnicząca w rozmowie kadrowa jest jedynie mało widocznym cieniem. Moja odpowiedź była powściągliwa — nie chciałem zbyt mocno eksponować radości, ponieważ mogłoby się to wydać zbyt podejrzanym — ale i szczerą.

Zdążyłem się wcześniej tego i owego dowiedzieć o moim nowym szefie. W ciągu kilkunastu lat rozwinął firmę od niewielkiego zakładu produkcyjnego do jednej z najbardziej liczących się polskich fabryk branży okiennej. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych, a w dodatku niezwykle rzadko zdarzało mu się niedotrzymanie terminu, dlatego klienci tak bardzo cenili sobie współpracę z niemłodym już wprawdzie, lecz bardzo rzutkim biznesmenem. Krążyły też słuchy, że jest bardzo wymagający wobec swoich pracowników, ale w razie potrzeby potrafi zachować się w stosunku do nich bardziej niż przyzwoicie.

Pokiwał z zadowoleniem głową.

— Mam nadzieję, że spodoba się panu u nas. Wygląda pan na porządnego człowieka, panie Mokryna. — Miał miły, ciepły głos, w którym nie usłyszałem nawet nuty fałszu.

— Dziękuję.

— A tak już trochę bardziej prywatnie, jeśli można i o ile to nie tajemnica...

Podniosłem brwi z lekko udawanym zainteresowaniem, choć w zasadzie spodziewałem się treści kolejnego pytania.

— Miał pan dobrą pracę, chyba nieźle płatną, i postanowił pan z niej zrezygnować... — Tu zawiesił głos, nie decydując się na domknięcie klamry.

— Tak, to prawda, ale... wie pan, jak to jest. Ponad czterdzieści lat na karku, całe życie w dużym mieście, więc postanowiłem poszukać spokojniejszego miejsca.

Wiedział, że ściemniam. Czytałem w jego oczach jak w otwartej księdze.

— Mam emeryturę, trochę sobie do niej mogę dorobić, żeby odłożyć coś więcej na starość — ciągnąłem, ale on wciąż mi nie wierzył.

Przez moment regulowałem oddech. Nie chciałem powiedzieć nic więcej, miałem nadzieję, że mu to wystarczy, ale gdybym tak skończył, nasza rozmowa nie miałaby takiego zakończenia, jak powinna. Siedząc w jego gabinecie, w ciągu tych paru chwil zrozumiałem, że to, co o nim mówili, jest prawdą. Potrafi przeświecić człowieka na wylot i gdy coś jest nie tak, zauważy to niemal natychmiast.

— Jestem już zmęczony — powiedziałem wreszcie, spuszczać wzrok. — Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chodzi o to, że nie chcę już pracować, bo chcę... Chcę, potrafię i dam sobie radę. Tylko że po tych wszystkich latach w policji...

— Rozumiem — przerwał mi w najmniej spodziewanym momencie. Łagodnie, ale dość zdecydowanie. — Myślę, że mniej więcej wiem, co mi pan chce powiedzieć. I tyle mi wystarczy.

* * *

Za pierwszym razem (jak się później okazało — za drugim również) nie pracowałem jednak sam. O szóstej rano w drzwiach zakładu powitał mnie barczysty, wyprostowany jak struna mężczyzna, na pierwszy rzut oka o kilka lat młodszy ode mnie. Miał kwadratową szczękę i ciągnącą się od niej przez prawy policzek aż do skroni szramę. Przedstawił się jako Janusz Przywara, a mechaniczny sposób, w jaki to zrobił, sugerował przeszłość w jakiejś umundurowanej formacji.

Przez niemal godzinę, która pozostała do rozpoczęcia zmiany przez pozostałych pracowników fabryki, o jego przeszłości dowiedziałem się tylko tyle, że to były wojskowy z dwiema zagranicznymi misjami na koncie. O moją przeszłość nie pytał, ale sądziłem, że na miejscu będzie odwdzięczyć się równie ogólnikowymi informacjami. Później zajęliśmy się

już tylko przeszkoleniem, podczas którego starałem się być możliwie najbardziej pojętym uczniem.

Same konkrety, żadnego pieprzenia. Monitoring, zasady funkcjonowania przepustek w zakładzie, systemy alarmowe, zabezpieczenia hal, bramy głównej i samego biurowca.

Myślę, że mógłbym się zakolegować z Przywarą, bo nadawaliśmy mniej więcej na tych samych falach, ale miałem wrażenie, że obaj nie tego potrzebujemy. Wyglądał na takiego, który podobnie jak ja szuka w tej robocie spokoju. Zapewne też wiele razy sparzył się na zawodowych relacjach i nie miał zamiaru znów pakować się do tej samej rzeki. Pasował mi ten układ.

Różniło nas głównie to, że na serdecznym palcu jego prawej dłoni lśniła obrączka. Kiedyś często zastanawiałem się, jak bym się czuł z takim świecidełkiem. Był nawet czas, że chciałem się o tym przekonać, ale życie potoczyło się tak, że do tej pory nie było mi to dane.

* * *

Skończyliśmy naszą dwunastogodzinną zmianę dokładnie o osiemnastej, zostawiając zakład pod pieczę zmiennika, po czym ruszyliśmy w milczeniu do naszych samochodów zaparkowanych na dużym, teraz już prawie pustym parkingu. Uścisnęliśmy sobie ręce bez słowa i jak na komendę, w jednej sekundzie, otworzyliśmy centralne zamki aut. Wydawało mi się, że Janusz podobnie jak ja zwrócił na to uwagę, miałem nawet wrażenie, że przez jego twarz przebiegł cień uśmiechu, ale odwrócił głowę, starając się to ukryć. Stworzyło się trudno uchwytnie pole do bardziej luźnej uwagi, ale żaden z nas nie miał ochoty z niego skorzystać. Przywara odjechał pierwszy, a mijając moją corollę, nawet nie spojrział w jej kierunku.

Pomyślałem, że to był dobry dzień i że wszystko układa się zgodnie z planem, po czym ruszyłem śladem mojego nowego kolegi z pracy w stronę parkingowego wyjazdu.

„Z pracy i tylko z pracy” — przeszło mi przez myśl i wtedy szeroko uśmiechnąłem się sam do siebie.

VI.

W szparze pomiędzy framugą a drzwiami mojego mieszkania tkwiła złożona w pół żółta kartka. Wejście do klatki zabezpieczone było domofonem, więc początkowo sądziłem, że to mój sąsiad z naprzeciwka, z którym w trakcie przeprowadzki wymieniałem wymagane w takich

sytuacjach uprzejmości, ma do mnie jakąś sprawę. Okazało się jednak inaczej.

„Panie Zdychu, proszę o telefon na poniższy numer, K.S.”.

Jeśli miałbym jakiegokolwiek wątpliwości, kto kryje się pod inicjałami, bez wątpienia rozwiązałyby je forma, w jakiej się do mnie zwrócono.

Wszedłem do środka, zastanawiając się, czego on może ode mnie chcieć. Znowu odezwał się we mnie swoisty mechanizm obronny, który miał za zadanie ostrzegać przed nadmiernym spoufalaniem się z miejscowymi, ale zaraz potem przypomniałem sobie sytuację z poprzedniego dnia, gdy również dał on o sobie znać, a zaraz potem okazał się fałszywym alarmem. Nie znałem Szykowiaka zbyt dobrze, ale raczej nie mogłem się po nim spodziewać, że fatygował się do mnie z byle powodu.

Wyjąłem z kieszeni komórkę i wybrałem podany numer.

— Tak, słucham?

— Dzień dobry, panie Kamilu, Mokryna z tej strony. Zostawił pan kartkę w moich drzwiach, więc...

— O, dobrze, że pan dzwoni, już miałem znowu do pana jechać. Sprzątałem dziś trochę w aucie, bo wybieramy się jutro z Izką i dzieciakami do warszawskiego zoo, i znalazłem pański portfel. Leżał pod siedzeniem pasażera, więc pewnie musiał się panu wczoraj wysunąć.

Odruchowo klepnąłem się w zewnętrzną kieszeń, natychmiast przypominając sobie, że poprzedniego dnia nosiłem polarową bluzę, którą po powrocie powiesiłem do przeschnięcia na oparciu krzesła w kuchni i tam już została.

— Będzie pan teraz w domu? — ciągnął. — Mógłbym wpaść i go podrzucić.

— Panie Kamilu, po pierwsze, dziękuję, że się pan fatygował już wcześniej. No i że pan go znalazł...

— Przypadek. Rzadko sprzątam auto, zresztą chyba pan to wczoraj zauważył — skończył ze śmiechem.

— Nie zwracam uwagi na pierdoły, ale faktycznie, zauważyłem, że z tyłu miał pan mały rozgardiasz. Jakbym nie był wścibski i się nie wiercił, to pewnie portfel do dziś tkwiłby bezpiecznie w mojej kieszeni.

— Co racja, to racja, proszę się poprawić następnym razem, a teraz niech mi pan powie, czy jest pan w domu, bo Iza do mnie macha, więc pewnie zaraz będę jechał z zamówieniem.

— Panie Kamilu, dopiero przed chwilą wróciłem z pracy i nie zamierzałem się już nigdzie ruszać, ale jestem głodny jak wilk, w dodatku, jak się okazało, bez grosza przy duszy, więc z chęcią wpadłbym do was sprawdzić, czy od wczoraj jakość pizzy się nie pogorszyła.

— Mogę przywieźć jakąś dobrą, to żaden problem.

— Dziękuję, ale chętnie się przewietrzę, a i spacer dobrze mi robi. Poza tym chcę jeszcze nacieszyć oczy tym niesamowitym wystrojem. Tym bardziej że jego dni są już przecież policzone.

— Chyba że tak. W takim razie zapraszam. O której pan będzie? Mamy trochę ludzi, więc na wszelki wypadek zarezerwuję dla pana stolik.

— Pewnie gdzieś tak za godzinę. Mam tylko prośbę, żeby to było inne miejsce niż wczoraj, bo peszyły mnie trochę te rogi nad głową.

Roześmiał się i powiedział, że nie ma sprawy, a potem, jakby po chwili wahania, dodał:

— Chociaż dziwię się, bo było panu z nimi bardzo do twarzy.

Pewnie przez ten krótki moment zastanawiał się, czy żart przypadkiem nie przekroczy granicy dobrego smaku.

— W takim razie niech będzie to samo miejsce — powiedziałem.
— W moim wieku każdą okazję do usłyszenia komplementu trzeba brać w ciemno.

Skończyliśmy rozmowę w świetnych nastrojach.

* * *

Faktycznie byłem bardzo głodny, ale stwierdziłem, że przed wyjściem wypadałoby się odświeżyć po dwunastu godzinach w pracy. Wskoczyłem więc pod prysznic i się ogoliłem. Czekając, aż wyschną mi włosy, włączyłem komputer, rzuciłem okiem na bieżące wydarzenia, a później nieopatrznie sprawdziłem skrzynkę mejlową.

Wśród tradycyjnej lawiny spamu przez ostatnie trzy dni trafiły się też dwie napisane do mnie wiadomości. Na pierwszą odpisałem natychmiast. Andrzej Gierczak, który przejął moje obowiązki w wydziale kontroli, ostatnio odzywał się do mnie coraz rzadziej, ale jeszcze od czasu do czasu się to zdarzało. Miał krótszy ode mnie staż w policji, a w dodatku nigdy dotąd nie miał styczności ze szperaniem we własnych brudach. Przenieśli go z dnia na dzień i nagle z dobrego, lubianego przez wielu kolegi musiał przedzierzgnąć się w psa tropiącego i wyjaśniającego nieprawidłowości w policyjnych szeregach. Szczerze mu współczułem, tym bardziej że był to jeden z porządniejszych ludzi, z jakimi przyszło mi pracować. Robiłem

więc, co mogłem, żeby jakoś odnalazł się w nowej sytuacji. Jeśli tylko potrafiłem, wskazywałem sposób zastosowania poszczególnych procedur, miejsca, gdzie na półkach i w archiwum można odszukać analogiczne do obecnych sprawy, a także próbowałem pomóc zastosować stare i rozgryźć nowe wytyczne w zakresie koniecznych zestawień oraz statystyk.

Prośba dotyczyła tego ostatniego zagadnienia. Skończył się właśnie pierwszy kwartał Andrzeja na nowym stanowisku, żądano więc od niego odpowiednich, w moim przekonaniu nikomu do niczego niepotrzebnych, tabelarycznych wykazów przeprowadzonych w ostatnich trzech miesiącach postępowań wyjaśniających, wraz z odniesieniem ich do analogicznych danych za rok ubiegły. Uporałem się z tym mniej więcej w dwadzieścia minut. Kwestia była stosunkowo prosta, a dodatkowo zdawałem sobie sprawę, że odpowiedź ode mnie uspokoi Andrzeja i dzięki temu będzie miał trochę mniej nerwowe zakończenie weekendu. Jak zwykle, w luźniejszej końcówce wiadomości ani słowem nie wspomniał o sprawie Pieniązka (za co, jak zwykle, byłem mu wdzięczny), tylko trochę poplotkował na tematy bieżące. Jakby bardziej z obowiązku, dlatego że tak wypada, niż ze świadomości tego, że w ogóle mnie to cokolwiek obchodzi. Najważniejsza wieść gminna niosła, że „podobno Stary ma polecieć na jesieni”. Nie obchodziło mnie to. Tym bardziej że Stary, czyli komendant wojewódzki, „miał polecieć” już wcześniej wiele razy i plotka przez ostatnich kilka lat zmieniała się tylko w kwestii rozpoczynającej się aktualnie pory roku.

Druga wiadomość była od Beaty. W sumie nic ważnego — z pozoru kilka zdań od starej dobrej koleżanki. Siedziałem jednak dość długo, gapiąc się na tekst, jakby to był mejl od kogoś z zaświatów. Najpierw pomyślałem, że odpiszę natychmiast, i nawet wklepałem kilkanaście pierwszych słów. Zaraz potem wszystko wykasowałem i usunąłem wersję roboczą wiadomości, żeby mnie na drugi raz nie kusiło. Zapomniałem o głodzie i o tym, że w pizzerii Isabella e Camillo czeka na mnie zarezerwowany stolik.

Odchylając się do tyłu, przeczesalem palcami włosy, odkrywając mimowolnie, że zdążyły już całkiem wyschnąć, i spojrzałem na zegarek w prawym dolnym rogu komputera. Dochodziło w pół do dziewiątej. Nie wiedziałem, jak postąpić z wiadomością od Beaty, ale przecież decyzja nie musiała zostać podjęta tu i teraz. Wyłączyłem więc komputer i zacząłem szykować się do wyjścia.

* * *

Gdy dotarłem do Isabella e Camillo był już kwadrans po dwudziestej pierwszej.

Szykowiak nie przesadzał, twierdząc, że tego dnia w pizzerii panuje spory ruch. Hałaśliwi goście, wśród których przeważała młodzież, okupowali zdecydowaną większość miejsc, a stół zajmowany przeze mnie poprzedniego dnia otoczony był wianuszkami zajadających się pizzą małolatów. Nie mogłem mieć pretensji do właściciela, że nie przytrzymał dla mnie rezerwacji, skoro spóźniłem się ponad godzinę.

Stałem w drzwiach, zastanawiając się, czy wyjść na zewnątrz i poczekać, aż się trochę przeludni, czy może poprosić o zwrot portfela, a następnie kupić coś do zjedzenia w jakimś spożywczaku, gdy poczułem, że ktoś kładzie dłoń na moim ramieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem Szykowiaka, stojącego tuż za progiem.

— Zapraszam do środka, miejsce czeka — powiedział, wskazując zaciszny stół w prawym rogu pomieszczenia, na którym ustawiono tabliczkę z napisem „Rezerwacja”. — Właśnie zaliczyłem ostatni kurs z pizzą.

— Dziękuję i przepraszam, że przyszedłem później — odparłem, robiąc krok do przodu i wpuszczając łaskawie właściciela do jego lokalu. — A skąd pan może wiedzieć, że to był ostatni kurs?

— Lokal jest czynny do dwudziestej drugiej, ale zamówienia na pizzę przyjmujemy tylko do dziewiątej.

— Wygląda więc na to, że się spóźniłem...

— Dla pana zrobimy wyjątek, panie Zdychu — odparł z uśmiechem. — Zaraz podam kartę, żeby mógł pan wybrać coś dla siebie.

— A mogę zdać się na pański gust?

— Ostrzegam, że może to być coś ostrego.

— Żaden problem. Lubię pikantne dania.

— Rozmiar taki jak wczoraj?

Przez chwilę zastanawiałem się nad tą kuszącą propozycją. Kiszki grały mi marsza, ale biorąc pod uwagę porę, uznałem, że lepiej nie szarżować.

— Jest trochę późno, więc może jedną małą — powiedziałem, a później, lawirując pomiędzy pozajmowanymi krzesłami, pożegłowałem w stronę kwadratowego stolika, przy którym zamiast czterech, stały tylko dwa krzesła; brakujące zostały podprowadzone przez siedzącą po sąsiedzku i cisnącą się obok siebie młodzież.

Ledwie zdążyłem zająć miejsce, gdy przede mną jak spod ziemi wyrósł Szykowiak z kuflem złocistego piwa.

— Nawet nie pytałem, czy pan sobie życzy — rzekł — ale pizza będzie naprawdę ostra, więc to na pewno się przyda.

Odchodząc, dodał jeszcze, wskazując na wolne krzesło:

— Zarezerwowałem też miejsce dla siebie, o ile nie będzie pan miał nic przeciw mojemu towarzystwu.

— Bynajmniej. Będzie mi naprawdę miło — odparłem.

— W takim razie bardzo się cieszę. Trochę tu ogarnę i jak pizza będzie gotowa, przyjdę panu poprzekadzać.

Pociągając pierwszy łyk z kufła, przypomniałem sobie moje plany, snute nie dalej jak poprzedniego dnia nad resztkami pizzy. Miałem tu prowadzić życie odludka stroniącego od towarzystwa, a wystarczyła nieco ponad doba, by okazało się, że tak naprawdę chyba zupełnie czego innego mi potrzeba.

Przez ostatnie siedem lat żyłem wśród ludzi, ale byłem samotny, choć wcale nie miałem ochoty przyznać tego przed samym sobą, bo przecież miałem wielu znajomych, a ludzie chętnie spędzali ze mną popołudnia i wieczory. Kobiety czasem również noce. Tak było od ośmiu lat.

Kiedy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym (parę dni po moich trzydziestych urodzinach), wszystko się zmieniło. Dobrze, że w tamtym czasie była przy mnie Beata, ale i to się skończyło cztery lata później. Od wtedy, kiedy odeszła, od Wigilii Bożego Narodzenia dwa tysiące trzeciego roku, dawałem sobie nieźle radę, tkwiąc w iluzorycznych stosunkach koleżeńskich, zawodowych, sąsiedzkich, bazarkowych i jakich tam jeszcze.

Ale tak naprawdę, nie miałem nikogo.

Czasem przeklinałem los, a czasem moich świętej pamięci starych, że nie mam rodzeństwa, które, choćby i nawet najbardziej podłe, stanowiłoby jakąś namiastkę bliskości, tworzyłoby złudzenie, że jest ktoś na świecie oprócz mnie. Niechbym nawet nie oglądał tego kogoś albo nawet latami nie zamienił z nim słowa przez telefon, to byłoby nieważne, w przeciwieństwie do świadomości, że jestem na świecie sam jak palec.

Tak, czasem przeklinałem za to los i moich starych, a zaraz potem rugałem się w myślach, będąc pewnym, że rodzeństwo i tak by nic nie zmieniło. Rodzeństwo to przecież tylko więzy krwi i tak naprawdę

przeważnie poza miłością do rodziców, wspólnym dzieciństwem i zbieżnym DNA nic cię z twoim bratem czy siostrą nie łączy. To nie jest mało, ale też nie na tyle dużo, by zagwarantować, że nie będziesz samotny, gdy ci się wszystko spierdoli w życiu.

Niektórzy uciekają w alkohol, a niektórzy w samotność. Ja należałem do tych drugich. I pewnie tak by zostało, pewnie dotrwałbym w Mieście Wojewódzkim do bardziej godziwej emerytury, nie zważając na wszystko i udając niesamotność przed samym sobą (a może nawet sobie jej nie uświadamiając?), gdyby nie sprawa Pieniążka. Zniosłem brak rodziców, przeżyłem — choć z trudem — odejście kobiety, bez której nie wyobrażałem sobie świata, ale sprawa Pieniążka mnie przerosła, a uświadomiłem to sobie w jednej sekundzie, w knajpie Isabella e Camillo w Rykowie — najpierw pociągając łyk, a później zlizując gęstą pianę z górnej wargi.

Do tej pory sądziłem, że to był mój wybór, ale nie — to była zwyczajna rejterada. Nie uciekałem do Rykowa od ludzi, a od postępowania w sprawie młodego policjanta drogówki, na którego mnie poszczuto i który nie wytrzymał presji; zanim zdążył oddać odznakę i broń służbową, pociągnął za spust w kiblu „Mordoru”, odstrzeliwując sobie spory kawałek potylicy.

Niedługo później okazało się, że dowody, które mi podsunęto, zostały od początku do końca wyssane z brudnego palca gościa pracującego u nas na uchu, którego brata Pieniążek swego czasu zatrzymał za przekroczenie prędkości. W trakcie kontroli okazało się, że auto jest trefne, a młody gliniarz (w przeciwieństwie do starszego kolegi, z którym pełnił służbę) — całkowicie niechętny do współpracy z kontrolowanym kierowcą. Brat informatora trafił pod celę na trzy miesiące, ponieważ postępowanie wykazało jego związki z międzynarodowym gangiem trudniącym się kradzieżą samochodów w Europie Zachodniej, a później przerzucającym je za wschodnią granicę Polski.

Zaraz potem do komendy wpłynęła skarga na Pieniążka za nieprawidłowości w innej sprawie. Chodziło o rzekomą pokaźną łapówkę, fałszowanie kwitów, a nawet o formułowanie podczas służby gróźb karalnych. Na początku nikt nie traktował tego poważnie, ale kiedy pojawiali się kolejni świadkowie potwierdzający niekorzystną dla Pieniążka wersję, to musieliśmy się całej sprawie przyjrzeć bliżej, tym bardziej że zaczęła przy niej węszyć prokuratura okręgowa. W pewnym momencie doszło nawet do tego, że zapadła decyzja o zawieszeniu policjanta

w czynnościach służbowych. Decyzja, o której Pieniążek dowiedział się nieoficjalnie i której — wkładając sobie lufę do ust, a następnie pociągając za spust — nie pozwolił wejść w życie.

Dwa dni po pogrzebie młodego gliny zjawiała się u nas żona informatora. Być może ruszyło ją sumienie, ale niewykluczone — i na mój nos bardziej prawdopodobne — że chodziło o odegranie się na ślubnym, ponieważ proces fabrykowania dowodów przeciw policjantowi opisywała do protokołu, usiłując bezskutecznie ukryć pod okularami przeciwsłonecznymi wielki granatowoczarny siniak okalający jej prawe oko. Ruszyło dochodzenie w sprawie formułowania fałszywych oskarżeń, podejrzani jeden po drugim przyznawali się do winy, a sierżant Łukasz Pieniążek, na zawsze już dwudziestodwuletni, został pośmiertnie oczyszczony z zarzutów i awansowany o jeden stopień, co raczej nie miało już wtedy dla niego jakiegoś specjalnego znaczenia.

Uciekłem więc z „Mordoru” i z Miasta Wojewódzkiego. Wydawało mi się, że chcę uciec do dobrej samotności (złej, w której tkwiłem przecież dotąd, nawet sobie nie uświadamiałem), wydawało mi się, że chcę spokoju, a tak naprawdę chciałem uciec od Pieniążka i jego sprawy, nie chciałem, żeby ktokolwiek jeszcze kiedykolwiek spojrzeł na mnie przez jej pryzmat.

Mamaj często mawia (choć wtedy, pierwszego października, jeszcze tego nie wiedziałem, bo mieliśmy się poznać dopiero w listopadzie), że Ryków to dziura w dupie świata. A ja pojawiłem się tu, bo chciałem być w niej samotnym, smutnym palcem i chciałem się tutaj jak w gównie nurzać we wspomnieniach traumatycznych zdarzeń z przeszłości.

Pierwszy łyk piwa ledwie zaczynał chłodzić przełyk, gdy zrozumiałem, że przecież wcale nie muszę tkwić w tym, co było. Uświadomiłem sobie, że szedłem do Isabella e Camillo z nadzieją na spotkanie, a może nawet na dłuższą rozmowę z Szykowiakiem. Znów chciałem spojrzeć w te jego pełne uśmiechu i optymizmu szare oczy, posłuchać, jak przekomarzają się z żoną, chłonąć bez troską atmosferę gwarnej knajpki w sobotni wieczór.

Jak się okazało, czasem do zmiany spojrzenia na świat nie potrzeba wiele. Czasem wystarczy, że ktoś zapyta, czy nie masz nic przeciw temu, aby się do ciebie przysiadł, a ty odpowiesz, że „Bynajmniej” i że „Będzie mi naprawdę miło”.

I zrobisz to prawdziwie, wypowiesz te słowa z przekonaniem, o które jeszcze wczoraj rano sam siebie byś nawet nie podejrzewał.

* * *

Gdy Szykowiak przyniósł moją pizzę i usiadł naprzeciwko, było za dwadzieścia dziesiąta.

Większość stolików do tej pory zdążyła się zwolnić, o ile dobrze dostrzegłem, w pizzerii od mojego przyjscia nie pojawił się żaden nowy klient. W międzyczasie właściciel dwukrotnie spokojnie, lecz stanowczo uspokajał zbyt głośno zachowującą się grupkę zajmującą stół, przy którym siedziałem poprzedniego dnia. Raz zrobił to także wobec dwóch lekko podchmielonych starszych jegomości, zdecydowanie zbyt żarliwie dyskutujących na temat mających się odbyć w następną niedzielę wyborów parlamentarnych. Atmosfera w pizzerii była miła, gościom towarzyszył gwar, ale dzięki reakcjom Szykowiaka na tyle niedokuczliwy, że bez trudu można było posłuchać muzyki wydobywającej się z czterech rozmieszczonych wysoko w rogach sali głośników.

Jeszcze zanim wziąłem sztucę do rąk, zaproponowałem, żebyśmy przeszli na „ty”. Kiedy tylko moja propozycja została z wyraźnym zadowoleniem przyjęta, nie omieszkałem podzielić się z Kamilem spostrzeżeniami odnośnie do jego dbałości o atmosferę w knajpcie. Przytaknął mi skinieniem głowy, a później powiedział:

— Wiesz, panie Zdzichu, tak to już jest w tej branży, że od razu na początku należy ustalić panujące w lokalu zasady, a potem dbać o ich przestrzeganie przez gości. Staramy się z Izą, żeby wszystko było jak należy, bo jeśli byśmy odpuścili choć odrobinę, to później sytuacja byłaby nie do opanowania. No i skoro sam zauważyłeś, że jakoś nam to wychodzi, to znaczy, że jesteśmy na dobrej drodze do celu. Jeszcze z miesiąc i nikomu nie przyjdzie do głowy, że w Camillo mógłby się wydzierać albo zostawać dłużej niż do dwudziestej drugiej.

— W Camillo?

Uśmiechnął się i rozłożył bezradnie ręce.

— Na robieniu pizzy to się może i znam, panie Zdzichu, ale na marketingu to raczej ani w ząb. Mówiłem wczoraj, że to ja wybrałem nazwę „Isabella e Camillo”, chciałem, żeby było światowo, trochę po włosku, a tymczasem okazuje się, że to był niewypał. W całym Rykowie nie znajdziesz nawet jednej osoby mówiącej o tym przybytku tak, jak sobie wymarzyłem. Wszyscy upraszczają, niektórzy nawet twierdzą — o zgrozo! — że chodzą coś zjeść „do Kamila”.

Przeżuwałem jego słowa wraz z pierwszymi kęsami pizzy, która faktycznie okazała się piekielnie ostra, ale też chyba nawet lepsza niż

pierwsza, którą tam jadłem. Jakby na potwierdzenie tego, o czym mówił chwilę wcześniej, najbardziej liczna grupa młodzieży właśnie zaczęła zbierać się do wyjścia, a dwaj starsi jegomości co chwilę spoglądali na zegarki, najwyraźniej dbając o to, by zdążyć zakończyć posiedzenie przed dziesiątą.

— Ale twojej żonie, nawet jeśli trochę marudzi, na pewno jest miło, że chciałeś, by jej imię znalazło się w nazwie.

— Tak sądzisz? — zapytał.

— Jestem tego pewien.

— W takim razie dziękuję za dobre słowo. Potrafisz podnieść człowieka na duchu, panie Zdzichu. Chętnie bym za to z tobą wypił.

— Co zatem stoi na przeszkodzie?

— Pomyślałem, że może chciałbyś, żebym podrzucił cię do domu...

— Miło z twojej strony, ale wolę się przejść.

— W takim razie skończ sobie pizzę, ja w tym czasie rozliczę gości, a potem spokojnie chwilę sobie posiedzimy, okej?

— Jasne.

— Ja też sobie wezmę jasne — powiedział i zaraz potem zostałem przy stoliku sam.

Gdy z paragonem podszedł do grupki młodzieży, dla pozostałych klientów był to znak, że wieczór w Camillo właśnie dobiega końca.

Do dwudziestej drugiej zostało sześć minut.

* * *

Dokładnie o dziesiątej Kamil zamknął od środka drzwi do lokalu. Zaraz potem przy moim stoliku przystanąła Iza, żeby przywitać się i pożegnać jednocześnie. Chwilę porozmawialiśmy; zauważyłem, że mój komplement odnośnie do przygotowanej przez nią pizzy sprawił jej przyjemność.

— Obawiałam się, że będzie za ostra, ale Kamil twierdził, żebym nie stosowała taryfy ulgowej i zrobiła dokładnie taką, jak on lubi najbardziej — powiedziała, jakby się trochę usprawiedliwiając.

— Widocznie mamy podobny gust — odparłem.

— No, no, tylko bez takich mi tutaj — wtrącił się Szykowiak, stawiając na blacie dwa pełne kufle. — Ostrzegam cię, panie Zdzichu, że jestem o małżonkę chorobliwie zazdrosny, i to, co właśnie powiedziałaś, może obudzić we mnie podejrzliwą bestię.

— Chciałabym to zobaczyć, mój ty brutalu — roześmiała się Iza i cmoknęła Kamila w policzek.

Podniosłem ręce w geście poddania.

— Ja rezygnuję — powiedziałem. — Czuję się ostrzeżony i z lekka wystraszony, więc całkowicie ustępuję pola temu nieokrzesanemu barbarzyńcy.

— Nie siedź długo, mój ty barbarzyńco — dodała, wciąż się śmiejąc. — Jutro mamy w planach Warszawę, a ja średnio się w niej czuję za kółkiem, więc nie przesadz z piwem.

Szykowiak spojrział na mnie, wzruszył ramionami i rzekł:

— Tak oto obracają się w pył legendy, które jeszcze na dobre nie zdążyły stać się ciałem. Niedoszły brutal w ułamku sekundy stał się pantoflarzem.

Iza pożyczyła mi dobrej nocy i poprosiła Kamila, żeby zamknął za nią drzwi. W progu pocałowali się tak, jak para zakochanych nastolatków, która następnym razem ma się spotkać dopiero za kilka miesięcy.

— Może podwiesz żonę do domu? — zaproponowałem, gdy przekręcał zamek. — Jeszcze nie zdążyłeś się napić, a jest noc, więc...

— Daj spokój — przerwał mi, kierując się w stronę naszego stolika. — Ryków to może nie metropolia, ale ma swoje plusy. Na przykład taki, że jest tu bardzo bezpiecznie. Nie pamiętam, żeby wydarzyło się tu coś poważniejszego od drobnych kradzieży albo szamotaniny pomiędzy miejscowymi amatorami taniego wina.

Usiadł na tym samym krześle, co poprzednio, a potem kontynuował:

— Zapewniam cię, jeśli istniałoby choćby najmniejsze zagrożenie, że mojej Izie może się stać coś złego, to nie zostawiłbym jej nawet na sekundę samej. Zresztą, tego jeszcze nie wiesz, wychodząc stąd, jesteśmy już prawie w domu. Pokażę ci później. A teraz się napijmy.

— Proponuję wasze zdrowie. — Podniosłem kufel. — Żeby wam się wszystko zawsze układało zgodnie z przewidywaniami.

Popatrzył na mnie poważnie.

— Dobrze, ale następne piwo wypijemy za twoją pomyślność, panie Zdzichu.

Pociągnęliśmy po kilka łyków i zaraz potem Kamil nagle poderwał się z miejsca.

— Poczekaj, muszę to zrobić za pamięci, bo jeszcze do poniedziałku zostaniesz bez portfela.

Poszedł za kontuar i z torby, która służyła mu do przewożenia pizzy, wyszperał mój portfel. Kiedy położył go przede mną, powiedziałem:

— Raczej byśmy nie zapomnieli. Przecież chciałbym zapłacić przed wyjściem.

— Faktycznie, masz rację — odparł, uśmiechając się z lekkim zakłopotaniem. — Tego nie wziąłem pod uwagę. Czasem szybciej działam, niż myślę.

— Nie martw się, ja mam całkiem podobnie, tylko że u mnie chodzi o to, że często najpierw coś mówię, a dopiero później gryzę się w język. No to kto tu z wami jeszcze pracuje? — zapytałem, nagle zmieniając temat, trochę przestraszony tym, że zaczynam poznanemu dzień wcześniej człowiekowi opowiadać o swoich przywarach.

Miał właśnie znów pociągnąć z kufla, ale jego ręka nagle zastygła w połowie drogi, a brwi ze zdziwienia powędrowały do góry.

— Dlaczego sądzisz, że ktoś jeszcze tu pracuje?

— Jedziecie jutro do Warszawy, o ile mnie pamięć nie myli, mówiłeś, że do zoo. To nie jest wycieczka na dwie godziny, więc nie zdążycie chyba wrócić przed otwarciem... Chyba że w niedzielę lokal jest czynny od późnego popołudnia...?

Dopiero teraz wziął dwa łyki piwa, a potem ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Aha, już rozumiem. Nie, nikt nam nie pomaga, dajemy sobie jeszcze radę sami. W niedzielę otwieramy normalnie, czyli o dziesiątej, ale... no cóż, trzeba ci wiedzieć, panie Zdychu, że przed uruchomieniem tego interesu obiecaliśmy sobie z Izą, że nie damy się zwariować. Mamy trójkę małych dzieci, mówiłem ci?

— Ogólnie. Wspomniałeś, że jedziecie jutro do Warszawy z dziećmi. Aha, no i wczoraj, że najstarsza córka urodziła wam się w dwa tysiące drugim roku. Ma na imię Wiktoria, o ile dobrze kojarzę.

Pokiwał z uznaniem głową.

— No, no. Godna podziwu pamięć.

— W moim byłym zawodzie czasem się przydawała.

— A mogę wiedzieć w jakim?

— Pracowałem w policji — wyrzuciłem z siebie. — W komendzie wojewódzkiej.

Wcale nie musiałem w tej chwili wspominać o moim byłym zawodzie, ale chyba po prostu chciałem, żebyśmy to już mieli za sobą. Niektórzy z dużą rezerwą podchodzą do glińiarzy, nawet tych w stanie spoczynku, dlatego nie chciałem narażać Kamila na ewentualne dylematy

w przyszłości. Patrzyłem uważnie na jego twarz, ale nie znalazłem na niej nawet cienia dezaprobaty. Przeciwnie, miałem wrażenie, że dostrzegłem w oczach Kamila błysk podziwu.

— Ojciec Izy pracował w policji. To był bardzo porządny człowiek, wiele się od niego nauczyłem. Jesteś już na emeryturze?

Skinąłem głową.

— On zrezygnował z pracy, gdy dobijał do sześćdziesiątki.

— Widocznie niektórzy są w stanie znieść więcej — powiedziałem cicho i spuściłem wzrok. — Ja nie dałem rady.

— Może to i lepiej. Zmarł na zawał niecałe dwa miesiące później. Niewiele się nacieszył wolnością.

Znów spojrzałem na Kamila, tym razem nie odzywając się ani słowem.

— Bałeś się, że z tobą będzie podobnie? — zapytał.

— Wydaje mi się, że nie dociągnąłbym nawet do pięćdziesiątki — odparłem zgodnie z prawdą. — Poza tym... Poza tym zdarzyło się coś, co ostatecznie podważyło moją wiarę w tę instytucję...

Zawahałem się przez moment, a potem, zupełnie dla siebie niespodziewanie, opowiedziałem mu o samobójczej śmierci młodego policjanta — sierżanta Łukasza Pieniążka — do której, chcąc nie chcąc, z całą pewnością pośrednio przyłożyłem rękę.

* * *

Gdy skończyłem, długo siedzieliśmy, milcząc i wpatrując się w puste już od dłuższego czasu kufle.

Z jednej strony czułem się podle, że obarczyłem Kamila swoją tajemnicą, że opowiedziałem o sprawie, która, jak sądziłem jeszcze kilkanaście minut wcześniej, nie była do opowiedzenia. Zwłaszcza komuś prawie obcemu (choć nie przychodził mi do głowy nikt bliski, wobec kogo mógłbym się aż tak otworzyć). Jednak faktem było też to, że odczuwałem ogromną ulgę, podobną do tej, którą ma w sobie ośmioletni dzieciak tuż po tym, gdy po raz pierwszy był u spowiedzi. Mówiąc komuś o swoich przewinach, miałem wrażenie, że przynajmniej częściowo się od nich uwalniam.

— Należę nam jeszcze po jednym. — Odezwał się tak nagle, że aż drgnąłem.

— Dobrze, ale nie chciałbym, żeby jutro twoja żona miała do mnie pretensje.

— Bez obaw. Nie zamierzamy wyjeżdżać bardzo wcześnie. Pozwolimy dziewczynkom pospać do woli.

— Jak uważasz. W takim razie ja tymczasem skorzystam z toa...

— Wiesz...? — przerwał mi w pół słowa. — Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś. Kiedy wczoraj się poznaliśmy, sądziłem, że jesteś bardzo zamkniętym człowiekiem. — Mierzył mnie poważnym, byстрыm spojrzeniem. — Mało tego, w tej chwili nadal tak sądzę i... i tym bardziej doceniam to, że obdarzyłeś mnie takim zaufaniem. Postaram się go nie zawieść.

Zastanawiałem się, co mógłbym jeszcze w tej chwili powiedzieć, ale nic sensownego nie przyszło mi do głowy, więc po prostu wstałem i ruszyłem w stronę koedukacyjnego wychodka, na drzwiach którego obok siebie naklejono zarówno kółko, jak i trójkąt.

W głowie miałem mętlik i kręciło mi się w niej tak, jakbym przed chwilą nie wypił dwóch piw, a przynajmniej pół litra czystej. Chłodna woda, którą przemyłem twarz i zwilżyłem kark, nieco mnie otrzeźwiła. Załatwiłem swoją potrzebę, a potem długo i bardzo dokładnie myłem ręce. Susząc je w ciepłym strumieniu powietrza, wypluwanym przez elektryczną dmuchawę, uświadomiłem sobie, że trochę obawiam się powrotu do stolika. Bałem się słów, które chyba zwykle wypowiedane są w podobnych sytuacjach: „Przecież to nie była twoja wina, działałeś w dobrej wierze”, „Skąd mogłeś wiedzieć, że tak to się skończy?”, „To już przeszłość i nic już jej nie zmieni”, „Gdyby ktoś inny był na twoim miejscu, to stałoby się dokładnie tak samo”...

Bla, bla, bla...

Poza najbliższym otoczeniem w komendzie nikt nie wiedział o całej tej sprawie, ale byłem pewien, że gdybym kiedyś zwierzył się komuś z zewnątrz, to mniej więcej coś takiego bym usłyszał. Stek komunałów, które ani mi nie pomogą, ani — co tym bardziej oczywiste — nie zwrócą Pieniążkowi życia.

Westchnąłem ciężko i pchnąłem drzwi.

Kamil siedział już przy stoliku. Piana na wewnętrznej ściance jego kufła świadczyła o tym, że nalał sobie do pełna, ale zanim wróciłem, zdążył wypić już chyba z jedną trzecią zawartości.

— Coś mi się wydaje, że lekko zboczyliśmy z tematu — odezwałem się, by rozluźnić nieco atmosferę. — Zanim pozeğłowałem w ciężkawe

klimaty, zdaje się, że mowa była o twoich dzieciach i wyjeździe do warszawskiego zoo.

— A, tak, faktycznie — odparł, ale jego błędzący gdzieś za moimi plecami wzrok wskazywał na to, że Kamil myśli teraz zupełnie o czym innym.

— Mówiłeś, że nie chcecie dać się zwariować, pytałem o kogoś, kto zastępuje was, gdy macie wolne, czyli na przykład jutro...

Zachęcałem go do podjęcia wątku, bo obawiałem się, że to jego roztargnienie związane jest z moimi zwierzeniami, a ja po tym, gdy opowiedziałem historię związaną z Pieniążkiem, nie miałem już teraz ochoty myśleć o całej tej sprawie. Obawiałem się też, że Kamil właśnie zastanawia się nad znalezieniem jakichś słów pocieszenia, a ja wcale ich nie potrzebowałem. Przede wszystkim dlatego, że nie mogły mi pomóc. Tak mi się wtedy zdawało.

— Mamy trzy małe córki — rzekł po chwili milczenia, trochę już bardziej przytomnie, ale jednak wciąż zdawało mi się, że jego myśli równocześnie są gdzieś daleko od Camillo. — Najstarsza jest dziewięcioletnia Wiktoria i o niej już ci wspominałem. Julka jest od niej o trzy, a Ola o cztery lata młodsza. Marząc z Izą o własnym biznesie, równocześnie rozglądaliśmy się wokół siebie i wiedzieliśmy, jak bardzo dzieci cierpią na tym, że ich zabiegani rodzice nie mają dla nich wystarczająco dużo czasu, więc postanowiliśmy, że w naszym przypadku będzie inaczej. Na razie nie możemy sobie pozwolić na zatrudnienie kogoś jeszcze, więc po prostu musieliśmy znaleźć inne rozwiązanie. Pewnie gdy wchodziłeś, nie rzuciła ci się w oczy kartka na drzwiach pizzerii?

— Szczerze mówiąc, patrzyłem przede wszystkim, czy znajdzie się dla mnie jakieś wolne miejsce... — odparłem, jednocześnie kierując wzrok na drzwi.

Faktycznie, przyczepiono do nich kartkę formatu A4. Z wnętrza lokalu wydawała się niezadrukowana.

— Komunikat dla gości jest nadrukowany po drugiej stronie i mówi o tym, że jutro... — Spojrzał na zegarek. — Tak, jeszcze przez prawie pół godziny będziemy mieli sobotę, więc JUTRO pizzeria jest po prostu nieczynna. Ot i cała tajemnica.

— Nieczynne w niedzielę? — Nie kryłem swojego zdumienia.

— Nie, nie w każdą. W co drugą.

— No dobrze, ale to przecież i tak wiąże się z dużymi stratami, zwłaszcza że ruch w niedzielę jest chyba większy niż, dajmy na to, w zwykłe dni od poniedziałku do czwartku. Ludzie pewnie częściej zamawiają pizzę z dowozem...

— Zgadza się. Tracimy jakieś dziesięć procent przychodu, ale ponieważ lokal jest nasz i nie musimy płacić za jego wynajem, to możemy sobie na to pozwolić. Mówiłeś wczoraj, że nie masz dzieci, więc tego pewnie nie wiesz, ale... one strasznie szybko dorastają. Zresztą... — Machnął ręką. — ...mamy wielu dzieciatych znajomych, którzy jakby nie dostrzegali upływu czasu, nie uświadamiali sobie tego, że te kilkanaście lat minie jak z bicza strzelił. Postanowiliśmy z Izą, że chociaż w ten sposób spróbujemy to rekompensować. Gdyby nie te spędzane wspólnie niedziele, to widzielibyśmy się z dziewczynkami praktycznie tylko rano. Później zajmuje się nimi mama Izy, która z nami mieszka, a wieczorem, gdy jesteśmy po pracy, prawie zawsze dzieci już śpią.

— Jeśli ktoś by mi powiedział, że w dzisiejszych czasach są ludzie, którzy podchodzą do tego w ten sposób, to trudno byłoby mi w to uwierzyć.

— Zakładamy, że taki stan będzie trwał do maja. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wtedy zatrudnimy dwie osoby i mamy nadzieję, że już w wakacje będziemy mogli je zostawić same i gdzieś wyjechać. Wtedy też już wszystkie niedziele będą w pizzerii pracujące. Od września do kwietnia włącznie to nie jest aż tak dużo czasu i tych przestojów w funkcjonowaniu lokalu nie będzie aż tak bardzo dużo. Teraz jeszcze dziewczynki są w takim wieku, że chcą spędzać z nami czas i sprawia im to wielką frajdę. Nam zresztą też, to bezcenne patrzeć, jak się rozwijają i jak cieszą się z tych wspólnie spędzanych chwil. Kiedyś, gdy zaczną dorastać, zapewne się to zmieni, ale przecież wspomnienia będą bezcenne i nie będzie można ich przeliczyć na żadne, nawet największe pieniądze.

Przez chwilę, mówiąc o swojej rodzinie, wyraźnie się ożywił, ale gdy tylko wypowiedział ostatnie zdanie, to znów wyglądało na to, że jego myśli odbiegły gdzieś daleko stąd.

— To teraz pijemy za twoją pomyślność, prawda? — zapytał, nagle podnosząc kufel.

— Taka był umowa — odparłem, robiąc to samo.

Trąciliśmy się szkłem z głośnym brzęknięciem i znów upiliśmy po kilka łyków.

— Ciągle myślę o tym, co mi powiedziałaś i domyślam się, że jest ci ciężko. — Patrzył na mnie z powagą. — Mam nadzieję, że z czasem się wszystko ułoży, że poukładasz w sobie to, co teraz cię dręczy. Nie zamierzam prawić ci jakichś frazesów, bo to nic nie da, ale powiem ci, jak ja poradziłem sobie z pewną sprawą, która dawno temu dobrze mi dała popalić. Nikt o tym nie wie, nawet Iza. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że kiedyś powiem o tym komukolwiek... Cała historia...

VII.

...zaczęła się, jak byłem niewiele starszy od mojej Wiktorii. Był początek roku szkolnego. Już na pierwszej lekcji okazało się, że od pierwszego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku klasa trzecia b, czyli moja, liczyć będzie o jedną osobę więcej.

Wychowawczyni na moment wyszła z sali, a następnie przyprowadziła szczupłego, mierzącego najwyżej sto czterdzieści centymetrów blondyna i ustawiła go przy tablicy, mówiąc, że to jest nasz nowy kolega, a następnie zwracając się wprost do niego:

— No, chłopcze, przedstaw się dzieciom i powiedz kilka słów o sobie.

Patrzyliśmy na niego trochę jak na kosmitę. W Rykowie bardzo rzadko zdarzało się, aby ktoś nowy dochodził do klasy. Już wtedy nie było to miejsce, do którego ciągnęliby z zapalem nowi mieszkańcy; jeśli już jakiegokolwiek migracje miały miejsce, to odbywały się raczej stąd w kierunku większych miast.

— Jestem Adrian — powiedział nowy i zaczerwienił się po cebulki swoich włosów w kolorze dojrzałej pszenicy, bo najwyraźniej skończył mu się koncept.

— Masz jakoś na nazwisko? — zapytała wychowawczyni, a zaraz potem po klasie poniósł się szmer tłumionego śmiechu.

— Tak — odparł, spuszczać wzrok. — Na nazwisko mam Zbieński i przeprowadziłem się tutaj z Miasta Wojewódzkiego.

Wcale nie podobał mi się sposób, w jaki Adrian został potraktowany przez panią. Gdy wyobraziłem sobie, że mógłbym być na jego miejscu, to aż ciarki przebiegły mi po plecach. Usiadł dwie ławki przede mną, sam, mniej więcej na środku klasy, ale gdy szedł na miejsce, zdążyłem mu się dość dokładnie przyjrzeć. Nie wiem, panie Zdzichu, czy też tak kiedyś miałeś, ale to było coś w rodzaju... Nie wiem, jak to powiedzieć... No po prostu było w nim coś takiego, że nagle zamarzyłem, aby się z nim zaprzyjaźnić. Tak zwyczajnie, nie wiadomo dlaczego. Wygląda to na

pierwszy rzut oka trochę tak, jakbym mógł mieć słabość do chłopców (nawet nie wiem, czy w tamtych czasach wiedziałem, że takie rzeczy, jak czucie prawdziwej mięty do kogoś tej samej płci, jest możliwe), ale to było coś w rodzaju jednostronnej „przyjaźni od pierwszego wejrzenia”. Trochę idiotycznie to brzmi, ale nie potrafię tego lepiej opisać.

Było coś niezwykłego w ładnej i kształtnej twarzy Adriana, w jego ciemnych, lekko chyba wilgotnych od łez oczach, że pomyślałem sobie: „Muszę spróbować się z nim lepiej poznać”. Jako jedynak miałem problemy z nawiązywaniem znajomości z innymi dziećmi, ale wtedy zachowałem się tak, że samemu mi było trudno w to uwierzyć. Gdyby ktoś obok mnie siedział, być może nie zdecydowałbym się na taki krok, ale to była pierwsza lekcja, każdy siadał jak popadnie, poza tym jeszcze kilku osób nie było, więc traf sprawił, że ja wtedy też siedziałem sam w ławce. Zanim się zorientowałem, już stałem koło Adriana i pytałem go, czy mogę zająć miejsce obok niego. Zgodził się i jestem pewien, że zauważyłem w jego oczach błysk radości. I tak już zostaliśmy w jednej ławce — nierozłączni i chyba jakoś tak po miesiącu z hakiem naprawdę zaprzyjaźnieni.

Oczywiście na początku wiązało się to z głupimi komentarzami, po kilku tygodniach już mieliśmy jako taki spokój, ale zawsze nawzajem przypominaliśmy sobie w czwartki, żeby następnego dnia któryś z nas nie włożył przez przypadek czerwonych skarpetek. Nie wiem, czy pamiętasz, ale wtedy dzieciaki uważnie tego pilnowały i w piątki zaglądały chłopakom pod nogawki, żeby się dowiedzieć, czy przypadkiem któryś aby nie jest „pedałem”. W trzeciej klasie chyba, podobnie jak ja, niewiele łebków wiedziało, o co dokładnie biega, ale wiadomo było powszechnie, że „być pedałem” to obciach i musiałeś się dobrze pilnować, aby nie padło na ciebie nawet najmniejsze podejrzenie.

* * *

Adrian był chłopcem dość skrytym i przez jakiś czas nawet ja nie wiedziałem o nim zbyt wiele.

Pod koniec września na lekcji wychowania fizycznego po raz pierwszy w tym roku szkolnym graliśmy w nogę. Nasza pani zdecydowanie preferowała ćwiczenia ogólnorozwojowe pod dachem. Nauczycielka od wszystkiego i jednocześnie wychowawczyni, pani Nowicka, mówiła, że łatwo się przeziębia (choć, o ile dobrze pamiętam, w czasie, gdy uczyła nas przez pierwsze trzy lata podstawówki, ani razu nawet nie miała kataru),

i przeważnie katowała nas jakimiś głupimi przewrotami w przód i w tył, „taczkami” wzdłuż sali gimnastycznej, biegami wahadłowymi, rzucaniem do celu, kaczuszkami albo — w najlepszym wypadku — grą w dwa ognie. Teraz trochę ją rozumiem, bo takie dzieciaki łatwiej mieć pod kontrolą w zamkniętym pomieszczeniu niż na otwartym terenie. Ale pod koniec września nadeszło takie babie lato, że chyba nawet jej szkoda było takiej pięknej i słonecznej pogody z temperaturami sięgającymi dwudziestu pięciu stopni.

Pani Nowicka najpierw zarządziła, że dziewczyny będą grały w gumę, później rzuciła nam czarno-białą łaciatą „biedronkę” ze skóry, a potem usiadła na ławce obok szkolnego boiska i wystawiła twarz do słońca, by mniej więcej w tej pozycji pozostać przez następne czterdzieści pięć minut. Gra w gumę nie była już wtedy aż tak bardzo popularna, ale dwie koleżanki miały jeszcze w plecaku odpowiedni przyrząd, więc na początku lekcji trochę markowały ćwiczenia, a później, gdy jasne było, że Nowicka kompletnie się nimi nie interesuje, dały sobie spokój i zbiły się w grupki, żeby poplotkować.

W tym czasie my wybieraliśmy drużyny. Najpierw losowanie wskazało dwóch kapitanów, a potem każdy z nich na przemian dobierał zawodników do swojego zespołu. Na mnie padło mniej więcej w środku stawki (nie grałem zbyt dobrze, ale byłem dość duży i trochę grubawy, więc od biedy sprawdzałem się na obronie), natomiast Adrian został wybrany jako ostatni. Był szczupły, chyba najniższy z nas i wyglądał jak antyteza dobrego zawodnika. Ucieszyłem się, że mamy grać razem, bo to stwarzało nadzieję, że po moim podaniu przynajmniej parę razy kopnie sobie piłkę.

Mecz zakończył się wynikiem dziewięć do jednego dla nas, a siedem goli strzelił nie kto inny jak właśnie ten, za którego przed meczem nikt nie dałby nawet złamanego grosza. Okazało się, że Adrian ma niesamowity drybling, jest piekielnie szybki, a przy jego precyzyjnych uderzeniach z lewej nogi bramkarz przeciwników przeważnie miał niewiele do powiedzenia. Mało tego, odnosiłem wrażenie, że Adrian mógłby strzelić jeszcze więcej bramek, ale parę razy odgrywał w stuprocentowych sytuacjach (raz do mnie, ale ledwie trafiłem w piłkę, posyłając ją daleko od prawego słupka). Nie wiem, dlaczego tak robił; być może nie chciał wyjść na egoistę, a może postanowił nie upokorzyć do cna drużyny przeciwnej. Tak czy inaczej, panie Zdzichu, prawie wszyscy w pobliżu, wliczając w to nawet dziewczyny, a wyłączając panią Nowicką, którą bardziej

interesowało złapanie ostatniej tego lata opalenizny, zauważyli, że do naszej szkoły trafił naprawdę świetny gracz.

Na przerwie otoczyliśmy go szczelnym kordonem, żeby się dowiedzieć, gdzie nauczył się tak grać. Dopiero po długich namowach i ze sporym ociąganiem Adrian zdradził nam, że przez cztery lata trenował w sekcji trampkarzy drugoligowej drużyny z Miasta Wojewódzkiego i w sezonie przed przeprowadzką do Rykowa zaczął grywać w napadzie drużyny juniorów młodszych. Zapytałem, czy udało mu się strzelić w tej kategorii wiekowej jakąś bramkę.

— Kilka — odparł i spuścił wzrok, jakby speszony tym całym zamieszaniem spowodowanym jego drobną osobą.

W Rykowie i okolicy wszyscy, co oczywiście, kibicowali lokalnemu teamowi, tułającemu się gdzieś w okolicach środka tabeli lokalnej czwartej ligi, ale na murach, płotach i w zeszytach chłopaków najczęściej znaleźć można było herb drużyny, w której do niedawna trenował Adrian.

Nie muszę chyba dodawać, w jakim świetle go to postawiło w oczach kolegów z klasy. A ja pękałem z dumy, że mam takiego prawie-przyjaciela.

* * *

Tak naprawdę zaprzyjaźniliśmy się w połowie października, a stało się to podczas naszej wspólnej wyprawy na grzyby do tego lasu, który rozciąga się za twoim osiedlem.

Kiedy okazało się, jak dobrze Adrian gra w piłkę, poprosiłem go, żeby mnie trochę podszkolił, i on zgodził się na to bez wahania. Całe godziny spędzaliśmy popołudniami na gierkach jeden na jeden, pokazywał mi sztuczki techniczne, które później z zapałem trenowałem samodzielnie. Na początku niewiele mi wychodziło, ale potem było coraz lepiej. Futbol zafascynował mnie do tego stopnia, że zacząłem nawet zastanawiać się nad zapisaniem się do miejscowej drużyny. Kiedy pytałem Adriana, czy też nie miałby ochoty tego zrobić, kręcił tylko przecząco głową, nie wyjaśniając dlaczego.

Ja za to pokazywałem mu, jak wygląda życie w niewielkim miasteczku, o czym on, wychowany w wielkiej aglomeracji, nie miał zielonego pojęcia. Jednym z aspektów tego wtajemniczenia były nasze wspólne wyprawy na grzyby, co Adrian bardzo polubił. Nie potrafił odróżnić prawdziwka od podgrzybka, kani od sromotnika ani kurek od zwykłych trujaków, ale lubił włączyć się ze mną po lesie.

Właśnie na jednym z takich wypadów ni stąd, ni zowąd się przede mną otworzył. Po raz kolejny zawracałem mu wtedy głowę zachętami odnośnie do naszego wspólnego zapisania się do klubu, a wtedy usiadł na kępie mchu i powiedział:

— Nie zrobię tego ze względu na mojego ojca.

Pomyślałem, że lepiej będzie na razie nie podtrzymywać tego wątku, jednak on miał inne zdanie na ten temat i po prostu zaczął mówić. Pierwszy i ostatni raz zdarzyło się, bym słyszał, jak nieprzerwanie ciągnie swoją wypowiedź przez dobrych kilkanaście minut.

Jego rodzice rozwiedli się na początku roku. Siostra Adriana przeprowadziła się z matką do ciotki, która mieszkała w Gdyni, natomiast Adrian został z ojcem w Mieście Wojewódzkim.

Powodem rozvodu było to, że jego rodzice przestali się dogadywać i doszło nawet do tego, że tato Adriana parę razy podniósł rękę na mamę. To nie była rodzina patologiczna, nic z tych rzeczy. Po prostu z tygodnia na tydzień dwoje ludzi, którzy kiedyś się kochali, nagle zaczęło się nawzajem irytować do granic możliwości. Matka Adriana uznała, że tak dalej być nie może. Była jeszcze na tyle młoda, by zacząć od nowa życie i pewnego razu, gdy jej mąż dopuścił się po raz kolejny rękoczynów wobec niej, uznała, że ten związek jest bez przyszłości i w miarę upływu lat może być tylko gorzej, że wkrótce mogą ucierpieć, nie tylko psychicznie, również dzieci.

Adrian został przy ojcu tylko dlatego, że inna decyzja wiązałaby się z przeprowadzką i porzuceniem ukochanego klubu. Stwierdził, że owszem, mógłby kontynuować treningi w Arce Gdynia, ale to już nie byłoby przecież to samo. Zresztą umowa pomiędzy rodzicami była taka, że jeśli chciałby zmienić zdanie, to będzie mógł to zrobić w dowolnym momencie.

Kłopoty zaczęły się wtedy, gdy ojciec Adriana w lipcu został zwolniony z pracy w drukarni. Zapewniano go, że to tylko chwilowe, że wkrótce jest szansa na etat w tym samym zakładzie, jednak ponieważ był bez grosza (jego majątek stanowił kilkuletni wartburg i trochę ruchomych sprzętów), postanowił tymczasowo poszukać czegoś innego w branży, niekoniecznie w Mieście Wojewódzkim. Lokalna drukarnia w Rykowie poszukiwała kogoś z jego kwalifikacjami, więc Zbieński senior, niewiele myśląc i nie mając najmniejszego zamiaru konsultować decyzji z synem, wynajął mieszkanie w naszym miasteczku.

Teoretycznie wszystko układało się dobrze, ponieważ ojciec Adriana miał też dryg do naprawiania różnego typu sprzętów elektrycznych,

poczynając od żelazek, a na telewizorach kończąc. W Mieście Wojewódzkim tego typu fachowców było całkiem sporo, ale Ryków cierpiał na ich zdecydowany niedobór, tak więc Zbieński po kilku dniach zaczął pracować na dwa etaty, zarabiając pieniądze, o których w poprzednim miejscu zamieszkania nawet nie śmiałyby pomarzyć.

Pod koniec września, gdy Adrian był sam w domu, odebrał telefon z byłego zakładu pracy ojca. Okazało się, że etat właśnie został utworzony i nie ma przeszkód, by wszystko wróciło do stanu z lipca. Radość chłopaka trwała tylko do chwili, gdy tato wrócił z pracy i oświadczył, że na razie zostają w Rykowie. Na prośby syna, na argumenty odnośnie do jego kariery piłkarskiej, na przywoływanie obietnic ojciec Adriana miał jedną odpowiedź: „Możesz trenować tutaj”.

W tym miejscu chłopak przerwał opowieść. Przez dłuższą chwilę siedział oparty o pień drzewa, łamał suchą gałązkę na drobne patyczki i rzucał je przed siebie. Potem odezwał się znów:

— Jeśli zapiszę się tu do klubu, to zostaniemy tu na zawsze, rozumiesz, Kamil? Ojciec wie, jakie to dla mnie ważne, może jednak w końcu zmieni zdanie...

— Ale przecież jak nie trenujesz, to dużo tracisz.

— Trenuję z tobą. — W jego oczach nie zauważyłem ironii. — Zresztą i tak już tylko kilka tygodni sezonu zostało, a przez zimę się dużo może zmienić.

Przez zimę jednak niewiele się zmieniło. Poza tym, że ojciec Adriana poznał w Rykowie pewną samotną wdowę, z którą zaczął się spotykać i oczywiste stało się, że powrotna przeprowadzka do Miasta Wojewódzkiego stała się tym samym jeszcze mniej prawdopodobna.

* * *

Adrian i jego ojciec wynajmowali trzypokojowe mieszkanie przy ulicy 1 Maja. W niewielkich miastach, zarówno teraz, jak i wtedy, było raczej bezpiecznie, ale akurat tamta dzielnica należała do miejsc, w które lepiej nie zapuszczać się po zmroku. Obdrapane kamienice, pamiętające jeszcze czasy międzywojenne, zamieszkiwane były głównie przez ludzi z marginesu społecznego, którzy z tej zakazanej ulicy stworzyli sobie własną enklawę.

Część lokali to były mieszkania socjalne, a niektóre własnościowe, dziedziczone z pokolenia na pokolenie. Zdaje się, że obaj Zbieńscy woleliby zmienić lokum, ale ojciec Adriana chciał najpierw zaoszczędzić

trochę pieniędzy; poza tym chyba jeszcze sam nie był w stu procentach pewien, czy rzeczywiście pisana jest mu przyszłość w Rykowie. Traf chciał, że właściciel mieszkania wpadł w długi, których nie miał z czego spłacić, i wczesną wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku zaproponował odsprzedanie lokalu po okazyjnej cenie. Zbieński przeliczył zasoby finansowe i przystał na zakup. Sprzedał samochód, zapożyczył się u byłej żony oraz dorzucił to, co przez czas mieszkania w Rykowie udało mu się odłożyć i doszło do transakcji.

Przez całą zimę i na początku wiosny spotykaliśmy się z Adrianem równie często, co jesienią, tyle że wspólny czas, jeśli pogoda nie pozwalała na zabawy na dworze, spędzaliśmy głównie u mnie. Byłem u niego w mieszkaniu może z pięć razy, ale nie lubiłem tam chodzić. Śmierdziało stęchlizną, ściany i ubikacja były brudne, a klatka schodowa kamienicy prawie zawsze zasikana przez lumpów z sąsiednich mieszkań i osoby, które zachodziły tam na chwilę tylko po to, żeby się załatwić. Poznałem też Mieczysława Zbieńskiego, czyli ojca mojego przyjaciela. Był to ponury, wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna koło trzydziestki, którego nie chciałbym nocą spotkać w ciemnym zaułku. Wydaje mi się, że Adrianowi też było trochę niezręcznie, gdy go odwiedzałem. Być może ze względu na warunki, w jakich przyszło mu mieszkać, a być może ze względu na gburowatego i nieokrzesanego ojca.

Gdy tylko dowiedział się o zakupie mieszkania, od razu do mnie przybiegł. Starał się być możliwie spokojny, ale tuż po wejściu do mojego pokoju zauważyłem, że oczy Adriana się podejrzenie szklą.

— Powiedziałem mu, że zamierzam się wyprowadzić do mamy — rzekł wzburzony. — Że nie chcę tu mieszkać i chcę grać w piłkę na dobrym poziomie.

— I co on na to? — zapytałem.

— Żeby nie robił scen i najpierw musi się skończyć rok szkolny, bo to głupie przeprowadzać się w inne miejsce na wiosnę.

— No to co się martwisz? Parę miesięcy szybko minie. — Starłem się mówić możliwie naturalnie, choć chyba głos mógł mi trochę drżeć. Wyglądało na to, że stracę przyjaciela równie szybko, jak go zyskałem. — Będziemy do siebie jeździć czasami?

— No pewnie, Kamil. Jasne, że tak! — zapewnił gorliwie.

Pokiwałem głową, choć miałem wątpliwości, czy tak faktycznie będzie. Z Rykowa do Gdyni jest kawał drogi, a my ledwie głowami sięgaliśmy

wtedy ponad stół.

— A co jeśli...? — zacząłem nieśmiało.

— Co jeśli co?

— No, jeśli twój tato zmieni zdanie i nie zgodzi się, żebyś się przeprowadził do mamy...?

Przez moment patrzył na mnie, zaskoczony, a potem nerwowo przełknął ślinę.

— Ale jak to nie zgodzi? Przecież taka była umowa...

— Wiesz, Adrian, jak to czasem jest z dorosłymi. Mówią coś dla świętego spokoju, a potem i tak robią jak im pasuje.

Zaczął płytko oddychać, a z jego oczu posypały się iskry.

— Jeśli tak... Jakby to zrobił... to... to nie wiem... Chyba mu bym powiedział... powiedziałbym mu, że lepiej będzie, jak mnie zabije! Ja nie chcę tak! Przecież obiecał, że... — Dolna warga zaczęła mu drżeć, zrobił się cały czerwony, ale raczej bardziej ze złości niż z żalu.

— Dobra, daj spokój. — Przerwałem mu, machając ręką. — Przecież tak tylko gadam.

Ale przez kilkanaście minut wciąż dało się dostrzec, że cały czas roztrząsa w głowie czarne scenariusze.

* * *

Od tamtego dnia coś się między nami zepsuło.

Adrian jakby znów zamknął się w sobie, spędzaliśmy ze sobą mniej czasu, głównie spotykając się na dworze, żeby pobawić się z innymi chłopakami. Próbowałem go od czasu do czasu podpytać, czy rozmawiał już z tatą na temat ewentualnej przeprowadzki do Gdyni, ale mój przyjaciel jakby nabrał w tej sprawie wody w usta.

Kolejna zmiana nastąpiła w czwartek piątego maja, kiedy to pojawił się w szkole cały w skowronkach. Wpadł do klasy tuż przed dzwonkiem, więc przed pierwszą lekcją, kiedy już siedzieliśmy w ławce, szepnął mi do ucha:

— Rozmawiałem wczoraj przez telefon z mamą. Wszystko jest w porządku i w czerwcu wyjeżdżam do Gdyni...

Nie wiem, czy chciał mi jeszcze później zdradzić więcej szczegółów, czy nie, w każdym razie ja już o nic w szkole nie zapytałem, a on nie należał do dzieciaków, które paplą ot tak na temat swoich prywatnych spraw. Nawet swojemu przyjacielowi.

Przez pięć zaplanowanych na tamten czwartek godzin lekcyjnych zezowałem na niego, przyglądałem mu się też skrycie w czasie przerw.

Jaśniał. Z tej radości w ogóle nie przypominał siebie, a ja dusiłem w sobie złość i żal. Jak on może cieszyć się z tego, że tak po prostu siebie stracimy?! Głupie to było i dziecinne, no ale czego spodziewać się po uczniu trzeciej klasy podstawówki?

Gdy wychodziliśmy ze szkoły, chyba już mi trochę przeszło. Nie pamiętam tego wszystkiego dokładnie, ale prawdopodobnie zacząłem sam sobie roz tłumaczać, że to przecież dla jego dobra, że Adrian nie opuszcza mnie na zawsze, nie umiera...

— Pogramy dziś po południu w nogę? — zapytałem. — W końcu niewiele już będę się mógł od ciebie nauczyć.

Spojrzał na mnie, a potem pod nogi i kopnął niewielki kamyczek.

— Jesteś już dużo lepszy niż we wrześniu. Jak się zapiszesz do rykowskiej drużyny, to na pewno nie będziesz odstawał, a kto wie, może jeszcze będą z ciebie ludzie. — Mówiąc to, dał mi kuksańca w bok i się roześmiał. — O piątej przy szkole?

— Może być o piątej.

Jak zwykle przeszliśmy jakieś dwieście metrów razem, a później każdy skręcił w swoją stronę.

* * *

Nie mam pojęcia, czy to dlatego, że widziałem o rychłym odjeździe Adriana, czy z jakiegoś innego powodu, ale to był nasz najlepszy wspólny trening. Momentami zapominałem o tym, co mnie gryzie i naprawdę przechodziłem samego siebie. Graliśmy jeden na jeden, paroma dryblingami udało mi się zgubić przyjaciela i nawet nie przegrałem aż tak wysoko jak zwykle. Teraz zastanawiam się, czy aby przypadkiem celowo się nie podkładał, ale ponieważ kiedyś przyrzekł mi, że nie będzie tego robił, to byłem z siebie cholernie dumny.

Kiedy się spotkaliśmy o piątej, Adrian od razu powiedział, że musi być w domu najpóźniej o siódmej. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ponieważ zwykle graliśmy przez dwie godziny, gdyby nie fakt, że mój przyjaciel podkreślił to kilkakrotnie. Twierdził, że od wczoraj ojciec jest jak osa i lepiej go dodatkowo nie denerwować. Ani o piątej, ani o szóstej nie było to dla mnie problemem, ale gdy zaczęła się zbliżać dziewiętnasta, a grało się nam wciąż tak samo dobrze, to zacząłem prosić Adriana, żeby został jeszcze trochę dłużej, przynajmniej do wpół do ósmej.

Słuchając moich próśb, co chwila nerwowo spoglądał na zegarek, ale w końcu dał się namówić. Najwyraźniej i jemu ten dzień wyjątkowo

podpasował do grania, bo później jakby zapomniał o zobowiązaniu, które złożył ojcu. Powiedział chyba nawet coś takiego, że jak się i tak spóźni, to co za różnica, czy o piętnaście minut, czy o godzinę.

W tamtych dniach zmierzch zaczynał zapadać jakoś tak przed dwudziestą, ale piłkę i bramki było dobrze widać nawet o wpół do dziewiątej. Cali zgrzani i zasapani, ale w doskonałych humorach, ruszyliśmy, już właściwie nocą, w stronę swoich domów. Rozstaliśmy się w tym samym miejscu, co zawsze, ale ja jeszcze przez jakiś czas spoglądałem, jak mój przyjaciel charakterystycznym dla siebie, drobnym krokiem mija kolejne latarnie i coraz bardziej się ode mnie oddala.

VIII.

Kamil przerwał na dłuższą chwilę, a później spojrzął na zegarek.

— Ale się rozgadałem. — Pokręcił z niedowierzaniem głową. — Jest już po północy...

— Ja mam jutro na osiemnastą, gorzej z tobą, bo rano jedziecie.

— Nie tak rano, zdążę się jeszcze wyspać. Wypijemy jeszcze po jednym?

— Ja już dziękuję, tyle jest w sam raz, jak dla mnie. — W moim kuflu została jeszcze prawie połowa piwa, ale Kamil miał już pusty.

— To ja sobie jeszcze wezmę małe, żeby ci potowarzyszyć. Chciałbym skończyć to, co zacząłem, bo w swojej opowieści, która pewnie ci się póki co wydaje nie na temat, nie doszedłem jeszcze do sedna.

Gdy znów siedział naprzeciw mnie, wyglądał tak, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Zapytałem więc:

— No i jak było z tym Adrianem? Przeprowadził się w czerwcu do mamy?

— Właśnie dotarłem chyba do najtrudniejszego momentu — odparł, a potem ciężko westchnął. — Adrian nie przyszedł następnego dnia do szkoły...

* * *

Prawie nigdy nie opuszczał lekcji. Od września do maja nie było go w szkole może trzy lub cztery razy, i to w związku z tym, że był wtedy dość mocno przeziębiony. Kiedy minęły dwie pierwsze godziny, a Adriana nie było, zacząłem się trochę niepokoić, bo przecież poprzedniego dnia był zdrów jak koń. Na trzeciej lekcji nawet pani Nowicka zapytała mnie, czy nie wiem, dlaczego Zbieński jest nieobecny, a zaraz potem do klasy wszedł dyrektor i poprosił ją na chwilę rozmowy.

Kiedy wróciła, była blada jak kreda, usiadła na swoim miejscu i wzięła do ręki długopis, który natychmiast wypadł jej z rąk. Boże, jak ja dokładnie pamiętam tamten dzień, zupełnie jakby to było wczoraj... Potem wstała i przeszła na środek klasy, patrząc na nas trochę nieprzytomnym wzrokiem. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech i gapiliśmy się na nią w absolutnej ciszy.

— Prędzej czy później się tego dowiecie, więc chyba najlepiej będzie, jak wam to powiem. — Jej głos drżał i co chwila lekko się załamywał. Nagle popatrzyła na mnie i już wtedy wiedziałem, że coś się stało mojemu przyjacielowi. — Przykro mi, że to ja muszę wam przekazywać tę smutną wiadomość... Wasz kolega, Adrian, Adrian Zbieński — poprawiła się, jakby wypowiedzenie samego tylko imienia w tej chwili było niestosowne — niestety zmarł ostatniej nocy.

Zdawało się, że te ostatnie słowa brzmią w klasie przynajmniej przez kilkanaście sekund. Nikt się nie poruszył, a Nowicka patrzyła na mnie i widziałem, jak łzy coraz bardziej napływają jej do oczu. Potem poszła w stronę swojego krzesła, z zawieszanej na oparciu torebki wyjęła chusteczkę i usiadła za biurkiem. Pewnie wolałaby, żebyśmy nie widzieli jak płacze, ale też nie chciała nas wtedy zostawić samych.

W klasie zaczął się szmer, ze dwie dziewczyny zaczęły cicho pochlipywać. Kilkoro dzieciaków ukradkiem spoglądało w moim kierunku, żeby zobaczyć, jak zachowuje się w takiej sytuacji przyjaciel nieboszczyka, a ja po prostu siedziałem, jakbym kij połknął, od czasu do czasu zerkając na puste miejsce obok.

W końcu ktoś zapytał panią Nowicką, czy wiadomo, dlaczego Adrian nie żyje. Klasa znów zamarła.

— Nie wiem, dziecko. A nawet jakbym wiedziała coś więcej, to i tak na razie byłyby to tylko plotki.

Nauczycielka pociągnęła kilka razy nosem, a później powiedziała coś, czego nie usłyszałem, bo akurat byłem myślami na boisku. Razem z Adrianem. Z odrętwienia wyrwał mnie dopiero głos nauczycielki rozbrzmiewający tuż przy uchu.

— Kamil, powiedziałam wam, że na dzisiaj koniec lekcji i można iść do domu. Ale chyba nie usłyszałeś?

Rozejrzałem się — poza mną i Nowicką nie było nikogo w sali.

— Nie, proszę pani, przepraszam.

Pogłaskała mnie po głowie. Dopiero ten gest, ta odrobina czułości ze strony oschłej zazwyczaj nauczycielki sprawiła, że wszystko do mnie

dotarło i uderzyło ze zdwojoną mocą. Chwilę potem usiadła na miejscu Adriana i objęła mnie, pozwalając, bym wypłakał się w jej szarą garsonkę.

* * *

Często dopiero brak jakiejś osoby sprawia, że uświadamiamy sobie, jak bardzo była dla nas ważna. Właśnie tak było z Adrianem. I nie mówię tu o sobie, bo to oczywiste, że ból związany ze stratą przyjaciela był dla mnie niewyobrażalny i trudny do zniesienia. Chodzi mi o innych, o tych, którzy Adriana prawie w ogóle nie zauważali i być może sądzili, że mógłby dla nich nie istnieć. Nie rzucał się w oczy, nie wchodził nikomu w drogę, ale zawsze był do każdego przyjaźnie nastawiony. Chłopakom imponował świetną grą w piłkę i ogólną sprawnością fizyczną, dziewczynkom tym, że nie zachowywał się wobec nich tak, jak inni rówieśnicy. Nawet pani Nowicka niespodziewanie ciężko przeżyła jego śmierć. Nigdy jej nie sprawiał żadnych kłopotów, nie miał problemów z nauką, ale zauważyła to dopiero, gdy go zabrakło.

Tyle że, rozumiesz, panie Zdzichu, to, że inni ludzie stają się nam bardziej bliscy po swojej śmierci, to jest jakoś tam naturalne. Jeszcze bardziej bliscy stają się nam wtedy, gdy okazuje się, że ktoś im pomógł zejść z tego świata.

Miasto zaczęło gadać już w dniu, w którym Adrian został znaleziony martwy w swoim łóżku, gdy ojciec próbował zbudzić go do szkoły. Wiadomo było, że zarządzono sekcję zwłok, co w wypadku niespodziewanej i nagłej śmierci małego, zdrowego chłopaka było całkowicie zrozumiałe. Równie zrozumiałe i naturalne było to, że żona lekarza, który przeprowadzał sekcję zwłok, nie omieszkała podzielić się kilkoma rewelacjami z sąsiadką zza płotu. Oczywiście prosząc o najdalej idącą dyskrecję. Mniej więcej dwie godziny później Ryków aż huczał od plotek.

Oględziny ciała jeszcze w miejscu jego znalezienia wykazały rozległy siniak na brzuchu Adriana, a sekcja, że śmierć nastąpiła w wyniku pęknięcia śledziony i będącego jej następstwem krwotoku wewnętrznego. Wtedy niewiele mi to mówiło, ale mama wytłumaczyła mi, że prawdopodobnie Adrian zmarł dlatego, że bardzo mocno uderzył się w brzuch. Przyjąłem to wyjaśnienie bez dalszych pytań, wiedząc, że najpewniej i tak nie otrzymałbym na nie odpowiedzi, ale byłem już na tyle duży, żeby wiedzieć swoje. Przecież nie zawsze trzeba się samemu uderzyć, by później mieć siniaka.

Następnego dnia, w sobotę, nie mogłem sobie znaleźć miejsca w domu, więc poszedłem położyć, z nadzieją, że spotkam kogoś znajomego i może dowiem się czegoś więcej o Adrianie. W rynku spotkałem Izę, która wyszła po zakupy ze swoją mamą. Dla mnie obecna żona była wtedy smarkulą z drugiej klasy, ale ponieważ nasi rodzice dość dobrze się znali, to nie wypadało mi tego jakoś ostentacyjnie okazywać. Siódmego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku mi się to opłaciło. Iza wiedziała, że kolegowałem się z Adrianem, więc korzystając z chwili nieuwagi swojej mamy, zdążyła mi szepnąć:

— Tatę tego twojego kolegi, co nie żyje, milicja zamknęła w więzieniu. Udało mi się podsłuchać wczoraj po kolacji.

Mówiłem ci już wcześniej, że ojciec Izy był policjantem — wiadomo, wcześniej milicjantem — więc informację przekazaną mi przez dziewczynkę, która po kilkunastu latach miała zostać moją żoną, uznałem za wiarygodną. Tym bardziej że miałem wątpliwą przyjemność poznać Mieczysława Zbieńskiego i ostatnią rzeczą, jaką można było o nim powiedzieć, było to, że dobrze mu z oczu patrzy. Adrian wprawdzie nigdy nie opowiadał, że dostał od niego w skórę, nie widziałem też nigdy na jego ciele siniaków, ale jakoś mi się wierzyć nie chciało, że czasem pasem nie dostał.

Wracając do domu, cały czas o tym wszystkim myślałem. Ciągle mi się chciało płakać i trudno mi było uwierzyć, że już nigdy nie zobaczę się z Adrianem. Kiedy tak szedłem, roztkliwiając się nad okrutnym losem, nagle jedna myśl z jasnością błyskawicy poraziła mój umysł i zrobiła to z taką siłą, że już nigdy nie udało mi się wymazać jej z pamięci.

Jeżeli ojciec uderzył Adriana za to, że nie wrócił do domu na czas, to przede wszystkim ja jestem odpowiedzialny za śmierć mojego przyjaciela i gdybym go w czwartek nie namawiał, by jeszcze trochę ze mną pograł, to pewnie nadal by żył.

* * *

Pogrzeb odbył się w piątek, tydzień po śmierci Adriana.

Sekcja zwłok nie pozostawiała wątpliwości co do przyczyn śmierci, więc to nie sprawy proceduralne były powodem tak późnego zorganizowania ceremonii. Chodziło o to, że mama chłopca najpierw zdecydowała o tym, że ciało zostanie przewiezione do Gdyni i tam pochowane, ale były kłopoty z szybkim znalezieniem miejsca pochówku. W naszej okolicy nigdy nie było z tym problemów, więc Adrian spoczął na

takim niewielkim cmentarzu w Rykowie Górnym, prawie naprzeciw budynku, w którym obecnie mieści się dom starców, nie wiem, czy kojarzysz...?

Na pogrzebie było sporo osób. Oprócz całej naszej klasy z rodzicami uczestniczyli w nim też uczniowie innych klas i sporo osób z Rykowa. Zbieńscy nie mieli zbyt wielu znajomych, ale taki pogrzeb małego chłopca, w dodatku najprawdopodobniej zabitego przez własnego ojca, budził sporo emocji i niezdrowej ciekawości. Wszystko jednak odbyło się w miarę normalnie. Mama Adriana zajmowała się głównie jego może sześciolletnią siostrą, która wręcz odchodziła od zmysłów, pani Nowicka cały czas płakała, a ja nie bardzo wiedziałem, co się wokół mnie dzieje, bo przed wyjściem z domu dostałem od mamy jakieś proszki na uspokojenie.

Mamę mojego przyjaciela i jego siostrę widziałem potem jeszcze dwa lub trzy razy, jak przyjeżdżały w te okolice na Wszystkich Świętych. Spotkaliśmy się przypadkowo na cmentarzu, w okolicy lastrиковego nagrobka, który zastąpił skromną ziemną mogiłę mniej więcej pół roku po pogrzebie. Później już ich nie spotkałem, zresztą chyba w ogóle przestały przyjeżdżać, bo gdyby nie ja, to chyba miejsce spoczynku Adriana byłoby w opłakanym stanie.

Podczas spotkania u mnie w domu obiecywaliśmy sobie, że po jego wyjeździe będziemy do siebie nawzajem jeździć. Ręka Mieczysława Zbieńskiego sprawiła, że jego syn przeprowadził się znacznie bliżej, niż planował, a ja mogłem odwiedzać go o wiele częściej, niż mogłoby mi się przed szóstym maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku wydawać.

Tuż po śmierci Adriana sprawą zaabsorbowani byli głównie mieszkańcy Rykowa, ale już po weekendzie została ona nagłośniona nie tylko w lokalnych, ale też regionalnych mediach. Dziennikarze bez trudu dotarli do anonimowych informatorów, którzy chętnie dzielili się swoją wiedzą na temat prowadzonego śledztwa. Balonik tym bardziej nadawał się do pompowania, że można było pod niego podpiąć ideologiczny przekaz o zgubnym wpływie rozstania rodziców na losy dzieci, a także o wyższości dużych państwowych zakładów (w jednym z takich właśnie pracował Zbieński przed przeprowadzką) nad niewielkimi lokalnymi inicjatywami gospodarczymi. To zadziwiające, jak przewodnia siła narodu w tamtych czasach potrafiła grać na emocjach, nie licząc się z uczuciami osób, których konkretny temat bezpośrednio dotyczył.

Mieczysław Zbieński początkowo zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią syna, jednak po przedstawieniu mu wyników sekcji zwłok i zdjęć, na których widać było ślad po urazie brzucha Adriana, zaczął plątać się w zeznaniach. Prawdopodobnie śledczy swoimi z pewnością niezbyt aksamitnymi i zgodnymi z prawem sposobami pomogli mu odzyskać pamięć. Szesnastego maja w „Trybunie Ludu” ukazał się obszerny artykuł o rodzinie Zbieńskich. Pomijając jego polityczne zacięcie, w sposób dość szczegółowy relacjonowano zeznania synobójcy. Mieczysław Z. nie pozostawiał w nich żadnych wątpliwości, jednoznacznie przyznając się do winy, podkreślając, że swojego czynu dokonał nieumyślnie.

To było dawno, mogę coś poprzekręcać, ale jego zeznania brzmiały mniej więcej tak:

W czwartek piątego maja roku bieżącego, kilkanaście minut po godzinie dwudziestej pierwszej doszło pomiędzy mną a moim synem do gwałtownej sprzeczki związanej z faktem, iż zamierzał się on niezwłocznie przeprowadzić z mojego mieszkania w Rykowie do mieszkania mojej byłej małżonki, a jego matki. Siedziałem wtedy w fotelu, oglądając telewizję. Adrian, syn mój, stał po mojej prawej stronie i zaczął do mnie w nieprzyzwoity sposób się odnosić. Chcąc go uciszyć i trochę uspokoić, uderzyłem go w tułów, w okolice żołądka, prawą dłoń zaciśniętą w pięść, odwodząc ją gwałtownie od siebie w jego kierunku. Cios był dość mocny, temu zaprzeczyć nie mogę, niemniej jednak nie działałem z zamiarem trwałego uszkodzenia ciała mojego syna. Upadł na plecy i przez chwilę się nie ruszał. Być może na kilka sekund stracił świadomość. Gdy już się zaczynałem obawiać o jego stan, z trudem się podniósł i skierował w stronę własnego pokoju. Nie zapytałem, czy dobrze się czuje, zakładając, iż skoro może chodzić, to nic poważnego stać mu się nie mogło. Później tego samego wieczora już nie sprawdzałem jego stanu. Nazajutrz, gdy wszedłem do jego pokoju, stwierdziłem z przerażeniem, że syn mój nie oddycha. Natychmiast zawiadziłem pogotowie ratunkowe, niemniej jednak czynności lekarskie nie przyniosły żadnego efektu. Oświadczam, iż bardzo żałuję swojego czynu, a jednocześnie nie potrafię znaleźć dla siebie właściwych i odpowiednich do tej sytuacji słów potępienia. Syna kochałem bardzo i nie chciałem, by stała mu się jakakolwiek krzywda.

Proces nie trwał zbyt długo. Po kilku miesiącach Zbieński został skazany na osiem lat więzienia za uszkodzenie ciała ze skutkiem

śmiertelnym czy coś w tym rodzaju. Odsiedział cały wyrok, co do dnia, a potem wrócił do Rykowa i został przez miejscową społeczność potraktowany jak trędowaty. Nie mógł znaleźć pracy, nikt nie chciał, żeby cokolwiek naprawiał. Wreszcie zaczął zaglądać do kieliszka i teraz to już z niego tylko został wrak człowieka. Ciągle tu mieszka, dziw, że do tej pory nie sprzedał i nie przepił mieszkania. Żyje ze zbierania złomu, czasem, jak już nie ma innego wyjścia, ktoś najmie go do jakiejś pracy fizycznej. Ale to chyba by mu nie starczyło... Mówią, że jego była żona, gdy był w więzieniu, pilnowała opłat za czynsz, teraz ponoć też od czasu do czasu mu coś prześle, ale jaka jest prawda, to nie wiem. Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Czasem, gdy mijam go na ulicy, mam ochotę uderzyć go tak samo, jak on uderzył Adriana, ale zawsze do tej pory jakoś udawało mi się pohamować... Jak to mówią? Uderzysz śmiecia, a będziesz odpowiadał tak, jakbyś skrzywdził człowieka.

* * *

— Poczekaj chwilę, Kamil — odezwałem się, gdy na chwilę przerwał, aby zebrać myśli. — A nie zastanawiałeś się czasem, czy zamiast przyłożyć Zbieńskiemu, nie lepiej byłoby po prostu go zapytać, jak było naprawdę? Rozumiem twoje ówczesne obawy, że być może namawiając Adriana, żeby jeszcze trochę pograł...

— Nie „ówczesne”, panie Zdzichu. Te obawy są we mnie do dzisiaj.

— No dobrze, rozumiem. Ale czy nie łatwiej byłoby, gdybyś dowiedział się prawdy? Przecież niewykluczone, że tamto spóźnienie twojego przyjaciela nie miało żadnego wpływu na późniejsze wydarzenia.

Szykowiak pokiwał w zamyśleniu głową, wciąż patrząc mi prosto w oczy.

— Dobrze, że o to zapytałeś, bo łatwiej mi będzie przejść do sedna. Zanim to jednak zrobię, pozwolę sobie zauważyć, że to, co powiedziała mi ewentualnie ojciec Adriana po powrocie z pierdła, wcale nie musiałyby być prawdą. On był wtedy kryminalistą z ośmioletnią odsiadką na koncie, a ja akurat zdawałem maturę. Tak, dokładnie tak było, bo kiedy Adrian zginął, na początku maja osiemdziesiątego ósmego, to byłem w trzeciej klasie i miałem jedenaście lat. Zbieńskiemu odsiadka zaczęła się już w momencie aresztowania, więc po tej stronie bramy więziennej pojawił się, gdy byłem dziewiętnastolatkiem, absolwentem ogólniaka i to akurat był czas matur, więc pewnie w ogóle nie miałem świadomości, że akurat

wychodzi. — Przez chwilę Kamil siedział w milczeniu, nad czymś się intensywnie zastanawiając. — A wiesz...? Teraz sobie właśnie skojarzyłem, że po raz pierwszy po jego wyjściu z kicia zobaczyłem go, wracając z liceum po odbiorze świadectwa dojrzałości... Kto wie, może to spotkanie w rynku miało wpływ na moją decyzję w sprawie wyjazdu do Włoch?

Pytanie zawisło w próżni, ponieważ byłem ostatnią osobą, która mogłaby udzielić na nie odpowiedzi. Poruszyłem się niespokojnie na krześle, czując, że po wcześniejszym przyjęciu trzech piw mój pęcherz wymaga ponownego opróżnienia.

— Przepraszam, już kończę — zmitygował się. — To potrwa już naprawdę niedługo, mam nadzieję, że wytrzymasz?

Rozmawialiśmy o poważnych rzeczach, a tu takie pytanie w obliczu mojej niedogodności. Z trudem pohamowałem uśmiech.

— Wytrzymam.

— Dobrze... Zatem uznałem, że rozmowa ze Zbieńskim nie ma sensu, bo może mi nie powiedzieć prawdy. Z drugiej jednak strony obawiałem się chyba, że jednak tę prawdę mogę poznać. Niektórzy mówią, że najgorsza jest niepewność, że lepsza od niej jest nawet najgorsza prawda. Wydaje mi się, że nie w tym przypadku.

— To znaczy?

— Powiedziałem ci wcześniej o mojej obawie, że Adrian dostał przeze mnie. I chyba nawet gdyby to nie spóźnienie było bezpośrednią przyczyną awantury, tylko plany związane z jego wyjazdem, to przecież przez późniejszy powrót do domu ojciec mógł być bardziej zdenerwowany. Musiałem sobie z tym poradzić jako jedenastolatek. Nie było to łatwe, ale chyba po upływie kilku dni od pogrzebu jakoś sobie zdołałem wszystko wytłumaczyć, że przecież nawet jakby jedenastoletni chłopak spóźnił się więcej, to i tak nie powinien zostać przez ojca pobity. A potem przyśnił mi się pewien koszmarny sen. Wspominałem ci, że u mnie w domu, gdy zapytałem Adriana, co byłoby, gdyby tato zmienił zdanie...

— Tak, mówiłeś. Odpowiedział ci, że wolałby zostać zabity?

— Nie. Odparł wtedy, że oznajmiłby ojcu, że w takim razie lepiej będzie, jeśli ten go zabije.

— No tak, niby to samo, a jednak nie do końca.

— Właśnie to mi się przyśniło pierwszej nocy po zakończeniu roku szkolnego...

* * *

Znałem rozkład ich mieszkania, więc widzę, jak Adrian wchodzi do przedpokoju. Zdejmuje buty, otwiera drzwi do swojego pokoju, wrzuca tam piłkę, a potem kieruje się do kuchni. Nie dociera do niej jednak, bo ojciec wzywa go do pokoju. Jest bardzo zdenerwowany, ale nie patrzy na syna, który stanął w progu, jakieś trzy metry za tylnym oparciem fotela. Zbieński senior beznamiętnie wpatruje się w ekran telewizora, jednocześnie podniesionym głosem pyta:

— Gdzie byłeś tyle czasu, gówniarzu?

— Grałem z Kamilem w piłkę, tato, przecież wiesz. Przepraszam za spóźnienie, ale lekcje odrobiłem już wcześniej...

— Gówno mnie obchodzą twoje lekcje, smarku. Umawialiśmy się, że wrócisz najpóźniej o siódmej. Dobrze pamiętam, czy, kurwa, mam jakieś pierdolone zaniki pamięci?! — wrzeszczy. — Prawdziwy facet, tyle razy ci to powtarzałem, głąbie, prawdziwy facet zawsze dotrzymuje słowa, żeby nie wiem co, rozumiesz?!

Adrian stoi nieruchomo w progu, przestępując z nogi na nogę.

— Pytam się, czy mnie, kurwa mać, rozumiesz, debilu!

— Tak, tato, rozumiem.

Zbieński ciężko sapie w fotelu przez dłuższą chwilę, aż wreszcie mówi:

— Będę cię musiał wziąć do galopu, smarkaczu. Czekał, jeszcze cię nauczę przestrzegania zasad, zobaczysz. A teraz won do łazienki, bo aż stąd czuję, jak ci przepocone skarpety śmierdzą. Masz je od razu wyprać, a potem kąpiel i marsz do łóżka. Jutro tresury ciąg dalszy, zrozumiano?!

— Tak, tato. — Adrian odwraca się i mruczy pod nosem: — Przez niecałe dwa miesiące i tak nie zdążysz.

Nie wiem, czy ojciec to usłyszał, ale mówi wtedy:

— Jeżeli wybierałeś się w najbliższym czasie do Gdyni, to możesz o tym zapomnieć, gnojku. Nie pozwolę, żeby taki rozwydrzony bękart sprawiał kłopoty mamusi, więc najpierw cię trochę przeszkolę, żebyś kiedyś wyszedł na ludzi.

Adrian zatrzymuje się w pół kroku po usłyszeniu pierwszego zdania, a potem odwraca się i bezszelestnie wchodzi do pokoju. Zatrzymuje się obok prawego podłokietnika.

— Co powiedziałaś? — pyta.

— To, co słyszałeś. Wynocha stąd, bo śmierdzisz.

— Pojadę do Gdyni po końcu roku — cedzi przez zęby mój przyjaciel, a potem odwraca się na pięcie, kierując się do drzwi. — Dałeś słowo, a przed chwilą sam powiedziałeś, że prawdziwy facet zawsze dotrzymuje słowa.

W oczach Adriana pojawiają się łzy.

— Tym razem zrobię wyjątek. Słowo dawane takim chujkom jak ty zawsze można anulować.

— Jeśli go nie dotrzymasz, to będziesz musiał mnie zabić, żeby mi przeszkodzić w wyjeździe.

— Chodź tu, coś ci powiem, mały mądralo.

Tuż po minięciu oparcia fotela, niczego niespodziewający się chłopiec nadziewa się na potężny cios tuż pod zebra, wyprowadzony przez ojca. Wzdycha ciężko, a potem bezwładnie leci to tyłu, uderzając głową o podłogę. Traci na jakiś czas przytomność. Kiedy udaje się mu ocknąć, podnosi się z trudem, wciąż nie mogąc złapać powietrza. Przykłada dłonie do brzucha, łzy ciekną mu po policzkach. Rusza do wyjścia.

— To była mała lekcja pokory, smarku. Dopóki nie podrośniesz, będzie ich więcej, rozumiano? — ryczy z fotela jego ojciec, nawet nie oglądając się za siebie.

Adrian nie odpowiada, nie jest w stanie w tym momencie wykrztusić nawet słowa. Zataczając się, dociera do drzwi swojego pokoju i po przekroczeniu progu przymyka je, ale pozostawia uchylone. Idę za nim, pcham drzwi, ale nie ustępują, mimo że przecież nie są zamknięte. Napieram coraz mocniej, ale bez skutku. Cofam się o kilka kroków, nabieram rozpędu i uderzam w nie barkiem. Otwierają się z hukiem, a ja lecę bezwładnie w przód i padam na podłogę...

* * *

— Otworzyłem oczy i w szarości poranka zobaczyłem swój pokój. Leżałem obok łóżka, cały spocony, ledwie mogąc złapać oddech. Wiedziałem, że to był tylko sen, wiedziałem, że to wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej, ale... Wspomnienia maja wróciły. Wdrapałem się z powrotem na łóżko, położyłem się na plecach i wtedy po raz pierwszy zaczęła się w mojej głowie rodzić myśl, która sprawia, że martwieję z przerażenia: „Czy ty, Kamilku, aby na pewno wtedy po prostu chciałeś grać w piłkę z Adrianem? Czy przysięgłbyś, że nie nakłaniałeś go do dłuższej gry z nadzieją na to, że mu się dostanie od ojca po powrocie?”

Przecież tak bardzo było ci smutno, że cię zostawia, nie wykazując z tego powodu nawet odrobiny żalu. Przecież należała mu się jakaś nauczka...”

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy, a potem Kamil odezwał się znów.

IX.

Nie wiem, panie Zdzichu, być może jakbym miał inny charakter, to by mnie to zupełnie nie obeszło. Dzieciaki w wieku jedenastu lat częściej mają pewnie ważniejsze i bardziej absorbujące problemy, ciągle szukają czegoś nowego, gnają do przodu, przeszłość zostawiając daleko za sobą. Dla nich rok to przecież prawie dziesięć procent dotychczasowego życia. Ze mną jednak było inaczej.

Przez całe wakacje, gdy tylko mogłem, siedziałem w domu. Na piłkę nie potrafiłem spojrzeć bez odruchu wymiotnego. Koledzy wiedzieli, że coś ze mną nie tak, próbowali mnie wyciągać z domu, ale bezskutecznie. W sierpniu po raz pierwszy w moim życiu byliśmy z rodzicami nad morzem, a ja widziałem je wtedy ledwie ze dwa razy (choć wcześniej zawsze marzyłem, by znaleźć się na prawdziwej plaży). Chciałem być sam, prawie każdego dnia błagając rodziców, bym mógł zostać w pokoju ze swoimi książeczkami dla dzieci. Potem i tak ich nie czytałem, tylko rozmyślałem o tym, co się stało i jak bardzo jestem podły.

W nowym roku szkolnym nie uczyła nas już pani Nowicka, od czwartej klasy zaczęła się prawdziwa szkoła i normalna nauka, z którą zacząłem mieć problemy, ale na półrocze nie miałem żadnej dwóki... (poczekaj... tak, dwóki, bo jedynki i szóstki wprowadzono chyba trochę później), a stało się tak tylko dlatego, że nauczyciele wiedzieli, jaka jest moja sytuacja i patrzyli na moje kiepskie postępy przez palce. Schudłem dobre osiem kilo, co jak na dzieciaka w moim wieku byłoby bardzo niebezpieczne, gdyby nie fakt, że wcześniej miałem lekką nadwagę. Kiedy na wuefie mieliśmy grać w nogę, wymawiałem się bólem brzucha, a potem nawet nie patrzyłem, jak biegają za piłką. Nie obchodziło i nie kręciło mnie to, że dzięki Adrianowi radziłbym sobie całkiem nieźle — bardziej bałem się, że każdy zwód, każdy strzał i sztuczka techniczna będą mi go przypominać.

No i często rowerem jeździłem na jego grób. Kwiatów raczej nie wozilem; jeśli już, to od czasu do czasu zapaliłem znicz. Przy sąsiedniej mogile była drewniana ławeczka, na której potrafiłem przesiedzieć nawet i ze dwie godziny, patrząc na jego zdjęcie i ciągle zadając sobie pytanie, czy naprawdę wtedy zachowałem się jak ostatni sukinsyn, czy też może tylko tak mi się wydaje.

Mama załamywała ręce i zastanawiała się, czy nie trzeba podjąć jakiejś próby fachowej pomocy, ale tato był zdania, że po jakimś czasie sam sobie poradzę i się z tego wygrzebię. Wtedy o depresji jeszcze nie mówiło się tyle, co teraz, a problemy takie jak kłopoty emocjonalne, dysleksja, dyskalkulia, nadmierna pobudliwość lub irytująca nieruchawość skutecznie leczono ojcowskim pasem albo maminą ścierką. Na szczęście moi rodzice zdawali się rozumieć więcej. Krakowskim targiem ustalili, że jeśli po roku nic się nie zmieni, to wtedy zaczną szukać pomocy na zewnątrz.

W rocznicę śmierci Adriana, szóstego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, poszedłem na cmentarz i swoim zwyczajem spędziłem tam sporo czasu. Nie doznałem tam żadnej iluminacji, nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, ale właśnie tamtego dnia wszystko się zmieniło. Po powrocie do domu, żeby zająć czymś innym myśli, wziąłem do ręki lekturę, którą powinienem był właśnie czytać. To była „Cudowna podróż” Selmy Lagerlöf. Może pamiętasz, taka powieść o chłopcu, który, zmniejszony do wielkości krasnoludka, na grzbiecie gęsi podróżował po Szwecji. Byłem zdziwiony, jak bardzo ta historia mnie pochłonęła i w pewnym momencie, zanurzony w niej po uszy, zorientowałem się, że w wypożyczonej ze szkolnej biblioteki książce brakuje jednej kartki. Najchętniej od razu pobiegłbym, aby pożyczyć inny egzemplarz, ale nie dość, że było już późne popołudnie, to na dodatek sobota, tak więc na poznanie dalszych losów Nilsa Holgerssona miałem czekać całe dwa dni.

Próbowałem czytać dalsze strony, ale to nie było to; brakowało ważnego momentu, więc zniechęcony i zły zamknąłem książkę. Położyłem się na łóżku obok niej, a łzy bezradności natychmiast napłynęły mi do oczu. Przez rok od śmierci Adriana dość często zdarzało mi się płakać, ale nigdy z tak błahego powodu. Wziąłem się więc w garść i znów sięgnąłem po „Cudowną podróż”, zastanawiając się, jak ja, gdyby to ode mnie zależało, wypełniłbym tę jedną brakującą stronę.

Dziś, jako dorośli, często słyszymy banalne sformułowanie, że życie każdego z nas jest jak książka, którą sami tworzymy. Wydaje mi się, że przed szóstym maja osiemdziesiątego dziewiątego roku nie spotkałem się z takim porównaniem, ponieważ wtedy, leżąc na łóżku, byłem z niego bardzo dumny. Najpierw żałowałem, że moje życie już nigdy nie będzie „cudowną podróżą”, ale zaraz potem, wpatrując się w ślad po wyrwanej kartce, zrozumiałem, że jestem w chwili, w której wszystko ode mnie

zależy i że porównanie nie jest do końca właściwe. Każdy człowiek ma we własnej książce strony, które chciałby usunąć — ja miałem w swojej ten przeklęty wieczór, w którym po raz ostatni grałem w piłkę z moim przyjacielem — tyle że nie da się tego zrobić. Jak narozrabiałeś, to musisz z tym borykać się do końca życia, jeśli spotkała cię krzywda czy nieszczęście, to nie możesz wspomnień o nich wyrwać spomiędzy innych i wyrzucić do kosza, a następnego dnia zacząć od nowa. To już zawsze będzie z tobą.

Myślałem o tym swoim odkryciu dwunastolatka prawie przez całą noc, a potem przez niedzielę, a w poniedziałek po południu poszedłem zapisać się do miejscowej drużyny piłkarskiej. Po roku żałoby i wyrzutów sumienia znów, powoli, ale jednak, moje kolejne dni zaczynały być coraz bardziej kolorowe. Wiedziałem, że nigdy nie zapomnę Adriana. Wiedziałem też, że oddałbym wszystko, żeby cofnąć czas, ale ponieważ tego się nie da zrobić, to postanowiłem zrobić możliwie najwięcej, by przytrafiało mi się jak najmniej kartek, które chciałbym usunąć ze swojej książki. Na przykład postanowiłem wtedy, że nigdy nikogo nie będę nakłaniał do zmiany danego słowa i jeśli kiedyś będę miał dzieci, to nigdy, za żadne skarby świata nie podniosę na nie ręki.

I to wszystko, panie Zdzichu. Tyle ci chciałem powiedzieć w nawiązaniu do tego, co ty zdradziłeś mi wcześniej. Nie wiem, być może uznasz to za głupie i infantylne, być może wszystko to już wiesz i spodziewałeś się po mnie czegoś więcej, ale mnie „Cudowna podróż” bardzo pomogła. Zresztą nie tylko wtedy, gdy miałem dwanaście lat. A jeśli nie, to po prostu zmarnowałem ci pół nocy, ale przynajmniej po raz pierwszy opowiedziałem komuś to, co od lat leżało mi na wątrobie.

* * *

Kamil patrzył na mnie wyczekująco.

— Popatrz, jakie życie jest dziwne — powiedziałem po chwili zastanowienia. — Dopiero co się poznaliśmy, a już obaj znamy swoje najbardziej skrywane sekrety.

— Być może w naszych książkach równocześnie dotarliśmy do miejsca, w którym komuś powinniśmy je zdradzić — odparł z uśmiechem, a potem spojrzął na zegarek. — O, cholera jasna! Dochodzi wpół do drugiej.

— Chyba najwyższy czas się zbierać. Mam nadzieję, że nie musisz tu jeszcze zostać, żeby pozmywać, pozamiatać czy coś...?

— Nie, załatwiamy to z Izą rano, przed otwarciem pizzerii w poniedziałek. Dziękuję, to było bardzo dobre posiedzenie.

Również mu podziękowałem, a potem, trochę burząc ten nieco patetyczny nastrój, podążyłem w stronę toalety.

Zanim się rozstaliśmy, wymieniliśmy jeszcze parę zdań. Okazało się, że miał stuprocentową rację, mówiąc, że mieszkają bardzo blisko. Należał do nich cały pion kamienicy, wystarczyło więc tylko po wyjściu z Camillo zagłębić się w bramę obok. Kamil z żoną i dziewczynkami zajmowali mieszkanie bezpośrednio nad knajpką, natomiast jeszcze wyżej mieszkała teściowa, która sprzedała mieszkanie, w którym wychowała się Iza, dzięki czemu — oczywiście z pomocą niemałego kredytu — można było sfinalizować tak znaczącą inwestycję.

Kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie i ja ruszyłem w stronę Osiedla Solidarności, Szykowiak zapytał:

— A co to jest za dziwna praca, że raz się ma na szóstą, raz na osiemną, a w dodatku pracuje się w soboty i niedziele?

Przystanąłem i odwróciłem się.

— Macie tu taką fajną fabrykę okien. Nazywa się „ONZ”, to skrót od „Okna Na Zamówienie”. Właściciel to łebski facet, który do ochrony lubi zatrudniać byłych mundurowych, więc udało mi się tam zahaczyć.

Kamil pokiwał głową i powiedział:

— Mam kilkoro znajomych, którzy tam pracują, i sobie chwalą. Myślę, że będziesz zadowolony, jeśli tylko nie nadepniesz na odcisk prezesowi, bo...

— Tak, wiem, słyszałem. Jest wymagający, ale ludzki.

Roześmiał się.

— Widzę, że rozpoznanie, jak na byłego glinę przystało, przeprowadziłeś wzorowo. Trzymaj się, panie Zdzichu, do następnego razu!

— Podniósł rękę w geście pożegnania i zniknął w bramie.

* * *

Ulice Rykova były prawie całkowicie wyludnione. Październikowa noc spadła na miasteczko, otulając je tumanem mgły, która leniwie, jakby dostosowując się do niespiesznej egzystencji mieszkańców, snuła się pomiędzy słabym światłem latarni. Chodniki po ostatnich deszczach lekko parowały, w powietrzu czuć już było coraz bardziej zadomawiającą się jesień.

Staralem się poukładać w nieco ciężkawej od wypitego alkoholu głowie to, co się wydarzyło, i to, czego dowiedziałem się od Kamila. Zastanawiałem się, dlaczego tak nagle otworzyliśmy się wzajemnie przed sobą. Najbardziej prawdopodobne wydawało mi się to, że spotkało nas coś, co Szykowiak określił w swojej opowieści o Adrianie mianem „przyjaźni od pierwszego wejrzenia”. Nie stwierdziłem dotąd występowania takiego zjawiska, ale też nigdy nie powiedziałem tyle o sobie ledwie poznanemu człowiekowi.

Kamil miał rację, sądząc, że po tak długiej opowieści spodziewałem się trochę bardziej spektakularnego zakończenia, czegoś, co mnie poruszy, może nawet mną w jakiś sposób wstrząśnie, ale im dłużej szedłem i im dłużej myślałem o sposobie, w jaki dwunastoletni chłopak sam poradził sobie z własnymi demonami, tym coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że może faktycznie właśnie tak jak on należy spoglądać na przeszłość — potraktować ją jako zapisane kartki, których nie da się usunąć, i w miarę możliwości starać się, żeby kolejne, lepsze strony przynajmniej w jakimś stopniu rekompensowały to, co było złe. Skoro jemu się udało, to dlaczego miałoby się nie udać w moim przypadku? Tym bardziej że sprawa Pieniązka, która mnie dręczyła, zdawała się, przynajmniej na pierwszy rzut oka, łatwiejsza do przetrawienia. Mogłem mieć do siebie żal, mogłem sobie wyrzucać, że zachowałem się tak, a nie inaczej, ale z całą pewnością nie zrobiłem niczego, co ocierałoby się o znamiona celowego działania na rzecz młodego policjanta.

Kiedy zbliżałem się do mojego bloku, było we mnie sporo optymizmu i patrzyłem na świat zdecydowanie bardziej pozytywnie niż jeszcze parę dni wcześniej. No i byłem cholernie ciekaw kolejnych dni, miesięcy, a może nawet lat.

* * *

Po powrocie do domu zaparzyłem sobie miętową herbatę i włączyłem komputer, żeby jeszcze raz przeczytać wiadomość od Beaty. W pewnym momencie już chyba wiedziałem, co mógłbym jej odpisać, ale powstrzymałem się, pamiętając o tym, że czasem wiadomości pisane wieczorem po paru piwach o wiele gorzej wyglądają w świetle dziennym. Zapisałem więc tylko na leżącej na biurku kartce: „Cudowna podróż — niczego się nie da wyrwać” i pomimo że nie byłem jeszcze senny, wyłączyłem komputer.

Kiedy leżałem w łóżku, na plecach z dłońmi pod głową, patrząc na światło latarni tańczące na suficie z cieniami rzucanymi przez drzewa, raz jeszcze pomyślałem o Kamilu, Izie i o ich córkach. Przez chwilę wyteżalem umysł, żeby przypomnieć sobie, jak mają na imię. Pamięć zawsze miałem całkiem niezłą i uśmiechnąłem się, wspominając zdziwienie Kamila, gdy okazało się, że nie zapomniałem imienia najstarszej z dziewczynek.

Po chwili zawahania sięgnąłem po leżący na nocnym stoliku telefon. Wyszukałem ostatnie połączenie i wybrałem opcję „Wyślij wiadomość”. Wpisałem tekst z uśmiechem i przed nadaniem SMS-aram jeszcze przebiegłem go wzrokiem. „Zapomniałem o jednej rzeczy — przekaz, proszę, pozdrowienia dla Izy, Wiktorii, Julki i Oli. No i, rzecz jasna, dla Szanownej Teściowej również :)”. Sądziłem, że ubawią go takie pozdrowienia i pewnie znów będzie się dziwił, że wszystko tak dobrze zapamiętałem. Nie pomyliłem się, bo następnego dnia odpisał mi, jota w jotę potwierdzając moje domysły.

Kiedy jednak teraz wracam do tamtej chwili, to wcale nie jest mi do śmiechu. Tak bardzo chełpiłem się swoją niepospolicie dobrą pamięcią, a gdy niecałe trzy i pół roku później, w czwartek dwunastego marca dwa tysiące piętnastego roku, powinienem jej użyć w sprawie naprawdę poważnej i mogącej zmienić losy Kamila i jego rodziny, to moje szare komórki dały dupy na całej linii.

12 marca 2015 (czwartek)

Słyszymy, jak ktoś wkłada klucz do zamka drzwi wejściowych i przez chwilę szamocze się, próbując go przekręcić. Kamil ociera łyzy wierzchem prawej dłoni, wstaje nagle i kieruje się do przedpokoju.

— Otwarte jest! — mówi podniesionym, pełnym irytacji głosem.

Ktoś naciska klamkę i drzwi otwierają się z cichym skrzypnięciem.

Szykowiak stoi w lekkim rozkroku, stopy ustawił po obu stronach progu. Widzę Kamila z profilu, na jego zmęczoną twarz wypełza grymas złości. Łączy dłonie na biodrach, za plecami, i opiera się o framugę.

— Co jest z wami, Iza, nie umiecie otworzyć niezamkniętych drzwi?

Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby w ten sposób zwracał się do żony. Zawsze czuły i opiekuńczy, teraz w jego słowach daje się wyczuć pogardę.

— Daj spokój, Kamil — cicho odpowiada Iza.

Zaraz potem Wiktoria, nie zwracając sobie głowy zdjęciem kurtki, mija ojca i bezszelestnie znika w swoim pokoju.

— Może być chociaż buty zdjęła? — Tym razem pytanie kieruje w stronę drzwi, za którymi zniknęła jego najstarsza córka.

Przez ułamek sekundy zastanawiam się nad określeniem „jego najstarsza córka” i natychmiast do głowy przychodzi mi pytanie: „Może już teraz jedyna?”. Wstaję, strząsając dreszcz z pleców, i ruszam energicznie naprzód, żeby spróbować załagodzić sytuację. Mijając Kamila w progu, na moment kładę dłoń na jego ramieniu i patrzę mu prosto w oczy. Przenosi spojrzenie na mnie. Chyba dostrzega zakłopotanie i zaskoczenie, po czym ze wstydem spuszcza wzrok i kręci głową, jakby z niedowierzaniem.

— Przepraszam — mruczy pod nosem, nie wiadomo, czy bardziej do mnie, czy do żony, a potem wraca do salonu i ciężko opada na miejsce, które przed chwilą zajmowałem. Opiera łokcie na kolanach i skrywa twarz w otwartych dłoniach.

Iza właśnie wsuwa kaptcie. Jej dzinsy są całkiem przemoczone do połowy ud. Pewnie brała udział w poszukiwaniach nad rzeką, gdzie sterczą jeszcze suche zeszłoroczne i zawsze wiosną wilgotne trawy. To tłumaczy też fakt, że dotarły z Wiktoria do mieszkania dość długo po nas. W tamte podmokłe rejony nie ma łatwego dojazdu, w jedną stronę trzeba jakieś pół godziny przedzierać się przez chaszcze, a poszukiwawcza tyraliera porusza się z pewnością jeszcze wolniej. My z Kamilem, również w asyście

kilkunastu policjantów, przetrząsaliśmy las położony niedaleko drogi wylotowej na północ.

Kiedy Iza mnie dostrzega, podchodzi bliżej, przytula się, a ja obejmuję delikatnie drobne ramiona, które obarczone są teraz trudnym do wyobrażenia, niemal fizycznie obecnym ciężarem. Jej ciałem natychmiast wstrząsa bezgłośny szloch.

— Dobrze, że jesteś, Zdziszek — szepcze, tłumiąc rodzący się w piersiach płacz. — U was też nic?

— Nic.

— Napij się czegoś gorącego, kochanie? — słyszę tuż za plecami głos Kamila.

Iza przenosi na niego wzrok i uśmiecha się smutno.

— Dziękuję ci, skarbie, ale nie wiem, czy zdążę. Muszę się teraz szybko przebrać, bo oni mogą zadzwonić w każdej chwili.

— Nastawię wodę — kontynuuje mój przyjaciel. — Najwyżej parę minut poczekają. Cała jesteś przemoknięta, usta masz sine z zimna... Przepraszam, że chwilami zachowuję się jak idiota — ciągnie na jednym wdechu. — To wszystko mnie chyba po prostu przerasta.

— Tak jak nas wszystkich — słyszy w odpowiedzi, ale w głosie jego żony nie ma nawet cienia wyrzutu.

Dzwoni telefon. Iza sięga do prawej kieszeni dzinsów i wyjmuje aparat. Zgłasza się, potwierdza, że dzwoniący wybrał właściwy numer, a później słucha w skupieniu przez krótką chwilę.

— Dobrze — mówi. — Za chwilę będziemy. Dziękuję, do zobaczenia. Rozłącza się.

— Musimy iść, Kamil. Wiem, że tak samo nie masz na to ochoty, ale musimy to zrobić.

Szykowiak kiwa ociężale głową i przez tę jedną chwilę bardzo przypomina mi Mamaja, który często w ten właśnie sposób, pogodzony z całym złem tego świata, niewerbalnie komunikuje swojemu rozmówcy słowo „tak”.

— Tylko zmienię spodnie i... — Iza już kieruje się w stronę sypialni, gdy Kamil nagle się ożywia i mówi:

— Wiesz, jeśli wytrzymałabyś te kilka minut w tych mokrych spodniach, to może... no, wiesz... — Nie mogę w to uwierzyć, ale zauważam, że się lekko rumieni. — Wydaje mi się, że to by lepiej wyglądało...

— Zgoda, masz rację. — Iza chwyta w lot, a potem idzie w stronę drzwi pokoju Wiktorii. Puka, nie słyszy odpowiedzi, ale mimo to wchodzi do środka. — Chodź, Wiki. Ty też jesteś tam potrzebna.

— Chyba oszalałaś, mamó. Za nic w świecie tam nie pójde!

— Kochanie, jeśli nie chce, to niech zostanie — mówi Kamil, już sznurując buty.

— Ale oni mówili, że będzie lepiej, jeśli Wiki z nami będzie. Bardziej poruszająco...

— Dajmy spokój. Ona i tak wiele przeszła i jeszcze dużo przed nią.
— Kamil kieruje wzrok na mnie. — Panie Zdzichu, zostałbyś z nią do naszego powrotu?

— No jasne.

Iza bierze ze stolika w przedpokoju tekturową teczkę, w której są wydrukowane czarno-białe kserokopie zdjęć w formacie A4, i wsuwa ją sobie pod pachę. Zaraz potem zostaje w korytarzu sam i wsłuchuje się w cichnące na klatce kroki. Stoje niezdecydowany, aż wreszcie odwracam się w stronę uchylonych drzwi od pokoju dziewczyny. Delikatnie pukam. Cisza. Pukam raz jeszcze.

— Wiki...? To ja. Mogę na chwilę wejść?

Po dłuższym czasie słyszę jej cichy głos:

— Nie wiem, wujku, chyba tak. — Kilka dni temu skończyła trzynaście lat, ale głos jej się jeszcze zupełnie nie zmienił i wciąż brzmi bardzo dziecięco.

— Dziękuję — mówię i lekko pcham drzwi.

Wiktorii siedzi po turecku na niepościelonym łóżku, tuląc z całych sił Zygmunta — burego puchatego misia, którego podarowałem Julce podczas pierwszej wizyty u Szykowiaków. Opiera głowę na jego ramieniu i wpatruje się we mnie błyszczącymi czarnymi oczyma, a głowa maskotki cała ginie w jej długich czarnych włosach. Blizna, która powstała w wyniku uderzenia, chyba już zawsze będzie widoczna na jej lewym łuku brwiowym.

— Mogę usiąść? — pytam.

Skórzane glany porzuciła byle jak na środku pokoju. Chwytam czarne, ciężkie buty i stawiam je na baczność obok jej łóżka.

— Mhm. — Pociąga nosem.

Biorę zza biurka krzesło na kółkach i ustawiam je naprzeciwko niej. Siadając na nim, zauważam, że spodnie ma przynajmniej tak samo mokre,

jak jej mama. Nie chcę jej wkurzać przemądrymi sugestiami z kanonu dorosłych, więc daruję sobie uwagę, że powinna się przebrać. Z pewnością wie o tym tak samo dobrze, jak ja albo nawet lepiej. Zamiast tego pytam:

— Pewnie jesteś bardzo zmęczona?

Jednak nie do końca się udało, bo na moment podnosi głowę z ramienia Zygmunta i patrzy na mnie jak na wariata. Potem zrezygnowana wraca do poprzedniej pozycji.

— Wujku, jestem, ale jakie to ma teraz znaczenie? Jeśli chcesz mi jakoś pomóc, to powiedz, jak cofnąć czas o kilka dni. — Znów pociąga nosem. — Wszystko na to wskazuje, że to byłby dla mnie jedyny ratunek. Inaczej nie wiem, jak ja to zniosę.

— Wszystko jest jeszcze możliwe, Wiki.

Przewraca oczami.

— Akurat. Minęły już przecież trzy dni...

— Wiesz, że byłem gliniarzem, więc znam się na rzeczy. Minęło naprawdę niewiele czasu i nie ma co się jeszcze załamywać. — Mam nadzieję, że nie wyszperała w Internecie informacji, że właśnie bezpośrednio po zaginięciu każda godzina jest na wagę złota i wtedy też są największe szanse na powodzenie poszukiwań.

Nie odpowiada. Zamiast tego zaczyna patrzeć w podłogę.

— Chcesz, żebym sobie poszedł?

Zero reakcji. Odczekuję minutę i mówię:

— Myślę, że oboje powinniśmy to zobaczyć. Oboje nie chcemy tego równie mocno, ale sądzę, że to będzie ważna rzecz, która będzie miała wpływ na dalszy bieg zdarzeń.

Wstaję, przesuwam krzesło na miejsce i, wychodząc, mówię:

— Zrobię ci gorącej herbaty. Pewnie zmarzłaś tak samo, jak mama, więc sądzę, że powinnaś się rozgrzać, żeby nie zachorować... — Gryzę się w język, bo chciałem dodać, że to w tym stanie rzeczy jeszcze bardziej pogorszyłoby sytuację.

Zamykam za sobą drzwi, możliwie najciszej, idę do aneksu i włączam wodę, a później czterdziestosześciolety, wiszący na ścianie płaski telewizor, który pomagałem Kamilowi wieszać dwa lata temu. Trwa program informacyjny, kolejne wiadomości mają być za osiem minut.

Kiedy elektryczny czajnik samoczynnie wyłącza się, przygotowuję herbatę z miodem i cytryną w dużym kubku, a potem zostawiam ją na

blacie i zajmuję miejsce na kanapie, czując, że jestem bardzo zdenerwowany.

Niedługo potem dołącza do mnie Wiki. Widzę, że zmieniła spodnie na dresowe i włożyła wygodny polar.

— Dziękuję za herbatę.

— Nie ma za co. Wszystko jest wasze, nawet prąd.

Zezuję w jej stronę i mam wrażenie, że cień uśmiechu lekko rozjaśnił jej twarz.

Siada w pewnym oddaleniu, próbuje upić łyk, ale herbata na razie jeszcze parzy, więc Wiktoria odstawia kubek na stolik. Od tej pory oboje wpatrujemy się bez słowa w ekran. Kiedy kończą się reklamy, dziewczyna przysuwa się bliżej mnie. Wtedy czuję moment zawahania, ale zaraz potem jest tuż obok.

— Mogę, wujku? Bardzo się boję...

Opiera się o mnie ramieniem, a potem chwyta moją prawą rękę i podnosi tak, bym mógł ją objąć. Robię to, tak samo, jak wtedy, gdy jeszcze nie dojrzała na tyle, by dojść do wniosku, że nie wypada przytulać się do przyszywanego wujka (czyli mniej więcej do tego samego czasu, gdy ja dowiedziałem się, że w dzisiejszych czasach za coś takiego można zostać uznanym za pedofila).

Czuję, jak wali jej serce.

Jeszcze tylko sięga po kubek i przestawia bliżej, by mieć go w zasięgu ręki. Rozpoczyna się serwis informacyjny.

Wiki

I.

Pierwsze dni po nocnym posiedzeniu w Camillo zwiastowały nadejście lepszych czasów.

Październik otulił Ryków słoneczną i ciepłą pogodą, ale poranki z lekkimi przymrozkami sprawiały, że niektóre drzewa zaczynały już powoli wdziawać swoje najpiękniejsze złocistoczerwone szaty. Zupełnie tak, jakby stroiły się na wizytę chłodnego, zimowego kochanka z nadzieją, że wkrótce przybędzie i zechce te szaty jak najszybciej zrzucić.

Powoli odzyskiwałem równowagę, której tak bardzo było mi potrzeba. Nie wiem, czy za sprawą korzystnej aury, czy też może podnoszącej na duchu rozmowy z Kamilem, demony przeszłości zaczynały się jawić jako mniej straszne. Nie wyrzuciłem ich z pamięci, bo tego się nie da zrobić, o czym przekonał mnie Szykowiak opowieścią o „Cudownej podróży”, ale coraz rzadziej zaglądałem w te karty książki, których nie lubiłem, bardziej zastanawiając się nad kolejnymi, tymi, które mają nadejść.

Praca w ochronie korzystnie wpływała na moje samopoczucie — musiałem przyzwyczać się nie tylko do nowych obowiązków, ale także do dwunastogodzinnych zmian. Standardowy grafik stosowany w tego typu systemie pracy (dzień—noc—wolne—wolne) z jednej strony trochę rozregulowywał rytm kolejnych dni, ale z drugiej dawał możliwości korzystania w pełni z tych, w których nie byłem po nieprzespanej nocy.

Pewnego dnia, chyba gdzieś tak zaraz około dziesiątego października, stwierdziłem, że warto byłoby jeszcze wykorzystać sprzyjające warunki atmosferyczne, złapać trochę formy przed nadchodzącą zimą i zrzucić kilka niepotrzebnych kilogramów. Zadzwoiłem więc do Kamila z pytaniem, czy jest w Rykowie jakiś godny polecenia sklep sportowy, w którym można by kupić przyzwoity, acz niekoniecznie przesadnie drogi rower odpowiedni do jazdy po okolicznych leśnych i mniej uczęszczanych drogach. Jeszcze tego samego dnia wróciłem do domu z nowym, błyszczącym cackiem. Zakupu dokonałem u dobrego znajomego Szykowiaka, prowadzącego sklep sportowo-turystyczno-wędkarski na obrzeżach miasteczka. Kamil ostrzegł mnie lojalnie, że pewnie będzie nieco drożej niż w wielkim markecie zlokalizowanym w Mieście Wojewódzkim, ale zasugerował, że w przypadku jakichś problemów ze sprzętem serwis będę miał na miejscu i od ręki.

Po przedstawieniu się w sklepie jako znajomy właściciela pizzerii (Kamil wcześniej poinformował o moim planowanym przybyciu), natychmiast oprócz kilku procent rabatu otrzymałem też wszelkie potrzebne mi rady, odpowiednio dobrano dla mnie konkretny model „górala”, a po sfinalizowaniu transakcji właściciel sklepu podziękował mi, że zdecydowałem się wesprzeć miejscowy biznes. Cóż, tego się nie spodziewałem, ale dało mi to do myślenia oraz uświadomiło, że w takich niewielkich społecznościach warto zweryfikować sposób myślenia i postępowania również pod kątem dbałości o interesy sąsiadów, co przecież kiedyś, w razie potrzeby, może pozytywnie zadziałać także w odwrotną stronę.

Tak więc drugą dekadę października dwa tysiące jedenastego roku w dużej mierze spędzałem na rowerowym siodelku, początkowo bardzo narzekając na jego twardość, ale po kilku mniej więcej trzydziestokilometrowych trasach udało mi się do tego przyzwyczaić.

Oprócz siodelka gniotło mnie jednak coś jeszcze, a dokuczliwe uwieranie odczuwałem nieco wyżej od miejsca, w którym plecy tracą swoją szlachetną nazwę. Serce, nawet jeśli jego kondycja fizyczna jest w całkiem niezłym stanie, w pewnych sytuacjach potrafi dać nieźle w kość.

Wciąż wahałem się, czy (a jeśli tak, to w jaki sposób) odpowiedzieć Beacie. Z jednej strony kusilo mnie, by nawiązać z nią po latach bliższy kontakt, bo wciąż była mi w jakiś tam sposób nieobojętna. Z drugiej strony, pamiętałem wciąż, jak potraktowała mnie w dwa tysiące trzecim roku, niespodziewanie odchodząc, a niecały rok później biorąc ślub z facetem, który wtedy zawrócił jej w głowie. Utrzymywaliśmy zdawkowy kontakt, składając sobie suche życzenia świąteczne i urodzinowe, ale o tym, że znów jest wolna i miałyby ochotę się ze mną spotkać, żeby, jak to określiła, wspominać przy kieliszku wina nasze stare dobre, wspólnie spędzone czasy, napisała mi w pierwszej od dawna wiadomości mejlowej.

Wreszcie, po przejechaniu rowerem ponad dwustu kilometrów i po mocowaniu się z drążącymi mnie od środka wątpliwościami, chyba wiedziałem już, w jaki sposób powinienem postąpić. Końcówka października nie sprzyjała realizacji moich planów, ponieważ dość mocno się ochłodziło, a na dodatek prawie codziennie siąpił deszcz, więc odkładałem je z dnia na dzień, czekając na bardziej sprzyjającą aurę.

Dwudziestego ósmego, w piątek, pogoda była pod psem. Ledwie osiem stopni, silny wiatr i przelotne opady deszczu, ale ja uznałem, że albo wtedy,

albo będę musiał czekać z tym do następnego roku, a tego chyba bym nie zniósł.

Przygotowałem sobie ciepłe ubranie z polaru, nieprzemakalną wiatrówkę, czapkę i rękawiczki, po czym przetrząsnąłem mieszkanie w poszukiwaniu wszystkiego, co związane było z Beatą. Zdjęcia, listy, upominki i zaręczynowy pierścionek z brylantem, który kiedyś dla niej kupiłem, a który nigdy nie doczekał się dobrego momentu, by go wręczyć. Ciągle miałem też szczotkę do włosów, którą kiedyś u mnie zostawiła, i to była ostatnia rzecz, jaką zapakowałem do plecaka razem z małą turystyczną saperką.

Gdy około dziesiątej ruszałem w drogę, właśnie błysnęło słońce, a ja uznałem to za dobry omen. Jechałem, ostro naciskając na pedały i starając się jak najbardziej oddalić się od Rykowa, najchętniej w miejsce, w które nigdy nie uda mi się po raz drugi trafić. Po dwóch godzinach jazdy i kilkunastu minutach kluczenia leśnymi drogami znalazłem wreszcie odpowiedni fragment głuszy — niewielką polanę oddaloną o jakieś pięćdziesiąt metrów od ledwie widocznej ścieżyny. To, co nadawało się do spalania, złożyłem w zgrabny stos i zapalniczką wzniciłem ogień. Pozostałe rzeczy, razem z pierścionkiem i szczotką, zakopałem w prowizorycznej, a jednocześnie symbolicznej mogile, po czym przysypałem grubą warstwą ziemi, darni, mchu i igliwia. Zaczęło wtedy padać, ale nie na tyle mocno, by zagasić żwawo buzujące płomienie, które jakby z sadystyczną przyjemnością lizały jedne z najwspanialszych wspomnień mojego życia. Poczekalem do samego końca, aż z tego wszystkiego nie zostało nic poza stertką coraz bardziej wilgotnego popiołu. Potem rozgarnąłem resztki ogniska saperką i dla pewności przysypałem je piachem. Czuję, że wreszcie się od tego wszystkiego uwolniłem. Czuję też, że jestem coraz bardziej przemoknięty, ponieważ wiatrówka nie spełniała należycie swojej roli.

Nie bardzo wiedziałem, którędy mam dotrzeć do drogi powrotnej, ale mniej więcej po półgodzinie kluczenia znalazłem miejsce, gdzie wjechałem w las. Teraz pozostało już tylko dotrzeć do Rykowa. Dwie kolejne godziny jazdy w ulewnym deszczu z jednej strony były męczące i nieprzyjemne, ale z drugiej — sprawiły, że oczyszczenie i zmycie z siebie przeszłości stało się jeszcze bardziej symboliczne.

Po powrocie do domu wziąłem gorący prysznic, mając nadzieję, że te moje egzorcyzmy nie zakończą się przeziębieniem, a następnie, sącząc

gorącą herbatę z sokiem malinowym, włączyłem laptop i szybko wpisałem treść wiadomości mniej więcej o treści: „Miło, że się odezwałaś, niestety uważam, że lepiej będzie, jeśli nasze relacje pozostaną bez zmian. Kobieta, z którą jestem i którą kocham nad życie, z pewnością podzieliłaby mój punkt widzenia”. Potem były jak najbardziej szczere życzenia szczęścia i podpis.

Najpierw chciałem szybko kliknąć „Wyślij”, ale potem celowo opóźniłem ten moment, by przed samym sobą nie wyjść na tchórza. W końcu przecież wreszcie po tylu latach wygrałem sam z sobą i należała mi się chwila wyciszenia. A potem to zrobiłem.

I dokładnie w tej samej chwili poczułem, że muszę się napić.

* * *

Dotarłem do Camillo na drżących z wysiłku nogach i z ulgą zająłem miejsce przy tym samym stoliku, przy którym odbyliśmy z Kamilem naszą pierwszą długą rozmowę.

Później, aż do tego dnia, widzieliśmy się dwa razy w jego lokalu, a ponadto raz zamówiłem pizzę z dowozem. Ani razu nie wracaliśmy do tamtej pierwszej październikowej nocy. Chyba żaden z nas nie widział takiej potrzeby — po prostu wszystko, co miało być powiedziane, powiedziano, więc po cóż znów to wszystko rozgrzebywać?

Zorientowałem się, że Kamil prawdopodobnie wyjechał z pizzą (gdy uświadomiłem sobie brak auta przed wejściem, byłem tego właściwie pewien), więc podszedłem do kontuaru i zamówiłem ostrą pizzę, tę samą, co zawsze od pierwszego października, oraz piwo. Odniosłem także przyjemne wrażenie, że Iza ucieszyła się na mój widok.

Jej mąż pojawił się po jakichś piętnastu minutach. Był piątek, oboje mieli sporo roboty i już zaczynałem żałować, że tak rzadko mamy okazję dłużej porozmawiać, gdy Kamil przysiadł się na chwilę do stolika i powiedział:

— Znów cholerny młyn, panie Zdzichu. Nie ma nawet jak na spokojnie pogadać... Posłuchaj, masz jakieś plany na następny weekend?

Zastanowiłem się, próbując sobie przypomnieć listopadowy grafik, który dostałem na ostatniej zmianie, a potem odpowiedziałem:

— W piątek mam dniówkę, a z soboty na niedzielę nockę. A czemu pytasz?

— W tę niedzielę pracujemy, bo to taki niby przedłużony weekend, ale za to za tydzień będziemy mieli luźniej. Może wpadłbyś do nas w niedzielę

po południu? Oczywiście, o ile dasz radę odpocząć po nocy. Poznałbyś nasze dzieciaki, teściową, którą tak miło pozdrawiałeś SMS-em, zobaczyłbyś, jak mieszkamy. No i posiedzielibyśmy wreszcie jak ludzie.

Przystałem na tę propozycję z niekłamaną przyjemnością.

II.

Czwartkowe popołudnie spędziłem na poszukiwaniu w lokalnych sklepach upominków, które miałem ze sobą zabrać na niedzielne odwiedziny. O ile z Izą i Kamilem nie miałem większych problemów (zakładałem, że dobre alkohole będą w tej sytuacji zupełnie na miejscu), o tyle schody zaczynały się z prezentami dla dziewczynek. Owszem, doskonale pamiętałem, jak dzieciaki mają na imię i ile mają lat, ale jeśli chodzi o gusta, w które pasowałyby utrafić, to tutaj już było znacznie gorzej.

Na szczęście z pomocą przyszedł mi mniej więcej sześćdziesięcioletni brodaty jegomość ze sklepu z zabawkami, sugerujący, że skoro ma to być pierwsza wizyta, to nie ma co silić się na jakieś szczególne ekstrawagancje. Ostatecznie zdecydowałem się więc na miłe w dotyku, puchate zwierzaki — przytulanki dla młodszych dziewczynek (biały królik dla Oli i bury miś dla Julki) oraz na duże i dość skomplikowane dwustuelementowe puzzle przedstawiające stado dalmatyńczyków dla Wiktorii. Sprzedawca zapewnił mnie, że dla dziewięcioletniej dziewczynki będą w sam raz.

Ustaliliśmy, że pojawię się o dziewiętnastej i punktualnie o tej godzinie stanąłem przed pustą tego dnia pizzerią. Wtedy właśnie przyszło mi do głowy, że nie mam niczego dla teściowej Kamila, ale zaraz przypomniałem sobie, że mieszka ona samodzielnie piętro nad Szykowiakami i nawet jeśli będzie w mieszkaniu, to takie niedociągnięcie z mojej strony nie będzie zbyt dużym nietaktem. Wszedłem więc do bramy, a później skręciłem do klatki schodowej, wspiąłem się na pierwsze piętro i zastukałem w drzwi opatrzone tabliczką, na której widniało znajome nazwisko.

— Witaj w naszych skromnych progach, panie Zdzichu — rzekł Kamil, otwierając drzwi i gestem zapraszając mnie do środka.

Gdy ściskaliśmy sobie dłonie, z pomieszczenia w głębi wyłoniła się Iza.

— Dobry wieczór, Zdziszkule, miło cię widzieć, rozbierz się i zapraszamy dalej.

Moi gospodarze byli ubrani jak na wyjście do restauracji — Kamil miał na sobie białą koszulę i czarne spodnie w kant, a Iza skromną czerwoną

sukienkę. Zrobiło mi się trochę niezręcznie, bo ja byłem ubrany w znacznie mniej eleganckie dzinsy i koszulkę polo.

— Kamil, czy ktoś jeszcze będzie? Nic nie mówiłeś, że to będzie spotkanie, na które trzeba się jakoś szczególnie wystroić...

— To wszystko przez Izę. — Roześmiał się. — Rzadko jemy wieczorem razem, więc lubi, gdy chociaż trochę to celebруемy. Ale jeśli ci to przeszkadza, to zaraz możemy wskoczyć w dresy.

— Nie przeszkadza, pod warunkiem że mój wygląd nie będzie zbytnio was kłuł w oczy.

— Wejdz dalej, usiądź z nami, a jakby co, to ci powiemy, że coś jest nie tak i pożyczę ci krawat.

— Kamil, przestań! — obruszyła się Iza, uśmiechając się mimowolnie pod nosem. — Te twoje żarty są czasem zbyt grubiańskie.

— Trochę już go poznałem — rzekłem, wieszając kurtkę. — Na dyplomatę by się raczej nie nadawał.

Iza przytaknęła mi ze śmiechem, zadowolona, że już nie musi go tłumić, i spojrzała na torbę z upominkami, którą właśnie podniosłem z podłogi.

— Nie trzeba było. — Wypowiedziała słowa, które zwykle gospodarze mówią w takich sytuacjach, niemniej jednak zabrzmiały one absolutnie szczerze.

Butelki powędrowały do adresatów, a ja zapytałem:

— A dziewczynki? Są w domu?

— Tak, są, już je wołam — odezwał się Kamil. — Ale może wejdiesz do salonu, żebyśmy się tu nie tłoczyli w korytarzu?

O tłoku nie mogło być mowy, ponieważ korytarz był całkiem obszerny, czemu trudno się było dziwić, skoro zajmował połowę piętra sporej kamienicy. W przedpokoju, prócz wejściowych, było pięcioro drzwi. Jak się później przekonałem, pierwsze po lewej prowadziły do dużej łazienki, następne, umiejscowione na tej samej ścianie, do salonu. Podczas kolejnych wizyt byłem też w pozostałych pokojach. Pierwszy po prawej należał do Oli i Julki, środkowy, największy po tej stronie mieszkania, pełnił rolę sypialni dorosłych, a kolejny stanowił królestwo najstarszej córki.

Właśnie ona jako pierwsza z dziewczynek pojawiła się w salonie. Kolor włosów i oczy miała po mamie. Śmiało podeszła do mnie, pierwsza wyciągając drobną rękę.

— Dobry wieczór. Mam na imię Wiktoria, a pan?

— Ja jestem Zdzisław. — Przykucnąłem i uścisnąłem z powagą jej dłoń, dbając, by nie zrobić tego zbyt mocno.

— Dzisław?

— Pan Zdzisław, Wiki — poprawiła ją lekko zmieszana mama, która stojąc obok Kamila, przyglądała się nam z góry.

— Dziwnie jakoś. Nie słyszałam jeszcze, żeby ktoś miał tak na imię.

— Zobaczmy, czy jutro będziesz pamiętała — odparłem, ucinając temat. — Lubisz puzzle?

— No! — odparła z entuzjazmem i uśmiechnęła się szeroko. Teraz była bardzo podobna do Kamila.

— Wiki, nie mówi się „no”! — Iza znów wkroczyła do akcji.

— Tak, proszę pana, lubię bardzo — poprawiła się mała.

— No to mam dla ciebie puzzle. Mam nadzieję, że takich jeszcze nie masz?

— Ojej, z psiakami! Lubię psiaki, ale rodzice nie pozwalają mieć nam prawdziwego. A pan ma psa? — spytała, wpatrując się z fascynacją w obrazek na pudełku.

— Niestety, nie mam. Mieszkam sam i nie miałby się kto nim zajmować, gdy jestem w pracy.

— A gdzie w takim razie mieszka pana żona?

— Wiki, wystarczy już tego przesłuchania — tym razem zareagował Kamil.

— Mogę ułożyć? — Dziewczynka natychmiast zmieniła temat.

— Tak, ale najpierw kolacja. Idź, umyj ręce.

Dopiero teraz zauważyłem, że w drzwiach tłoczą się dwa małe skrzaty, podobne do siebie jak dwie krople wody. Gdybym nie wiedział, że jest między nimi rok różnicy, byłbym przekonany, że są bliźniaczkami. Obie miały szare, niezwykle podobne do ojca oczy i jasne włosy, również zdecydowanie po tacie.

Nieco wyżej z nich przedstawiono mi jako Julkę. Kiedy zobaczyła misia, złapała go natychmiast, uściskała i zaczęła biegać z nim po pokoju, jak opętana. Licząca pięć lat Ola, najmłodsza z córek, podeszła do mnie ostrożnie, niemal na palcach, długo przypatrywała się zajęcowi, zanim postanowiła go dotknąć. Dopiero kiedy go pogłaskała, zdecydowała się wziąć go ode mnie, a zrobiła to tak, jakby był ze szkła i gdyby miał jej wypaść, to natychmiast by się potłukł.

I to pierwsze wrażenie tylko utwierdzało się we mnie przez następne prawie trzy i pół roku. Wiki — śmiała i otwarta (choć niewykluczone, że wiek i fakt, że chodziła już do szkoły, miały swoje znaczenie), Julka — zwariowana, wiecznie w ruchu, niepotrafiąca usiedzieć w miejscu, no i Ola — najmłodsza z nich wszystkich, a jednocześnie jakby najbardziej wyważona, spokojna, analizująca wszystko bardzo dokładnie od początku do końca.

Towarzyszyły nam wszystkie przy stole przez jakieś pół godziny. Wiki siedziała koło mnie i miałem wrażenie, że coraz bardziej jej się to podoba. Wciąż o coś wypytywała, śmiechem reagowała na moje żarty, a także opowiadała o szkole i kolegach. Julka cały czas trzymała misia na kolanach, maltretując go czule, ale też bezlitośnie, przemawiając jak do dziecka i nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół. Ola natomiast jadła w skupieniu, zerkając od czasu do czasu to na mnie, to na usadowionego wygodnie na fotelu parę metrów od niej zająca.

Taki rozgardiasz był mi, jako samotnemu jedynakowi, zupełnie obcy, ale nie czułem najmniejszego nawet dyskomfortu. Przypomniałem sobie też wtedy słowa Kamila z dnia, w którym się poznaliśmy, kiedy twierdził, że jak się ma dzieci, to zmienia się diametralnie sposób ich postrzegania. Nie miałem dzieci i pewnie nigdy nie będę miał, ale w tamten niedzielny wieczór naprawdę byłem mu skłonny uwierzyć.

* * *

Mniej więcej około dwudziestej usłyszeliśmy stukanie do drzwi.

Okazało się, że to mama Izy, która wiedziała o mojej wizycie i przyszła zapytać, czy przypadkiem nie będzie potrzebna jej pomoc przy usypianiu dziewczynek.

Przedstawiając nas sobie, Kamil tłumaczył mi z figlarnym błyskiem w oku:

— Wiem, że to nie wygląda dobrze, ale to nie jest tak, jak myślisz. Nie miałem nic przeciw temu, by mama dziś zjadła z nami, mało tego — wręcz na to nalegałem, ale ona ma swoje zwyczaje żywieniowe i na przykład nie jada po osiemnastej. Prawda, mamó?

Kobieta mogła mieć około sześćdziesiątki, ale wyglądała dość mizernie. Była bardzo szczupła, trochę jakby już przygarbiona, twarz miała pokrytą siecią głębokich zmarszczek, ale słysząc słowa zięcia, uśmiechnęła się, odsłaniając zdrowe i na pewno nie pozyskane dzięki uprzejmości protetyka zęby.

— Tak, to prawda, panie Zdzisławie. — Zrobiło mi się miło, że wie, jak mam na imię; widocznie była już o mnie mowa w domu Szykowiaków. — Takiego zięcia jak Kamilek to ze świecą szukać i sama jestem sobie winna, że z wami nie biesiaduję.

Przycupnęła na skraju krzesła, jak płochliwy ptak, który szykuje się, by za chwilę odfrunąć. Dziewczynki od kilkunastu minut były zajęte swoimi sprawami. Dwie młodsze urządały zwierzakom domek z taboretów i przyniesionego z ich pokoju kolorowego koca, a Wiktoria leżała na dywanie, w pewnym oddaleniu, głowiąc się nad częściowo już ułożonymi puzzlami.

Siedzieliśmy przy stole w czwórkę, ale tak naprawdę duchem była obecna tylko trójka. Babcia dziewczynek praktycznie nie spuszczała z nich wzroku, patrząc z taką czułością, że aż człowiekowi łza się w oku kręciła.

— Maluchy wyglądają już na bardzo zmęczone... — odezwała się nagle, przerywając Kamilowi w pół słowa. Zorientowała się i przeprosiła za to, tłumacząc, że przez moment myślała o czymś innym.

— Mamo, faktycznie są już trochę zmęczone, ale popatrz, jak świetnie się bawią — odezwała się Iza. — Najwyżej popadają na dywanie i wtedy przeniosę je do łóżek. Naprawdę nie musisz się martwić. — Położyła czule dłoń na zniszczonej ręce matki. — Szczerze mówiąc, ty wyglądasz na o wiele bardziej wyczerpaną.

— Dobrze, córeczko. W takim razie pójdę już się położyć.

Wstała, skinęła mi głową na pożegnanie, a potem podreptała pocałować na dobranoc po kolei wszystkie trzy wnuczki. Próbowwała się schylić, ale nie dała rady, wtedy ich mama natychmiast napomniała dziewczynki, by wstały i pozwoliły się babci wyściskać.

* * *

Stało się dokładnie tak, jak przewidziała Iza.

Jakieś pół godziny po wyjściu babci Ola położyła się na podłodze, prawie zasypiając, więc wtedy od razu padła komenda wymarszu do łóżek. Julka karnie, choć niezbyt chętnie podporządkowała się poleceniu mamy, która wzięła na ręce najmłodszą z córek. Wiktorii udało się jeszcze na chwilę odroczyć wyrok, bo koniecznie chciała tego wieczora skończyć układankę, ale po dziewiątej i ona skapitulowała.

Posiedzieliśmy w trójkę do wpół do jedenastej, gdy również Iza postanowiła nas opuścić. Dała mężowi zielone światło na nocne posiedzenie, jednak sama zamierzała o ósmej rano zejść do pizzerii

i posprzątać po sobocie, żeby o dziesiątej planowo otworzyć Camillo. Podziękowała mi za odwiedziny, zaprosiła na kolejną wizytę i zostaliśmy tylko we dwóch.

Rozmawialiśmy, nie wylewając za kołnierz. Miałem wrażenie, że Kamilowi brakuje kogoś bliskiego, kogoś, z kim mógłby się podzielić marzeniami i planami na przyszłość. Mówił o tym, że jego teściowa zajmuje tylko połowę mieszkania na górze, że kiedyś je wyremontuje i jeśli dziewczynki, gdy dorosną, zechcą zostać w Rykowie, to będą miały swój kąt, a jeżeli będą miały ochotę pociągnąć biznes, to też będą miały ułatwiony start. Wspominał, że być może, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, uda mu się otworzyć podobną pizzerię w położonym o kwadrans drogi od Rykowa trochę mniejszym miasteczku.

Tej nocy, podobnie jak tamtej, gdy siedzieliśmy razem w pizzerii, również mówił przede wszystkim on. Słuchałem uważnie, czując, że coraz bardziej zbliżam się do tego człowieka. Od czasu do czasu tylko przechodziła mi przez głowę myśl, co by było, gdyby w osiemdziesiątym dziewiątym roku ubiegłego stulecia inaczej potoczyły się losy Adriana Zbieńskiego. Przede wszystkim zastanawiałem się, czy gdyby wtedy jego ojcu nie przyszło do głowy dać synowi „szkołę życia”, to czy właśnie Adrian nie siedziałby przypadkiem teraz na moim miejscu...

III.

Pierwsze odwiedziny w mieszkaniu Szykowiaków zapoczątkowały proces mojego stopniowego wtapiania się w rodzinę Kamila. Z każdym tygodniem znaczyła ona dla mnie coraz więcej, a w marcu dwa tysiące dwunastego roku dziewczynki samoistnie i z entuzjastycznym przyzwoleniem rodziców zaczęły mówić do mnie „wujku”.

Nie narzucałem się przesadnie ze swoim towarzystwem, ale zdarzały się nam wspólnie spędzane niedziele, czasem też, jeśli tylko miałem taką możliwość, na prośbę Kamila opiekowałem się dziećmi. To był czas, w którym mama Izy zaczęła podupadać na zdrowiu, więc taka pomoc była szczególnie potrzebna.

Na początku kwietnia Szykowiak odwiedził mnie i zapytał, czy nie zechciałbym z nimi spędzić świąt wielkanocnych. Odpowiedziałem, że bardzo dziękuję za tę propozycję, ale to chyba nie jest najlepszy pomysł, ponieważ tego typu uroczystości należy celebrować w gronie rodzinnym. Nigdy nie zapomnę, jak wtedy na mnie spojrział i nawet bez cienia żartu powiedział:

— Ty jesteś już dla nas rodziną, panie Zdzichu. Odbieram cię tak, jakbyś był moim bratem, Iza traktuje cię jak szwagra, a gdybym wrócił i powiedział dziewczynkom, że nie udało mi się ciebie namówić, to chyba wygoniłyby mnie z domu...

I tak oto, składając wizytę w Wielką Sobotę, siódmego kwietnia 2012 roku, i biorąc udział w malowaniu pisanek, a dzień później odwiedzając mieszkanie położone nad pizzerią Isabella e Camillo w Rykowie i jedząc uroczyste śniadanie wielkanocne, pełen wzruszenia, które mnie wypełniało, poczułem, że znowu nie jestem na świecie sam.

* * *

Dziewczynki dorastały, a ja z radością patrzyłem na ten proces.

Wiktoria wręcz za mną szalała. Przy każdej możliwej okazji przytulała się i siadała mi na kolanach. Kiedy spacerowaliśmy w szóstkę, zawsze ustawiała się tak, aby znaleźć się obok i trzymać mnie za rękę. Uważnie obserwowałem wtedy Kamila, czy przypadkiem w jego oczach nie dostrzegę choćby odrobiny zazdrości, będąc w razie potrzeby gotowym na stworzenie dystansu do najstarszej z jego córek, ale on wyglądał na szczęśliwego szczęściem swojej Wiki i nigdy nie wysłał żadnego, nawet nieświadomie wygenerowanego sygnału ostrzegawczego.

Pewna zmiana nastąpiła pod koniec roku dwa tysiące trzynastego, gdy w moim życiu pojawiła się Daria. Kamil i Iza znali ją jeszcze z czasów liceum, ale dla dziewczynek była zupełnie obcą osobą, niemniej jednak po kilku wspólnych spotkaniach, gdy okazało się, że mój związek nie ochłodzi relacji, wszystko wróciło do normy, a nowa osobniczka została zaakceptowana i przyjęta do naszego rodzinnego stada.

W maju dwa tysiące czternastego roku wspólnie świętowaliśmy pierwszą komunię Julki, a miesiąc później razem smuciliśmy się na pogrzebie mamy Izy, która odeszła po ciężkiej, ale na szczęście niedługiej walce z rakiem trzustki.

Wakacje minęły jeszcze w miarę normalnie, ale zaraz po nich wszystko zaczęło się zmieniać.

IV.

Nie dość, że Wiktoria ciężko przeżyła stratę babci, to jeszcze zaczęła wkraczać w trudny wiek dorastania.

Na początku roku szkolnego okazało się, że będzie musiała przejąć część obowiązków po świętej pamięci mamie Izy. Głównie chodziło o to, by wtedy gdy będzie mogła, odbierała młodsze siostry ze szkoły oraz

opiekowała się nimi popołudniami, a także pomagała w lekcjach. Dziewczynie, której hormony zaczynają gwałtownie buzować, nie za bardzo było to w smak. Na domiar złego, nieco starsze koleżanki uczęszczające już do gimnazjum chętnie podszeptwały inne, łatwiejsze rozwiązania.

Ciężka muzyka, czarne ubrania i załężki młodzieńczego buntu przeciw rodzicom pociągały nastolatkę, stając się coraz bardziej uciążliwymi dla rodziny Szykowiaków. Wiktoria wstydziła się robić za opiekunkę dla dwóch — jak to określała — „smarkatych gówniar” i unikała ich „niańczenia” jak tylko mogła. Czasami Kamil zwierzał mi się, że zupełnie nie potrafi znaleźć już wspólnego języka z najstarszą córką.

Szałę goryczy przelała sytuacja ze stycznia dwa tysiące piętnastego roku, gdy Wiki uparła się, by pojechać ze znajomymi na koncert do Miasta Wojewódzkiego. Stanowcza odmowa ze strony ojca skończyła się karczemną awanturą i szlabanem na popołudniowe wychodzenie z domu. Dziewczyna poprzysięgła ojcu, że jeszcze się za to zemści.

* * *

W piątek trzydziestego stycznia późnym popołudniem, w ostatni dzień szkolny przed zimowymi feriami, zadzwoniła moja komórka. Spojrzałem na wyświetlacz i odebrałem połączenie od Kamila, zupełnie nie spodziewając się złych wiadomości:

— Co tam ciekawego, przyjacielu? Widzę, że się za mną stęskniłeś przez ostatnich kilka dni...

— Jesteś teraz w domu? — Lodowaty ton jego głosu sprawił, że aż wstałem z kanapy.

— Tak, jestem, ale...

— Mogę teraz do ciebie przyjechać?

— Coś się stało?

— W takim razie dzięki. Zaraz będę.

Nie minęło dziesięć minut, gdy stanął w moich drzwiach. Był trupio blady i patrzył tak bezradnie, że aż ciarki przebiegły mi po plecach. Wszedł do środka i usiadł na kanapie. Ja zająłem miejsce przy stole i uważnie mu się przyglądałem.

— Coś z dziewczynkami? Z Izą?

Zmęczonym gestem potarł czoło, a potem przejechał po policzku otwartą ręką z taką siłą, że po palcach zostały czerwone pręgi.

— Wiki... Pamiętasz, jak kilkanaście dni temu zakazałem jej wyjazdu na koncert?

— Pewnie.

— Groziła mi wtedy, że jeszcze popamiętam. Myślałem, że jej przejdzie po paru dniach, ale ona chyba mówiła całkiem serio.

— Powiesz mi wreszcie, co się stało?

Westchnął ciężko, a potem zaczął opowiadać cichym i na pozór beznamiętnym głosem:

— Dziś był ostatni dzień szkoły. Prosiłem ją rano, żeby odebrała Julkę i Olę po lekcjach. Mruknęła coś tylko niezrozumiale, ale ostatnio miała taki właśnie zwyczaj, więc uznałem, że to oznacza zgodę. Około południa podszedłem na górę, bo potrzebowałem znaleźć jedną fakturę do rozliczenia. Wiki siedziała w domu i jak gdyby nigdy nic oglądała telewizję. Zdenerwowałem się i zapytałem, dlaczego nie jest w szkole. Odparła, że nie moja rzecz, i stanęła naprzeciw mnie, hardo patrząc mi prosto w oczy. Zaraz potem dodała, że nie będzie się już więcej prowadziła z tymi smarkulami i że jeśli chcemy, to możemy ją za to ukarać szlabanem nawet na pół roku. Przysięgam ci, że po raz pierwszy wtedy miałem ochotę jej przylać, ale powstrzymałem się chyba tylko przez wzgląd na historię Adriana, pamiętając, że obiecałem sam sobie, że nigdy nie uderzę własnego dziecka. Wziąłem kilka głębokich oddechów, a potem, już prawie całkiem spokojnie, nakazałem jej, że ma przestać wydziwiać i o ustalonej wcześniej porze maszerować po dziewczynki. Zapowiedziałem też, że sprawą jej wagarów i ewentualnej kary zajmiemy się z mamą wieczorem. Nic nie odpowiedziała. Stała tylko bez ruchu, wodząc za mną nienawistnym wzrokiem aż do momentu, kiedy wyszedłem z domu. Jakies pół godziny potem w Camillo pojawiło się dwóch lokalnych gliniarzy. Znamy się od dziecka, więc nawet nie musieli mnie legitymować. W pierwszej chwili przestraszyłem się, że coś stało się dzieciom, ale chwilę później oni rozwiali moje wątpliwości, pytając, czy przyznaję się do pobicia mojej najstarszej córki, Wiktorii.

— Ktoś ją pobił?! — krzyknąłem. — Gdzie ona teraz jest?

Chciałem ruszyć na zewnątrz, ale starszy z policjantów przytrzymał mnie za ramię i powiedział: „Panie Szykowiak, spokojnie. Córka jest w domu, problem w tym, że nosi ślady pobicia i twierdzi, że to pana sprawka”. „Co ty mi tu, Marek, pierdolisz?! Jaki «panie Szykowiak», jakiego pobicia? Iza, słyszysz, co on tu wygaduje?!” — darłem się

wniebogłosy... Słuchaj, Zdziszek, Iza stała za kontuarem i, przysięgam, przyglądała mi się w taki sposób, jakbym mógł być naprawdę do tego zdolny. Kilkoro klientów obecnych wtedy w Camillo natychmiast się zmyło, więc we czwórkę ruszyliśmy na górę. W domu był jeszcze jeden policjant i ekipa karetki, której sygnał słyszałem, kiedy w pizzerii szykowaliśmy się do wyjścia. Wiki leżała na plecach, na dywanie w salonie, mniej więcej w miejscu, gdzie stała, jak wychodziłem. Jej lewa połowa twarzy i bluzka była cała zalana krwią. Tuż obok znajdowała się jej komórka. Okazało się, że zadzwoniła na policję, twierdząc, że uderzyłem ją wtedy, gdy na chwilę pojawiłem się w domu. Lekarz prowizorycznie ją opatrzył, usiłując zatamować krwawienie, a potem razem z Izą i jednym z policjantów karetka pojechała do szpitala, ponieważ okazało się, że trzeba założyć kilka szwów. Ja natomiast trafiłem na komendę i przez trzy godziny byłem maglowany na wszystkie strony. Na koniec okazało się, że Marek, ten mój niby znajomy policjant, z którym jeszcze rano byłem na ty, podczas gdy rozmawiał ze mną w moim domu i bazgrał coś tam w papierach, to właśnie wypełniał dla mnie Niebieską Kartę. Czaisz?! Wiesz na pewno, co to takiego... Właśnie zostałem uznany za podejrzanego o stosowanie przemocy w rodzinie. Procedura ruszyła, mam przejebane, stary. Zresztą nie tylko ja, cała nasza rodzina jest w czarnej dupie. Kto wie, jeśli Wiki nie odwoła tych zeznań, a z tego, co wiem, jak na razie twardo obstaje przy swoim, to mogę zostać, kurwa mać, skazany!

Kamil wpatrywał się we mnie wzrokiem szaleńca i wtedy — tylko wtedy i tylko przez ułamek sekundy — przyszło mi do głowy, że może faktycznie mógłby się zdobyć na uderzenie własnej córki...

V.

Po burzy z końca stycznia wszystko zaczęło niby wracać do normy, ale tak naprawdę były to jedynie pozory.

Iza nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Chciała wierzyć Kamilowi, ale Wiktoria niezmiennie obstawała przy swojej wersji. Raz nawet doszło do tego, że kiedy Kamil w obecności mamy błagał, żeby powiedziała prawdę, to poszła do swojego pokoju i po chwili przyniosła Pismo Święte, które dostała od babci na pierwszą komunię, i trzymając na nim rękę, przysięgła mamie, że wszystko, co do tej pory mówiła, jest prawdą.

Od tamtej pory Kamil od rana do nocy przesiadywał w pizzerii (dostawa do klienta została na jakiś czas zawieszona), a Iza zajmowała się

dziewczynkami. Wszystko wskazywało na to, że powoli zaczyna skłaniać się do przyjęcia wersji córki.

Jednak sytuacja, w której Kamil samodzielnie prowadzi biznes, nie mogła trwać w nieskończoność. Brak dochodu spowodowany niedostarczaniem pizzy bił firmę mocno po kieszeni, ale jeszcze bardziej dotkliwie na finansach odbijał się zmniejszony obrót w samym lokalu. Ludzie powoli odwracali się od miejsca, w którym za kontuarem stał ktoś, kto potrafi tak bardzo dotkliwie pobić własne dziecko, że aż wylądowało w szpitalu.

Gdy zamówienia półproduktów do sporządzania pizzy zmniejszyły się o połowę, Iza postanowiła znów podjąć pracę. Wcześniej jednak wymogła na Wiktorii przyrzeczenie, że będzie jej słuchać i we wszystkim pomagać. Nie było to trudne. Od dnia rzekomego pobicia najstarsza córka niemal nie odstępowała matki na krok, robiąc wszystko, żeby się jej przypodobać.

Ja odsunąłem się trochę na bok, nie chcąc wkraczać w rodzinne sprawy Szykowiaków. Byłem w pogotowiu, w każdej chwili gotów do wszelkiej pomocy, gdyby zaistniała potrzeba, ale uznałem, że na razie lepiej wszystko pozostawić Kamilowi i Izie z nadzieją, że z upływem czasu cała sprawa nieco przyschnie, a może nawet całkowicie się wyjaśni.

Tak też się stało, ale w okolicznościach, których nie życzyłbym nawet największemu wrogowi.

* * *

W poniedziałek dziewiątego marca około siedemnastej odebrałem połączenie od Kamila. Dzwonił niezbyt często, ale czasem mu się zdarzało, gdy chciał się wygadać albo poradzić w jakiejś kwestii. Ponownie usłyszałem w słuchawce ten sam ton, którym mówił do mnie trzydziestego stycznia, z tym że tym razem nie pytał, czy może do mnie przyjechać. Przeciwnie, pod koniec rozmowy nie wytrzymał i z jego głosu zaczęła przebijać panika.

— Zdziszek, błagam cię, jeśli tylko możesz, to przyjedź najszybciej, jak to tylko możliwe!

Nie pytałem, o co chodzi. Po prostu natychmiast się ubrałem i wybiegłem z mieszkania. Umówiliśmy się, że będzie na mnie czekał na skraju parku, niedaleko od ich kamienicy. Byłem tam nie później niż po pięciu minutach. Cały roztrzęsiony, chciał gdzieś iść jak najszybciej, ale nie mogłem z niego wydusić, gdzie i po co. Podążałem za nim tylko półtruchtem, a on z determinacją po prostu maszerował naprzód i rozglądał

się wokół. Obiegnę go więc po prawej stronie i stanąłem na jego drodze. Chciał mnie ominąć, ale mu na to nie pozwoliłem. Zamiast tego chwyciłem go za klapy rozpiętej kurtki, pod którą nie miał nic poza cienką koszulką, i mocno nim potrząsnąłem.

— Jak mi, do cholery, nie powiesz, po co miałem tu przyjechać, to się na nic nie przydam! — wrzasnąłem i to chyba jakoś tam wreszcie do niego dotarło.

Spojrzał na mnie i rzekł:

— Wiki ma dzisiaj urodziny.

Zacząłem się obawiać, czy aby pod jego czaszką nie poprzekręcały się niefortunnie jakieś zwoje, ale on zaraz potem dodał całkiem przytomnie:

— Ma urodziny i umówiła się z przyjaciółmi na wyjście na lody i do kina z tej okazji. Tylko że wcześniej miała Olę i Julkę przyprowadzić po szkole do domu. Obiecała Izie. Sama miała dzisiaj mniej lekcji, więc mogła to zrobić, dlatego obiecała to Izie. — Brzmiał jak uczeń, który miał do przygotowania referat i wykuł wszystko na blachę. — Przyprowadziła je mniej więcej tutaj, o tu, cztery metry stąd, tak mi pokazywała. No ale wtedy już spotkała swoich przyjaciół i uznała, że są już bardzo blisko domu. Uznała, że są już bardzo blisko domu, bo wystarczy tylko przejść kawałek wzdłuż parku, przeciąć go w poprzek i już się stoi naprzeciw pizzerii, wystarczy tylko przejść przez ulicę na przejściu i się jest. No i one poszły. O tam, zobacz. — Odwrócił się i pokazał palcem. — To naprawdę niedaleko i teraz, jak nie ma jeszcze liści, to nawet widać szyld.

— Widzę, kurwa, Kamil, widzę, ale co się stało?!

W chłodnym powietrzu rozbrzmiał dźwięk wydawany przez samochód jadący na sygnale, a zaraz potem minęła nas policyjna furgonetka błyskająca niebieskimi kogutami. Zauważyłem, że w środku siedziało siedmiu albo ośmiu policjantów.

Kamil pomachał im jak mały chłopiec, a potem skoncentrował wzrok na mnie.

— Co się stało? — Patrzył, marszcząc w zadumie brwi. — Jadą szukać. Ja szukam, Iza szuka, Wiki też szuka. I sąsiedzi szukają i dużo policjantów. Bo Julka i Ola nie przyszły do domu. Powinny już trzy godziny temu być, zobacz, jak to niedaleko. — Znów wskazał palcem w kierunku Camillo. — Rozumiesz coś z tego, panie Zdzichu...?

12 marca 2015 (czwartek)

Prezenterka rozpoczyna serwis od wiadomości dotyczących walk na Ukrainie. W dalszej kolejności podawane są informacje o aferze podsłuchowej (tu krótka rozmowa z posłem Zenonem Skowranem — reprezentantem okręgu wyborczego obejmującego między innymi Ryków, na którego głosowałem w dwa tysiące jedenastym roku) i pierwszym odcinku drugiej linii warszawskiego metra, który poprzedniego dnia został oddany do użytku.

Po kilku rozmowach z zadowolonymi pasażerami na ekranie znów widzimy uśmiechniętą prowadzącą, która nagle, zupełnie jakby ją ktoś w tej chwili mocno uszczypnął, przywołuje na twarz przepełnioną smutkiem minę.

— Przenosimy się teraz do Rykowa w centralnej Polsce. Miasto od kilku dni żyje sprawą zaginięcia dwóch dziewczynek — dziewięcioletniej Julki i jej o rok młodszej siostry, Oli. Na miejscu jest nasz reporter...

Przestaję rejestrować jej słowa, bo właśnie naszym oczom ukazuje się obraz z kamery ustawionej w rynku. Po prawej stronie planu stoi redaktor z mikrofonem, w środku Iza, a po lewej Kamil. Kiedy dziennikarz upewnia się, że jest słyszany w całym kraju, zaczyna swoje show. W kilku zdaniach wypowiedzianych na jednym wdechu zarysowuje sytuację, następnie wciąga powietrze gwałtownym haustem w taki sposób, że wszyscy widzowie mogą posłuchać, jak z wizgiem przeciska się ono przez jego krtań. Znów terkocze jak nakręcony, wtem nagle zadaje jakieś pytanie, którego nie rozumiem, i błyskawicznie podstawia Izie mikrofon pod usta. Ta patrzy na niego speszona.

— Przepraszam pana, ale nie dosłyszałam pytania...

— Czy macie państwo jakieś przypuszczenia, co stało się z dziewczynkami?

— Wydaje nam się... — zaczyna powoli Iza — to znaczy sądzimy, obawiamy się, że nasze córki mogły zostać porwane...

Tego dnia po raz pierwszy zauważam jej uderzające podobieństwo do nieżyjącej matki. Nie wiem, czy jest to spowodowane zboląłym wyrazem twarzy, czy może chodzi o to, że w wyniku zmęczenia oraz braku makijażu po prostu wygląda na znacznie starszą w porównaniu z czasem sprzed zaginięcia Julki i Oli. W zbliżeniu kamery dostrzegam, że wśród jej

czarnych włosów pojawiło się przez ostatnich kilka dni sporo srebrnych pasemek siwizny.

— Czy to jest jedyna hipoteza? Nie zakładacie państwo, że dzieci po prostu uciekły z domu? — Redaktor zachowuje się tak, jak gdyby ktoś wsadził mu w dupę rozżarzony do czerwoności pręt. Mówiąc, żwawo gestykuluje wolną ręką, zapewne dla dodania dramatyzmu całej sytuacji, kiwa się z boku na bok oraz w przód i w tył, przewraca oczami i ciągle, w ten sam irytujący sposób, głośno nabiera powietrza. — Rozmawiałem przed naszym wejściem na antenę z kilkoma mieszkańcami Rykowa, którzy twierdzili, że w grę mogą wchodzić nieporozumienia na łonie rodziny. Może to pani jakoś skomentować?

Iza najpierw zdaje się mieć gotową odpowiedź na pierwsze pytanie, ale gdy dociera do niej treść drugiego, tylko otwiera lekko usta i patrzy z niedowierzaniem na redaktora, by chwilę później przenieść wzrok na męża, jakby u niego szukając pomocy. Dziennikarz bezceremonialnie przemieszcza mikrofon, podstawiając go pod nos Kamilowi, przy okazji częściowo zasłaniając twarz Izy. Najwidoczniej ona stała się już nieważna, skoro nie ma nic do powiedzenia, więc po cóż marnować cenny czas antenowy.

— Pan jest ojcem zaginionych dzieci, prawda? Czy porwanie to jedyna możliwa opcja? — W głosie dziennikarza wyraźnie brzmi powątpiewanie.

Szykowiak tylko obejmuje żonę i coś do niej mówi półgłosem. Wydaje mi się, że może to być coś w rodzaju: „Chyba niepotrzebnie się na to zgodziliśmy”. W tym momencie z ekranu dobiega jeszcze jeden głos. Kamera poszerza plan, w którym teraz widoczny jest stojący na prawo od Kamila szpakowaty funkcjonariusz policji w stopniu nadkomisarza. Redaktor teraz kieruje mikrofon w jego stronę.

— Może pan powtórzyć? — prosi.

— W chwili obecnej uprowadzenie traktujemy jako najbardziej prawdopodobną przyczynę zaginięcia dziewczynek. Funkcjonariusze sprawdzili inne hipotetyczne wersje zdarzeń i na chwilę obecną nie ma podstaw, by sądzić, iż są one równie prawdopodobne. Wcześniej dopuszczaliśmy ewentualność, że, jak często w tego typu wypadkach ma miejsce, dziewczynki zgubiły drogę bądź są pod opieką kogoś z rodziny. Szeroko zakrojone czynności operacyjne oraz prowadzone od kilku dni poszukiwania w terenie pozwalają nam założyć, że zniknięcie dzieci spowodowane jest działaniem osób trzecich.

— Jak rozumiem, nikt jeszcze nie kontaktował się w sprawie ewentualnego okupu? — pyta dziennikarz.

Policjant patrzy na niego, nie próbując nawet ukryć obrzydzenia, ale odpowiada profesjonalnie, nie zmieniając ani na jotę modulacji głosu:

— Nie możemy tego zdradzać ze względu na dobro śledztwa. W imieniu rodziny i policji proszę wszelkie osoby, które mogą posiadać jakiegokolwiek informacje dotyczące tej sprawy, o kontakt z Komendą Powiatową Policji w Rykowie bądź z najbliższą jednostką policji na terenie całej Polski.

Na dole ekranu wyświetlają się przydatne numery telefonów, w tym czasie redaktor, ciągle niezdrowo podekscytowany całą sytuacją, streszcza wypowiedź funkcjonariusza i ponawia jego apel o ewentualny kontakt. Kamera obejmuje teraz także osoby zgromadzone za czwórką głównych bohaterów relacji. Dwóch młodych mężczyzn rozprawia o czymś żywo z rozbawieniem, jakaś kobieta z trwałą koloru blond poprawia fryzurę, żeby korzystnie wypaść w telewizji.

Iza otwiera teczkę, w której są kartki ze zdjęciami dziewczynek (znam te naprędce przygotowane ogłoszenia doskonale; w ostatnich dniach rozwiesiliśmy ich w całej okolicy kilkaset). Próbuje zwrócić na siebie uwagę dziennikarza z nadzieją, że fotografie zostaną pokazane w zbliżeniu kamery. Ten patrzy na nią roztargnionym wzrokiem, a następnie, kiedy już orientuje się, o co chodzi, wbija wzrok w policjanta, najwyraźniej nie mając pojęcia, czy nie ma formalnych przeszkód jeśli chodzi o publikację wizerunku zaginionych w mediach. Nadkomisarz kiwa głową, mówi coś, czego nie zbiera mikrofon, i w tej samej chwili redaktor przykładą dłoń do ucha, przez moment wsłuchuje się w skupieniu w komunikat podawany mu do słuchawki ze studia w Warszawie, a następnie z wyraźną ulgą mówi:

— Przepraszamy, w tym miejscu musimy przerwać relację, ponieważ właśnie rozpoczyna się zapowiadana wcześniej konferencja prasowa Marszałka Sejmu, którą będziemy transmitować. Dziękujemy państwu za uwagę i w imieniu policji prosimy o pomoc.

Wydaje mu się, że transmisja została zakończona, ale obraz z Rykowa jeszcze przez chwilę jest przekazywany. Dziennikarz uśmiecha się rozluźniony, z kciuka i palca wskazującego tworzy kółeczko i kieruje je w stronę operatora kamery. Patrząc na tego tępego dziennikarzynę z mikrofonem w ręku i mam ochotę natychmiast wybiec z domu, żeby zdążyć go jeszcze złapać na rynku i przyfasolić mu w ten jego zadowolony

z siebie ryj. Powstrzymuje mnie chyba tylko obietnica dana Kamilowi, że do ich powrotu pobędę z Wiktoria.

Opuszczam wzrok niżej i widzę, że dziewczyna obie zwinięte w pięści dłonie trzyma złączone razem. Palce zaciska tak mocno, że skóra pokrywająca kostki jest biała jak papier.

W tej chwili rozlega się pukanie do drzwi. Najpierw zastanawiam się, czy to możliwe, żeby Iza z Kamilem tak szybko dotarli, ale wiem, że to przecież wykluczone, ponieważ jeszcze kilkanaście sekund temu widziałem ich oboje w telewizji; zresztą niby po co mieliby stukać do drzwi własnego mieszkania — tym bardziej gdy nie są zamknięte na klucz (właśnie uświadamiam sobie, że nie przekreśliłem zasuwę gerdy po ich wyjściu).

Wstaję, niechętnie zostawiając Wiki, która chyba podobnie jak ja nie ma teraz ochoty na wizytę obcych. W drzwiach stoi umundurowany policjant, którego widzę po raz pierwszy w życiu. Pod pachą trzyma czarną skórzaną teczkę i wygląda, jakby właśnie zobaczył ducha swojej prababki.

— Eee... — w ten sposób zaczyna naszą konwersację. — Yyyy...

— Słucham, panie aspirancie — odpowiadam najgrzeczniej jak potrafię. — W czym mogę panu pomóc?

Przez chwilę uważnie lustruje mnie wzrokiem, a później zapuszcza żurawia do przedpokoju.

— A kim pan właściwie jest? — pyta. — O, Wiktoria, ja to właściwie do ciebie przyszedłem.

Odwracam się. Wiki stoi na progu salonu i wygląda, jakby miała się za chwilę rozplakać.

Gliniarz wygląda wyjątkowo niesympatycznie. Ma małe, rozbiegane oczka, długi, ostro zakończony kinol i przednie zęby jak łopaty. Jego twarz do złudzenia przypomina pysk szczura.

— A pan? — odpowiadam pytaniem na pytanie.

— Jak pan widzi, jestem funkcjonariuszem policji na służbie i wykonuję tu obowiązki. Służbowe.

— Widzę, że ma pan mundur, ale czy jest pan na służbie, to tego nie wiem.

Zaczyna się we mnie gotować. Najpierw ten dupek z telewizji, teraz ten przemądrzały cwaniak. Patrzy na mnie i widzi, że nie prezentuję należytego respektu do jego uniformu, więc uderza z drugiej strony.

— Czy rodzice dziewczyny wiedzą, że przebywa ona tylko w pana towarzystwie?

— Skąd pan wie, że tylko w moim. Ma pan kamery zamontowane w całym mieszkaniu?

Czuję, jak Wiki kładzie dłoń na moim ramieniu.

— Wujku, to pan dzielnicowy, który zajmuje się nami od kiedy, no wiesz, ta cała Niebieska Karta...

— Pan jest jej wujkiem? — pyta policjant.

— Tylko przyszywanym. A pan przyszedł, żeby sobie pogawędzić z Wiktoria w czasie, gdy jest sama w domu?

— Eee... To znaczy...

— Układa mi się w głowie taki scenariusz... — ciągnę, nie zważając na jego zakłopotanie. — Albo się pan wcześniej dowiedział, że w telewizji będzie materiał z udziałem jej rodziców, albo napatoczył się pan na tę sytuację przypadkiem. Obstawiam raczej to drugie, bo jest pan tu już po zakończeniu relacji. Tak czy inaczej, przygnał pan w te pędy w nadziei zastania dziewczyny samej i z zamiarem wyduszenia z niej czegoś ekstra, tłumacząc się przy okazji, że nie miał pojęcia o nieobecności jej rodziców...

— Proszę pana, nie wiem, jak bardzo jest pan przyszywanym wujkiem, mam nadzieję, że nie nadmiernie...

— Panie, kurwa, czy chcesz pan, żebym zaraz ciężko złamał prawo, naruszając nietykalność cielesną funkcjonariusza publicznego być może na służbie?!

— Po pierwsze, grzeczniej, bo za chwilę naprawdę będzie miał pan kłopoty. — Zrobił się cały czerwony na twarzy, ale trzyma nerwy na wodzy. To dla mnie dobry znak.

— Pan będzie miał większe. Pracując w policyjnym BSW w wojewódzkiej, miałem do czynienia z nie takimi chojrakami, kolego.

Krzywi się, gdy słyszy skrót. Popularna nazwa wydziału kontroli wewnętrznej, Biuro Spraw Wewnętrznych, często wywoływała taki grymas na twarzy policjantów, którymi się zajmowałem. Mieli mnie za bezwzględne skurczybyka, nigdy między sobą nie mówili o mnie w inny sposób, jak „ten chuj Mokry” albo „ten mokry chuj”.

Wygląda na to, że zaczyna mnie kojarzyć z twarzy. Krążyły słuchy, że w niektórych komendach na terenie województwa funkcjonariusze wysyłają do siebie wizerunek mojej facjaty, żeby — jak to określali w mejlach — nie „uMoczyć na dupereli”.

— Już tam nie pracujesz.

— Myślisz, że nie mam tam nikogo, kto mógłby w odpowiedni sposób zająć się sprawą?

Milknie i zastanawia się, w jaki sposób wybrnąć z tego pata. Z pomocą przychodzi mu Wiktorii.

— Dobrze, że pan przyszedł — mówi do dzielnicowego, stając obok mnie. — Właśnie przed kilkoma minutami zrozumiałam, że muszę z panem porozmawiać.

— Tak? — Przez jego mordkę przebiega cień nadziei, którego nie próbuje nawet zamaskować.

— Tak. Chciałam powiedzieć, że wtedy to się sama uderzyłam. Tato nigdy nie tknął mnie nawet palcem.

Policjant jest wyraźnie zawiedziony. Spogląda to na dziewczynę, to na mnie.

— Pan miał z tą zmianą wersji coś wspólnego?

— Bynajmniej, ale nigdy nie wątpił, że pan Kamil Szykowiak nie podniósłby ręki na żadną ze swoich córek. Proszę, niech pan wejdzie. Razem sobie poczekamy na rodziców Wiktorii.

Robię miejsce w przejściu i szerokim, przesadnie grzecznym gestem zapraszam go do środka.

* * *

Siedzimy, prawie się do siebie nie odzywając. Dzielnicowy kręci się niespokojnie na fotelu i co chwila spogląda na zegarek. Wiki w zamyśleniu łyk po łyku sący przygotowaną przeze mnie wcześniej herbatę, a ja wkurzam się na samego siebie, że wspomniałem o swojej przeszłości temu typowi. Od czasu przeprowadzki do Rykowa czułem się w miarę anonimowo. Tylko Kamil i Mamaj wiedzieli o mojej przeszłości w BSW, teraz z pewnością rzecz ulegnie diametralnej zmianie. Z drugiej strony, reflektuję się, może to i lepiej. Dla dobra sprawy i zwiększenia szans na odnalezienie dziewczynek warto spróbować wszystkiego. Nie mam zastrzeżeń co do zaangażowania lokalnej policji w poszukiwania, niemniej jednak być może teraz, po upływie kilku dni i nagłośnieniu sprawy w mediach, trzeba będzie postawić na nogi policję w całym kraju, a może i nawet za granicą. Niewykluczone, że moje kontakty w wojewódzkiej będą pomocne, chociaż zdecydowanie wolałbym, aby do problemu każdego obywatela podchodzono z jednakową starannością, nie zważając na to, kogo konkretnie rzecz dotyczy.

— Nie mogę już dłużej czekać — odzywa się „Szczurza Morda”, po czym wstaje i sięga po teczkę, którą wcześniej niedbale rzucił na stół. — Inne obowiązki czekają.

Domyślam się, że z grubsza wiem, jak kombinuje — Wiktoria przejęła się relacją i w tej sytuacji postanowiła chronić ojca. Policjant ma nadzieję, że po jakimś czasie zmieni zdanie i wróci do wcześniejszej wersji, bo on akurat co do winy Kamila nie ma żadnych wątpliwości.

— Jeszcze chwilę pan poczeka — mówię. — Zaraz przecież powinni wrócić.

— Niestety, ale...

Słyszę kroki na schodach, on najwyraźniej też. Nasłuchuje, przekrzywiając głowę, i teraz jego podobieństwo do gryzonia jest jeszcze bardziej uderzające.

Mija może minuta do chwili, gdy Iza z Kamilem wchodzi do pokoju. Zauważają policjanta i witają się z nim. Nie mam wątpliwości, że mój przyjaciel darzy mundurowego mniej więcej taką samą sympatią jak ja. Patrzę na Wiktorię, a ta cały czas wodzi wzrokiem za ojcem, jakby nie mogąc się zdecydować na powiedzenie prawdy. Podejrzewam, że obawia się jego reakcji i wcale się temu nie dziwię. Nie popędzam jej jednak, ponieważ uznaję, że w tej sytuacji sama powinna się przełamać. Wreszcie wstaje i robi dwa niepewne kroki w stronę Kamila.

— Tato...?

Ten odwraca się w jej stronę i podnosi pytająco brwi.

— Powiedziałam już panu dzielnicowemu, jak było naprawdę. — Wiki mówi cicho, ale z determinacją. — Będiesz mi mógł kiedyś wybaczyć to, co zrobiłam...? Boże, jaka ja byłam głupia... — Spuszcza wzrok i zaczyna oglądać swoje pomalowane na czarno paznokcie. — Przepraszam, tatusiu... — dodaje szeptem.

Kamil patrzy na nią uważnie, a potem podchodzi do córki i ją obejmuje. Ona odwzajemnia uścisk i przywiera do ojca z całych sił.

— Już ci wybaczyłem, kochanie. Wiedziałem, że prędzej czy później zdecydujesz się na powiedzenie prawdy, bo masz zbyt dobre serce, żeby tkwić w czymś takim na dłuższą metę.

Ciałem dziewczyny wstrząsa szloch. Iza ze łzami w oczach przypatruje się tej scenie. Chwilę później podchodzi bliżej, a Kamil również ją otacza ramieniem. Cała trójka przez moment wygląda jak pełna, szczęśliwa

rodzina. Cieszę się, że chociaż na chwilę mogą zapomnieć o zniknięciu Oli i Julki, chociaż obawiam się, że najgorsze jeszcze przed nimi.

Policjant chrząka znacząco, próbując zwrócić na siebie uwagę.

— Mam wrażenie, że to nie takie proste... — mówi. — Są procedury, których nie można ot tak sobie przerwać. — Pstryka palcami, żebyśmy wszyscy dokładnie wiedzieli, w jaki sposób nie można przerwać procedur. — Przemoc w rodzinie to poważna sprawa, bardzo dbamy o to, by zdarzała się jak najrzadziej. Osobiście wcale nie mam pewności, że dziewczyna teraz właśnie mówi prawdę. Przecież w każdej chwili znowu może zmienić zdanie.

Wiktorია wymyka się z objęć, ociera łzy z policzków i idzie do swojego pokoju, by po chwili wrócić, trzymając w ręku swój smartfon. Przez moment czegoś w nim szuka, a zaraz potem podsuwa go pod nos policjantowi. Ten bez entuzjazmu spogląda na ekran.

— Na tym zdjęciu jest zakrwawiona umywalka — mówi dziewczyna. — To właśnie o nią, dokładnie w tym miejscu, o jej krawędź, rozbiłam sobie łuk brwiowy. Niech pan popatrzy na datę i godzinę zrobienia zdjęcia. Trzydziesty stycznia, zaraz po tym, gdy tato wyszedł z domu. — Wiktorია przesuwając palcem po szklanym ekranie. — A tutaj jest selfie w lustrze, zrobione minutę po tym pierwszym. Widzi pan, że nic mi nie jest, że jestem uśmiechnięta i bardzo zadowolona ze swojego wyczynu. Nawet podnoszę do zdjęcia kciuk na znak, że bardzo się sobie podobam z taką ociekającą krwią twarzą.

W pokoju zapada cisza. Wpatrujemy się w nieruchomą, pełną determinacji twarz Wiki. Chyba każde z nas, włącznie z policjantem o szczerzym pysku, ma ochotę zadać jej pytanie o to, dlaczego w takiej chwili robiła te zdjęcia... Iza podchodzi i bierze do ręki smartfon córki. Patrzy na ekran i z niedowierzaniem kręci głową. Wtedy odzywa się Kamil:

— Wiki, powiedziałem już przed chwilą, że ci wybaczyłem, ale... na Boga, możesz mi powiedzieć, po co robiłaś te zdjęcia?

— Byłam głupia, tato. Moje dwie przyjaciółki, które wtedy pojechały na ten koncert w styczniu, nie wierzyły mi, że mogę się na tobie zemścić. Musiałam mieć dowody, więc zrobiłam te zdjęcia. Bardzo tego żałuję i jeszcze raz bardzo cię za to przepraszam.

Wtedy odzywam się ja:

— Rzeczywiście, Wiki, zrobiłaś bardzo głupio. Ale dobrze, że wreszcie się do wszystkiego przyznałaś. Co do tych zdjęć, to akurat ma tu

zastosowanie przysłowie, które mówi, że „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Prawda, panie aspirancie?

Policjant wygląda na wyrwanego z głębokiego letargu.

— Co pan ma na myśli? — pyta.

— Oczywiście zaraz po całym zdarzeniu pokazywałaś te fotki tym dwóm koleżankom? — pytanie kieruję do Wiki.

— Tak, wujku, pokazywałam. Przysięgły mi, że nikomu nie zdradzą mojego sekretu, dopóki sama nie zrobię tego pierwsza.

— No to już wie pan, co ma robić — znów zwracam się do gliniarza.
— Jeśli one potwierdzą tę wersję, to chyba przestanie pan mieć jakiegokolwiek wątpliwości?

Mruczy coś pod nosem, ale z jego pewności siebie niewiele już pozostało.

Pytam Kamila, czy będę jeszcze jemu (lub im) potrzebny tego dnia. Mam wrażenie, że lepiej będzie, gdy tylko oni i policjant omówią raz jeszcze całą sprawę i zastanowią się, jak to wszystko sensownie zakończyć. Otrzymuję odpowiedź, że prawdopodobnie nie, więc żegnam się i wychodzę z pokoju. Wiem, że zaraz muszę zadzwonić do Mamaja.

Kiedy docieram do drzwi prowadzących na klatkę, dopada mnie Wiktor i bez słowa rzuca mi się na szyję. Nie wiem, co mam powiedzieć, więc po prostu głaszczę ją po włosach. A potem mówię, żeby się nie martwiła.

I że wszystko na pewno będzie dobrze.

* * *

Kiedy tylko znajduję się na zewnątrz, od razu wyjmuję telefon i próbuję połączyć się z Mamajem. Odbiera niemal natychmiast. Pytam go, czy jest gdzieś w okolicy rynku, a on odpowiada, że właśnie zjeżdża z poszukiwań i jeśli to ważne, to może być w centrum za jakieś dwie, trzy minuty. Umawiamy się przy fontannie, a ja wkładam telefon do kieszeni i od razu ruszam w tamtą stronę.

Układam sobie w głowie to, o czym powinienem z nim porozmawiać. Przede wszystkim chciałbym, aby użył swoich policyjnych kontaktów i w miarę możliwości sprawił, by „Szczurza Morda” jak najszybciej doprowadził do końca sprawę wymyślonego przez Wiki pobicia. Dzielnicowy wygląda na opornego i chodzącego własnymi ścieżkami, dlatego sędzę, że przypilnowanie, żeby koleżanki Wiktorii zostały jak najszybciej przesłuchane, byłoby nie od rzeczy. Ostatnie, co jest teraz

potrzebne Szykowiakom, to podejrzenia, że zniknięcie Oli i Julki może mieć coś wspólnego ze złym traktowaniem dzieci przez Kamila. Dziennikarz w telewizyjnej relacji udowodnił, że tego typu gadanie jest w miasteczku żywe i chyba dość popularne. Zamierzam też poprosić go o pomoc w jak najszybszym upublicznieniu wizerunków dziewczynek w lokalnych mediach. Warto byłoby też, żeby napisano, iż podejrzenia o pobicie Wiktorii okazały się ostatecznie bezpodstawne.

Wchodząc na rynek, kątem oka rejestruję znajomą twarz. Idący w przeciwną stronę mniej więcej czterdziestoparoletni facet mija mnie i odwzajemnia spojrzenie, ale chwilę potem ucieka wzrokiem. Przystaję, odwracam się i patrzę w ślad za nim. Mam dość dobrą pamięć do twarzy, ale teraz w głowie pustka. Niewykluczone, że spotkaliśmy się na jakimś policyjnym szkoleniu, ale musiało to być już dość dawno temu. W sumie jest bardzo prawdopodobne, że do miasta zostali ściągnięci funkcjonariusze z sąsiednich komend i niektórzy z nich monitorują Ryków po cywilnemu. Zastanawiam się, czy go nie zaczepić i zapytać, czy może on pamięta, skąd się znamy, ale ostatecznie dochodzę do wniosku, że mam teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Mamaj

I.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, gdy tylko dowiedziałem się, że dziewczynki zniknęły, było pytanie Kamila, dlaczego nie zadzwonił do mnie od razu, kiedy tylko zaczął się niepokoić o córki. Staliśmy wtedy wciąż na skraju rykowskiego parku, a mój przyjaciel ciągle wskazywał ręką widoczną w oddali pizzerię. Odparł, że próbował kilka razy, ale było zajęte. Zdałem sobie wtedy sprawę, że faktycznie tego dnia tuż przed telefonem od przyjaciela długo, chyba z półtorej godziny, rozmawialiśmy z Darią, a ja, ponieważ przywiązuję się do sprawdzonych i w miarę rozgryzionych przeze mnie w obsłudze aparatów telefonicznych, nie otrzymałem informacji, że ktoś próbuje się do mnie dodzwonić.

W następnej kolejności zadzwoniłem do Mamaja.

II.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy pierwszy raz go zobaczyłem.

To było w połowie listopada dwa tysiące jedenastego roku, a więc około dziesięciu dni po moich pierwszych odwiedzinach w mieszkaniu Szykowiaków. Miałem wtedy dzienną zmianę, ale skróconą do ośmiu godzin ze względu na konieczność wyrównania czasu pracy zgodnie z wymogami miesięcznego grafiku.

Po kilku paskudnych i słotnych dniach nadeszło coś, co można byłoby nazwać dogrywką po babim lecie. Na niebie ani jednej chmury, temperatura przekraczająca piętnaście stopni w cieniu, a więc aura idealnie sprzyjająca wyjęciu z piwnicy powieszzonego na haku i zakonserwowanego już z myślą o zbliżającej się zimie roweru.

Stałem właśnie w stróżówce, wpatrywałem się w bramę zakładu i odliczałem minuty do czternastej, planując jednocześnie popołudniową trasę po okolicznych, pozbawionych już wtedy liści, lasach, gdy w polu widzenia pojawił się on. Mierzący jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu facet w mundurze policjanta sunął wytrwale w kierunku drzwi wejściowych. Oszacowałem, że jest ode mnie starszy o jakieś pięć lat, i parę dni później, gdy prywatnie spotkaliśmy się na piwie w Camillo, miałem się dowiedzieć, że trafiłem idealnie, niemal co do miesiąca.

Nie wzrost jednak przykuł najbardziej moją uwagę, a charakterystyczna, pochylona do przodu sylwetka zwieńczona nieproporcjonalnie dużą głową. Wydawało się, że przesadna długość

kroków stawianych przez patykowate nogi wymuszona jest koniecznością nadążania za ciężącą ku przodowi łepetyną rozmiarów dorodnej dyni.

Z dużym zaciekawieniem obserwowałem zza szyby zbliżającego się chudzielca. Jakby dla utrzymania równowagi wymachiwał on w rytm marszu pękatą skórzaną teczką, która wyglądała tak, jakby ktoś dla żartu wypchał ją znalezionymi w rzece otoczkami. Specyficznego i bez wątpienia barwnego obrazu nieznanomego dopełniały przykrótkie spodnie, nieseęgające nawet do kostek (z pewnością na komendzie krążą opowieści o wodzie w jego piwnicy). Z czasem okazało się, że specyficzny bagaż podręczny i nadmiernie skrócone nogawki stanowią jego nieodłączne akcesoria. Kiedy zdarzyło mi się dwukrotnie spotkać Mamaja, gdy z żoną i dwójką dzieci szedł w niedzielę do kościoła bez tej swojej skórzanej torby z uszami, to wydawał mi się prawie nagi. Prawie, ponieważ przykrótkie spodnie zawsze niezawodnie były na swoim miejscu.

Gdy do drzwi wejściowych zostało mu nie więcej niż dziesięć metrów, zająłem swoje miejsce za kontuarem stróżówki i nieco zaintrygowany czekałem na rozwój wypadków.

Patykowaty funkcjonariusz wszedł do pomieszczenia, odruchowo się schylając, pomimo że do górnej części framugi zostało mu dobrych dwadzieścia centymetrów, a następnie stanął naprzeciw mnie i wykonał ruch przypominający opędzanie się od natrętnej muchy. Dopiero kiedy się odezwał, zrozumiałem, że to było salutowanie do służbowej czapki z daszkiem.

— Sierżant sztabowy Marian Majka z komendy miejskiej — oznajmił. — Jestem umówiony z panem prezesem w celu sparafrazowania kilku dokumentów w związku z kradzieżą okien, która nadarzyła się w okolicach wiosny.

Wiedziałem, o czym mówi jeśli chodzi o wspomniane przestępstwo, niemniej jednak owo „parafrazowanie” dało mi nieco do myślenia. Właśnie głównie wskutek tej kradzieży z maja właściciel fabryki postanowił wzmóc ochronę obiektu i postawił na monitoring oraz personel, który poradzi sobie z nowymi zadaniami. Ani szef, ani chyba nikt z pracowników nie mieli wątpliwości, że sprawców kradzieży kilkunastu okien z załadowanego już samochodu nie da się ustalić, ale policja musiała odstawić rytualny taniec. Coś mi mówi, że czekają z zamknięciem sprawy na koniec roku, żeby jeszcze w tym nie musieć wpisać w tabelki dodatkowego postępowania zakończonego umorzeniem sprawy.

— Był pan umówiony?

— Tak, owszem, oczywiście. Na wpół do czternastą.

Rzuciłem okiem na wiszący naprzeciw mnie zegar ścienny, po czym w myślach skonkludowałem, że może i sierżant sztabowy Majka wygląda dziwnie, wysławia się także nietuzinkowo, ale punktualności nie można mu odmówić. Wystukałem numer do sekretariatu, zapowiedziałem pani Alince wizytę policjanta, a następnie wpisałem jego nazwisko do ewidencji gości.

— Pan w jakich służbach pracował? — spytał, kiedy podawałem mu nieimienną przepustkę z napisem GOŚĆ. — O ile można spytać, oczywista...

— W policji, panie sierżancie.

— O, to tak jak ja — ucieszył się.

Skinąłem głową z lekkim uśmiechem, nie mogąc powstrzymać się od nienachalnego zlustrowania jego munduru od stóp do głów.

— Trafi pan, czy może wytłumaczyć, jak dotrzeć do biura szefa? — zapytałem.

— Nie, dziękuję, miałem okazję bawić tu już parę razy.

* * *

Tego dnia moim zmiennikiem był Janusz Przywara, który pojawił się w pracy pięć minut przed czternastą, dokładnie w tej samej chwili, gdy sierżant Majka opuszczał zakład. Praktycznie minęli się w drzwiach.

— Interesujący typ — rzekłem, zakładając kurtkę.

— Pierwszy raz miałeś z nim do czynienia? — Przywara rzadko się uśmiechał, ale tym razem wyszczerzył zęby, zadając pytanie, i jego zwykle ponura, kwadratowa twarz zmieniła się nie do poznania.

— Zgadza się.

— To słynny sierżant Mamaj, znany w Rykowie i okolicach.

— „Mamaj” to od pierwszych liter imienia i nazwiska?

Janusz zastanowił się chwilę.

— A wiesz, że chyba tak? Popatrz, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się nad tym zastanowić...

— Ale dlaczego jest znany? Ze względu na swój dziwaczny wygląd czy sposób mówienia? Dzisiaj na przykład przyszedł „parafrazować dokumenty”.

Tym razem Janusz roześmiał się w głos i zdarzyło mu się to pierwszy raz w mojej obecności.

— No tak, parafowanie to dość trudne słowo, cały Mamaj — powiedział, gdy już mu się udało opanować. — A z jakiego względu? Cóż, chyba trochę z jednego powodu i trochę z drugiego. Ale, wyobraź sobie, mówią, że wcale nie jest takim nieogarem, na jakiego wygląda.

W mojej policyjnej karierze napatrzyłem się na różne typy osobowości i jeden z nich — taki właśnie, który celowo prezentuje się światu, przełożonym oraz kolegom po fachu jako średnio rozgarnięty — wcale nie należał do rzadkości. Dostajesz wtedy łatwiejsze zadania do wykonania, nie musisz się za bardzo starać, ponieważ każdy i tak wie, że orłem nie jesteś i nigdy nim nie zostaniesz, a poza tym omija cię cała masa stresów związanych z ewentualnymi awansami. Przed półgodziną poznany Mamaj wyglądał na starszego ode mnie, a dochrapał się ledwie trzech krokiewek na pagonach, więc niewykluczone, że moje wnioski mogły być bliskie rzeczywistości.

Pożegnałem się z Januszem, wsiałem do swojej corolli i ruszyłem w stronę domu. Po przejechaniu jakichś dwustu metrów dostrzegłem za zakrętem sierżanta sztabowego Majkę, który tym swoim przedziwnym krokiem dzielnie zmierzał chodnikiem do centrum miasteczka. Do komendy miał jeszcze spory kawał drogi. Pomyślałem, że jeśli jego torba jest przynajmniej w połowie tak ciężka, jak wygląda, to wypada mu tylko współczuć. Zlitowałem się więc nad ciężkim losem policjanta i zahamowałem, proponując podwiezienie. Zgodził się chętnie, przez chwilę pomocował z siedzeniem pasażera, aby je odsunąć i wreszcie usiadł w pozycji niegrożącej tym, że sobie powybijają zęby kolanami.

— Dziękuję, panie kolego — wysapał. — Zabrałem się z patrolem w tamtą stronę, ale nie wiedziałem, ile mi zajmie robota, więc nie chciałem, żeby czekali.

— Jasna sprawa. Do komendy pana podrzucić?

Gwałtownym ruchem wyciągnął przed siebie swoją patykowatą lewą rękę (przez ułamek sekundy obawiałem się, że walnie nią w szybę), po czym zgiał ją równie gwałtownie i spojrzął na zegarek.

— Bo ja wiem...? Już po drugiej, więc to chyba się nie opłaca. Tylko przyjdę, żeby wyjść, no nie? — Spojrzął na mnie z ukosa.

— W sumie racja.

— A dokąd pan jedzie?

— Na Osiedle Solidarności.

— O, to po drodze ma pan moją chałupinę... Gdyby mnie pan nie podkablował, to urządziłbym sobie dzisiaj małą retardację.

— Zapewne chodzi panu o rejteradę? Niby dlaczego miałbym pana podkablować? Zresztą jakbym pana nie zgarnął, to do komendy zaszedłby pan pewnie akurat koło trzeciej.

Parę minut później zatrzymaliśmy się przy niewielkim murowanym domku jednorodzinny otoczonym przez zadbany, choć już w przeważającej części ogołocony z liści ogród. Jesiennym chłodom oparły się tylko iglaste krzewy posadzone po obu stronach chodnika prowadzącego pomiędzy skalniakiem a czarnymi już w listopadzie grządkami do drzwi wejściowych otynkowanego, lecz niepomalowanego budynku.

— Bardzo pan miły, dziękuję — rzekł Mamaj i rozpoczął dość długotrwały proces ewakuacji z samochodu.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparłem.

Kiedy poznaliśmy się lepiej, często śmialiśmy się ze zbiegu okoliczności, który sprawił, że były policjant z BSW pomaga funkcjonariuszowi „zretardować” z kilkudziesięciu ostatnich minut dniówki.

* * *

Tego samego dnia około piętnastej wyprowadziłem z piwnicy rower i ruszyłem w — jak się później okazało — ostatnią już tego roku trasę.

W połowie listopada słońce zachodzi około czwartej, ale tak naprawdę po słonecznym dniu ciemno robi się nawet prawie godzinę później, więc uznałem, że mogę się zmierzyć z czterdziestokilometrowym dystansem. Po wcześniejszej zaprawie średnia na poziomie dwudziestu kilometrów na godzinę nie była już dla mnie wielkim wyzwaniem; poza tym miałem przy rowerze światła z tyłu i z przodu, więc mogłem śmiało założyć, że najwyżej ostatnią część drogi pokonam już po zapadnięciu zmroku.

Zaplanowana trasa miała wieść obok zakładu ONZ, ale komplikacje spotkały mnie już po przejechaniu pierwszych kilkuset metrów. Z naprzeciwka jechała ciężarówka i dokładnie wtedy zaczęło mnie wyprzedzać czarne bmw przekraczające dozwoloną prędkość przynajmniej dwukrotnie. Krawężnik w tym miejscu był zbyt wysoki, żebym mógł bezpiecznie go pokonać, więc zbliżyłem się do niego tak blisko, jak tylko było to możliwe. Czarna osobówka niemal się o mnie otarła, wywołany przez nią podmuch powietrza zaburzył nieco moją równowagę, ale ostatecznie nic się nie stało, więc nacisnąłem na pedały.

Gdy warkot silników samochodowych niknął w oddali, usłyszałem dźwięk, za którym nie przepada żaden rowerzysta. Popatrzyłem najpierw na przednie koło, a potem na tylne i nie miałem wątpliwości — cichy syk wydobywał się z tego drugiego. Najprawdopodobniej tuż przy krawężniku leżało jakieś nieuprzątnięte szkło, na które najechałem. Zatrzymałem rower, zeskoczyłem z siodełka, jeszcze zanim powietrze zeszło całkowicie z dętki, a potem ze stoickim spokojem zwymyślałem półgłosem kierowcę czarnego bmw najbardziej wulgarnymi obelgami, jakie tylko znalazłem w swoim zasobie słów.

— A któż to się aż tak bardzo panu naraził, panie kolego?

Rozejrzałem się dookoła i dopiero wtedy dotarło do mnie, że złapałem kaptcia dokładnie na wysokości domu sierżanta sztabowego Majki.

— A, taki jeden z czarnej beemki, który zepchnął mnie do krawężnika — odpowiedziałem Mamajowi, który stał oparty na śmiesznie niskiej w stosunku do jego wzrostu siatce ogrodzeniowej. — Chyba złapałem przez niego gumę.

— A to cholernik jeden. Dawaj pan tu ten rower. Mój chłopak zaraz panu pomoże.

Po piętnastu minutach mój rower był gotowy do jazdy. Jak się okazało, Wojtek, czternastoletni wówczas syn Mamaja, był wielkim miłośnikiem jazdy na dwóch kółkach i zdjęcie koła, znalezienie dziury w dętce oraz jej zaklejenie nie stanowiło dla niego nawet najmniejszego problemu.

Tamtego dnia powziąłem dwa postanowienia. Pierwsze było takie, że nigdy więcej nie wybiorę się na rowerową wyprawę bez akcesoriów potrzebnych do naprawienia przebitej dętki. Druga obietnica dotyczyła tego, że w jakiś sposób postaram się zrewanżować zarówno starszemu, jak i młodszemu Majce. Kiedy miałem już wyjeżdżać z ich podwórza i wspominałem coś o zapłacie za pomoc, obaj w tej samej chwili zrobili takie miny, jakbym śmiertelnie obraził ich samych oraz ich przodków kilka pokoleń wstecz.

Wieczorem byłem im tym bardziej wdzięczny, ponieważ nie dość, że tego dnia udało mi się pokonać zaplanowaną trasę, to jeszcze w dodatku prognozy na kolejne dni zapowiadały koniec pięknej pogody, temperatury w okolicach zera i opady deszczu ze śniegiem.

* * *

Następnego dnia pojechałem do sklepu, w którym wcześniej kupiłem rower, by zaopatrzyć się w akcesoria niezbędne do naprawy przebitej dętki.

Miałem nadzieję, że prognozy pogody jednak się nie sprawdzą, więc chciałem uzupełnić wyposażenie jak najszybciej.

Gdy wyjmowałem portfel, pomyślałem o tym, że skoro syn Mamaja jest również miłośnikiem jazdy na dwóch kółkach, to ucieszyłby się z jakiegoś drobiazgu, który sprezentowałbym mu w dowód wdzięczności. Mój wybór padł na zgrabną latarkę ledową, dokładnie taką samą, jaką sam miałem zamontowaną przy kierownicy. Nie byłem tego do końca pewien, ale wydawało mi się, że Wojtek, gdy reperował mi koło, kilkakrotnie zezował w jej kierunku.

Kiedy wychodziłem ze sklepu i oglądałem dopiero co nabyte łątki do dętek, przyszło mi do głowy, że gdybym podczas spektakularnej wyprawy mającej pomóc mi rozliczyć się z własną przeszłością złapał gumę, to moja sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pomyślałem, dziękując opatrności, że przestrzegła mnie w czasie i miejscu do tego wręcz idealnym.

Nie musiałem długo czekać na to, by latarka trafiła do nowego właściciela. W drodze powrotnej, która prowadziła obok domu Majków, natknąłem się na wracającego ze szkoły Wojtkę. Był nieco zakłopotany upominkiem, ale ostatecznie przyjął go i okazało się, że wrażenie z poprzedniego dnia mnie nie myliło.

— To chyba taka sama jak pańska? — zapytał. — Moją poprzednią właśnie szlag... to znaczy, przepraszam, właśnie mi się zepsuła i zamierzałem sobie kupić nową.

— Tak, jest taka sama. No to w takim razie wszystko dobrze się złożyło. Podobnie, jak wczoraj z moją oponą.

— Racja. — Uśmiechnął się. — Super, bardzo dziękuję, chociaż tato może mnie obtańcować za to, że ją przyjąłem.

Miałem już na końcu języka, że tato nie musi o niczym wiedzieć, ale w porę się zreflektowałem. Żyjemy w dziwnych czasach, w których tego typu proste gesty mogą być rozumiane bardzo opacznie. Niemal obcy facet dający prezent nastoletniemu chłopakowi — nie trzeba mieć zbyt wybujałej wyobraźni, by to się mogło źle kojarzyć.

— Powiedz tacie, że po prostu nie chciałeś mi sprawić przykrości — powiedziałem więc i ruszyłem w stronę auta, by niepotrzebnie nie przedłużać tej rozmowy.

Tak więc z dobrym skutkiem zacząłem wdrażać w życie postanowienia poprzedniego dnia. Zastanawiałem się tylko, w jaki sposób mógłbym

odwdzięczyć się Mamajowi, ale tu pomógł mi czysty przypadek.

Kilka dni później spotkałem go nieopodal Camillo. Szedł zadumany, patrząc pod te swoje długie nogi i wymachując wielką teczką. Było kilkanaście minut po trzeciej, więc można było przypuszczać, że właśnie wraca z pracy.

— Dzień dobry, panie sierzancie — zagadnąłem, zatrzymując się jakieś trzy metry przed nim.

Podniósł głowę, zauważył mnie na swoim kursie, ale zanim przystanął, jakby z rozpędu zrobił jeszcze dwa kroki. Musiałem się lekko odsunąć, żeby nie oberwać jego torbą.

— A, witam, panie kolego. — Najpierw podniósł dłoń w geście powitania, a potem wyciągnął ją w moim kierunku.

Miał na sobie spodnie od munduru (oczywiście przykrótkie), pikowaną czarną kurtkę i wełnianą czapkę. Trochę padało, ale Mamaj jakby w ogóle nie zwracał na to uwagi.

— Co dobrego słyhać? — zapytał, gdy ściskaliśmy sobie ręce. — Żyje się jakoś?

— Jakoś się żyje, panie Majka. Bardzo się pan spieszy?

Jego powolny krok, który obserwowałem wcześniej, bynajmniej na to nie wskazywał, ale nie bardzo wiedziałem, w jaki inny sposób mógłbym zagać rozmowę, skoro formuła: „Żyje się jakoś?” została już wypowiedziana.

— Nie bardzo, a czemu?

— Kiedyś obiecałem sobie, że jakoś się panu zrewanżuję za pomoc przy kole, więc może zajrzałyby pan razem ze mną do pizzerii? Posiedzielibyśmy chwilę, zjedlibyśmy, może wypilibyśmy piwo... Ja oczywiście zapraszam.

— Właśnie miałem powiedzieć, że to był naprawdę drobiazg i niepotrzebnie zawraca pan sobie głowę. Ta latarka też niepotrzebnie. Zwłaszcza że wtedy podwiózł mnie pan do domu, więc w takim razie i ja jestem pana dłużnikiem.

— No to zrobmy tak, że ja postawię piwo panu, a pan mi, zgoda?

Zamaszystym gestem sprawdził godzinę na zegarku, a następnie wyjął z torby komórkę.

— W sumie może być, tylko zadzwonię do Elżbiety, znaczy do żony, że wrócę dzisiaj później. Może to i dobrze się składa, bo na obiad miały być dzisiaj leniwe. Panie, żebyś pan wiedział, jak ja nienawidzę leniwych...

* * *

Fakt, że Kamil i Mamaj znali się już wcześniej, zupełnie mnie nie zdziwił. Po prostu w niewielkich miastach znajdują się ze sobą prawie wszyscy miejscowi i przez tych parę ostatnich miesięcy zacząłem się już do tego przyzwyczajać.

Przypuszczałem, że jest to znajomość wywodząca się z kontaktów zawodowych (gliniarze czasem zamawiają pizzę lub wypytyują właścicieli lokali o to, czego nie wiedziałby nikt inny) lub ewentualnie Majka był kolegą zmarłego ojca Izy, który przecież pracował w policji. Okazało się jednak, że po prostu Wiktoria chodziła do jednej klasy z córką Mamaja, a jak wiadomo, rodzice dzieciaków z klas wczesnoszkolnych, chcąc nie chcąc, muszą czasem na siebie wpadać.

Kiedy po przywitaniu się z Szykowiakami zajmowaliśmy we dwóch miejsca przy stole, sądziłem, że to będzie pierwsze i ostatnie tego typu nasze spotkanie. Traktowałem je jako wypełnienie swojego wcześniejszego postanowienia i nic ponad to.

Jednakże losy mojej znajomości z przedziwnym, patykowatym gliniarzem potoczyły się zupełnie inaczej.

* * *

Tuż po naszym przybyciu Kamil dosiadł się do mnie i Mamaja, ale posiedział z nami ledwie chwilę, jakby z grzeczności, ponieważ ruch w pizzerii i zamówienia telefoniczne, których w porze obiadowej było sporo, nie pozwoliły mu na spędzenie z nami większej ilości czasu. Gdy zostaliśmy tylko we dwóch i czekaliśmy na zamówioną pizzę, przez moment zapadła chwila niezręcznego milczenia.

Już zacząłem się obawiać, że najbliższe minuty będą wyglądać podobnie, gdy Mamaj zapytał mnie o to, w jakim wydziale i gdzie służyłem, a wtedy moja odpowiedź, zwłaszcza w kontekście jego skróconej samowolnie służby, rozluźniła nieco atmosferę. Zaczęliśmy się wtedy dzielić własnymi doświadczeniami związanymi z pracą, co natychmiast poskutkowało standardowo, a więc nawiązaniem specyficznej więzi pomiędzy funkcjonariuszami tej samej formacji mundurowej. Charakterystyczny slang, te same problemy z absurdalnymi wytycznymi i upierdliwymi przełożonymi, sposoby na radzenie sobie z wymyślonymi przez teoretyków z ministerstwa założeniami rodem z kosmosu i kwestie związane z płacą, premiami oraz awansami — to wszystko w połączeniu z wlewaniem w gardła piwem (również w formie bruderszaftu) natychmiast

nas zbliżyło oraz sprawiło, że atmosfera stała się luźniejsza, można powiedzieć, że wręcz koleżeńska.

Moje przypuszczenia odnośnie do skrywanej świadomości inteligencji mojego rozmówcy zdawały się potwierdzać w stu procentach. Poza zabawnymi i z pewnością niezamierzonymi błędami językowymi, które mu się zdarzały niemal w każdym zdaniu, nie można mu było zarzucić ani braku poczucia humoru, ani błyskotliwości. Do tego wszystkiego, co odsłaniał przy każdym kolejnym spotkaniu coraz bardziej, był nieocenioną składnicą wiedzy na temat miasta i jego mieszkańców. Wprawdzie sam miał na temat Rykowa raczej nie najlepsze zdanie („Dziura w dupie świata”), to jednak chyba traktował swoją małą ojczyznę jak brzydkie, trochę niezbyt rozgarnięte i nieposłuszne dziecko, które się kocha trudną miłością, ale bez którego nie można wyobrazić sobie życia.

* * *

Relacje pomiędzy mną a Mamajem, pomimo postępującej w miarę kolejnych miesięcy, a później lat zażyłości, nigdy nawet nie zbliżyły się do przyjaźni podobnej do tej, która połączyła mnie z Kamilem. Spotykaliśmy się od czasu do czasu z Marianem, wypijaliśmy po parę piw, rozprawialiśmy i dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie, niemniej jednak zawsze pozostał dla mnie bliskim kolegą. Co ciekawe, te nasze męskie wypady wspierała z całego serca Elżbieta. Tak zawsze Mamaj mówił o swojej małżonce, co mnie niezwykle bawiło i zastanawiałem się, dlaczego swoich dzieci również nie określa niezdrobnionymi imionami. Pewnego razu nawet zapytałem, co tam słychać u Wojciecha i Zofii. Przez jakiś czas przypatrywał mi się podejrzliwie, a gdy wreszcie zrozumiał, że pytam o jego dzieci, ze stoickim spokojem odparł, że wszystko po staremu, nie rozumiejąc chyba mojej aluzji lub ewentualnie bardzo starannie takie zrozumienie maskując.

Elżbieta twierdziła, że dzięki tym spotkaniom jest szansa, aby jej mąż nie stał się starym kapciem, który halsuje tylko pomiędzy domem i komendą. Przez cały okres mieszkania w Rykowie aż do momentu zaginięcia dziewczynek, kiedy to parę razy wspólnie braliśmy udział w poszukiwaniach, widziałem żonę Mamaja dwa razy i to dokładnie w tych samych okolicznościach, gdy cała rodzina Majków wracała po niedzielnej mszy do domu, a ja wracałem z rowerowej wycieczki. Pierwsze spotkanie miało miejsce chyba w czerwcu dwa tysiące dwunastego roku i stwierdziłem wtedy, że jest właściwie przeciwieństwem osoby, którą sobie

wyobrażałem. Na pierwszy rzut oka była jakieś dziesięć lat młodsza od Mariana. Po księgowej pracującej w zakładzie komunalnym spodziewałem się osoby o przysadzistej sylwetce, ale nic bardziej błędnego — Elżbieta sprawiała wrażenie wysportowanej i mocno trzymającej apetyt w ryzach. No i miała śliczną, podobną trochę do Demi Moore, twarz.

Mamaj czasem mnie zaskakiwał, ale kiedy poznałem jego żonę, zrobił to zdecydowanie najbardziej skutecznie.

Kolejny raz spotkałem ich w październiku dwa tysiące czternastego roku. Wtedy już Wojtek był o pół głowy wyższy od ojca (jako siedemnastolatek mierzył chyba ze dwa metry), a dwunastoletnia wówczas Zosia zaczęła wyrastać na ładną i zgrabną panienkę. To był czas, kiedy w rodzinie Szykowiaków zaczęły się pierwsze problemy z wchodzącą w wiek dorastania Wiktorią i kontrast pomiędzy nimi a wciąż wspólnie chodzącą na niedzielną mszę rodziną Majków był wręcz uderzający.

Poznałem więc Mamaja na tyle, by wiedzieć, że pod niepozorną powierzchownością chudego i nieco zabawnego safandudy skrywa się mężczyzna zorganizowany i wiedzący dokąd zmierza. Dlatego gdy tylko Kamil powiedział mi o zniknięciu dziewczynek, natychmiast postanowiłem zadzwonić do Mariana, wiedząc, że jest osobą, która w tym momencie może być najbardziej pomocna.

III.

Podczas rozmowy telefonicznej zamieniliśmy ledwie kilka zdań, ale wystarczyły mi one, by zrozumieć, że sytuacja wygląda na bardzo poważną i przerażenie Kamila jest całkowicie uzasadnione.

Pierwsze czynności policji polegały na sprawdzeniu ulic Rykowa i miejsc, gdzie Julka i Ola mogły się zawieruszyć. Patrole bez jakichkolwiek efektów przeszukały w pierwszej kolejności dworzec autobusowy i galerię handlową. Funkcjonariusze, a później również cywilne osoby biorące udział w poszukiwaniach, mieli ze sobą powielone przez Mamaja zdjęcia dziewczynek otrzymane od Izy. Równocześnie skontaktowano się z jej bratem, również mieszkającym w Rykowie, z nadzieją, że to właśnie jego dzieci spotkały po drodze, a on zabrał je do swojego domu położonego na peryferiach miasta, nie informując o tym ich rodziców. Często miał w zwyczaju zapraszać Olę i Julkę, ponieważ jego dzieci były w podobnym wieku, a kiedyś już zgarnął je z ulicy, dopiero po fakcie powiadamiając o tym Izę. Wtedy bardzo ją tym zdenerwował, ale teraz wiele by dała, by ten scenariusz się powtórzył. Niestety, brat Izy tego

dnia w ogóle nie wychodził z domu, a o zniknięciu córek siostry dowiedział się od niej. Równocześnie błyskawicznie kontaktowano się z innymi rodzicami z prośbą o informację, czy może ich dzieci nie wiedzą czegoś o losie dziewczynek, ale tu również nie natrafiono na jakąkolwiek optymistyczną wieść.

Podziękowałem Mamajowi i poprosiłem, by dał mi znać, jeśli tylko dowie się czegoś nowego, po czym skończyliśmy rozmawiać. Kamil cały czas wpatrywał się w moją twarz z nadzieją, ale gdy włożyłem telefon z powrotem do kieszeni, tylko spuścił wzrok i nie odezwał się ani słowem.

* * *

Jeszcze przed zapadnięciem zmroku chyba w całym Rykowie nie było nikogo, kto nie wiedziałby o poszukiwaniach. Sprowadzono patrole policyjne z dwóch sąsiednich powiatów, które wraz z miejscowymi funkcjonariuszami, strażakami i cywilami chcącymi nieść pomoc przeczesywali nie tylko miasto, ale też okoliczne tereny, ze szczególnym uwzględnieniem płynącej przez miasto rzeki, której wody w dalszym biegu zasilają okoliczne łąki i łęgowe lasy.

Co jakiś czas w lokalnych i ogólnopolskich mediach podawane są informacje o zniknięciu dzieci. Widywałem tego typu komunikaty dziesiątki razy, jeszcze w czasie służby sam parę razy brałem udział w poszukiwaniach, ale dopiero te kolejne godziny i dni spędzone w towarzystwie Izy, Kamila i Wiktorii uświadomiły mi tak naprawdę, z czym muszą się zmierzyć rodziny zaginionych. Trudno było znieść obcowanie z tym żywym, wręcz namacalnie obecnym bólem, który emanował z każdego słowa i każdego gestu, z bólem w jednej chwili pobudzającym do działania, a zaraz potem paraliżującym lub powodującym przerażającą obojętność, wywołaną coraz to mniejszą nadzieją na szczęśliwy finał.

Byłem z nimi tak długo, jak tylko mogłem. W pracy szef poszedł mi na rękę i udzielił urlopu na tyle dni, ile to będzie konieczne. Wszyscy ochroniarze, z którymi pracowałem w ONZ, zrozumieli sytuację i nie dość, że bez szemrania zgodzili się na zmianę grafiku, to jeszcze w miarę możliwości uczestniczyli w akcji poszukiwawczej. Szczególnie oddany jej był Janusz Przywara, który zaangażował się w pomoc bez reszty. W środę, gdy spotkałem go przy komendzie policji, gdzie czekałem na Mamaja, powiedział:

— Zdziszek, niezależnie od tego, jak to się wszystko skończy, zawsze i niezależnie od okoliczności możesz na mnie liczyć. Mam nadzieję, że uda się nam dopaść tego skurwysyna.

Te słowa, o których miałem sobie jeszcze w przyszłości przypomnieć, były dla mnie wtedy dość znamienne, przede wszystkim dlatego, że jasno wskazywały na fakt, iż wśród osób zaangażowanych w poszukiwania zaczyna dominować pogląd wskazujący na porwanie, jako na najbardziej prawdopodobną przyczynę zniknięcia dziewczynek.

Początkowo Iza i Kamil nie chcieli w całą sprawę angażować mediów. Owszem, dziennikarze zaczęli węszyć w okolicy już w dniu zaginięcia, ale ponieważ policja ze względu na dobro śledztwa nabrała wody w usta, a Szykowiakowie również nie wyrażali zgody na oficjalne wystąpienia, to pracownicy mediów mogli przekazywać jedynie informacje zdobyte nieoficjalnymi kanałami.

Kiedy we wtorek dziesiątego marca można było z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że zniknięcie dziewczynek nie jest dziełem przypadku, policja zaczęła bardzo poważnie rozpatrywać tezę, że Julka i Ola zostały porwane dla okupu. Paradoksalnie rodzice dziewczynek w takim właśnie scenariuszu zaczęli upatrywać głównego źródła nadziei. Byli ludźmi powszechnie uważanymi za zamożnych, firma w dwa tysiące piętnastym roku działała bardzo prężnie, oprócz planowanej wcześniej pizzerii pod marką Isabella e Camillo, otwartej rok wcześniej w sąsiednim miasteczku, Iza i Kamil przejęli też bar zlokalizowany obok dworca autobusowego, a następnie zamienili go w bistro, którego znakiem rozpoznawczym był tradycyjny turecki kebab.

W mieście wielkości Rykova tego typu finansowego powodzenia nie można na dłuższą metę ukryć, więc całkiem prawdopodobne było, że ktoś uznał, iż Szykowiakom powodzi się aż nadto dobrze i swoim majątkiem powinni się podzielić. Długo musiałem namawiać Izę, by zgodziła się na zamontowanie w telefonach policyjnego nasłuchu. Była zdeterminowana, by ewentualnemu porywaczowi nie utrudniać życia i zapłacić kwotę, jakiej zażąda, gdy wreszcie zechce się odezwać.

Problem w tym, że od momentu zniknięcia dziewczynek nikt nie podjął próby skontaktowania się z ich rodzicami w sprawie okupu. Zakładano, że porywacz odezwie się najpóźniej w środę, dlatego też wreszcie została podjęta decyzja o wyemitowaniu w mediach apelu o pomoc i w ten właśnie

sposób Iza z Kamilem znaleźli się w nadawanej na żywo relacji z rykowskiego rynku.

* * *

Były jeszcze dwa aspekty, które sprawiały, że policji zależało na czwartkowym nagłośnieniu w mediach informacji o zniknięciu, a o których powiedział mi Mamaj, gdy na moją prośbę spotkaliśmy się w środowe popołudnie przed komendą policji.

Po pierwsze — chodziło o to, że zostały sprawdzone wszystkie możliwe kamery monitoringu w mieście i z tego sprawdzenia nie wynikało nic, co mogłoby posunąć sprawę śledztwa choćby o krok do przodu. Tak naprawdę kamer w miasteczku było tyle, co kot napłakał, przy czym żadna z nich nie była zlokalizowana przy ulicy, na której znajduje się Isabella e Camillo. W Rykowie monitoring prowadzony jest przede wszystkim przez współmieszkańców, którzy lubią wtykać nosy w nieswoje sprawy, a kamery zapisujące obraz znaleźć można ledwie w kilku miejscach — w rynku, w oddziałach banków, w galerii handlowej czy w okolicy ratusza. Policja dotarła do wszystkich możliwych materiałów już we wtorek rano, ale prócz kilku aut na obcych numerach, których kierowcy natychmiast zostali sprawdzeni, nie nagrało się nic wartościowego. Nie było też szans na odnalezienie dziewczynek dzięki logowaniu telefonu komórkowego do stacji BTS. Julka wprawdzie dostała już własną komórkę na pierwszą komunię, ale Kamil stwierdził, że będzie ją mogła nosić do szkoły dopiero gdy pójdzie do czwartej klasy. Tak więc nie było już nic do stracenia, śledztwo prowadzono pełną parą, a publikacja materiału o zaginionych dziewczynkach mogła tylko sprawie pomóc.

Była jeszcze jedna kwestia. Zauważyłem, że w poniedziałkowych poszukiwaniach brało mniej więcej o połowę cywilnych osób mniej niż dzień wcześniej. Nie bardzo potrafiłem to sobie wytłumaczyć, ale ostatecznie założyłem, że po prostu wielu mieszkańców zniechęciło się brakiem efektów w poniedziałek. Podczas środowego spotkania Mamaj zupełnie zmienił mój punkt widzenia.

— Dobrze, że chciałeś się ze mną zobaczyć, bo muszę ci coś powiedzieć — rzekł, gdy już zrelacjonował mi sprawę monitoringu. — Może jakoś uda ci się coś poradzić, żeby te informacje nie obtarły się o uszy Szykowiaków.

— Jeśli będziemy o tym wiedzieć tylko policja i ja, to nie ma obaw.

Marian pokręcił przecząco głową, w wyniku czego jego grzywka jak zwykle opadła na czoło. Poprawił ją roztargnionym gestem, mówiąc:

— No właśnie, że mówi o tym wiele osób.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

— Plotkują o czymś w Rykowie, a ty chcesz, żeby to nie dotarło do właścicieli jednej z najpopularniejszych knajp w mieście? Chyba masz mnie za cudotwórcę.

Rozłożył bezradnie ręce.

— To co ci mam powiedzieć? Jesteś z nimi blisko, prawie przez cały czas się nimi opiekujesz, pomagasz im, więc pomyślałem, że taka moja prośba może okazać się sukcesywna.

— No dobra, mogę się postarać, ale najpierw musisz mi wreszcie wyjaśnić, o co chodzi.

— Przejdźmy tam, trochę dalej, na ławkę, to ci wszystko powiem.

Przy chodniku prowadzącym do komendy stały pomalowane na niebiesko drewniane ławki, na których przysiedliśmy i wtedy Mamaj powiedział mi coś, w co do dzisiaj trudno mi uwierzyć.

Chodziło o plotki.

Pierwsza z nich, mniej istotna i z pewnością niemająca wpływu na mniejszą frekwencję podczas poszukiwań, mówiła o tym, że w pobliżu widziano niedawno grupę Cyganów w starych i rozklekotanych białych kamperach. Wiele osób z miasteczka twierdziło, że być może dziewczynki zostały porwane przez tych właśnie ludzi.

Druga plotka była powiązana z pierwszą, z tym że zostało do niej dołożone coś jeszcze...

Dwa tygodnie wcześniej nad brzegiem rzeki, jakieś dwa kilometry od granic Rykowa, znaleziono zwłoki mężczyzny, których dotąd nie udało się zidentyfikować. Mamaj potwierdził, że taka okoliczność miała miejsce, ale zaraz potem dodał, że ktoś w mieście rozpuścił plotkę, że ów nieboszczyk miał wycięte obie nerki.

— A miał? — zapytałem, przerywając narrację Majki.

— Nie miał. To znaczy nie miał wyciętych i był w komplecie. Ludzie to sobie doprawili, że ktoś go rznął po śmierci, chyba po to, żeby się straszyc nawzajem.

— No dobra, ale co to ma wspólnego z dziewczynkami?

— No bo ludzie twierdzą, że te nerki to ktoś wyciął na organy.

Przez chwilę patrzyłem na niego, kompletnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi, a z tyłu głowy miałem wielki kościelny instrument z niezliczoną liczbą piszczałek. Uchwycił moje zdziwione spojrzenie, bo natychmiast doprecyzował:

— No chodzi o to, że jemu wyrznęli, a komuś innemu wstawili.

— Ale że niby to nad rzeką zrobili?

— Mówię ci o plotkach. Wiesz, że ludzie wszystko potrafią wymyślić. W każdym razie jest taka plotka, że dziewczynki ktoś, a najpewniej Cyganie, porwał z przeznaczeniem na organy. Zwłaszcza że, jak opowiadają na mieście, dziecięce są bardzo w cenie...

Wstałem z ławki, zrobiłem po kilka kroków najpierw w jedną, a potem w drugą stronę i zatrzymałem się na wprost Mamaja.

— Co ty mi tu, Marian, pierdolisz za farmazony? Jakie, kurwa, wycinanie nerek? Co ci Cyganie niby w tych kamperach mają stoły operacyjne?!

Spojrzał na mnie jakby lekko urażony.

— Lepiej byłoby, gdybym ci tego nie mówił? Przecież wiesz, że to nie ja tak opiniuję. Też uważam to za głupotę, ale jeśli takie plotki doszłyby do Szykowiaków, to wiesz...

Usiadłem znów obok niego.

— Masz rację, stary, przepraszam. Tylko czasem mi się wydaje, że niektórym ludziom to by się naprawdę przydał nowy organ. Ten między uszami.

Kolejna rzecz, którą mi przekazał, jedynie utwierdziła mnie w tym przekonaniu.

Otóż okazało się, że coraz więcej osób w Rykowie zakłada, iż w zniknięciu dziewczynek maczało palce któreś z ich rodziców. U podstaw tego rodzaju plotek oczywiście leżała historia rzekomego pobicia Wiktorii przez Kamila. Mamaj mówił, że jego żona rozmawiała z jedną z sąsiadek i tamta była święcie przekonana o nie najlepiej układających się relacjach w rodzinie Szykowiaków. Ludzie natychmiast do całej sprawy zaczęli dorabiać niestworzone teorie — a to że Iza rozważa odejście od męża, ale boi się jego reakcji, czekając jeszcze na rozwój sytuacji, a to że Kamil zaczął wieczorami zaglądać do kieliszka. Mogłem osobiście potwierdzić, że to były bzdury wyssane z palca, ale niestety w Rykowie padały one na bardzo podatny grunt. Być może gdyby cała rzecz zdarzyła się w dużo większym mieście, to nikt nie wpadłby na pomysł snucia takich teorii, ale

to był niewielki Ryków, w którym takie rzeczy się nigdy nie zdarzały i łatwiej było uwierzyć, że u podstaw zniknięcia Julki i Oli leżą zwykłe rodzinne nieporozumienia, jakich jest pod dostatkiem nawet w najmniejszych miejscowościach.

Małomiasteczkowy wieloosobowy organizm na podstawie posiadanych przez siebie i łatwo przyswajalnych danych wydał werdykt: stało się to, co w zaistniałych okolicznościach jest najbardziej prawdopodobne, więc po cóż wtrącać się w rodzinne życie Szykowiaków i zawracać sobie głowę poszukiwaniem dzieci, które i tak prawdopodobnie są całe i zdrowe.

Dowodem jakoby potwierdzającym tę teorię w oczach sądu złożonego z tysięcy ławników było to, że ani Iza, ani Kamil nie palą się zbytnio do nagłaśniania całej sprawy. W tej sytuacji, znając życie i ludzką mentalność, policja zdecydowanie zalecała rozpoczęcie szeroko zakrojonych poszukiwań na terenie całej Polski z jednoczesnym włączeniem w nie wszelkich możliwych mediów.

Dobrze się stało, że Mamaj wtedy mi o tym wszystkim powiedział. Nie dlatego, że mogłem w jakikolwiek sposób ochronić Izę i Kamila przed plotkami, ponieważ dotarły one do ich uszu jeszcze tego samego dnia wieczorem. Przede wszystkim uczyłem się wciąż miasta i jego reakcji, a taka wiedza mogła mi się jeszcze w tej całej sytuacji przydać.

Co do niezidentyfikowanego mężczyzny, którego ciało znaleziono nad rzeką, to nigdy nie udało się ustalić jego tożsamości i po jakimś czasie spoczął on na cmentarzu w Rykowie Górnym, w mogile oznaczonej tabliczką z napisem: NN MĘŻCZYŻNA.

Wraz z upływem dni zaczynały milknąć plotki o Cyganach, organach, życiu prywatnym Szykowiaków i teorii odnośnie do miejsca przebywania dziewczynek. I tak aż do momentu, kiedy w mieszkaniu należącym do Mieczysława Zbieńskiego ujawniono rozkładające się zwłoki jego trzydziestodwuletniej sąsiadki. Leżała na tym samym łóżku, na którym w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku zmarł uderzony przez ojca Adrian, a w przedniej kieszeni spodni miała zawinięty w srebrną aluminiową folię palec serdeczny, który według lekarza sądowego został odcięty liczącemu około dziesięciu lat dziecku.

12 marca 2015 (czwartek)

Mijam witryny sklepów zlokalizowanych na zachodniej pierzei ryneczku. Dochodzę do niewielkiej kawiarenki i przez witrynę zauważam w znajdującym się w niej telewizorze zdjęcia córek Kamila. Dobrze, że przynajmniej teraz się ten dziennikarzyna zreflektował i wreszcie wizerunki dziewczynek dotrą do widzów w całej Polsce. Nie wiadomo, kto jest porywaczem, ale już to, że ktoś z oglądających program może rozpoznać Olę lub Julkę, daje większe szanse na ich odnalezienie. Dodatkowo, o ile przestępca ogląda program, to nagłośnienie poszukiwań może wywołać u niego jakieś nerwowe ruchy, dzięki którym łatwiej będzie policji wpaść na właściwy trop.

Przechodzę przez ulicę i zmierzam w stronę fontanny. Po mojej prawej widzę jakiś tłumek, a gdy przyglądam się mu uważniej, okazuje się, że to kilkunastu gapiów oraz ekipa telewizyjna, która właśnie składa swój sprzęt i szykuje się do wyjazdu. Zdaję sobie sprawę, że dobrze byłoby tam podejść i powiedzieć redaktorowi parę „ciepłych” słów, ale wcześniejsza irytacja już mi przeszła, więc daję sobie spokój.

Stając przy fontannie, zauważam, że jeszcze nie została uruchomiona po zimowej przerwie, co, biorąc pod uwagę ostatnie słoneczne i ciepłe dni, jest dość dziwne. Drzewa w rynku mają już nabrzmiałe pąki, wśród gałęzi rozrabia podniecone przedwiosennym czasem ptactwo. Szmer wody doskonale pasowałby do takiej pogodnej scenerii. I wtedy przypominam sobie o Julce i Oli, z przerażeniem stwierdzając, że one mogą tego wszystkiego już nigdy nie zobaczyć. Pamiętam, jak zeszłego lata bawiły się wodą z fontanny dokładnie w miejscu, w którym stoję i czuję, że nagle robi mi się przeraźliwie zimno.

Rozglądam się za jakąś ławką, na której mógłbym poczekać na Mamaja, ale on zmierza właśnie w moją stronę tym swoim przedziwnym szczudłowatym marszem, wymachując nieodłączną teczką.

— W tym całym gównie, w którym się znaleźliśmy, jest chociaż jedna dobra wiadomość — mówię, ściskając mu dłoń i zastanawiając się, czy w poszukiwaniach również cały czas towarzyszy mu czarna torba.

Nawet nie pytam o wyniki akcji, bo są one wymalowane na jego zmęczonej i smutnej twarzy. Opowiadam mu o ostatnich wydarzeniach w mieszkaniu Szykowiaków. Gdy dochodzę do momentu, w którym Wiktoria przyznaje się do mistyfikacji, Mamaj krzywi się lekko i kiwa

łepetyną, z miną świadczącą o tym, że taki właśnie bieg wydarzeń zakładał. Nie komentuje jednak zachowania dziewczyny ani słowem, co wzbudza we mnie niemały podziw.

* * *

Mniej więcej od października zaczął się trochę wymigiwać od naszych tradycyjnych już spotkań. Ciągłe tylko wymyślał jakieś mało wiarygodne wymówki; doszło nawet do tego, że zapytałem go przez telefon, czy przypadkiem ostatnio nie powiedziałem czegoś, co go uraziło. Zapewnił, że absolutnie nie o to chodzi. Nie miałem powodu, by mu nie wierzyć, ale zależało mi na tym, by poznać powody jego dziwnego zachowania, więc dość namolnie namawiałem go na wspólny wypad. Wreszcie się zgodził, ale na miejsce spotkania zaproponował restaurację Weselna, położoną niedaleko miejskiego szpitala.

Byłem w niej wcześniej ze trzy razy, ale niespecjalnie mi się podobał biało-złoty renesansowy wystrój, gipsowe cherubiny na stolikach oraz fakt, że zawsze tam włączony jest telewizor z kanałem muzycznym nadającym popową sieczkę, której trudno jest słuchać, a którą jeszcze trudniej przekrzyczeć. Niemniej jednak w zaistniałych okolicznościach bez szemrania przystałem na to miejsce.

Gdy się spotkaliśmy, zachowywał się całkiem naturalnie, dokładnie tak, jak zawsze w podobnych okolicznościach. Już przy pierwszym piwie ponowiłem pytanie o powód, dla którego unikał ostatnio mojego towarzystwa. Po raz kolejny zaprzeczył, by w ogóle to miało ze mną jakikolwiek związek, i wywinął się od odpowiedzi. Przy trzeciej kolejce przyznał, że powodem był Kamil, a dokładnie rzecz biorąc — jego najstarsza córka.

— Wiesz, Zdzisław, to byłoby dla mnie krępujące — mówił wtedy. — Niby nic do niego nie mam, bo przecież to nie on, a Wiktoria w towarzystwie koleżanek przyfajansowała się do mojej Zośki i zwyzywała ją od głupich wieśniar, trochę poszarpała i wyśmiała jej staromodne ubrania. Faktem autentycznym jest, że mamy mniej pieniędzy od Szykowiaków i nie możemy wydać tyle na rzeczy dla dzieci, ale jeśli dziewczyna w tym wieku nie jest wychowana na tyle dobrze, by zachowywać się należnie, to też jest trochę wina rodziców, co nie? Przecież jeszcze niedawno czasami spotykały się po szkole, a teraz nagle jakaś taka sytuacja przykra się zrobiła. I to nie chodzi o to, że Zośka coś sobie zmyśliła. Byliśmy razem, ja, Kamil i obie dziewczynki, u wychowawczyni,

Wiki potwierdziła wersję, niby przeprosiła, ale sam rozumiesz, że żal jakiś trochę pozostał. Nie lubię takich akcji i wolałbym, żeby trochę to wszystko wróciło na szerokie tory.

Kamil nic mi wcześniej nie mówił o tych zdarzeniach z córką Mamaja, co mnie trochę zdziwiło, ale ostatecznie nie bardzo było się przecież czym chwalić. Ja z kolei nie opowiadałem mu do tej pory o kłopotach, jakie zaczynają mieć Szykowiakowie z Wiktorią, więc Marian miał powody sądzić, że rodzice pozwalają dziewczynie na wszystko, na co tylko będzie miała ochotę.

To spotkanie z Majką w restauracji Weselna pozwoliło umieścić szkolną awanturę we właściwym kontekście i następnym razem znów spotkaliśmy się w Camillo, a obaj ojcowie skorzystali z okazji, by załagodzić wzajemne relacje. Z tego, co mi było wiadomo, ich córki nie poszły ich śladem.

* * *

Całą rozmowę odbywamy na stojąco przy fontannie. Na zakończenie Mamaj potwierdza, że dla dobra Szykowiaków trzeba możliwie najbardziej skutecznie nagłośnić prawdę o postępku Wiktorii. Ma mieszane uczucia, ale z pewnością nie widać po nim satysfakcji, że przeciwniczka jego córki będzie miała kolejną brudną plamę na życiorysie. To nie w stylu Mariana, któremu obce są tego typu niskie uczucia i pewnie byłby pierwszym, który wyciągnąłby dłoń do Wiki, gdyby tylko była taka możliwość. Teraz jednak należy zachować się inaczej. Obaj nie mamy co do tego żadnych wątpliwości.

Gdy się rozstajemy, Mamaj mówi, że jeszcze teraz pójdzie na komendę i spróbuje skontaktować się z dzielnicowym o szczerzej mordzie (mówi, że wie, kto zajmuje się Niebieską Kartą Szykowiaka, ale gdyby nie to i tak zorientowałby się po moim opisie), ja natomiast deklaruję, że spróbuję się skontaktować z redaktorem miejscowej gazety, którego numer otrzymuję od Majki.

Planujemy i wdramy w życie działania, które nie są już w sposób oczywisty związane z poszukiwaniami. Chyba obaj mamy wrażenie, że szanse na ich szczęśliwe zakończenie maleją z każdą minutą.

* * *

Siadam na ławce nieopodal fontanny i wybieram numer do Kamila. Najpierw pytam, czy będą mnie jeszcze tego dnia potrzebować. Po zapewnieniu, że dadzą jakoś radę, proponuję nawiązanie kontaktu z gazetą i opisanie wszystkiego ze szczegółami. Kamil konsultuje rzecz

z córką i oboje się zgadzają. Na zakończenie mówię, żeby się jakoś trzymali; bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Potem dzwonię do dziennikarza, który najpierw waha się, czy takie publiczne pranie brudów pomiędzy córką i ojcem w rzeczywistości jest dobrym pomysłem (to wystarcza, bym już poczuł do niego sympatię). Przekonuję go, że to dla dobra zaginionych dziewczynek, i wreszcie się zgadza. Podaję numer do Kamila i się rozłączam.

Dzwonię jeszcze do Darii. W czasie krótkiej rozmowy opowiadam, co się dziś wydarzyło i informuję, że mimo jej prośby nie odwiedzę jej tego wieczoru. Mówię, że padam z nóg, i taka jest prawda. Na „do widzenia” Daria mówi mi, że mnie kocha, a ja odwdzięczam się tym samym.

Wlokę się w stronę domu, ale nagle zmieniam zdanie i ruszam w stronę rzeki, żeby jeszcze przed zmrokiem się porozglądać. Czego mam zamiar szukać? Wszystko jedno — wstążeczki, bucika, zgubionego zeszytu. Wiem, że przecież teraz nie wytrzymałbym w czterech ścianach.

W mieszkaniu zjawiam się, gdy jest już całkiem ciemno. Powinienem coś zjeść, ale zdaję sobie sprawę, że nie dałbym rady przełknąć nawet kęsa. Biorę prysznic i kładę się do łóżka, bo przecież jutro też trzeba coś robić, żeby nie zwariować.

Kiedy zasypiam, śnią mi się tylko koszmary.

INTERLUDIUM

**13 marca 2015 (piątek)—20 marca
2015 (piątek)**

Budzę się trzynastego marca o szóstej i natychmiast sprawdzam komórkę.

Mam zwyczaj, że zawsze wyciszam ją na noc, ale od zaginięcia dziewczynek dzwonek i sygnał SMS-a ustawione są na maksymalną głośność. Wydaje mi się, że gdyby ktoś próbował się do mnie dodzwonić, to na pewno bym usłyszał, ale pełne krwi i łez mary senne wciągnęły mnie tak mocno w swoje objęcia, że niczego nie jestem już do końca pewien.

Nic. Żadnego połączenia, brak wiadomości.

Próbuję się uspokoić, że to może jeszcze za wcześnie, przecież materiał o zaginięciu dziewczynek został nadany ledwie nieco ponad dziesięć godzin temu.

Opuszczam stopy na podłogę i zastanawiam się nad planami na kolejny dzień poszukiwań, z przerażeniem stwierdzając, że tak naprawdę sensowne wydaje się tylko bezczynne, bierne czekanie. Przecież Ryków i okolice przez ostatnie dni zostały dokumentnie przetrząśnięte.

Wstaję, przechodzę do dużego pokoju, włączam telewizor i szukam kanału informacyjnego. Trwają akurat wiadomości, w których nadawane są fragmenty wczorajszego materiału z Rykowa. News jest poprzycinany i występuje w nim tylko rozedrgany dziennikarz i rzeczowy gliniarz. Na koniec emitowane są prośby o pomoc i plansze z wizerunkami dziewczynek wraz z numerami telefonów. Następuje zmiana tematu, a ja włączam komputer i przeglądam najpopularniejsze portale internetowe. Prawie na wszystkich znajduję informację o Julce i Oli.

Później wychodzę na balkon i biorę kilka głębokich wdechów. Pomimo wczesnej pory powietrze nie jest zbyt chłodne. Wkładam dres i schodzę do piwnicy, żeby wyjąć rower.

Jadę w stronę rzeki, upewniając się wcześniej, czy zabrałem ze sobą komórkę. Tracąc poczucie czasu, penetruję pobocza dróg i nawet najwęższe ścieżki. Czasem przystaję, by wejść głębiej w las lub w łąn nastroszonych po ubiegłorocznej jesieni nawłoci i suchych traw, których w zimowych miesiącach nie zdołały przydusić symboliczne opady śniegu. Przeciskam

się pośród zieleniejących z wolna nadrzecznych krzewów. Zdaję sobie sprawę, że moje poszukiwania właściwie nie mają sensu, ale nie wyobrażam sobie, że mógłbym beczynnienie siedzieć w mieszkaniu.

Podczas drogi powrotnej dziwię się, że dochodzi już jedenasta. Licznik wskazuje trzydzieści sześć przejechanych kilometrów, ale nie czuję zmęczenia. W domu biorę szybki prysznic i dzwonię do Darii.

Już we wtorek rozmawialiśmy, że jeśli, nie daj Boże, poszukiwania przez dłuższy czas nie będą przynosiły rezultatów, to chyba dobrze, jeśli będziemy u Szykowiaków oboje. Stanowimy zgraną paczkę dwóch par przyjaciół, dziewczynki mają świetny kontakt z Darią, a teraz jestem pewien, że kobieca obecność będzie bardzo potrzebna i Izie, i Wiktorii. Tak naprawdę poza nami nie mają właściwie nikogo. Iza nie dogaduje się zbyt dobrze z bratem, nastawianym przeciw niej przez szwagierkę, najprawdopodobniej z powodu zazdrości, Kamil rodzeństwa nie ma, a jego rodzice, podobnie jak jego żony, już nie żyją.

Daria mówi, że kończy dziś lekcje kwadrans po czternastej, więc umawiam się z nią pod szkołą, w której uczy angielskiego. Popołudnie spędzamy razem, a Darka z pomocą Wiktorii przygotowuje obiad z tego, co zostało się w lodówce. Żadne z nas nie ma apetytu, ale wszyscy zmuszamy się, żeby przełknąć przynajmniej po kilka łyżek zupy pomidorowej, a później trochę znalezionej w zamrażalniku kurczaka z ryżem i warzywami.

Na osiemną idziemy do kościoła. Ani rodzina Szykowiaków, ani my z Darią nie jesteśmy zbyt religijni i na mszy ostatnio byliśmy podczas pierwszej komunii Julki. Po nabożeństwie Kamil i Iza zamawiają nabożeństwo w intencji szczęśliwego odnalezienia córek. Chyba wszyscy jesteśmy jednakowo przerażeni faktem, że modlitwa to tak naprawdę jedyne, co nam pozostało.

* * *

Niewiele brakuje mi już do pięćdziesiątki, ale nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tym, co czują bliscy zaginionych osób, jak wygląda ich życie, o czym rozmawiają, o czym myślą w takiej sytuacji. Zarówno były zawód, jak i środki masowego przekazu dostarczały mi informacji na temat zniknięć wielu osób, ale dopiero teraz, gdy zaprzyjaźnione osoby dotknęło to bezpośrednio, rozumiem, jak wielki jest to koszmar.

Kolejne dni są niemal bliźniaczo podobne do piątku trzynastego marca. Rano sprawdzam telefon i media, później wyjeżdżam rowerem z domu

i toczę swój syzyfowy kamień w górę tylko po to, by nie zwariować.

Popołudnia spędzam z pomniejszoną o dwie osoby rodziną Szykowiaków i Darią. Czasem dzwonię do Mamaja, ale nie ma on żadnych nowych informacji. Zapewnia tylko, że policjanci nie ustają w poszukiwaniach. Dwa razy kontaktuję się z Andrzejem Gierczakiem, który wciąż zajmuje moje stanowisko w komendzie wojewódzkiej. Za pierwszym razem, w poniedziałek, chcę, żeby dowiedział się o tym, że sprawa, o której teraz mówi już cała Polska, dotyczy mnie osobiście. On obiecuje dowiedzieć się czegoś więcej, z nadzieją, że z perspektywy policji w Mieście Wojewódzkim będzie można jakoś inaczej spojrzeć na intensywność działań. Obiecuje mi, że odezwie się, gdy tylko będzie miał dla mnie jakieś wieści. W czwartek nie wytrzymuję i dzwonię raz jeszcze. Przeprasza, mówi, że mu przykro, ale procedury działają zgodnie z założeniami, ludzie w terenie dostają zajoba na punkcie tych poszukiwań, ale nie ma nawet najdrobniejszego śladu ani cienia nadziei, że są szanse na jakikolwiek przełom.

Wyraźnie zauważalna zmiana w ciągu tygodnia dotyczy jednej kwestii, takiej mianowicie, że co rano w mediach jest coraz mniej informacji o prowadzonych poszukiwaniach. Media muszą znajdować wciąż nowe tematy, nadpobudliwego redaktora widzę od czasu do czasu w akcji, gdy z jednakowym zacięciem emocjonuje się innymi zagadnieniami. Wreszcie w piątek rano nie ma już wśród newsów telewizyjnych i internetowych nawet najmniejszej wzmianki o akcji poszukiwawczej.

W piątek wieczorem Kamil mówi do Wiktorii, że od poniedziałku musi wrócić do szkoły. Rozmowa w lokalnej gazecie ukazała się we wtorek i — jak twierdzi Mamaj — miasteczko znów przychylniej patrzy na rodzinę Szykowiaków, zaczynając łączyć się z nimi w bólu.

„Wiki, chyba powinnaś w poniedziałek wrócić do szkoły” — te słowa mrożą mi serce, bo chyba trudno w łatwiejszy sposób uzmysłwić zarówno córce, jak pozostałym osobom znajdującym się teraz w pokoju, że to chyba już koniec, że życie po prostu musi się toczyć dalej.

— Jak mam się tam teraz pokazać po tym wszystkim? Po tym wywiadzie w gazecie... i w ogóle, jak sobie to wyobrażasz, że będę teraz normalnie chodziła do szkoły, uczyła się do sprawdzianów i odrabiała lekcje? — Dziewczyna oponuje, ale niezbyt gwałtownie. Najwidoczniej jest już na tyle dojrzała, by rozumieć, że tak na dobrą sprawę trudno znaleźć jakieś inne, bardziej sensowne rozwiązanie.

— Tak sobie mniej więcej to wyobrażam — odpowiada Kamil i spuszcza wzrok. — Trzeba jakoś żyć, kochanie...

Nie pora jeszcze na to, by myśleć o tym, co z pizzeriami i kebab-barem. Na razie wszystko stoi zamknięte, ale ta krótka rozmowa pomiędzy ojcem a córką uświadamia mi, że trudne decyzje również przed Izą i Kamilem. Wtedy też, po raz pierwszy od zaginięcia dziewczynek, myślę o wznowieniu pracy w ONZ.

Tego samego dnia kładę się do łóżka kilka minut po dwudziestej trzeciej. Może przez kwadrans gapię się w sufit, postanawiając, że jeśli nic się nie zmieni, to w poniedziałek pojedę do firmy i jakoś spróbuję wpassować się w grafik.

„Jeśli nic się nie zmieni... Jeśli nic się nie zmieni...” — dudni mi pod czaszką, a potem odpływam w swoje koszmary.

* * *

Dźwięk telefonicznego dzwonka nieomal rozsadza mi głowę. Półprzytomny siadam na łóżku, rozpaczliwie próbując uporządkować myśli. Wydaje mi się, że spałem całą noc, ale elektroniczne cyfry na wyświetlaczu budzika informują, że przysnąłem ledwie na jakieś dwadzieścia minut.

Za dziesięć północ, kto może chcieć ode mnie czegoś o tej godzinie?

Sięgam po komórkę i patrzę na wyświetlacz. Mamaj.

Serce wali mi jak młotem, ale teraz jeszcze przyspiesza.

— Tak, słucham?

— Cześć, Zdzisław, tu Marian. — Jego głos jest zmieniony, niemal nie do poznania.

— Cześć.

— Jesteś na chodzie? Możesz przyjechać?

— Wiesz coś o dziewczynkach? — pytam i słyszę, jak krew zaczyna mi szumieć w uszach. — Znalazły się? Macie jakiś ślad?

Przez dłuższą chwilę Mamaj milczy, ale wreszcie mówi:

— To nie takie proste. Możesz przyjechać?

— Mogę. Dokąd?

— Na Pierwszego Maja. Będę na ciebie czekał na ulicy.

Rozłączamy się, a ja aż cały drżę z emocji. Wrzucam na siebie byle co i wybiegam do samochodu. Nie znam zbyt dobrze Rykowa, bo nie miałem potrzeby szczegółowo zapoznawać się z jego topografią, ale ulicę 1 Maja znam doskonale. To właśnie w stojącej przy niej kamienicy w tysiąc

dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku został przez ojca zabity Adrian Zbieński. Swego czasu nie mogłem się powstrzymać przed tym, by się tamtędy przejść i zobaczyć, jak wygląda miejsce, w którym zmieniły się losy mojego przyjaciela.

Julka

I.

Zarówno Iza, jak i Kamil starali się nie faworyzować żadnej z córek i wszystkie trzy w miarę możliwości traktować jednakowo. Zauważyłem jednak, mniej więcej po dwóch latach naszej znajomości, że obojgu przychodziło to z coraz większym trudem.

Wiktorija była najstarsza i to trochę stawiało ją na przegranej pozycji wobec dwóch młodszych sióstr. Chyba zupełnie podświadomie rodzice traktowali ją jako osobę półdorosłą, jako dziewczynę, która powinna wiedzieć, rozumieć i czuć o wiele więcej niż zaledwie o kilka lat młodsze Julka i Ola. Niewykluczone, że stąd właśnie brało się to jej przywiązanie do mnie, który, w przeciwieństwie do rodziców, starałem się z jednej strony podchodzić do niej po partnersku, a z drugiej — nie wymagać zbyt wiele od jej postrzegania świata, pamiętając, że wciąż przecież mam do czynienia z dzieckiem, wchodzącym dopiero w okres dojrzewania. Ponieważ jednak wujek Zdziszek był przy Wiki jedynie od czasu do czasu, a rodzice właściwie prawie na okrągło, to całkiem prawdopodobne jest, że ten wczesnomłodzieńczy bunt najstarszej córki Szykowiaków wziął się właśnie z tego traktowania jej w sposób nazbyt wymagający w porównaniu z dwiema pozostałymi dziewczynkami. Kto wie, może podświadomie chciała dać im do zrozumienia, że skoro zaczyna mieć obowiązki takie, jak ktoś prawie pełnoletni, to powinno też pociągać za sobą określone prawa. Mogła myśleć: „Skoro jestem na tyle duża, żeby zaopiekować się młodszymi siostrami, to przecież nic się stanie, jeśli będę miała trochę więcej swobody niż one?”. Tego jednak Iza i Kamil zdawali się nie dostrzegać. Miałem nawet zamiar o tym porozmawiać z przyjacielem, gdy wyniknęła afera z koncertem, ale chyba wahałem się zbyt długo, rozważając, czy w ogóle powinienem mieszać się w tak delikatne sprawy rodzinne. Dodatkowo, wtedy właśnie z Darią przeżywaliśmy tak niezwykły rozkwit związku, że chyba po prostu nie miałem do tego głowy. Z perspektywy czasu człowiek wie, że w określonej sytuacji powinien zachować się inaczej, ale przecież nikt z nas nie jest jasnowidzem. Potem pojawiło się to całe rzekome pobicie i na jakiegokolwiek rady w obliczu otwartej wojny ojca z córką było już za późno.

Nie chodzi o to, że chciałbym w jakikolwiek sposób usprawiedliwić zachowanie Wiktorii, ale przyznać trzeba, że w pewnym momencie jej

rodzice chyba przekroczyli swego rodzaju cienką linię i pozostawili dziewczynę niejako na bocznym torze.

Przeciwieństwa podobno przyciągają się jeśli chodzi o łączących się w pary ludzi, jednak w przypadku relacji rodzic—dziecko ta zasada sprawdza się chyba dość miernie. Przynajmniej tak właśnie było w rodzinie Szykowiaków.

Kamil, mimo swej widocznej na pierwszy rzut oka i rozpierającej go energii, w bliższym kontakcie okazywał się człowiekiem bardzo stonowanym, długo wążącym wszystkie za i przeciw, nieskorym do gwałtownych, nieprzemyślanych zachowań. Był facetem powoli, acz z determinacją dążącym do obranego wcześniej celu, który od czasu do czasu musiał powstrzymać zapędy zdecydowanie bardziej emocjonalnej Izy. Tak było na przykład wtedy, gdy w wakacje dwa tysiące dwunastego roku żona Kamila wpadła na pomysł, by przejąć sprzedawany właśnie w rynku lokal i urządzić tam butik z markowymi ubraniami. Spotkało się to ze spokojną, acz stanowczą reakcją jej męża, który obstawał za pozostaniem przy jednej branży i rozwijaniem firmy gastronomicznej. Iza zrezygnowała z pomysłu niechętnie, ale później musiała przyznać Kamilowi rację, ponieważ w tym samym miejscu powstał dokładnie taki sklep, jaki planowała, a mniej więcej w czasie, gdy ich firma przymierzała się do otwarcia kebab-baru, butik przy rynku ogłosił upadłość.

Wydaje się, iż przyczyną, dla której ta dwójka tak dobrze się ze sobą dogadywała, było to, że znali wzajemnie swoje wady i zalety oraz potrafili je zaakceptować, grając wspólnie do jednej bramki, jaką było powodzenie ich rodziny. Kamil zdawał się na żonę jeśli chodzi o takie rzeczy jak wystrój domu i lokali, a ona — choć czasem z trudem — przystawała na jego koncepcje biznesowe. Czasem potrafiła wybuchnąć zupełnie niespodziewanie z byle powodu, ale w wyniku napotkania na wyciszający spokój męża ogień jej nerwów gasł równie szybko, jak się zapalał.

Swoim temperamentem i sposobem podejścia do życia i ludzi najmłodsza z córek, Ola, dość mocno przypominała Kamila i chyba z tego powodu była jego oczkiem w głowie.

Julka była jej przeciwieństwem.

II.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem te dwie dziewczynki, wydały mi się do siebie (oraz do ojca) bardzo podobne. Stwierdziłem nawet, że można

byłoby wziąć je za bliźniaczki. To jednak diametralnie odmieniło się nie dalek niż po kilku miesiącach.

Ich zachowanie, a także charaktery były różne i to dało się zauważyć od razu, już wtedy, gdy dostały ode mnie zwierzaki przytulanki. Później jednak sposób zachowania zaczął wpływać na ich wygląd zewnętrzny. O ile Ola najchętniej siedziała w miejscu, cierpliwie kolorując obrazki, rysując lub przeglądając ilustrowane książeczki, o tyle Julka nie potrafiła usiedzieć minuty bez ruchu. Ciągłe zmieniała obiekty zainteresowania, wyjmując z szafek co rusz to nowe zabawki, tylko po to, by pobawić się nimi przez moment i porzucić na środku pokoju.

Spinająca grzecznie długie i zawsze uczesane włosy gumką Ola była domatorką, a jej o rok starsza siostra najchętniej nie wracała z podwórka lub parku. Uwielbiała biegać za piłką, jeździć na rowerze, bawić się w berka i chowanego z innymi dziećmi, głównie chłopakami. Jej krótko obcięte na pazia jasne włosy były w wiecznym nieładzie, ale ona o to zupełnie nie dbała. „Chłopczyca” — to określenie pasowało do niej jak ulał.

Inny tryb życia i inne zainteresowania spowodowały, że już jako ośmiolatka była bardzo szczupła i wysportowana. Przy niej lekko zaokrąglona i nieco niższa Ola wyglądała zupełnie inaczej. Rysy Julki się wyostrzyły i podobieństwo do pozostającego przy kości mimo wielu nieskutecznych diet Kamila zaczęło wtedy wyraźnie zanikać. Stawało się jasne, że jeśli Julka nie zmieni przyzwyczajień, to w przyszłości będzie zdecydowanie bardziej podobna do mamy niż do taty.

Może to głupie, ale odniosłem wrażenie, że właśnie wtedy Iza jakby straciła obiektywizm wobec dzieci i bardziej zbliżyła się do średniej z córek. Zaczęła spędzać z nią więcej czasu i poświęcać jej więcej uwagi niż pozostałym. Niewykluczone jest też to, że to tylko moja nadinterpretacja faktów. Julka ze względu na swój temperament i trudności ze skupieniem uwagi już w drugiej klasie zaczęła mieć problemy w szkole i potrzebowała pomocy ze strony któregoś z rodziców. Iza angażowała się na tyle, na ile było to możliwe, ale ponieważ pracy w firmie było pod dostatkiem, to mimo najlepszych chęci na wspólną naukę pozostawało niewiele czasu. Wiktoria już wtedy wchodziła powoli w okres buntu, tak że mimo próśb ze strony rodziców nie w głowie jej było pomaganie siostrze.

III.

Pod koniec wakacji w dwa tysiące czternastym roku, gdy Julka miała właśnie rozpoczynać naukę w trzeciej klasie, jeden ze znajomych Kamila,

uczący w miejscowej szkole muzycznej, zasugerował, że być może lekcje gry na jakimś instrumencie pomogłyby zredukować problemy z nauką dziewczynki. Twierdził, że tego typu zajęcie pozytywnie wpływa na koncentrację, wzmacnia pamięć i zdolności manualne. Mój przyjaciel był dość sceptycznie nastawiony do tej kwestii, ale jednak skonsultował rzecz z Izą, która, jak to czasem ona, błyskawicznie zapaliła się do tego pomysłu. Julka wahała się jakiś czas, ale gdy dostała zapewnienie, że jeśli jej się nie spodoba, to po roku będzie mogła zrezygnować, wtedy ostatecznie wyraziła zgodę na przystąpienie do egzaminu wstępnego. Ani Izie, ani Kamilowi słów na ucho nie nadepnął, więc i Julka miała dobry słuch muzyczny, dzięki czemu zdała bez trudu.

Problem pojawił się podczas wyboru instrumentu. Początkowo Szykowiakowie skłaniali się ku fortepianowi lub skrzypcom, ale gdy znajomy Kamila, właśnie ten, dzięki któremu temat w ogóle się pojawił, zobaczył, że Julka budową ciała przypomina bardziej chłopaka niż dziewczynkę, to — pamiętając o nadpobudliwości ruchowej dziewczynki — natychmiast zaproponował akordeon i tak już zostało.

Początkowo Kamil był pełen obaw, ale okazało się, że nauka gry na instrumencie bezgranicznie dziewczynkę wciągnęła. Wyglądało na to, że w odstawkę poszły zabawy na świeżym powietrzu, z chęcią zastąpione nauką gam i pierwszych najprostszych melodii oraz etiud. W tym momencie bardzo przydało się mieszkanie piętro wyżej, które jeszcze do czerwca zajmowała mama Izy. Julka mogła sobie w spokoju wachlować miechem akordeonu, a jej tacie i siostrom względny komfort oraz brak zszarganych nerwów zapewniał gruby strop starej kamienicy.

Jedyną osobą z rodziny, która na dłuższą metę dawała radę znieść pierwsze kroki muzycznej kariery córki, była Iza. Uwielbiała przesiadywać naprzeciw Julki, wpatrując się w jej dziecięce palce, które początkowo niezdarne, a po jakimś czasie coraz bardziej biegle sięgały do poszczególnych klawiszy po obu stronach wypożyczonego ze szkoły niewielkiego akordeonu Weltmeister.

IV.

Ostatnie miesiące dwa tysiące czternastego roku to był trudny czas w rodzinie Szykowiaków.

Wciąż żywa była pamięć o zmarłej niedawno babci dziewczynek, której im bardzo brakowało, do tego dochodziły problemy z Wiktoria, niemającą ochoty angażować się w obowiązki domowe. Ostatecznie Kamil i Iza

zdecydowali się przyjąć do pizzerii jedną osobę, by Iza mogła więcej czasu poświęcać domowi.

Nowa pracownica się nie sprawdziła, więc została zwolniona tuż przed Bożym Narodzeniem, ale jeszcze w październiku wszystko wskazywało na to, że są szanse na normalizację. Tu jednak coś zazgrzytało, bo Iza, w sumie nie bardzo wiadomo dlaczego, założyła, że ma teraz więcej czasu właściwie tylko dlatego, by poświęcać go Julce. Przesiadywała więc godzinami w mieszkaniu na górze, przypatrując się postępom córki, pozostawiając poniekąd Olę i Wiktorię samym sobie. Pod koniec grudnia, kiedy Iza stanęła przed koniecznością powrotu do pracy, na szczęście potrafiła się jednak otrząsnąć z tego swoistego letargu i zdołała wyrwać się z prowadzącej donikąd ścieżki, którą podążała jedynie z Julką.

Być może wszystko dałoby się jeszcze odwrócić, gdyby nie ten nieszczęsny koncert, na który chciała wybrać się Wiktoria, gdyby nie jej głupia zemsta i gdyby nie to, że w efekcie Kamil został trochę odsunięty na bok.

Rodziny przechodzą czasem trudne momenty, a jeśli sprzyja im trochę szczęścia i jeśli zdrowy rozsądek nie opuszcza ich członków, to przeważnie kłopoty okazują się możliwe do przezwyciężenia. Stają się kolejnymi niechcianymi kartami „Cudownej podróży”, których nie da się już zmienić, ale przy odpowiednim podejściu i wielu wysiłkach kolejne strony będą zapisywane treściami, do jakich po latach chętnie się wraca.

Może się jednak zdarzyć również tak, że czysty przypadek, okrutny zbieg okoliczności, jedna niewłaściwa osoba w niewłaściwym miejscu sprawi, że nagle tytuł książki nie brzmi już tak miło dla ucha, jak ten nadany przez Selmę Lagerlöf.

Bo w niektórych książkach wśród czekających na zapisanie białych kartek zupełnie niespodziewanie czają się potwory.

21 marca 2015 (sobota)

Skrećam w 1 Maja tuż po północy, zastanawiając się, w jaki sposób mam znaleźć Mamaja na ulicy mierzącej co najmniej pół kilometra.

— Najwyżej zadzwonię do niego... — mruczę do siebie, ale chwilę później już wiem, że nie będzie takiej potrzeby.

Jakieś dwieście metrów ode mnie widzę pulsujące na niebiesko światło kogutów dwóch policyjnych radiowozów. Mam ochotę natychmiast zatrzymać auto, wysiąść i głęboko zaczerpnąć chłodnego powietrza nocy, ale opanowuję ten odruch, po czym znajduję wolne miejsce przy prawej krawędzi chodnika, jakieś sto metrów przed policyjnymi autami.

Nie może być inaczej — pomimo późnej pory obok samochodów z uruchomionymi bezgłośnie kogutami kłębi się okazały tłumek ciekawskich. Spełniam swoje marzenie sprzed kilkunastu sekund, z tym że potrzebuję przynajmniej dziesięciu głębokich wdechów. Gdy już mam rozpocząć marsz w stronę miejsca zdarzenia, jak spod ziemi wyrasta przy mnie Majka. Jest po cywilnemu, bez teczki, w przykrótkich spodniach wyprasowanych w kant i służbowych lakierkach.

— Widziałem, że parkujesz, to przyszedłem, bo tu, na osobności lepiej porozmawiać. — W bladym świetle latarni, wzmacnianym pulsującym błękitem kogutów, wygląda jak trup.

Przyglądam mu się wyczekująco, aż wreszcie uznaję, że pora wziąć się w garść ze sprawą, w związku z którą Mamaj mnie tutaj ściągnął. W końcu jesteśmy glinami (co drugi z nas w czynnej służbie), więc kto ma niby brać na klatę rzeczy, o których inni nawet czasem nie chcą wiedzieć?

— Dobra, wał prosto z mostu — mówię najbardziej naturalnie, jak to możliwe. — Znaleźliście dziewczynki, tak? Nie żyją?

Marian marszczy brwi, ale widać, że mój rzeczowy ton trochę dodaje mu śmiałości, nie na tyle jednak, bym coś mógł zrozumieć z jego wypowiedzi:

— Nie, to nie tak... To znaczy nie do końca... Chyba. To jest... może to tylko fałszywy alarm, ale...

— Dobra, stary — przerywam mu. — Tak w krótkich żołnierskich, a właściwie policyjnych słowach: co tu się stało?

Jemu również potrzebnych jest parę haustów powietrza, ale wreszcie zaczyna:

— Znaleziono zwłoki trzydziestodwuletniej kobiety, mieszkanki tej kamienicy, ale, co ciekawe i interesujące, ujawniono je w mieszkaniu sąsiada.

— Zabójstwo?

— Teoretycznie mogła sama sobie wbić nóż w serce, leżąc na plecach na łóżku, ale zakładamy zabójstwo. Gdy została znaleziona, nóż cały czas tkwił w jej klatce piersiowej.

— Okej. W takim razie, zanim jeszcze ewentualnie powiesz mi więcej o tej kobiecie, to chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie tu wezwałeś, bo, jak rozumiem, tylko jej zwłoki ujawniono?

— Tylko jej. W prawej przedniej kieszeni spodni nasi z ekipy oględzinowej znaleźli zawiniątko, prawdopodobnie spożywcza folia aluminiowa, a w niej palec serdeczny, który według lekarza sądowego mógł należeć do dziesięcioletniego mniej więcej dziecka. — Mamaj recytuje sprawnie, jakby zdawał meldunek przed przełożonym, a ja opieram się o samochód, bo nagle czuję, że nogi mam jak z waty. — Na razie nie można określić, czy został odcięty po śmierci, czy też za życia okaleczonej osoby. Być może nigdy nie będzie można tego jednoznacznie stwierdzić, bo od śmierci denatki, a także — jak zakładamy — odcięcia palca minęło przynajmniej kilka, jeśli nie kilkanaście dni. Dużo więcej będziemy wiedzieli po sekcji.

Kiwam powoli głową na znak, że zrozumiałem, co do mnie powiedział, ale rozumieć znaczenie słów to nie to samo, co pojmować cały sens tego, co przekazują. Młoda kobieta z nożem znaleziona sporo po śmierci, odcięty palec dziecka zawinięty w folię aluminiową i to wszystko w małym Rykowie?

— Co z właścicielami mieszkania? — pytam.

— Z właścicielem — poprawia mnie Mamaj. — Nie znamy miejsca jego pobytu. Był widziany w kamienicy jeszcze kilka dni temu, ale sąsiedzi nie pamiętają dokładnej daty.

— Kto znalazł zwłoki?

— Sąsiedzi cenią sobie względny komfort. Dziś po południu zadzwonili do nas, że tego spod szóstki nie widać od kilku dni, a z jego mieszkania wydobywa się na klatkę coraz trudniejszy do wytrzymania fetor. Nasi weszli po wyważeniu drzwi.

— Ten mężczyzna mieszkał sam?

— Zgadza się. Kiedyś z synem, ale po tym, gdy go śmiertelnie pobił i odsiedział wyrok, to już mieszka sam.

Zastanawiam się, dlaczego w momencie zaginięcia dziewczynek nie pomyślałem o kimś, kto wiele lat temu nie zawahał się podnieść ręki na przyjaciela Kamila i nie mam dla siebie wytłumaczenia. Przecież gdybym to zrobił, to stałby się w moich oczach pierwszym podejrzanym — zwłaszcza że mógł kojarzyć Kamila jako przyjaciela swojego syna i coś mu się mogło uroić w jego nasiąkniętej alkoholem głowie, która zapewne cały świat winiła o jego życiowe niepowodzenia.

— Ten facet nazywa się Mieczysław Zbieński, prawda?

Mamaj wygląda na nieźle zaskoczonego.

— Zgadza się, a skąd wiesz?

— Ten zabity przed laty chłopiec był przyjacielem Szykowiaka, więc dość dobrze znam tę historię. Teraz, gdy mi powiedziałaś, o kogo chodzi, żałuję, że nie pomyślałem o tym całym Zbieńskim po zaginięciu dziewczynek.

— Nasi pomyśleli. Został dokładnie sprawdzony. Patrol był u niego na drugi dzień po porwaniu. Był czysty, to jest w sensie, że najprawdopodobniej niewinny. Nawet zaprosił ich do środka, żeby mogli obejrzeć mieszkanie. Nic podejrzanego nie rzuciło im się w oczy.

— Czy można zakładać, że zwłoki tej kobiety zostały przyniesione po śmierci do Zbieńskiego i tu porzucone?

— Z tego, co wiem, lekarz twierdzi, że po ilości krwi można wywnioskować, że została zamordowana w miejscu, w którym ją znaleziono.

— No dobra. Czyli założenie jest proste: szukamy faceta z zafajdaną kartoteką, który jest na pierwszym miejscu wśród potencjalnych podejrzanych. I wszystko byłoby jasne, gdyby nie znaleziony przy ofierze palec. Zgadza się?

Odpowiada mi potakujące kiwnięcie głową.

W tym momencie orientuję się, że tak naprawdę to Mamaja w ogóle nie powinno tu być. Nie jest przecież kryminalnym, zajmuje się przede wszystkim mało znaczącymi sprawami związanymi z niegroźną przestępczością, taką jak na przykład zniknięcie okien w fabryce ONZ.

— Dlaczego ciebie tu ściągnęli?

— Ze względu na moją znajomość z Szykowiakiem. Prosiłem, żeby dawali mi znać, jakby co... Tu sprawa jest delikatna, bo... no wiesz,

wyobraziłem sobie siebie w podobnej do niego sytuacji i chyba wolałbym, że zanim zostaną wezwany w celu identyfikacji części ciała, to ktoś to zrobi wcześniej. Może na przykład od razu dałoby się wykluczyć, że to palec którejś z dziewczynek? Dlatego pomyślałem o tobie. Znałeś je... to znaczy znasz je o wiele lepiej, jesteś przyjacielem rodziny. Może wystarczy, że rzucisz okiem i będziesz wiedział, czy to fałszywy alarm...?

Nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Po pierwsze, dziwię się, że się tak patyczkują. W Mieście Wojewódzkim w takiej sytuacji natychmiast zostaliby zawiadomieni bliscy zaginionych i jak najszybciej starano by się wykluczyć lub potwierdzić, że znalezione szczątki mogą należeć do którejś z dziewczynek. Testy DNA dałyby stuprocentową pewność, jednak przecież ich wyniki nie mogą być znane od razu, a tu może liczyć się każda godzina. Z drugiej strony jednak trochę rykowskich śledczych rozumiem... Skoro zwłoki leżą już tutaj (prawdopodobnie z palcem w kieszeni spodni) przynajmniej od kilku dni, to tak naprawdę te kilkadziesiąt minut nie ma aż takiego wielkiego znaczenia, zwłaszcza że prawdopodobnie dzięki temu można komuś oszczędzić niepotrzebnego i zabójczego wręcz stresu. Wezwano Mamaja, a on zaproponował, że zadzwoni po mnie, bo mogę być w tej konkretnej sprawie, jakkolwiek koszmarne by to nie brzmiało, bardziej kompetentny.

— Nie traćmy więc czasu i miejmy to już za sobą — mówię.
— Chociaż, powiem ci szczerze, nie wydaje mi się, żebym mógł cokolwiek pomóc.

I dokładnie tak myślę. W życiu nie zwracałem uwagi na dłonie córek Kamila, no może poza momentem, gdy po raz pierwszy zauważyłem polakierowane na czarno paznokcie Wiktorii.

— A mieszkanie tej zamordowanej kobiety? — pytam, gdy kierujemy się w stronę radiowozów stojących naprzeciw wejścia do kamienicy.
— Pewnie też zostało sprawdzone?

— Tak. Nic, co by mogło rzucić na sprawę jakieś nowe światło. Wygląda tak, jak gdyby wyszła na chwilę po zakupy. Aha, ważna rzecz, nigdzie w okolicy nie ma jej auta.

— Jakie to auto? — pytam niemal mechanicznie.

— Ciemnoniebieski opel astra kombi.

Jeden z policjantów blokujących wstęp do budynku dostrzega Mamaja i natychmiast nakazuje tłoczącym się gapiom zrobić dla nas przejście.

Jeszcze przed wejściem w mroczną czeluść obskurnej klatki schodowej czuję dość wyraźnie mdlący fetor rozkładającego się ciała.

Wdrapujemy się na półpiętro pomiędzy parterem a pierwszą kondygnacją kamienicy i tam odór jest już prawie nie do zniesienia. Zastanawiam się, w jaki sposób lokatorzy mogli tyle wytrzymać bez zawiadomienia służb, ale gdy przyglądam się uważniej otoczeniu, to przestaję się dziwić. Farby na toczonych przez grzyb ścianach pewnie jeszcze pamiętają Adriana, schody są zbutwiałe i brudne jak nieszczęście, a w rogu zauważam wilgotne ślady — najpewniej pozostawione jeszcze tego popołudnia przez kogoś, kto woli bardziej ekstrawaganckie miejsca wypróżniania niż stara pocziwa toaleta. Gdy do pierwszego piętra pozostają nam trzy schody, musimy pokonać je naraz przez wzgląd na okazałego, dobrze już zaschniętego pawia, raczej niewywołanego przez woń rozkładu, która w tym miejscu wręcz gryzie w oczy.

Mieszkanie posiada solidne drewniane, prawdopodobnie pomalowane kiedyś na jasny orzech drzwi, które są teraz lekko uchylone. Stojący przed nimi policjant otwiera je szerzej, a ja podążam za Mamajem i wchodzę do środka. Drzwi do położonego po naszej lewej pokoju są otwarte na oścież, a całe pomieszczenie nagle rozbłyskuje światłem flesza. Zakładam więc, że to miejsce zbrodni. Biorąc pod uwagę codziennie panujący na klatce smród i fakt oddzielenia zwłok od ogólnodostępnego korytarza dwójgiem drzwi, rozumiem, dlaczego reakcja mieszkańców jest tak opóźniona.

Miejsce morderstwa raz jeszcze rozświetla błysk lampy aparatu i, zupełnie tego nie chcąc, kątem oka widzę ciało kobiety leżącej na niewielkim łóżku. Jej blond włosy rozrzucone na ciemnej narzucie tworzą coś na kształt złocistego nimbu. Twarz jest sina i mocno napuchnięta, a w piersiach ofiary wciąż tkwi wbity po rękojęść sporych rozmiarów nóż.

Przez moment zapominam o trudnym do zniesienia odorze. Być może dlatego, że zaczyna kręcić mi się w głowie i więcej uwagi muszę poświęcić zachowaniu równowagi.

Słyszę, jak Mamaj coś do mnie mówi. Widzę, że stoi obok jakiegoś mężczyzny w cywilu, który ma na sobie odblaskową żółtą kamizelkę z napisem „KORONER Ryków”. Witamy się, nawet bez przedstawiania, i we trzech wchodzimy do jasno oświetlonego dużego pokoju. Na wprost stoi telewizor, pośrodku fotel, zapewne ten sam, co w maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. W kącie po lewej usytuowany jest stół, przy którym siedzi jakiś siwy facet koło sześćdziesiątki i bazgrze

coś w swoim notesie. Gdy nas zauważy, kiwa, abyśmy podeszli bliżej, ale nawet nie podnosi się z miejsca. Zakładam, że to prowadzący śledztwo prokurator i po chwili lekarz sądowy potwierdza moje przypuszczenia.

Od razu przechodzimy do rzeczy, ponieważ na przeciwległym krańcu stołu widzę srebrne zawiniątko leżące obok metalowej pęsety, której ramiona mierzą jakieś piętnaście centymetrów.

— Z góry przepraszam, jeśli nie będę potrafił pomóc — zastrzegam na wstępie. — Rozumiecie, panowie, nigdy nie zwracałem uwagi na tego typu rzeczy...

— To oczywiste, panie Mokryna — przerywa mi prokurator, ale w jego głosie nie słychać ani chłodu, ani zniecierpliwienia. — Po prostu, chociażby ze względu na nieżyjącego już ojca pani Szykowiak, chcemy oszczędzić jej niepotrzebnych emocji. I tak ostatnio wiele przeszła. Zresztą pan podobnie jak świętej pamięci ojciec Izy również był policjantem, więc chyba jest pan w stanie nas zrozumieć, prawda?

— Tak, zgadza się, oczywiście — potwierdzam cierpliwie, ale im dłużej tam stoję, tym bardziej chcę mieć to już za sobą. — Czy możemy już...? — przerywam w połowie pytania, bo lekarz sądowy robi dwa kroki, zakłada rękawiczki, po czym ostrożnie rozchyła folię na boki, a następnie bierze pęsetę, zgrabnie chwyta nią palec i zbliża na odległość jakichś dwudziestu centymetrów od mojej twarzy.

Odruchowo się odsuwam, ale po chwili moja głowa wraca do poprzedniej pozycji, a patomorfolog lekko obraca pęsetę raz w prawo, raz w lewo, bym mógł dokładnie obejrzeć to, co znajduje się pomiędzy jej stalowymi ramionami. Do dziś nie mam pojęcia, w jaki sposób sądowy medyk ocenił, że jest to palec serdeczny około dziesięcioletniego dziecka, ale już pierwszy rzut oka wystarcza mi, by założyć, że jest to palec dziewczęcy. Na sianej blaszce paznokcia widzę małą czarną naklejkę przedstawiającą wizerunek dwóch nutek połączonych belką. Skóra jest żółtawo-siną, lekko naciągniętą w ten sposób, że dolna krawędź precyzyjnego cięcia w poprzek trzeciego, licząc od góry, tak zwanego bliższego paliczka odsłania resztki nadgniłych już lekko tkanek i bielejącej kości.

Przyglądając się tej bezużytecznej już teraz części ciała, która jeszcze niedawno służyła jakiemuś dziecku, zastanawiam się przede wszystkim nad tym, jaki zwyrodniały skurwysyn to zrobił i po co dopuścił się czegoś takiego. Nie wiem wprawdzie, czy palec został odcięty komuś za życia, czy

może już po śmierci, ale nawet jeśli to drugie, to — o ile kimś nie kierowały trudne do wyobrażenia wyższe względy — można było tylko współczuć matce, która taką kreaturę wydała na świat.

— I jak, panie Zdzisławie? — Prokurator zaczyna się chyba lekko niecierpliwić. — Widział pan może takie naklejki u którejś z dziewczynek?

Przywołany do porządku, przypominam sobie, że nie jestem tu ani po to, żeby komuś złorzeczyć, ani współczuć, więc skupiam się na swoim zadaniu. Chwila zastanowienia wystarczy, bym wbrew moim wcześniejszym obawom mógł stwierdzić coś na pewno:

— Jednego jestem pewien, panowie. Z pewnością ten palec nie należał do Oli Szykowiak. To była... to jest dość pulchna dziewczynka, parę razy widziałem, jak rysuje i zwróciłem uwagę, że ma dość, hm... nie wiem, jak to określić... W każdym razie jej paluszki przypominają takie nieco rozczulające serdelki, o ile w tej sytuacji użycie tego porównania nie jest niestosowne...

— W tej sytuacji żadne porównanie nie jest niestosowne, o ile może nam jakoś pomóc — mówi prokurator. — Władek, jak sądzisz, czy biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął, ten palec mógł należeć do pulchnej osoby?

Lekarz zastanawia się przez moment, a potem odpowiada:

— Cóż, bywają pulchne osoby, które mają szczupłe dłonie i odwrotnie, natomiast skoro pan Mokryna twierdzi, że Ola miała... — Doktor popełnia tę samą niezamierzoną pomyłkę, co przed chwilą ja, a wcześniej przy samochodzie Mamaj, ale zaraz się poprawia. — ...to znaczy ma pulchne palce, to nawet pomimo upływu czasu ta cecha by się nie zmieniła.

— A Julia? — tym razem pytanie śledczego skierowane jest do mnie.

— Julka jest bardzo szczupłą i wysportowaną dziewczynką. W dodatku, chyba powinienem powiedzieć, że na domiar złego, od kilku miesięcy jest zafascynowana grą na akordeonie, uczy się w szkole muzycznej, tak więc...

— Wzruszam ramionami i rozkładam bezradnie ręce, a prokurator z lekarzem wymieniają znaczące spojrzenia. — Optylizmem może ewentualnie napawać fakt, że nigdy nie widziałem u niej podobnych ozdób, a na pewno bym zwrócił na nie uwagę, ponieważ parokrotnie, w tym raz całkiem niedawno, chciała się przede mną popisać swoimi umiejętnościami.

Lekarz odkłada dowód na miejsce, a prokurator zaczyna nerwowo bębnić palcami o stół.

— Czyli co, Władziu, chyba nie mamy wyjścia? — pyta.

— Na to wygląda — odpowiada doktor.

— I chyba musimy to załatwić od razu. Teoretycznie można byłoby poczekać do jutra, ale... ale gdyby Szykowiakowie dali nam jakąś jednoznaczną odpowiedź, to moglibyśmy konkretnie skierować śledztwo, czyli albo szukamy Zbieńskiego i ich córek, albo jego oraz jeszcze jakiegoś innego dziecka... Dobrze mówię?

— Ty tu jesteś szefem, Bogdan.

— Wiem, wiem, tylko tak sobie głośno myślę.

Jest mi słabo, mam mdłości i jak najszybciej chcę opuścić ten pokój.

— Panowie, ja to już chyba nie będę potrzebny? — pytam.

— Nie, nie, oczywiście, dziękujemy panu za pomoc — z lekkim roztargnieniem odpowiada mi prokurator.

— Dziękuję, ale zanim pójdę, jeszcze ostatnia sprawa. — Tym razem udaje mi się skupić na sobie uwagę śledczego, ponieważ z pewnością nie spodziewał się, że jeszcze będę miał coś do powiedzenia. — Wiecie panowie, że Zbieński właśnie tutaj, w tym mieszkaniu, zabił swojego syna...

— Tak, wiemy, a jaki to ma związek ze sprawą?

— Chodzi o to, że ten zamordowany wtedy chłopak, Adrian, był najlepszym przyjacielem Kamila Szykowiaka.

— Hm... A tego to nie wiedziałem, ale w dalszym ciągu...

— Chodzi o to, że Kamil bywał w tym mieszkaniu jako dziecko i bardzo przeżył stratę przyjaciela. Za chwilę będzie tu ponownie, więc... więc po prostu chciałem, żebyście panowie o tym wiedzieli.

Po tych słowach żegnam się i w towarzystwie Mamaja wychodzę z mieszkania. Prokurator najwyraźniej zrozumiał, o co mi chodzi, bo natychmiast poleca posprawdzać, czy wszystkie okna są pootwierane na oścież i policjantom dokumentującym rozkazuje, że drzwi do pokoju, w którym pracują, od tej chwili mają być zamknięte aż do odwołania.

Żałuję, że tylko tyle w tej chwili mogę zrobić dla Kamila.

* * *

Zaraz po nas z kamienicy wychodzi dwóch policjantów, którzy wsiadają do jednego z radiowozów, włączają migającego koguta i odjeżdżają. Wiem, że zaraz wrócą z Izą i Kamilem. Bóg mi świadkiem, chcę wtedy zabrać się stamtąd do wszystkich diabłów, ale też zdaję sobie sprawę, że nie mogę tego zrobić. Spoglądam więc na Mamaja.

— Zostałbyś jeszcze trochę?

Odpowiada mi tak, jak to zwykł często robić — skinieniem swojej wielkiej, poczciwej łepetyny, a prawie całkiem siwa grzywka zsuwa się na poorane już licznymi zmarszczkami czoło.

* * *

Zbliża się pierwsza, gdy to samo policyjne auto znów pojawia się na ulicy 1 Maja. Policjanci wysiadają jako pierwsi, a następnie otwierają tylne drzwi, każdy po swojej stronie. Kierowca pomaga wysiąść Izie, ale ona, stojąc już obok samochodu, wciąż najwyraźniej potrzebuje ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Młody sierżant chyba to zauważył, bo pochyła się w jej stronę i o coś pyta, ale ona tylko kręci przecząco głową, a potem rozgląda się, szukając wzrokiem Kamila. Kiedy mój przyjaciel staje obok niej, kurczowo chwytając się jego łokcia i wszyscy czworo wolnym krokiem ruszają w stronę odrapanych, otwartych teraz na oścież drzwi budynku. Sierżant przodem, za nim Szykowiakowie, a drugi policjant na końcu.

Akurat nas mijają, gdy Kamil, zupełnie jakbym telepatycznie przywołał jego uwagę, spogląda w moją stronę. Szare oczy mnie rozpoznają, ale jego twarz jest tak zmrożona emocjami, że przypomina woskową maskę. Przenosi wzrok najpierw na Mamaję, a potem na wejście do kamienicy i najwyraźniej wtedy dopiero pojmuję, w które dokładnie miejsce przywiózł ich radiowóz, bo aż na ułamek sekundy przystaje. Wygląda na człowieka zupełnie niedającego wiary, że coś takiego może się dziać naprawdę.

Chwilę potem znikają w cuchnącej śmiercią gardzieli budynku.

* * *

Nie mija minuta, a przez otwarte okno wydobywa się najbardziej przeraźliwy krzyk, jaki słyszałem w życiu.

Głosem bezgranicznie przepełnionym matczynym bólem Iza z całych sił przeciągle nawołuje imię swojej średniej córki na przemian z imieniem Boga i co chwilę stawia pytanie „Dlaczego?”, na które być może nigdy nie doczeka się odpowiedzi. Po trwającym kilkadziesiąt sekund zawrocie docierają do nas już inne dźwięki, zdecydowanie bardziej niekontrolowane i histeryczne, przemieszane z bezsilnym piskiem. Zaraz potem wszystko cichnie jak ucięte nożem.

Na ulicy panuje grobowa cisza. Robię krok w kierunku wejścia, ale Mamaję delikatnie chwytając mnie za ramię.

— Chyba straciła przytomność — mówi. — Ale spokojnie, pewnie i tak byś nie pomógł, zresztą tam jest przecież lekarz.

Zatrzymuję się pod wpływem jego argumentacji i jak porażony prądem aż do przyjazdu karetki stoję w jednym miejscu i bardzo się boję. Tego, że Iza znów zacznie krzyczeć, i tego, co mogą przynieść kolejne dni.

Mam wrażenie, że moje serce właśnie przed chwilą rozpadło się na tysiąc kawałków.

Iza

I.

Karetka przyjechała błyskawicznie, ale jak dla mnie, to i tak zdecydowanie zbyt się guzdrała.

Cisza trwała parę minut, ale później Iza się ocknęła i znów słyszeliśmy, że wciąż nie może się opanować, tyle że mrozący krew w żyłach krzyk został zastąpiony przez nie mniej dojmujący szloch bezsilności.

Ekipa ambulansu wbiegła po schodach z noszami, ale te okazały się bezużyteczne, ponieważ Iza była w stanie iść, podtrzymywana z jednej strony przez Kamila, a z drugiej przez ratownika medycznego. Szykowiak wyglądał na zupełnie oszołomionego wydarzeniami ostatnich minut, ale udawało mu się jakoś opanować — chyba głównie dzięki temu, że działał instynktownie, pamiętając podświadomie o konieczności pomocy swojej żonie.

Gdy przechodzili obok, powiedziałem w stronę Kamila, że pojedę za nimi do szpitala. Początkowo nie wiedziałem, czy mnie usłyszał, ale w końcu chyba dotarły do niego moje słowa, bo odwrócił się w moim kierunku i skinął głową.

Pożegnałem się z Mamajem, dziękując, że zechciał mi towarzyszyć w tych trudnych chwilach. W odpowiedzi machnął tylko ze zrezygnowaniem rękoma, a potem ciężko począpał w kierunku swojego auta.

II.

Pobieżne badanie na izbie przyjęć nie wykryło jednoznacznie wskazań do zatrzymania Izy w szpitalu, jednak lekarz dyżurny sugerował takie rozwiązanie. Trudno było przewidzieć jej reakcję w momencie, gdy przestaną działać środki uspokajające, ale Kamil zapewnił doktora, że ich mieszkanie to najlepsze miejsce, gdzie można próbować sprostać nawet największym tragediom, a poza tym zawsze można jeszcze raz wezwać karetkę. Powiedział również, że od jakiegoś czasu mają w domu spory zapas środków uspokajających, więc mogą je wykorzystać jakby co. Byłem przekonany, że na 1 Maja on również dostał coś na ukojenie nerwów, więc trudno było określić, na ile jego myślenie jest racjonalne. Niemniej jednak w mojej ocenie przeważał fakt, że w domu sama została Wiktoria, co sugerowało jednak logiczny tok rozumowania mojego przyjaciela. Wiki nie obudziła się, gdy policjanci zastukali do drzwi (być może dlatego, że

dostała od ojca połówkę tabletki na sen), ale na pewno trzeba było jak najszybciej do niej wrócić.

Iza dostała naprawdę dużą dawkę leków, bo gdy zobaczyłem ją wychodzącą ze szpitala, wyglądała na oszołomioną, a jednocześnie śpiącą. Przejazd moim autem przez puste ulice trwał nie dłużej niż pięć minut, a i tak zdążyła już zasnąć na tylnym siedzeniu, wsparta na ramieniu Kamila. Ponieważ nie chciał jej budzić, wziął żonę na ręce i zaniósł na pierwsze piętro, a później w ubraniu położył na łóżku i przykrył kołdrą. Później zajrzał do Wiktorii, która, jak się okazało, spała w najlepsze, aż wreszcie usiadł naprzeciw mnie w salonie.

— Nie wiem, czy to zniosę, panie Zdzichu — oznajmił cicho. — Na razie mam wrażenie, że to wszystko to jest jakiś popieprzony, szaleńczy sen, z którego się nie mogę wybudzić. Znasz to uczucie? Brniesz przez jakiś koszmar całymi dniami, spotyka cię wiele strasznych zdarzeń, aż tu nagle budzisz się, spoglądasz na zegarek i okazuje się, że przespałeś ledwie pół godziny.

Skinąłem głową. Coś podobnego przytrafiło mi się choćby tej nocy.

Kamil rozparł się w fotelu, zaplótł dłonie za głową i spojrział w sufit.

— Ktoś obciął palec mojej córce, być może nawet ją zabił, a ja sobie siedzę spokojnie w pokoju gościnnym i plotę coś trzy po trzy, zamiast szukać tego skurwysyna.

Przez moment milczałem, wiedząc, że w takiej sytuacji czasem lepiej jest powiedzieć o dziesięć słów za mało niż o jedno za dużo. Mój przyjaciel był pod wpływem środków uspokajających i stąd te występujące u niego objawy dziwnej apatii. Wreszcie jednak uznałem, że jest coś, co powinienem powiedzieć, tym bardziej że to nie będzie żadne nieuzasadnione i głupie podnoszenie na duchu, a pogląd, w który naprawdę wierzę:

— Posłuchaj, Kamil, nie wiem, co przeżywasz, bo nie jestem na twoim miejscu i z pewnością twój ból jest o wiele silniejszy od mojego. Niemniej jednak w tej całej sytuacji, pomimo jej niewątpliwego tragizmu, pojawiły się fakty, które mogą dawać jakiś cień szansy.

Ani na jotę nie zmienił położenia ciała, ale przeniósł wzrok z sufitu na mnie.

— Po pierwsze, policja wie już, kogo szuka — ciągnąłem. — To zawsze ułatwia poszukiwania. Po drugie, wiadomo też, jakim

samochodem najprawdopodobniej porusza się podejrzany, a to już drugi duży plus...

— Poczekaj, panie Zdzichu — przerwał mój wywód. — Możesz mi wytłumaczyć, jak to się stało, że w pierwszym rządzie nie pomyślałem o ojcu Adriana? Przecież on, jako ktoś, kto był zdolny do zabicia własnego syna, powinien w pierwszym rządzie zostać sprawdzony...

— I zostałem — tym razem ja wszedłem mu w słowo. — Policja była u niego na drugi dzień po zaginięciu dziewczynek, sprawdzili nawet jego mieszkanie i wszystko tam było w porządku, tak więc tutaj, nawet jeśli obaj daliśmy ciała, to policja zrobiła swoje i gdybyśmy pomyśleli od razu o Zbieńskim, to procedura byłaby taka sama.

— Hmm... nic nie wiem o tym, że byli u niego.

— Przecież nie będą ci mówić o wszystkich potencjalnie groźnych osobach, które zostały sprawdzone. Zbieński...

— Wiesz, panie Zdzichu, mam prośbę, nie mówmy o nim po nazwisku, dobra? Flaki mi się przewracają, gdy je słyszę.

— Jasne. No więc on jest pewnie dla nich jednym z wielu i przecież nie mieli pojęcia, że kiedyś przyjaźniłeś się z jego synem. Mało tego, jakby wiedzieli, to może tym bardziej ze względu na dobro śledztwa nie poinformowaliby cię o wizycie na Pierwszego Maja.

Patrzył na mnie, cały czas z tą swoją niby obojętną pokerową twarzą, ale wydawało mi się, że w jego oczach dostrzegam błysk nadziei. Najpierw to było ulotne, ledwie wyczuwalne wrażenie, lecz kiedy powiedział: „No dobra, dajmy temu spokój. Wróćmy do tego, co ewentualnie daje jeszcze szanse” i pochylił się w moją stronę, podpierając łokcie na kolanach, to wtedy nieomal miałem już taką pewność.

Przez chwilę zbierałem myśli, żeby wyrazić się jak najbardziej precyzyjnie i przekonująco, a potem, modląc się w duchu, bym miał rację, zacząłem powoli mówić:

— Wiemy, czyja to robota i w całej tej sytuacji fakt, że porwania nie dokonał ktoś z zewnątrz, a zwykły miejscowy pijaczyna, może dawać powody do ostrożnego optymizmu. Popatrz, wszyscy w Rykowie wiedzą, że się wam dobrze powodzi, więc może on wpadł na pomysł, jak zarobić trochę grosza. Jedna rzecz może niepokoić, i to od razu muszę ci lojalnie powiedzieć...

— Jaka rzecz?

— Fakt, że zamordował tę swoją sąsiadkę. Najwidoczniej coś poszło nie po jego myśli, może byli w zмовie, a ona nagle zmieniła zdanie, tego nie wiadomo, można jednak założyć, że po dokonaniu morderstwa przestępca staje się bardziej zdeterminowany i kolejne zbrodnie być może przyjdą mu łatwiej.

Kamil znów rozparł się w fotelu.

— Nie pocieszasz — mruknął.

— Bo i nie mam takiego zamiaru. — Tu trochę się rozminąłem z prawdą, jednak nie aż tak bardzo mocno. — Zaraz powiem o rzeczach bardziej pozytywnych, ale chciałem od razu na początku mieć za sobą najgorsze.

— No dobra, to już masz... — Nagle się zawahał i rzucił mi niespokojne spojrzenie. — Masz, prawda?

— Tak, mam. Teraz lepsze wieści. Skoro nie ma dziewczynek ani w jego mieszkaniu, ani u sąsiadki, skoro nie ma też samochodu, to znaczy, że najprawdopodobniej je gdzieś ze sobą zabrał. Skoro je zabrał, to nie zmienił całkowicie planów, tylko prawdopodobnie będzie chciał je wprowadzić w życie. Pojawiły się komplikacje, stąd ta cała zwłoka, on musi przemyśleć i przygotować plan działania, ale moim zdaniem wciąż jest nadzieja na to, że w zamian za okup zwróci dzieci całe i zdrowe.

Kamil tylko się skrzywił, a ja zorientowałem się, że palnąłem gafę.

— W każdym razie żywe, przepraszam. A tak na marginesie... to jesteście na sto procent pewni, że...? No, wiesz, jeśli chodzi o ten...?

— Tak, to na pewno palec Julki. — Jego głos wyraźnie zadrżał. — Iza kupiła jej naklejki na paznokcie z nutkami dwa dni przed tym przeklętym poniedziałkiem.

Kamil na moment się zamyślił, a potem dodał:

— Ona tak kocha grać... Jest w tym naprawdę dobra, kolega mówił, że chyba jeszcze nie miał do czynienia z tak zdolną uczennicą i że może kiedyś będzie naprawdę świetną akordeonistką... Daj Boże, żeby się znalazła żywa, ale tak naprawdę to on zabrał jej właściwie całe życie. Dla niej akordeon to jest... — Ukrył twarz w dłoniach i gwałtownie potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić czarne myśli. — Z naklejką czy bez naklejki, to ja bym raczej nie był pewien, ale Iza...? Wiesz, że nikt nie zna tak dobrze palców Julki jak ona. Godzinami się w nie wpatrywała i poznałaby wszystkie razem i każdy z osobna nawet na końcu świata.

Mówił w miarę spokojnie, ale na pewno to była wyłącznie zasługa leków, bo przecież bez nich trudno byłoby wyobrazić sobie taki dialog. Westchnął ciężko i spojrzał w okno, za którym o tej porze mógł zobaczyć tylko ciemność.

— Mam złe przeczucia — odezwał się znów. — Ktoś, kto w ten sposób krzywdzi dzieci, chyba nie ma wyższych uczuć i nie myśli racjonalnie.

— Miejmy nadzieję, że zrobił to po jakimś znieczuleniu i zniwelował cierpienie Julki, że podał jej coś wcześniej, nie wiem, na przykład alkohol albo eter, może później też używał środków znieczulających. — Tu już ewidentnie próbowałem pocieszać Kamila, chyba sam nie wierzyłem w to, co mówię. — Ważne jest jednak to, że w ogóle to zrobił. Adriana zabił przez przypadek, owszem, nie powinien go uderzyć, ale chyba gdyby tylko mógł przewidzieć efekt, to prawdopodobnie by nie użył aż tak dużej siły. To jest tępy menel, Kamil. I tu jest nasza nadzieja. Naoglądał się debil filmów, w których porywacz wysyła bliskim palec osoby porwanej, na dowód tego, że nie żartuje... No i zrobił pierwszy krok. Coś poszło nie tak, ale on chce od was okupu, chłopie. Teraz, gdy jego wizerunek pojawi się we wszystkich gazetach i mediach, zaczniesz panikować i może wypuści dziewczynki, żeby w to dalej nie brnąć. Mówię ci, że to lepsza sytuacja, niż gdyby porwania dopuścił się ktoś obcy, kierujący się trudnymi do jednoznacznego określenia przesłankami.

Mój przyjaciel wciąż wpatrywał się w okno, ale jednocześnie powoli zaczął kiwać głową, jakby przyznając mi rację. Nagle wyprostował się i spojrzał na mnie, wyraźnie przestraszony.

— To może lepiej w takim razie, żeby go nie szukali? Jak zobaczy, że go szukają, to może się przestraszyć i zrobić coś głupiego. Już i tak jest oskarżony o morderstwo, więc kolejne dwa nie zmienią zasadniczo jego położenia. A przecież skoro łatwiej byłoby mu unikać pościgu w pojedynkę, to...

— Pociąg już odjechał, Kamil. To nie czas na szachy, policja musi robić wszystko, żeby go jak najszybciej schwytać. Zobaczysz, prędzej czy później popełni jakiś błąd. Samochód to nie zapałka, jestem pewien, że przynajmniej to auto zostanie wkrótce odnalezione, a to już będzie nic, po której dotrzemy do kłębka.

Kamil wstał i zaczął przechadzać się po pokoju to w jedną, to w drugą stronę, najwyraźniej próbując sobie to wszystko poukładać w głowie, aż wreszcie powiedział:

— Dobra, panie Zdzichu. Ja to i tak niewiele z tego wszystkiego ogarniam, ale z naszej rozmowy zapamiętam jedno: okaleczenie Julki, pomimo to, że gdy o tym myślę, to pęka mi serce, świadczy o szansach na wymianę i jej, i Oli na jakieś pieniądze. Oddałbym wszystko, żeby wróciły do domu, i gdy tylko będę miał taką okazję, to nie zawaham się ani chwili, by tak właśnie uczynić.

* * *

Pobyliśmy jeszcze tej nocy razem może przez pół godziny, ale prawie przez cały czas milczeliśmy. Na Kamila wciąż mocno działały środki uspokajające, a poza tym wyglądał na coraz bardziej zmęczonego. Gdy w pewnym momencie zauważyłem, że opadają mu powieki, wstałem i stwierdziłem:

— Będę się zbierał, Kamil. Jesteś zmęczony i musisz się trochę przespać.

— Nie wiem, czy uda mi się zasnąć — odparł.

— Przynajmniej spróbuj. Słuchaj, a może chciałbyś, żebym z wami został? Przespałbym się tu, w salonie, na sofie... Dałbyś mi tylko jakiś koc. Jutro znów ciężki dzień i może będziecie mnie potrzebowali?

— Dzięki, naprawdę, ale jakoś damy sobie radę. Zresztą są przecież telefony i jakby co, to zadzwonię. Ty też dostałeś w kość i lepiej będzie, jak wyśpisz się we własnym łóżku.

Przeszliśmy razem do przedpokoju i tam Kamil znenacka chwycił mnie kurczowo za ramię, zupełnie tak, jakby przyszło mu do głowy coś strasznego, coś, o czym do tej pory w ogóle nie pomyślał.

— Panie Zdzichu — wyszeptał — jak ja mam o tym wszystkim powiedzieć Wiktorii? Przecież ona się kompletnie załamie. A zataić przecież nie mogę, bo pewnie i tak się dowie...

— Nie możesz tego zatajać. Jak rano wstaniecie, zaaplikuj jej coś na uspokojenie. Zresztą tobie i Izie też by jakieś środki nie zaszkodziły, a potem jak najbardziej rzeczowo przekaż jej to, o czym rozmawialiśmy. No wiesz, że wiadomo już kogo szukać, że auto, no i że jest szansa dla dziewczynek, ponieważ wszystko wskazuje na to, iż może się skończyć na okupie. Wiki jest już na tyle dojrzała, że powinna to jakoś znieść, a ukrywanie czegoś przed nią teraz mogłoby podważyć jej zaufanie do ciebie. Musicie razem przez to przejść.

Kamil w odpowiedzi pokiwał tylko głową, a ja ze wstydem uświadomiłem sobie, że cieszę się z powrotu do własnego mieszkania.

Tutaj zapewne będą się wkrótce rozgrywać sceny, w których wolałbym nie uczestniczyć. No ale przynajmniej mogłem usprawiedliwić się przed samym sobą, że proponowałem swoją obecność. Skoro jednak uzyskałem odpowiedź odmowną, to moja rola mogła się ograniczyć tylko do wejścia w rolę Wujka Dobra Rada.

* * *

Po powrocie do siebie wyjąłem z lodówki butelkę piwa. W ogóle nie chciało mi się spać, natomiast pić — bardzo. Zamierzałem jeszcze trochę posiedzieć, spróbować sobie wynotować na kartce główne fakty, które wtedy znałem, oraz zastanowić się, co sensownego mogę zrobić w ciągu najbliższych godzin i dni. Skończyło się na tym, że pierwszą butelkę wypilem w dwie minuty, stojąc przy lodówce. Nad kolejnym piwem męczyłem się może trzy razy dłużej i dokładnie w momencie, gdy zamierzałem usiąść przy stole, poczułem wielkie zmęczenie i senność.

Tej nocy po raz pierwszy od dłuższego czasu nie miałem koszmarów. Śniła mi się mniej więcej piętnastoletnia Julka, grająca na perkusji w uczniowskim jazzowym kwartecie. To był koncert na zakończenie szkoły muzycznej pierwszego stopnia, średnia córka Kamila po prostu była genialna, a brak serdecznego palca zupełnie jej nie przeszkadzał. Patrzyłem na jej roześmianą łobuzerską twarz, a Julka od czasu do czasu odwzajemniała moje spojrzenie.

Jej szare oczy same się do mnie śmiały i wyglądała na najszcześniejszą piętnastolatkę na świecie.

III.

Z głębokiego snu wyrwał mnie dzwonek telefonu.

Kiedy otworzyłem oczy, zdziwiłem się, że jest już jasno, a potem spojrzałem na zegarek przy łóżku. Wskazywał osiem po dziesiątej, a więc spałem bez przerwy jakieś siedem godzin.

Była sobota, Daria miała wolne, więc postanowiła się ze mną skontaktować, aby spytać, czy wybieram się dziś do Szykowiaków i ewentualnie zaproponować swoje towarzystwo. Nie wiedziała nic o nocnej akcji, więc krótko ją opisałem, pomijając co bardziej drastyczne szczegóły. Niewiele to dało, ponieważ w momencie, gdy wspomniałem o tym, że Iza rozpoznała palec swojej córki, Darka zupełnie się rozkleiła. Wtedy rozpocząłem snucie swojej pocieszającej teorii i gdy najważniejsza kobieta w moim życiu trochę się uspokoiła, obiecałem, że za jakąś godzinę

do niej wpadnę i albo spędzimy trochę czasu we dwójkę, albo pojedziemy do Izy, Kamila i Wiktorii, jeśli będzie taka potrzeba.

Skończyliśmy rozmowę, a ja najpierw zacząłem wyszukiwać numer Kamila, a potem zmieniłem zdanie. Istniało prawdopodobieństwo (małe, ale jednak), że po wydarzeniach z nocy jeszcze nie cała rodzina jest na nogach, a jeśli tak było, to wolałem nie budzić nikogo bez potrzeby. Możliwe też, że właśnie niedawno Kamil opowiedział Wiktorii o tym, co się stało, ale to tym bardziej nie dawało mi podstaw do niepokojenia ich w takiej chwili. Sam przecież nie dalej niż kilka godzin temu dawałem mu rady, żeby powiedział o wszystkim, i sugerowałem, że sami muszą przez to przejść. Zresztą mój przyjaciel przecież powiedział, że jeśli będą mnie potrzebować, to da znać.

Zamiast do Kamila zadzwoniłem więc do Mamaja, żeby spytać, czy może dotarły do niego jakieś nowe wieści. Spodziewałem się odpowiedzi, że to jeszcze za wcześnie, że właśnie przesłuchują świadków i zaczynają przeglądać nagrania z monitoringu w nadziei na wypatrzenie gdzieś niebieskiego opla astry kombi. Taką też właśnie odpowiedź otrzymałem, więc nastawiłem kawę w ekspresie i wszedłem pod prysznic.

Komórkę zostawiłem wprawdzie w sypialni, ale wciąż był w niej ustawiony najgłośniejszy dzwonek, który bez trudu przedarł się przez szum wody. Cały w pianie wyskoczyłem z kabiny, ale Kamil już zdążył się rozłączyć. Mokrymi dłońmi natychmiast wybrałem „oddzwon”.

— Cześć, panie Zdzichu. To ja. Mam tu pewien kłopot, mógłbyś przyjechać jak najszybciej?

— Jasne, a co się stało? Coś z Wiki, jakieś wieści z policji?

— Nie, nie o to chodzi. Możesz przyjechać?

Zmroziło mnie, bo w podobny sposób prosił w nocy o mój przyjazd Mamaj i nie skończyło się to wcale dobrze.

— W porządku, postaram się być jak najszybciej. Będziemy z Darką, okej?

— Jasne, to może nawet lepiej. Tylko dobrze byłoby, żebyście zdążyli tak najpóźniej na wpół do dwunastej.

— Bez problemu, sądzę, że uda się nawet wcześniej.

— No to czekam. Na razie.

Natychmiast zadzwoniłem do Darii, by uprzedzić o zmianie planów i zapowiedziałem swoją obecność najdalej za pół godziny. Potem jeszcze

raz wszedłem pod prysznic, aby splukać z siebie pianę, i zacząłem nerwowo szukać jakichś świeżych ubrań.

Kawę już sobie darowałem, przede wszystkim dlatego, że musiałem się spieszyć. Inna sprawa, że telefon od Kamila wystarczająco podniósł mi ciśnienie.

* * *

Zastaliśmy Izę w humorze zgoła odmiennym od spodziewanego. Kiedy otworzyła nam drzwi, wcale nie wyglądała na osobę dotkniętą rodzinną tragedią. Trzymała w ręku żółtą bluzeczkę niewielkich rozmiarów, która, tak na moje oko, mogła należeć do którejś z zaginionych dziewczynek.

— O, dobrze, że już jesteście — powitała nas z uśmiechem. — My jeszcze chwilę się będziemy zbierać, ale to nie szkodzi. Muszę jeszcze tylko znaleźć coś odpowiedniego Oli i zaraz do was przyjdę. Cieszę się, że was widzę.

Przyglądałem się jej z niepokojem, zastanawiając się, czy jej beztroskie zachowanie to efekt działania lekarstw, czy też może zaczyna jej trochę odbijać z nadmiaru trosk.

Weszliśmy z Darką dalej, Iza zamknęła za nami drzwi, a potem zniknęła w pokoju dziewczynek.

W salonie zastaliśmy Kamila, który obejmował wtuloną w niego, bladą jak kreda Wiktoria i uspokajająco gładził ją po ramieniu. Oczy dziewczyny były trochę nieobecne i mocno zaczerwienione od płaczu, ale jak na trzynastolatkę, która dowiedziała się, że ktoś odciął palec jej młodszej siostrze, wyglądała na w miarę opanowaną. Byłem pewien, że mój przyjaciel skorzystał z mojej rady i podał córce coś na uspokojenie, zanim przekazał jej hiobowe wieści. Wszyscy troje w jako takiej formie, więc to już jest jakiś pozytywny scenariusz.

— Co się stało, Kamil? — zapytałem.

— Kochanie, pozwolisz mi wstać? — zwrócił się do Wiki. — Muszę chwilę porozmawiać z wujkiem na osobności. Możemy to zrobić w twoim pokoju? Daria przez chwilę pobędzie z tobą, dobrze?

Ja byłem dla dziewczynek wujkiem, ale Darka od razu na początku poprosiła je, aby zwracały się do niej po imieniu. Przyszło im to z łatwością, natomiast ja mogłem sobie strzepić język do woli, a mimo to pozostawałem „wujkiem”. Nie wiem, może to przez to, że Daria urodziła się osiem lat po mnie, a w dodatku wyglądała na zdecydowanie młodszą, niż określał to jej dowód osobisty.

Wiktorija pokiwała głową, Kamil wstał, a Daria natychmiast usiadła na jego miejscu, ujęła dłonie dziewczyny, pochyliła się lekko w jej stronę i szepnęła jej coś do ucha. Wiki wysłuchiwała uważnie, a potem lekko się uśmiechnęła i bezgłośnie przytaknęła. Obaj z Kamilem wiedzieliśmy, że zostawiamy ją w dobrych rękach.

* * *

— Słuchaj, panie Zdychu, Iza umówiła nas do Piórkowskiego na dwunastą — powiedział Kamil, gdy znaleźliśmy się w pokoju Wiktorii.

— Do kogo?

— Do Jonatana Piórkowskiego, nie słyszałeś o nim?

Charakterystyczne imię pomogło mi skojarzyć, o kogo chodzi. Miejscowy jasnowidz — dla jednych wyrocznia i człowiek dotknięty przez Boga lub jakieś inne, bliżej niezidentyfikowane siły darem jasnowidzenia, dla innych zwykły hochsztapler i naciągacz, który trzepie kasę na naiwnych. Widziałem parę razy w lokalnej prasie jego wypowiedzi na temat przyszłych zdarzeń, zdaje się, że kiedyś nawet był o nim reportaż w telewizji regionalnej. Przepowiednie Piórkowskiego na temat polityki, kataklizmów i wojen na świecie czasem się sprawdzały, ale chyba tylko dlatego, że formułowane były ogólnikowo i można było je interpretować dość dowolnie. Krążyły też słuchy, że swego czasu z jego usług korzystała policja z sąsiedniego powiatu, ale — o czym media już wspominały bardzo sporadycznie — ze względu na mizerne wyniki (a właściwie ich brak) współpraca ta po kilku próbach została zarzucona.

— Poczekaj, Kamil — odparłem. — Słyszałem o Piórkowskim, ale najpierw mi powiedz bardziej dokładnie, jak się urodził ten pomysł. To Iza sama na to wpadła czy ktoś jej to może podsunął?

— Sama wpadła. Obudziliśmy się po ósmej i zrobiłem tak, jak mi radziłeś. Zaaplikowałem nam wszystkim coś na uspokojenie nerwów i przedstawiłem twoją wersję. No wiesz, że te wydarzenia z ostatniej nocy mogą dawać nadzieję...

— Tak, wiem. I co było dalej?

— Wiki była okropnie wstrząśnięta, musiałem ją uspokajać chyba przez pół godziny. Cały czas mówiła, że to wszystko przez nią, że ona tego nie wytrzyma, że to ją powinno się okaleczyć za narażenie sióstr na niebezpieczeństwo. W końcu chyba coś do niej dotarło, nie wiem, czy moje tłumaczenia, czy medykamenty, ale wreszcie się trochę uspokoiła. Iza natomiast... — Kamil ściszył głos, jakby w obawie, że żona może

podsluchiwać pod drzwiami. — ...wpadła w jakiś rodzaj otępienia, była jakby nieobecna, w ogóle się nie odzywała, gdy starałem się opanować emocje Wiktorii. Iza siedziała tylko nieruchomo, patrząc w jeden punkt. Wydawało mi się, że po prostu wciąż jest w szoku, ale niedługo potem okazało się, że po prostu analizowała przedstawioną przez ciebie wersję wydarzeń. Nagle poderwała się na równe nogi i pomaszerowała do przedpokoju. Słyszałem, jak szpera w starych gazetach, które są poskładane obok szafki na buty, po czym zniknęła w sypialni. Chwilę później zaczęła rozmawiać z kimś przez telefon. Trwało to może pięć minut, a później wróciła do salonu i oznajmiła, że umówiła nas na wizytę u Piórkowskiego, który obiecał pomoc w odnalezieniu dziewczynek. No i niby mamy tam u niego być w samo południe.

— To trochę do Izy niepodobne — powiedziałem po chwili milczenia, dość mocno zdziwiony.

— Fakt, raczej podchodzi do życia racjonalnie, nigdy nie wierzyła w jakieś zabobony czy jasnowidzenia. Nawet do kościoła przestaliśmy chodzić głównie przez jej sceptyczne podejście do wiary. No, ale z drugiej strony wiesz, jaka ona jest. Jak sobie wbije coś do głowy, to trudno ją przekonać do zmiany decyzji.

— No i co zamierzasz z tym zrobić?

— Właśnie nie wiem, myślałem, że może ty coś doradzisz...

— Cholera jasna, Kamil, to nie takie łatwe. Teoretycznie w tej sytuacji powinniście chwycić się każdej możliwej deski ratunku...

— O, widzisz! — przerwał mi. — Dokładnie tego samego sformułowania użyła Iza. Stwierdziła, że w tej twojej argumentacji, którą przedstawiłem rano, na pewno jest dużo sensu i skoro policja prowadzi szeroko zakrojone działania, to my też nie powinniśmy siedzieć z założonymi rękami. Mało tego, zapowiedziała, że skontaktuje się z tym reporterem, który prowadził relację na żywo z rynku, aby wystąpić raz jeszcze w telewizji i ogłosić, że jesteśmy gotowi na opłacenie okupu w wysokości pięciuset tysięcy złotych, a nawet więcej, jeśli będzie trzeba.

— Akurat to na pewno nie jest dobry pomysł.

— Wiem, mówię ci tylko o tym, co wymyśliła. Twierdzi, że najwyżej wszystko sprzedamy i zaczniemy życie od nowa. Wracając do Piórkowskiego, Iza jest zachwycona po rozmowie z nim, twierdzi, że ten facet ma bardzo ciepły głos i nawet przez telefon czuła, jak

nieprawdopodobnie ją rozumie. Nawet zrobił dla nas wyjątek, bo podobno nigdy nie przyjmuje klientów ani w soboty, ani w niedziele.

— Ciekawe, czy wspomniała mu o tym, że jest gotowa zapłacić każdą cenę za pomoc w odnalezieniu dziewczynek? Coś mi się zdaje, że mogło tak być...

— Tego nie wiem. — Kamil wzruszył ramionami. — Co radzisz?

— Najgorzej będzie, jak wam naopowiada coś wymyślonego naprędce, a Iza w to uwierzy. Pół biedy, jeśli powie, że dziś nie może niczego powiedzieć i żebyście przyszli za parę dni. Gorzej, jeśli to będzie coś, co da nadmierną nadzieję albo jej pozbawi. Tak czy inaczej, chyba muszę porozmawiać z Izą. Spróbuję ją jakoś przygotować, zasugerować, by potraktowała te całe wizje Piórkowskiego z rezerwą. Bo jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że moglibyśmy odwiedzić ją od zamiaru pójścia do niego.

— Dziękuję. Myślę, że to najlepsze wyjście — powiedział Kamil na zakończenie naszej rozmowy. — Masz na nią chyba większy wpływ niż ja. A poza tym osobiście też poszedłbym do samego Lucyfera, jeśli tylko wiązałoby się to z jakąś nadzieją na uzyskanie choćby cienia informacji o miejscu przebywania Julki i Oli.

Zupełnie mu się nie dziwiłem, bo z całą pewnością na jego miejscu zrobiłbym podobnie.

Niestety, moje rzekome przymioty w zakresie wpływu na Izę w tym przypadku okazały się jedynie mitem. Poszedłem wprawdzie do pokoju dziewczynek, żeby z nią porozmawiać, ale ona była całkowicie skoncentrowana na znalezieniu jakichś niepranych ubrań, które jej córki miały na sobie przed porwaniem. Odpowiadała mi półsłówkami, cała rozemocjonowana poszukiwaniami i zbliżającym się spotkaniem z Piórkowskim.

W pewnym momencie zupełnie mnie przeraziła, otwierając drzwi do ostatniej szafy z ubraniami i mówiąc:

— Pan Jonatan pytał, czy możemy ze sobą przynieść ten palec. Powiedziałam mu, że chyba w tak krótkim czasie nie uda nam się go zdobyć, czego bardzo żałował. Podobno wtedy wizja mogłaby być najwyraźniejsza. No nic, może następnym razem. O, właśnie tej spódniczki Oli szukałam. Wiedziałam, że cię w końcu dopadnę, ty mała dziwko. — W tym momencie Iza roześmiała się trochę histerycznym śmiechem i popatrzyła na mnie jak na kogoś zupełnie obcego.

Miałem wrażenie, że jeśli jej powiem, iż prokurator z pewnością się nie zgodzi na to, żeby zabierać palec Julki do pana Jonatana, to Iza tylko uśmiechnie się z politowaniem i popuka w czoło.

* * *

Mniej więcej za dziesięć dwunasta zostaliśmy w mieszkaniu tylko we trójkę. Tuż przed wyjściem Iza zachowywała się w miarę normalnie, chociaż widok jej tulącej wciąż do siebie ubrania zaginionych córek budził niepokój. Jak zresztą całe to przedsięwzięcie związane z wizytą u Piórkowskiego.

Daria ciągle zajmowała się Wiktorią i to do tego stopnia skutecznie, że dziewczyna ledwie co zauważyła, że jej rodzice wychodzą z domu. Ja natomiast stałem przy oknie z widokiem na ulicę, przypatrując się sobotniemu leniwemu życiu miasteczka. Chciałem, żeby Iza i Kamil już wrócili, bo obawa związana z tym, co powie jasnowidz, powoli, ale nieubłaganie zamieniała się pod moją skórą w zwykły, zwierzęcy, jakby atawistyczny wręcz strach.

IV.

Parę minut po dwunastej usłyszeliśmy, jak w przedpokoju dzwoni telefon. Poszedłem tam i okazało się, że to komórka Izy, zostawiona na półce przy lustrze, zapewne przez roztargnienie. Wziąłem telefon do ręki i wróciłem z nim, prosząc Wiktorię, żeby odebrała.

Okazało się, że to ktoś z policji. Gdy tylko funkcjonariusz zorientował się, że rozmawia nie z właścicielką aparatu, a z córką, szybko się rozłączył.

— Powiedział na koniec, że tato ma chyba wyłączony telefon, ale że będzie jeszcze próbował — oznajmiła Wiki.

„No tak, jeśli ma teraz ze sobą komórkę, to nic dziwnego, że wyłączył ją na czas seansu” — pomyślałem. Pożałowałem też, że to nie ja odebrałem połączenie. Kto wie, może to coś ważnego? W końcu, po paru minutach zastanowienia, zdecydowałem się wybrać ten sam numer, więc wziąłem komórkę od Wiktorii, ale właśnie wtedy rozległ się przeraźliwie głośny sygnał mojego aparatu.

„Mamaj” na wyświetlaczu.

Przeszedłem z telefonem do łazienki i dopiero tam wcisnąłem przycisk oznaczony zieloną słuchawką.

— To znowu ja — powiedział, gdy się zgłosiłem. — Próbują namierzyć Szykowiaków. Nie wiesz przypadkiem, gdzie można ich znaleźć?

— Wiem, poszli do jasnowidza w sprawie dziewczynek. Właśnie jesteście z Darią w ich mieszkaniu, przed kilkoma minutami ktoś dzwonił na komórkę Izy. A co się stało?

— To nie na telefon. Możesz teraz przyjechać?

— Chyba tak. Daria zostanie z Wiki.

— To dobrze. Na razie.

Rozłączył się. Natychmiast wcisnąłem więc oddzwanianie.

— Halo?

— Marian, ale gdzie mam przyjechać?

— Aha, no tak. Wiesz, gdzie w Rykowie Górnym jest Dom Spokojnej Starości Irys?

— Tak, wiem, często tamtędy jeżdżę na rowerze.

— No to tam. Ja też się tam teraz wybieram, to zjedziemy się mniej więcej o czasie. Jakbyś był wcześniej, to poczekaj przed bramą, dobrze?

— Dobrze. Powiedz mi tylko, że chodzi o dziewczynki.

Przez chwilę milczał, a potem odparł:

— Obawiam się, że tak, ale może nie. Zobaczymy. Przyjedź jak najszybciej. Aha, i na razie nie mów nic Wiktorii.

Ze ściśniętym żołądkiem poszedłem do salonu i oznajmiłem, że muszę na jakiś czas wybyć, oraz zapytałem, czy sobie poradzą same. Odpowiedziały równocześnie, że tak, ale Darkę coś tknęło, bo wstała z sofy i przyszła za mną do przedpokoju.

— Coś złego się stało, skarbie? — zapytała. — Bardzo zbladłeś.

— Nie wiem, słoneczko. Mam nadzieję, że nie. Mamaj nic mi nie chciał powiedzieć przez telefon, ale zaraz będę wiedział więcej. Trzymajcie się, a jakby Iza z Kamilem wrócili, to niech któreś z nich od razu do mnie zadzwoni.

— Dobrze. Trzymaj się. Mam nadzieję, że to nie są jakieś złe wieści — powiedziała i cmoknęła mnie w policzek.

Ja też miałem taką nadzieję.

* * *

Podróż do wspomnianego przez Mamaja Domu Spokojnej Starości Irys zajęła mi niecałe dziesięć minut. Samo miejsce kojarzyłem bardzo dobrze, ponieważ naprzeciw muru okalającego dom starców znajdował się cmentarz, gdzie według relacji Kamila pochowany był Adrian Zbieński. Parę razy, gdy jechałem tędy rowerem, kuśilo mnie, żeby się zatrzymać i znaleźć grób tego zabitego w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym

roku chłopaka, ale nigdy się na to nie zdecydowałem. Sam nie wiem, czy z lenistwa, czy też może dlatego, że mogłoby to zostać odebrane jako przejaw niezdrowej ciekawości.

Minąłem po prawej stronie cmentarny murek zabezpieczony od góry gontem, a następnie dotarłem do położonego po lewej stronie drogi rozległego parku, otoczonego identycznym murkiem jak ten widziany przed chwilą. Nawet gont chroniący oba ogrodzenia był taki sam i wyglądał na świeżo położony. Za którymś razem, przejeżdżając tędy rowerem, skręciłem w lewo i przez zardzewiałą bramę wtoczyłem się na aleję pomiędzy szpalerami starych drzew. Na końcu tego utwardzonego drobnym tłuczniem duktu znajdował się niewielki piętrowy budynek przypominający trochę pałac. Nie dojechałem jednak nawet do połowy tej dróżki, ponieważ zauważyłem pensjonariuszy ośrodka zażywających popołudniowej sjęsty i nie chciałem ich niepokoić. Siebie zresztą także, ponieważ tego typu widoki oraz myśli o majaczącej już gdzieś tam na horyzoncie starości bardzo niekorzystnie wpływały na moje samopoczucie.

Zatrzymałam corollę obok aut stojących na wprost ogrodzenia na prowizorycznym parkingu i wysiadłem na zewnątrz. Samochodów było może osiem, z czego pięć w różnych odcieniach koloru niebieskiego. Kiedy wcześniej zapuszczałem się w te rejony, nie stały tu więcej niż dwa parkujące pojazdy, założyłem więc, że albo jest to związane z większą liczbą odwiedzających w soboty niż w zwykły dzień, albo z przyczyną, dla której wezwał mnie w to miejsce Mamaj. Później okazało się, że obie te okoliczności miały swój wpływ na motoryzacyjne zagęszczenie przed otaczającym Irys może dwuhektarowym parkiem.

Nie zauważyłem należącej do Majki białej skody fabii, więc pomyślałem, że może wjechał do środka. Ruszyłem zatem w kierunku bramy, a kiedy przez nią przeszedłem, moim oczom ukazała się kilkunastoosobowa grupa ludzi, która tłoczyła się jakieś pięćdziesiąt metrów po prawej, niedaleko wewnętrznej ściany ogrodzenia pokrytego gontem. Obok niej, przy jednej z bocznych alejek, stał policyjny radiowóz i dwa inne, czarne osobowe auta. Dopiero gdy wyteżyłem wzrok, zauważyłem, że około połowy zebranych tam osób stanowią umundurowani policjanci. Jeden z nich okalał właśnie tamte okolice policyjną taśmą. Błysnął flesz aparatu fotograficznego.

Nagle zrobiło mi się duszno wśród tych starych, otoczonych murem drzew. Wiedziałem, że zaraz będę tam musiał pójść, domyślałem się, co tam

zobaczę, ale nie chciałem tego zrobić jeszcze teraz. „Umówiliśmy się z Mamajem — pomyślałem — i poczekam na niego na zewnątrz, przy ulicy”.

W bramie minąłem się z dwoma leciwymi jegomościami, którzy akurat skończyli palić papierosy, zgasili je na metalowym koszu, a niedopałki wrzucili do środka. Domyślałem się, że to pensjonariusze Irysa, którzy w tajemnicy przed swoimi opiekunami wymknęli się na konspiracyjnego dymka.

Gdy byli już za moimi plecami, jeden z nich powiedział:

— No i widzisz pan, panie Heniu, Stefan mówił, że widział w nocy (a pamiętasz, że lubił wymknąć się przed snem na papieroska), trzynastego w piątek, niebieskiego anioła, co to pojawił się na naszym terenie i wjechał tu bez świateł, jakby cichaczem. No i popatrz, się sprawdziło. Stefana żeśmy pochowali tydzień później, a teraz jeszcze to...

Nie zdążyłem zastanowić się, jacy to aniołowie widywani są w Rykowie Górnym, bo niedaleko mnie zatrzymały się dwa auta — srebrny nieoznakowany opel vectra na policyjnych blachach i biała skoda fabia. Z pierwszego z nich wysiadł nieumundurowany tym razem nadkomisarz, widziany przeze mnie w telewizyjnej relacji „na żywo”, w której wystąpił razem z Izą i Kamilem. Drugie auto i jego kierowcę znałem doskonale. Wyglądało na to, że policjant nie wiedział, że Mamaj za nim jedzie. Podeszedł do jego auta, poczekał, aż Majka wygramoli się zza kierownicy, a potem przywitał się z nim, pytając, czy udało mu się skontaktować z Szykowiakami. Odpowiedziało mu przeczące kręcenie głową. Ruszyli obaj w stronę bramy, przy której stałem i wtedy Marian mnie zauważył.

— To jest właśnie Zdzisław Mokryna — rzekł do nadkomisarza. — Może jemu się udało dowiedzieć coś więcej.

Policjant zlustrował mnie bystrym spojrzeniem, a gdy podeszli bliżej, wyciągnął rękę i przedstawił się jako Paweł Sitarz, szef lokalnej dochodzeniówki.

— Sporo o panu słyszałem, panie Zdzisławie — dodał. — I to jeszcze na długo przed pana przeprowadzką do Rykowa.

— Zakładam, że nie jest to komplement?

— Stare dzieje, zresztą ja tam do BSW nic nie mam. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach...

Naszą rozmowę przerwał głośny warkot silnika granatowej furgonetki, która zatrzymała się najwyżej metr od nas. Staliśmy pośrodku wjazdu na

teren przylegający do domu starców, a volkswagen transporter, oklejony logo telewizji, najwyraźniej chciał się dostać za ogrodzenie. Kierowca kilka razy niecierpliwie przygazował, ale Sitarz tylko spokojnie wskazał miejsca parkingowe obok innych samochodów.

Z tylnej części busa wyskoczył znany mi już z widzenia nadpobudliwy reporter.

— Panie inspektorze, w czym problem? — zadał pytanie niezbyt grzecznym tonem. — Zdaje się, że nie ma zakazu wjazdu.

— Po pierwsze, nie inspektorze, a nadkomisarzu, jeśli już koniecznie musi się pan posługiwać stopniem służbowym, a po drugie, zakaz właśnie w tej chwili wydałem. Możecie wejść na teren parku ze sprzętem, ale pod warunkiem, że nie podejście do miejsca oględzin bliżej niż na dwadzieścia metrów. — Dało się wyraźnie odczuć, że policjant niezbyt ciepło wspomina ostatnie spotkanie z dziennikarzem.

— Ale kamera, statyw, oświetlenie... To wszystko mamy nieść na plecach, skoro możemy podjechać bliżej?

— Nie możecie, przecież wydałem przed chwilą zakaz. Nie będziecie niepokoić pensjonariuszy tylko dlatego, że nie chce wam się przenieść sprzętu. I powiedziałem, dwadzieścia metrów i ani kroku bliżej. I trochę mniej sensacji, panie redaktorze, bo to są ludzkie tragedie, a nie Hollywood.

Redaktor pokręcił z niesmakiem głową, a potem podszedł do drzwi kierowcy, polecając mu przeparkowanie auta. Zaraz potem długi volkswagen zajął całą przestrzeń pomiędzy murem okalającym Irys a jezdnią. Dopiero wtedy Sitarz gestem wskazał nam kierunek i ruszyliśmy w stronę ludzi pracujących w miejscu otoczonym policyjną taśmą.

Całe zamieszanie dało mi trochę oddechu, ale teraz już nie było odwrotu.

— Mieszkający tu staruszkowie wierzą, że niebieskie samochody zwiastują śmierć, dlatego nie pozwoliłem im wjechać — odezwał się policjant, jakby trochę szukając u nas zrozumienia. — Auta tego koloru, które wjadą poza bramę, nazywają „niebieskimi aniołami” i twierdzą, że zawsze po takiej wizycie któryś z podopiecznych umiera.

Miałem nogi jak z waty i ledwie go słuchałem, ale jednak dotarł do mnie sens tego, co powiedział.

— Panie nadkomisarzu, słyszałem przed chwilą, że jeden z mieszkańców ośrodka mówił o odwiedzinach takiego auta tu, w parku,

w piątek trzynastego marca. Ponoć auto wjechało bez świateł, z tego, co zrozumiałem, wyglądało na to, że chce pozostać niezauważone.

Sitarz przystanął.

— A wie pan, który z podopiecznych ośrodka je widział?

— Zdaje się, że on sam już nie żyje. Ale może ci dwaj, którzy o nim rozmawiali, wiedzą coś więcej.

Staruszkowie minęci przeze mnie w bramie właśnie dotarli do jednej z ławek położonych nieopodal budynku. Wskazałem ich policjantowi, a on stwierdził, że za chwilę wyśle tam kogoś na rozpytanie.

— Kontaktowałeś się z Kamilem albo Izą? — zapytał Mamaj, jakby zupełnie niezainteresowany naszą rozmową. Dopiero w tej chwili spostrzegłem, że cały czas zezuje w kierunku miejsca oględzin.

Zadzwonił mój telefon. Okazało się, że to Daria. Zanim się odezwała, zdążyłem usłyszeć w tle histeryczny płacz Izy i rozpaczliwie brzmiący głos. Nawet nie rozumiałem, co mówi.

— Cześć, kochanie — usłyszałem w słuchawce. — Nie wiem, co robić...

— Co się stało?

— Ten jasnowidz, Piórkowski, powiedział im, że obie dziewczynki z całą pewnością nie żyją...

Nie powiedziałem Darii przez telefon gdzie jestem i po co. Poprosiłem tylko, żeby Szykowiakowie przez jakiś czas nie wychodzili z domu. Wtedy dopiero zbliżałem się do miejsca oględzin i nie wiedziałem, co tam zastanę, więc powiedziałem, że zaraz albo zadzwonię, albo przyjadę.

V.

Znajdujące się już w dość zaawansowanej fazie rozkładu ciało Julki ułożone było na wznak. Ktoś, kto widział dziewczynkę tylko na rozwieszonych w całej okolicy zdjęciach, mógłby jej nie rozpoznać głównie dlatego, że lewa strona jej twarzy była dość mocno uszkodzona, jak stwierdzili policjanci dokumentujący miejsce znalezienia zwłok, najprawdopodobniej przez szczury albo kręcące się w okolicy zdziczałe psy. Z policzka i lewej połowy ust nie pozostało właściwie już nic, przez resztki ścięgien przebłyskiwała kość policzkowa i zęby. Efekty działania zwierząt widoczne były też na nodze dziewczynki — spodnie zostały rozszarpane, a mięśnie uda i łydki także zostały dość mocno pokiereszowane.

Na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że głowa ułożona jest pod nienaturalnym kątem. Lekarz stwierdził, że o ile ten uraz nie powstał już po śmierci, to z dużym prawdopodobieństwem założyć można, iż właśnie on był przyczyną zgonu.

Pomimo że twarz Julki była trudna do rozpoznania, to jednak śledczy właściwie nie mieli wątpliwości, z czyimi zwłokami mają do czynienia. Wstępne oględziny wykazały, że prawa dłoń pozbawiona jest palca serdecznego, natomiast paznokcie pozostałych dziewięciu oklejone są czarnymi naklejkami przedstawiającymi nutki, bardzo podobne do tych znalezionych w mieszkaniu Zbieńskiego na odciętym palcu zawiniętym w folię aluminiową.

Ciało dziewczynki ukryto pod stertą gałęzi, która pozostała po przeprowadzonym pod koniec lutego przycinaniu drzew i zbieraniu tych opadłych w zimie na terenie całego parku. Od tych porządków w ten rejon rzadko zapuszczał się ktoś z podopiecznych ośrodka opieki lub jego personelu, a ciało zostało znalezione przez psa rasy york, który w sobotni poranek wraz ze swoją panią przyjechał w odwiedziny do jej dożywającego swoich dni w Irsie ojca.

Wprawdzie identyfikacja zwłok miała być formalnością, jednak należało ją przeprowadzić. Tym razem śledczy chcieli od razu zawiadomić rodziców ofiary, ale ponieważ nie udało im się z nimi skontaktować, to padło na mnie. Skoro jednak okazało się, że wiadomo, gdzie teraz są Iza i Kamil, to prokurator postanowił, że im da wybór, czy zobaczą i rozpoznają ciało córki w miejscu, gdzie je znaleziono, czy też w prosektorium, bezpośrednio przed rozpoczęciem sekcji.

Początkowo nie rozumiałem tej decyzji, ale później się to zmieniło. Jeśli nie ma już nadziei, to po cóż jeszcze trzymać w niepewności rodziców? Ja wiem, że to Julka, śledczy też wiedzą, ale rodzice...? Czy potrafiliby uwierzyć bez zobaczenia dziecka na własne oczy? Może ciągle jeszcze zadawaliby sobie pytanie: „A co jeśli oni się pomylili i to tylko jakaś dziewczynka bardzo do Julki podobna?”.

Ostatecznie stanęło na tym, że Sitarz wraz z jednym z funkcjonariuszy pojedą do Szykowiaków, którzy zostaną poinformowani o tym, co się stało, oraz zapytani o preferowane miejsce ostatecznej identyfikacji ciała.

Razem z Mamajem czekaliśmy na ławce zlokalizowanej przy głównej alejce parku. Redaktor odstawił swój rytualny cyrk, ale karnie nie przekraczał odległości określonej przez nadkomisarza. Chyba jeszcze nie

do końca to wszystko do mnie docierało, było mi niedobrze, ale gdy tylko mój wzrok biegł w stronę dziennikarza, to chciało mi się rzygać.

Marian od czasu do czasu potrzasał głową i powtarzał:

— Nie wiem, co bym zrobił, gdyby to było moje dziecko, przysięgam ci, Zdzisław, nie wiem, co bym zrobił...

* * *

Gdy minęło dwadzieścia minut od wyjazdu policjantów, zadzwoniłem do Darii. Okazało się, że Kamil z Izą parę minut wcześniej w towarzystwie funkcjonariuszy wyszli z domu. Spytałem, czy wiedzieli, gdzie i po co są zabierani.

— Nie wiem tego na pewno, Zdziszek — usłyszałem w odpowiedzi. — Policjantom otworzył Kamil i przez moment rozmawiali w przedpokoju, podczas gdy my we trzy siedzieliśmy w salonie, a potem poprosił Izę, żeby z nimi poszła. Co się dzieje, kochanie? Mam złe przeczucia, zresztą ty też masz jakiś zmieniony głos.

— Niedługo przyjadę i wszystko ci opowiem. Jak trzyma się Iza po tej wizycie u jasnowidza?

— Już trochę lepiej. Chyba udało nam się z Kamilem przekonać ją, że przecież Piórkowski mógł się pomylić, co zdarzało się wiele razy.

— A Wiki?

— Ona chyba w ogóle nie za bardzo kontaktuje. Nie wiem, jakich środków i ile dostała rano, ale chyba właśnie dość mocno działają. Teraz jest w pokoju i coś tam ogląda w komputerze.

Popatrzyłem w stronę dziennikarza, który właśnie zrobił sobie przerwę, i uświadomiłem sobie, jak zareaguje, gdy zobaczy, że w parku pojawią się Szykowiakowie.

— Przypilnuj tylko, żeby na razie nie oglądała telewizji.

— Dobrze.

— Ale w komputerze też. Wiesz o tym, że przez Internet też można oglądać wiele kanałów?

— No pewnie, że wiem. Przypilnuję. Nie wiem, dlaczego o to prosisz, ale zrobię to.

Rozłączyłem się, powiedziałem Mamajowi, że Szykowiakowie właśnie tu jadą, i poszedłem w stronę ekipy telewizyjnej.

— Skończyliście już panowie? — zapytał operator kamery.

— Mamy krótką przerwę, a bo co?

Pomyślałem wtedy, że nie ma sensu się z nimi przekomarzać i poszedłem poprosić Mamaja, żeby porozmawiał z prokuratorem. Ekipa telewizyjna w asyście dwóch umundurowanych policjantów opuściła park może minutę przed tym, jak srebrna vectra z cichym szmerem wtoczyła się przez bramę.

* * *

Nie miałem wątpliwości, że Sitarz poinformował w drodze Izę i Kamila, gdzie i w jakim celu się udają. Wystarczył jeden rzut oka na twarz mojego przyjaciela, który po wyjściu z auta i objęciu żony, zaczął rozglądać się wokół. Iza wyglądała na nieobecna.

Auto zatrzymało się może pięć metrów od miejsca, w którym odnaleziono Julkę. Jej rodzice podeszli tam wraz z prokuratorem. Staliśmy z Mamajem w pewnym oddaleniu i żaden z nas nie wiedział chyba, jak powinien się teraz zachować.

To trwało tylko chwilę. Oboje równocześnie popatrzyli w dół, pod Izą ugięły się nogi i gdyby nie Kamil, który ją podtrzymywał, z pewnością osunęłyby się na ziemię. Prokurator o coś spytał, mój przyjaciel przytaknął skinieniem głowy, a później łagodnie zaczął odsuwać żonę z tamtego miejsca. Gdy do nich podeszedłem, zauważyłem, że po policzkach Kamila płyną łzy, a Iza wciąż jakby myślami jest gdzie indziej. Sitarz cały czas im towarzyszył, a my z Mamajem podeszliśmy bliżej. Wtedy usłyszałem ciche:

— Panie Zdzichu, zabierzesz nas stąd do domu?

* * *

Szliśmy we trójkę, Iza w środku, a my z Kamilem podtrzymywaliśmy ją z obu stron. Zanim ruszyliśmy do bramy, poprosiłem Sitarza, żeby nie dopuścił do tego, by nasze wyjście zostało sfilmowane.

Gdy dochodziliśmy już do wyjścia, Iza nagle podniosła głowę, popatrzyła najpierw na mnie, a potem na Kamila i powiedziała:

— Widzicie? Piórkowski się jednak nie pomylił. — Jej głos był przerażająco naturalny, nie było w nim nawet grama emocji, brzmiał tak, jakby miała nam do przekazania coś absolutnie oczywistego. — Mówiłeś, Kamil, jak do niego szliśmy, że chce od nas tylko wyciągnąć kasę. Gdyby tak było, to umawiałby się z nami na kolejne spotkania, a on po prostu od razu powiedział, co się stało. To tylko kwestia czasu, a znajdą też Olę. Możecie mi powiedzieć, dlaczego nas to spotkało? Co takiego zrobiliśmy, czemu są winne te dziewczynki, że ktoś tak je potraktował?

Żaden z nas nie potrafił odpowiedzieć na te pytania.

— Juleczka przeleży przez niedzielę, bo dzisiaj przecież jej nie zdążymy pochować, jutro też, bo pewnie będą ją chcieli dokładnie zbadać, a wiadomo, że wtedy się kogoś ze sobą zabiera — ciągnęła beznamiętnie Iza, a ja zacząłem się zastanawiać, czy nie miesza się jej już w głowie. Przecież jeśli jasnowidz miał rację, to Ola już nie żyje i nie da się jej nigdzie zabrać. — Tak zawsze się dzieje.

— To są zabobony, kochanie — powiedział Kamil. — Musimy przecież mieć nadzieję.

W jego głosie tej nadziei nie sposób się było doszukać.

Kiedy już przeszliśmy przez bramę, musieliśmy minąć samochód telewizji, którego tył prawie wystawał poza parking. Aby to zrobić, trzeba było wejść na jezdnię. Przystanęliśmy na skraju szosy, żeby poczekać, aż minie nas jadąca w stronę Rykowa ciężarówka, załadowana wielkimi balami drewna. Iza zauważyła, że rozwiązała jej się tenisówka, więc wyswobodziła się z naszych rąk i pochyliła, żeby zawiązać but. Wążący razem z towarem kilkadziesiąt ton samochód mijał nas z mozołem i bardzo powoli. Nagle kątem oka zobaczyłem, jak Iza traci równowagę i, obracając się na plecy, upada na asfalt. Zanim zmiażdżyły ją osadzone na dwóch osiach tylne koła naczepy, pochwyciłem jej ostatnie, zupełnie obojętne, ale też świadome spojrzenie, które skierowane było w moją stronę. Do dziś uważa się, że jej śmierć nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku, a ja nigdy nie zdobyłem się na to, by powiedzieć Kamilowi, jak było naprawdę.

23 marca 2015 (poniedziałek)

Minęły właśnie dwa tygodnie od porwania. Czternaście razy Ziemia obróciła się wokół własnej osi. W skali ludzkiej egzystencji to zaledwie chwila, ale przecież często tak naprawdę tylko chwilę trwają największe dramaty, które zmieniają całe nasze życie. Albo je w ułamku sekundy kończą.

Trudno powiedzieć, ile razy w ciągu ostatnich dwóch dni słyszałem z tyłu głowy ten okropny dźwięk trzaskających kości i miażdżonych tkanek. Przeklinam tę ciężarówkę za to, że jej silnik pracował na wolnych obrotach, że stojąca obok furgonetka telewizji jeszcze wygłuszyła hałas pomiędzy kabiną ciągnącej drewno scanii, stając się czymś w rodzaju ekranu akustycznego, przez co tak wyraźnie wszystko słyszałem.

Wciąż widzę upadające przed śmiercionośnymi kołami ciało i Kamila, który rzuca się na pomoc żonie. Nie wiem, jakim cudem udało mi się go odruchowo chwycić za ramię. Gdyby nie to, zginąłby najprawdopodobniej razem z Izą. Słyszę też tę ciszę, która nagle nastąpiła zaraz potem. Kierowca wiozący bale zupełnie nie zorientował się, że coś jest nie tak, a jego scania została zatrzymana dopiero po kilku minutach przez patrol drogówki w centrum Rykowa.

Kiedy Kamil po chwili spędzonej obok swojej konającej żony zaczął krzyczeć, zbiegli się wszyscy, którzy byli w promieniu kilkudziesięciu metrów. Zdaje się, że nawet ciało Julki na jakiś czas zostało pozostawione bez opieki. Lekarz sądowy był przy Izie w niecałą minutę, zaraz po wścibskim dziennikarzu i operatorze kamery, karetka nie dalej niż po kwadransie, ale na nic to się zdało. Obrażenia były tak ogromne, że na ratunek nie było szans. Iza zmarła natychmiast.

Wspominam to wszystko po raz kolejny, siedząc w pustym mieszkaniu Izy i Kamila... Właściwie to teraz już tylko Kamila. Trzymam w ręku pilot od telewizora i zmieniam kanały, pozostając tak naprawdę ciągle w Rykowie Górnym, nieopodal bramy prowadzącej do domu starców. Muszę jednak uważać, bo co jakiś czas na kanałach informacyjnych pojawia się coś, czego nie chcę oglądać.

Ekipa telewizyjna zmontowała materiał z sobotnich zdarzeń, który — jak im się zapewne wydaje — nie jest przesadnie drastyczny. Ja mam co do tego inne zdanie, bo dla mnie widoczny w co drugim ujęciu i przykryty czarnym workiem leżący na asfalcie kształt to nie jest „jakieś coś” ani

anonimowa postać. To kobieta, którą znałem bardzo dobrze, z którą uwielbiałem spędzać czas i która potrafiła przyrządzać najlepszą pizzę na świecie. Na ekranie telewizora wygląda jak przedmiot, jak mały kopczyk suchych gałązek drewna, które ktoś przykrył w obawie, aby nie zamokły. Dziennikarz oczywiście jest w swoim żywiole, a operator kamery dba, by czarny worek był przez większość czasu w kadrze.

Pojawiły się nowe informacje w sprawie, więc po raz kolejny zostaje ona nagłośniona we wszystkich możliwych mediach. W materiale są rozmowy z prokuratorem („Ze względu na dobro śledztwa odmawiam udzielenia jakichkolwiek informacji na jego temat”) oraz nadkomisarzem Sitarzem („Trwają szeroko zakrojone działania operacyjne policji. Mamy nadzieję, że wkrótce uda nam się ustalić miejsce pobytu podejrzanego oraz odnaleźć porwaną dziewczynkę”). Zaraz potem prezentowana jest na ekranie niezbyt miła twarz Mieczysława Zbieńskiego, a tuż po niej znany już widzom wizerunek zaginionych dziewczynek, z tym że buzia Julki jest już teraz zamazana. Oczywiście, mogliby pokazywać tylko zdjęcie Oli, ale tak jest przecież bardziej dramatycznie i to napędzi przed ekrany nowe rzesze żądnych sensacji telewidzów, którzy będą pogryzać chipsy, popijać piwo i przez ułamek sekundy współczuć pokrzywdzonym. Może nawet żona powie do męża: „Popatrz, Kaziu, jaka tragedia”, a następnie zmieni kanał pilotem i ucieszy się, że właśnie puszczają odcinek „Kiepskich”, którego jeszcze nie oglądała. Podawane są też informacje dotyczące poszukiwanego niebieskiego opla astry kombi.

Wiktoria nieomal oszalała z rozpaczy w sobotę po południu, gdy dowiedziała się o śmierci Julki i Izy. Zaczęła dosłownie wydzierać sobie włosy z głowy oraz w kółko mamrotać, że to wszystko przez nią, że taki śmieć jak ona nie powinien chodzić po ziemi i że się zabije. Kiedy późną nocą wreszcie zasnęła, Kamil powiedział mi i Darii, że wcześniej już też kilka razy wspominała o samobójstwie i że razem z Izą starali się nie zostawiać jej samej. Gdy wspomniał imię żony, po raz kolejny tego dnia rozplakał się jak dziecko.

Wtedy też, w tę okropną noc z soboty na niedzielę, po raz pierwszy w życiu zażyłem coś na uspokojenie. Nigdy wcześniej, ani wtedy gdy zginęli moi rodzice, ani gdy odeszła Beata, ani w wyniku problemów z pracą, która nie oszczędziła mi stresów, nawet nie pomyślałem o ucieczce w farmaceutyki. To, co się wydarzyło w Rykowie, było dla mnie nie do wytrzymania, więc musiałem się jakoś ratować. Dobrze, że była przy mnie

Daria, która okazała się osobą niemal niezłomną, która potrafiła jako tako trzymać emocje na wodzy.

Postanowiliśmy z Darką, że na jakiś czas przeprowadzimy się do Szykowiaków, żeby nie byli sami w tym najtrudniejszym dla nich czasie. Moim głównym zadaniem jest trwanie obok przyjaciela i Wiki, bo przecież teraz to chyba właśnie to zdaje się najważniejsze i na jakiegokolwiek słowa pocieszenia jest jeszcze za wcześnie.

Miasto płacze razem z Kamilem. Tym razem w rozwieszanie podobizn Zbieńskiego w ogóle nie musieliśmy się angażować. Podobno w sobotnie popołudnie i wieczór dzięki pospolitemu ruszeniu mieszkańców wisiały już chyba na każdym słupie w Rykowie. To miłe, że ten wielotysięczny żywy organizm aż tak poruszyły losy rodziny Kamila, że jak jeden mąż ludzie pospieszyli z taką pomocą, jakiej akurat w tej chwili mogli udzielić. Zapewne jednak te wysiłki nie przyniosą specjalnego rezultatu. Po pierwsze dlatego, że w Rykowie i tak prawie każdy wie, jak wygląda Mieczysław Zbieński, a po drugie — pewnie jest on już gdzieś bardzo daleko od miasteczka, w którym rozpoznałoby go nawet małe dziecko.

Wczoraj rano byliśmy w czwórkę w kościele. Udział we mszy najwyraźniej nieco uspokoił Wiktorię i było to na tyle znaczące, że dziewczyna po południu znów postanowiła wybrać się do kościoła, tym razem tylko w towarzystwie Darii, która chętnie przystała na taką propozycję. W tej chwili, gdy ja siedzę i nasłuchuję nowych wieści w telewizji, we trójkę są na mszy, która rozpoczęła się o 16.00.

W poniedziałki Daria ma tylko cztery godziny, dzięki czemu zaraz po dwunastej mogliśmy z Kamilem wybrać się, by zacząć załatwiać sprawy związane z pogrzebem. Najpierw zadzwoniłem do Mamaja z prośbą, aby podał mi numer telefonu do Sitarza, ponieważ chciałem dowiedzieć się, kiedy zostaną zakończone prace związane z zabezpieczaniem śladów na ubraniach i ciele Julki. Okazało się, że pogrzeb będzie możliwy w najbliższy czwartek. Przy okazji nadkomisarz poinformował mnie, że określono już ostatecznie bezpośrednią przyczynę śmierci dziewczynki, którą było skręcenie karku; nie stwierdzono też jakichkolwiek śladów przemocy seksualnej. Nie udało się natomiast ustalić, czy palec został odcięty przed, czy już po śmierci Julki. Tego już Kamilowi nie powiedziałem.

Później wybraliśmy się do zakładu pogrzebowego, gdzie mój przyjaciel dopełnił formalności związanych z planowanymi na czwartek

uroczystościami, a także zostawił wybrane przez Darię rzeczy, w które miały zostać ubrane Julka i Iza. Poinformowano nas też, że z powodu braku miejsc na miejskiej nekropolii spoczną one na cmentarzu w Rykowie Górnym, dosłownie rzut beretem od ogrodzenia okalającego Dom Pomocy Społecznej Irys i całkiem niedaleko miejsca, gdzie się wtedy znajdowaliśmy.

Gdy wychodziliśmy na zewnątrz, Kamil nagle zatrzymał się i chwycił mnie za ramię, mówiąc:

— Panie Zdzichu, a może lepiej poczekać jeszcze na Olę, żeby wszystko załatwić za jednym zamachem?

Ciągle się o niego martwiłem, bałem się, jak sobie poukłada po tym wszystkim życie, ale wtedy, na progu zakładu pogrzebowego Irys, zlokalizowanego przy drodze do domu starców o tej samej nazwie, naprawdę mnie przeraził.

— Jeśli tak będziesz myślał o Oli, to jeszcze, kurwa, wykraczesz! — warknąłem. — Nie mamy żadnych podstaw, by sądzić, że ona nie żyje, i nie spisuj jej na straty takim gadaniem.

Kamil był zaskoczony moją ostrą reakcją, ale chyba go ona trochę otrzeźwiła na jakiś czas, co z kolei pozytywnie wpłynęło na wizytę na plebanii rykowskiego kościoła, gdzie uzgodniliśmy z księdzem szczegóły związane z duchową częścią mających wkrótce nastąpić uroczystości pogrzebowych.

* * *

Dzwoni telefon. Wyciszam więc dźwięk w telewizorze i odbieram.

— Cześć, Zdziszek. — Słyszę głos w słuchawce, ale go nie rozpoznaję. Spoglądam zatem na wyświetlacz. To Gierczak z komendy wojewódzkiej.

— Cześć, Andrzej.

— Stary, wiem, co się wydarzyło, strasznie mi przykro, wiem, że to rodzina twojego przyjaciela. Wszyscy tutaj tym żyjemy.

— Dzięki, Andrzej. Muszę przyznać, że jest ciężko, ale trzeba jakoś sobie radzić...

Na moment w słuchawce zalega cisza. Wtedy zastanawiam się, czy Gierczak dzwoni tylko po to, żeby mnie podnieść na duchu, czy też może dowiedział się czegoś nowego o Zbieńskim.

— Słuchaj, Mokry, ja to właściwie dzwonię nie tylko po to, żeby cię jakoś wesprzeć — mówi. — Obiecałem ci, że jak się czegoś dowiem, to dam znać.

Prostuję się w fotelu.

— No to dawaj. — Czuję, jak ściska mnie w żołądku.

— Wiesz, to nie jest raczej sprawa na telefon. Ta informacja to takie tajne łamane przez poufne. Wolałbym się spotkać, żeby ci wszystko na spokojnie opowiedzieć. Zresztą, wiesz, to też nic pewnego i na razie same domysły, ale chłopaki z dochodzeniówki twierdzą, że coś może być na rzeczy...

— Powiedz mi, czy uważasz, że to jest coś, dla czego warto na parę godzin zostawić przyjaciela pogrążonego w rozpaczy i przyjechać do Miasta Wojewódzkiego?

Przez jakiś czas się zastanawia, a potem odpowiada:

— Moim zdaniem, tak.

— Dobra, w takim razie przyjadę. Kiedy moglibyśmy się spotkać?

— Wydaje mi się, że im szybciej, tym lepiej.

— Słuchaj, jestem teraz sam, bo... Zresztą nieważne. Za jakieś dwadzieścia minut będę wiedział co i jak. Czy jeśli mógłbym dziś przyjechać, to dasz radę się ze mną spotkać wieczorem?

— No pewnie. Tylko, wiesz, nie rób sobie zbyt wielkich nadziei.

— Jasna sprawa. Nie możesz teraz chociaż tak najbardziej ogólnie zdradzić czegoś więcej?

Znów moment namysłu i odpowiedź:

— Wszyscy szukają tego, jak mu tam...?

— Mieczysława Zbieńskiego.

— Właśnie. Chodzi o to, że być może poszukiwania powinny się skupić na kimś zupełnie innym — mówi ostrożnie, jakby trochę bez przekonania, ale jednak znam go na tyle, by wiedzieć, że byle czym nie zawracałby mi głowy. Zwłaszcza w takiej chwili.

— Nie możesz powiedzieć więcej?

— Nie.

— Dobra, w takim razie wkrótce zadzwonię.

Daria, Kamil i Wiktoria wracają dziesięć minut później. Mówię, o co chodzi, i pytam, czy poradzą sobie beze mnie przez kilka godzin. Potem dzwonię do Andrzeja, umawiamy się i wyruszam w drogę.

Kapo

I.

Początkowo zaproponowałem, żebyśmy się spotkali w knajpie popularnej wśród policjantów komendy wojewódzkiej, ale Andrzej był zdania, że w dzisiejszych czasach to niezbyt bezpieczne. Twierdził, że teraz to w zasadzie w każdym lokalu można zostać nagrany, a ponieważ rzecz, o której chciał ze mną mówić, rzekomo nie powinna opuścić „Mordoru”, więc przez wzgląd na bezpieczeństwo musieliśmy wybrać jakąś inną lokalizację. Stanęło na parku położonym spory kawałek od centrum, ale za to blisko domu Gierczaka.

Byliśmy umówieni na siedemnastą trzydzieści, jednak podróż zajęła mi nieco więcej czasu, niż się spodziewałem, więc byłem lekko spóźniony. Kiedy pojawiłem się w umówionym miejscu, mój kolega z byłej pracy już na mnie czekał. Obok niego leżała żółta tekturowa teczka.

— Dawno się nie widzieliśmy — rzekł po tym, jak uścisnęliśmy sobie ręce. — Mocno zmizerniałeś. To pewnie przez tę paskudną sprawę?

Zastanowiłem się, czy ma rację, bo tak naprawdę przez te lata ładnych kilkanaście kilogramów schudłem dzięki rowerowi.

— Trochę pewnie tak, ale chyba głównie dlatego, że starałem się więcej ruszać, niż gdy pracowałem w wojewódzkiej — odparłem zgodnie z prawdą. Prościej byłoby po prostu przytaknąć, ale chyba nie chciałem, żeby się nade mną litował.

— Przepraszam, że nie zaprosiłem cię do domu. Wiesz jak to jest, żona, dzieciaki, nie moglibyśmy spokojnie porozmawiać...

— Żaden problem, Andrzej, naprawdę — wszedłem mu w słowo. — Najważniejsze jest, że o mnie pamiętałeś i dałeś znać, jak tylko zdobyłeś jakieś przydatne informacje.

To był ostatni tydzień przed zmianą czasu, więc zaczęło się już powoli ściemniać. Słońce, którego promienie z łatwością przebijały się przez niezbyt gęsto zadrzewiony park, właśnie chowało się za widocznym w oddali osiedlem domów jednorodzinnych. Uświadomiłem sobie, że nie zabrałem ze sobą żadnej kurtki, ale temperatura była od kilku dni niezmiennie wysoka jak na tę porę roku, dlatego nie obawiałem się, że zmarznę. Zresztą chciałbym mieć wtedy tylko takie problemy.

Andrzej poprawił się na ławce, wziął do rąk teczkę i położył sobie na kolanach.

— Dobra, w takim razie nie traćmy czasu — powiedział, bębniąc przy tym nerwowo palcami o żółtą tekturę. — Mówi ci coś nazwisko Kazimierz Pokoć?

Domyślałem się, że sprawa jest poważna, dlatego przed udzieleniem odpowiedzi długo się zastanowiłem.

— Nie wydaje mi się — odparłem wreszcie. — A powinno?

— Na początku roku było o nim dość głośno. Media nie podawały wprawdzie jego pełnego nazwiska, tytułując go Kazimierzem Pe, chodziło o zwolnienie go z aresztu...

— Na początku roku prawie w ogóle nie oglądałem telewizji. Szczerze mówiąc, byłem bardzo zajęty innymi rzeczami.

Przypomniałem sobie ten właśnie czas, gdy z Darią przechodziliśmy coś w rodzaju miesiąca miodowego po naszych zaręczynach, który przetykany był od czasu do czasu problemami Kamila z jego najstarszą córką. To, co działo się wtedy na świecie, zupełnie mnie nie obchodziło.

— Dobra, Zdziszek, w takim razie zacznę od początku. — Mówiąc to, Gierczak otworzył teczkę i wyjął zadrukowaną kartkę formatu A4 i pobieżnie ją przejrzał. — No więc to było tak, że ten Pokoć na początku maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku zamordował swoją dziewięcioletnią siostrę. Miał wtedy dziewiętnaście lat i zaraz po dokonaniu zabójstwa zniknął bez śladu. Następnie...

— Poczekaj, wiesz może, którego dokładnie to się stało?

— To akurat nie ma w tej chwili większego znaczenia, ale, poczekaj, chyba gdzieś to tutaj mam.

Zdawałem sobie sprawę, że to niby drobiazg, ale jednak dla mnie to było ważne. Dobrze pamiętałem, że szóstego maja tamtego roku Adrian Zbieński zginął z ręki swojego ojca.

— Tak, znalazłem, to wydarzyło się szóstego maja. — Kiedy usłyszałem odpowiedź Andrzeja, dreszcz przebiegł mi po plecach, jednak nie było sensu, bym teraz opowiadał Gierczakowi, dlaczego byłem ciekaw tej daty. — Tak jak powiedziałem — kontynuował — Pokoć zniknął. Miał ułatwione zadanie, ponieważ jego rodzice byli zamożnymi ludźmi i trzymali w domu sporo gotówki w dolarach. Oczywiście wyparowała ona wraz z Pokociem. W tamtych czasach człowiek z grubą kasą w zielonych, o ile nie miał jakiegoś niesamowitego pecha, mógł się ukrywać w dowolnym miejscu tyle, ile mu się podobało. Płacisz w dolarach, jesteś niewidoczny.

— Gdzie to się wydarzyło?

— W Gdyni. — Znów zmroziła mnie ta odpowiedź, natychmiast przywołałem w pamięci fakt, że to właśnie do Gdyni miał przeprowadzić się Adrian. Cała ta historia zaczynała być zupełnie odrealniona i wręcz niewiarygodna.

— Czy ten cały Pokoć zamordował może siostrę w ten sposób, że skrzył jej kark?

— Zgadza się. Widzę, że już sam zaczynasz chwytać, dlaczego chłopaki z kryminalnego dziś rano się do mnie zgłosili, zaraz po tym, gdy dotarły do wojewódzkiej informacji o zabójstwie w Rykowie. Mało tego, Kapo — tak Pokoć został nazwany przez naszych, od pierwszych liter imienia i nazwiska — odciął swojej siostrze kciuk prawej ręki. Bliźniacza sprawa, jak ta z Rykowa.

— Julce ktoś odciął serdeczny palec.

— Poczekaj, to jeszcze nie koniec. W sierpniu Kapo zaatakował po raz kolejny. W Białymstoku zwabił do hotelu dziewczynkę mniej więcej w wieku swojej siostry i powtórzyło się wszystko z pierwszego morderstwa, z tym że tym razem pozbawił dziecko palca wskazującego. Myśmy jeszcze wtedy nie byli w służbie, więc nie pamiętamy, ale ponoć akcja poszukiwawcza określona mianem „Kapo” była naprawdę spektakularna. Listy gończe, milicja i inne służby w całym kraju postawione w stan gotowości, niestety, Pokoć zdołał dokonać jeszcze jednego zabójstwa. Tym razem w październiku, w jakimś pensjonacie w Zakopanem.

— Ten sam schemat? Tym razem palec środkowy?

— Owszem. Tyle że wtedy praktycznie wpadł na gorącym uczynku. Ktoś z gości pensjonatu usłyszał krzyki uprowadzonej dziewczynki i zawiadomił policję...

— Milicję.

— Racja, jeszcze wtedy milicję. Niestety, było już za późno, ale Pokocia przynajmniej złapano i wszyscy mieli nadzieję, że to już koniec tego koszmaru.

Dopiero gdy Andrzej wspomniał o zatrzymaniu w Zakopanem, coś zacząłem kojarzyć. Wydało mi się też, że mam przed oczami zdjęcia z listów gończych przedstawiające szczupłego blondyna z kręconymi włosami.

— Masz może przy sobie jego zdjęcie?

— Wiesz, przygotowałem sobie na razie tylko podstawowe fakty, do zdjęcia nie zdążyłem dotrzeć. Ale sądzę, że można je znaleźć w necie. Jak zechcesz, to ci podeślę jutro albo jeszcze dzisiaj wieczorem.

— Dzięki, napiszę ci, jeśli samemu nie uda mi się znaleźć. Co Kapo robił z palcami tych dziewczynek? Wiesz pewnie, że serdeczny palec Julki został znaleziony przy zamordowanej kobiecie?

Gierczak przez moment przeglądał kilka kolejnych kartek.

— Tu nie ma reguły. Zdaje się, że miał być to jego taki znak rozpoznawczy, wiesz, uroiło mu się, że jest wielkim przestępcą i powinien być po czymś identyfikowany. Palec siostry znaleziono obok niej, na łóżku, położony na poduszce na jej rozpuszczonych włosach. W drugim przypadku, po morderstwie w Białymstoku, wskazujący palec był w łazience. W Zakopanem Kapo ujęto tuż po zabójstwie, więc nie zdążył go jeszcze zostawić w jakimś konkretnym miejscu. Ale tak na nos kryminalnych — po prostu nie przywiązywał do tego większej wagi. Chodziło o identyfikację sprawcy, coś w rodzaju „znaku firmowego”, bo wszystko na to wskazuje, że on szczyił się tym zbrodniami.

— Wiadomo coś o motywach?

— Nigdy nikomu nie powiedział, jakie miał motyw. Jego jedyna odpowiedź brzmiała tak, że powie o tym w swoim czasie, dogodnym do zdradzenia tej wielkiej tajemnicy.

— Odcinał palce przed czy po zabójstwie? — zapytałem, z trudem panując nad drżeniem głosu, bo właśnie w tej chwili stanęła mi przed oczyma twarz Julki.

— Tego też nie zdradził. W żaden sposób nie udało się tego ustalić, ponieważ nie sposób odróżnić palca odciętego komuś tuż po zabójstwie od takiego, którego została pozbawiona osoba jeszcze żyjąca.

— Kurwa mać, ale psychol. — To było jedyne, co wtedy przyszło mi do głowy.

— No, sukinsyn jakich mało. Się zwyrol przypieprzył do dzieci.

Wszystko zaczęło we mnie buzować, więc podniosłem się z ławki, żeby to trochę rozchodzić. Po parunastu krokach wróciłem jednak na miejsce. Trzeba było założyć, że czas w tej sytuacji jest ważny, a jeśli w ogóle można jeszcze myśleć o ratunku dla Oli, to każda minuta może mieć znaczenie.

— Wiadomo czym to robił?

— Takim małym sekatorem ogrodowym. Jego starzy byli znanymi gdyńskimi badylarzami, więc i tego typu narzędzi było u niego w domu pod dostatkiem.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową, a potem powiedziałem:

— Wiesz, Andrzej, flaki mi się przewracają, jak o tym myślę, i jednocześnie odnajduję w sobie pokłady tak morderczych instynktów, o jakie nigdy bym sam siebie nie podejrzewał. Czyli co, jeśli dobrze odczytuję twoje intencje, to najprawdopodobniej Zbieński zafascynował się postacią Pokocia i po latach postanowił kontynuować jego chore dzieło?

Gierczak spojrział na mnie tak, że aż poczułem się nieswojo.

— Nie do końca, stary.

— Poczekaj, poczekaj. Faceta aresztowali w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego. Proces chyba nie trwał zbyt długo, bo w zasadzie sąd wszystko miał jak na talerzu. Czyli co, koniec lat osiemdziesiątych, więc czapa jak nic za takie zbrodnie?

— Dostał czapę i to potrójną. Po jednym wyroku śmierci za każdą zabita dziewczynkę. Tyle że wyroku nie wykonano. Ani jednego.

— W innych okolicznościach pewnie by mnie to nawet rozbawiło.

— Nie powiesz mi chyba, że uciekł?

— Nie, nie powiem. Państwo samo go wypuściło i stało się to, o ile się nie mylę, zgodnie z obowiązującymi przepisami.

* * *

Nie wiem, przez ile czasu gapiłem się na Andrzeja, jak sroka w gnat.

— No co tak patrzysz? — nie wytrzymał wreszcie. — Przecież to nie ja uchwaląłem te przepisy.

— Patrzę, bo nie mogę uwierzyć w to, co słyszę — wykrztusiłem wreszcie. — Facet dostaje trzy czapy i sobie po jakimś czasie spokojnie wychodzi na wolność? Za dobre, kurwa, sprawowanie?!

— Nie, Zdzisław, to trochę bardziej skomplikowane. Wróćmy raz jeszcze do lat osiemdziesiątych. Słyszałeś może o amnestii z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku?

— Być może, ale nie pamiętam teraz, bo jestem nieźle nakręcony, a w dodatku zdaje się, że ona mnie nie dotyczyła, więc chyba mam prawo nie kojarzyć. Zresztą w osiemdziesiątym dziewiątym roku miałem dwadzieścia lat i inne sprawy na głowie. Może i o niej czytałem w gazetach podczas studiów, ale to dawne czasy.

— Nie dotyczyła cię, bo nie siedziałeś wtedy w pierdłu, więc nie dziwię się, że nie pamiętasz. Sam jeszcze dzisiaj rano ją niespecjalnie kojarzyłem. Teraz jestem mądrzejszy, bo zwolniłem się z pracy wcześniej i przekopałem pół Internetu w poszukiwaniu informacji na jej temat.

— No to wal.

Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej, ale tekst na kartkach wciąż dało się odczytać. Andrzej poszeleścił nimi trochę, najwyraźniej aby upewnić się odnośnie do jakichś szczegółów, a potem zaczął mówić:

— Pokoć został skazany w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, ale póki co mógł spać w miarę spokojnie, bo rząd Rakowskiego mniej więcej rok wcześniej wprowadził moratorium na wykonywanie kary śmierci. Od początku grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku w ogóle mógł przestać się martwić o taki drobiazg jak kara śmierci, bo wtedy właśnie, dokładnie siódmego, sejm uchwalił amnestię. Zmniejszenie kar miało być czymś w rodzaju nowego otwarcia, czymś, co na fali radości z demokratycznych przemian staje niejako w opozycji do twardego i często restrykcyjnego prawa stanowionego w Peerelu. Wymyślono to jako... Poczekaj, niech znajdę i zacytuję dokładnie... O, jest: „akt prawdziwej łaski i sprawiedliwości społecznej”.

— No dobra, ale są chyba jakieś granice! — oburzyłem się.

— No i właśnie tu jest ciekawa sprawa. Początkowo amnestia nie miała obejmować skazanych za najcięższe przestępstwa, takie jak morderstwa czy gwałty. Później jednak, pod wpływem wielu czynników społecznych, poczynając od mediów, przez strażników więziennych, aż wreszcie na samych więźniach kończąc, wprowadzono poprawki, skutkujące między innymi tym, że karę śmierci nawet najgorszym zwyrodnialcom zamieniono na dwadzieścia pięć lat odsiadki. Te zmiany wzbudziły wprawdzie kontrowersje w sejmie podczas ich uchwalania, ale ostatecznie przeważało radosne przekonanie, że skoro Polska zmienia się na lepsze, to i bandyci również przejdą cudowną metamorfozę.

— Mieli gest, skubańcy.

— Zgadza się. Dziś, kiedy okazało się, że niektórzy z tamtych bandytów wychodzą na wolność, deklarując, że dalej będą robili to, co przed odsiadką, to niektórzy politycy, również głosujący wtedy za amnestią ze zmianami, przepraszają i kajają się publicznie, no ale co z tego? Przez

głupotę i krótkowzroczność ówczesnej parlamentarnej większości sejmu kontraktowego mamy teraz w kraju niezły pasztet.

— Chcesz powiedzieć, że za porwaniem może stać ten cały Pokoć? — zapytałem półgłosem, starając się wyczytać w oczach Gierczaka coś więcej, niż sam mógłby mi chcieć powiedzieć.

— Jak wspominałem, Kapo został aresztowany w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Na poczet kary zaliczono mu odsiadkę przed wyrokiem, tak więc powinien był wyjść na wolność w październiku dwa tysiące trzynastego roku. Z tym że pod koniec lat dziewięćdziesiątych dość ciężko pobił jednego ze współwięźniów z Zakładu Karnego w Kalenicy, co poskutkowało przedłużeniem odsiadki o rok i trzy miesiące, a więc wypuszczony został dopiero w styczniu bieżącego roku.

Przez moment nie mogłem złapać oddechu. Wszystko w tej historii zaczynało się zazębiać. Trudno było w to uwierzyć, ale być może tak naprawdę to błędy systemu były winne nieszczęść, które spadły na rodzinę Szykowiaków. Niewykluczone, że nieodpowiedzialne głosowanie sprzed lat sprawiło, iż Kamil i Wiki teraz szaleją z rozpacz, Julka i Iza czekają na pogrzeb w kostnicy, a losy Oli stoją pod wielkim znakiem zapytania.

Było już na tyle ciemno, że Andrzej kontynuował, przyświecając sobie od czasu do czasu telefonem komórkowym:

— Słyszałeś pewnie o ustawie o bestiach. Generalnie rzecz ujmując, jest to ustawa o postępowaniu wobec szczególnie niebezpiecznych przestępców i została ona napisana oraz uchwalona niejako w celu naprawienia błędu sprzed lat. Ma ona zapobiegać wychodzeniu na wolność osób, wobec których istnieje uzasadnione podejrzenie, że po zakończeniu odbywania wyroku znów zaczną zabijać. Nie do końca wiadomo, czy to jest zgodne z konstytucją, wielu prawników wypowiada się o ustawie negatywnie, twierdząc, że umożliwia niejako bezprawnie przedłużać wyroki i skoro ktoś odsiedział swoje, to należy go po prostu wypuścić, a nie wynajdować w tej kwestii jakieś wątpliwe moralnie rozwiązania, które są niebezpiecznie blisko złamania zasady niedziałania prawa wstecz. Moim zdaniem akurat powoływanie się na moralność w odniesieniu do bandytów pokroju Pokocia trąci absurdem, niemniej jednak prawo jest prawem i nie wiadomo jeszcze, jak do sprawy podejrze Trybunał Konstytucyjny.

— Ciekawe, czy poglądy takich negujących to rozwiązanie prawników byłyby takie same, gdyby to ich dzieci były ofiarami Pokocia — wtrąciłem.

— Dokładnie. Ale wracając do ustawy. Nakazuje ona, by osoby, wobec których ustalono, że wciąż są niebezpieczne, izolować w specjalnym, przeznaczonym do tego celu Regionalnym Ośrodku Psychiatrii Sądowej w Gostyninie. Powiedzmy, że jest to taki bardzo dobrze strzeżony, ogrodzony wysokim murem i naszpikowany różnego typu alarmami szpital psychiatryczny, z którego podobno nie da się uciec.

— Rozumiem, że Kapo udowodnił nieprawdziwość tej tezy?

— Wcale nie musiał tego robić, bo, jak się okazało, państwo w pewnych aspektach wciąż popełnia błędy podobne do tego z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

— Aha, czyli Pokoć po prostu został wypuszczony? Bo co? Bo nie stwierdzono, że dalej będzie zabijał?

— Po kolei, Zdziszek. Zacznijmy od tego, że Kapo przez całą odsiadkę zapowiadał kontynuację swojego chorego dzieła po wyjściu na wolność. W pierdlu obchodzono się z nim jak z jajkiem, miał wszystko, czego sobie zażyczył, oczywiście w granicach regulaminu. Czy również w granicach zdrowego rozsądku, to już nie jestem pewien, bo ponoć nawet dochodziło do tego, że mógł sobie dobierać współwięźniów do własnej celi. Książki, telewizja, nawet brodę mu w ostatnich latach pozwolili zapaść, bo skoro nie robił większych problemów, to nie chciano go prowokować. Nic jednak nie wskazywało na zmiany w jego psychice. Wciąż rysował postaci dziewczynek leżących w łóżkach i nie podejmował praktycznie żadnej współpracy z psychologiem. W drugiej połowie lipca, na sześć miesięcy przed planowanym terminem zwolnienia, czyli proceduralnie najszybciej, jak to możliwe, dyrektor więzienia w Kalenicy wysłał pismo do sądu, w którym wnioskował o zatrzymanie Pokocia za kratkami, motywując je uzasadnionym przypuszczeniem, że po odzyskaniu wolności będzie on stanowił zagrożenie dla społeczeństwa. Sąd miał zlecić badania biegłemu, ten miał wydać opinię i na jej podstawie, o ile byłaby negatywna dla Pokocia, można byłoby go odstawić do Gostynina.

— No i w czym problem?

— Problem w tym, że sześć miesięcy nie wystarczyło sądowi na skuteczne rozpatrzenie tego wniosku.

* * *

Poprosiłem Andrzeja, żeby na chwilę przerwał, bo tego było dla mnie trochę za wiele. Kiedy swoim zwyczajem wstałem, żeby trochę rozchodzić nerwy, poczułem mocne parcie na pęcherz i poszedłem między drzewa,

żeby mu ulżyć. Zanim to zrobiłem, dokładnie rozejrzałem się wokół, czy nie ma gdzieś jakiejś kamery monitoringu. Zapaliły się już latarnie i teoretycznie mogłem zostać wypatrzony przez jakiegoś nadgorliwego funkcjonariusza straży miejskiej. Im zawsze łatwiej schwytać złoczyńcę załatwiającego się w krzakach albo parkującego na zakazie, niż kogoś, kto ma na koncie kilka morderstw.

Po powrocie do ławki i zajęciu swojego miejsca powiedziałem:

— Zakładam, że sędzia, który miał zająć się tą sprawą, też nie jest ojcem ofiary Pokocia?

— Tego nie wiem, ale sądzę, że z pewnością masz rację.

— Ale te badania są jakieś skomplikowane, że się nie wyrobili?

— Badania miał przeprowadzić biegły psychiatra i tego sąd znalazł dość szybko, bo po mniej więcej trzech tygodniach. Problem w tym, że psychiatra miał wykonać niezbędne czynności do końca listopada i tego nie zrobił. Wymagane czynności zostały przeprowadzone dopiero na początku stycznia, ale do dnia, w którym Kapo miał wyjść na wolność, sąd nie otrzymał od biegłego wyników.

— Czyli to biegły dał dupy, ale sąd też mógł jakoś bardziej interesować się sprawą.

— Wysłali akta z sądu do tego psychiatry i jakby umyli ręce, w ogóle się nie interesując co dalej. Kto wie, czy to w ogóle wyszłoby na jaw, gdyby losami Pokocia nie zainteresowały się media. W każdym razie biegły akta zwrócił, gdy Kapo już od tygodnia był na wolności.

— Boże, widzisz i nie grzmisz! — powiedziałem, łapiąc się za głowę.

— Przecież sąd powinien jakoś tego psychiatrę cisnąć w sprawie dotrzymania terminu badania.

— Oczywiście. Tak się jednak nie stało i Kapo znalazł się na wolności. Wrócił do Gdańska, do domu rodzinnego, w którym zamieszkał z matką; do domu, w którym zabił swoją siostrę.

— A jego ojciec?

— Chyba zmarł kilka lat temu. Tak więc Kapo był na wolności, spokojnie korzystał z majątku zgromadzonego przez rodzinną firmę. Nie był jednak całkiem pozostawiony samemu sobie, bo postanowiono, że policja będzie go dyskretnie obserwować i uważać, żeby nie zrobił czegoś głupiego do momentu, gdy zapadnie decyzja o zamknięciu go w Gostyninie.

— Czyli norma. Inni wrzucają gówno w wentylator, a potem psom każą je sprzątać, żeby nie śmierdziało.

— Otóż to. Z tym że niestety z tej dyskretnej obserwacji nic nie wyszło i Pokoć prawdopodobnie skorzystał z pomocy matki, która własnym autem wywoziła go ukrytego na podłódze, i z pilnowania wyszły nici.

— Kiedy zniknął?

— Na początku lutego. Jakies dwa tygodnie po uwolnieniu.

— Kurwa! No ale czekaj... wprawdzie na początku roku miałem inne sprawy na głowie, ale nie rzuciłaby mi się w oczy tego typu informacja?

— Pewnie by ci się rzuciła, ale problem w tym, że podjęto decyzję o wyciszeniu całej sprawy i utajnionych poszukiwaniach pod kryptonimem „Kapo Dwa”, bez informowania o wszystkim opinii publicznej.

— Co ty mówisz, Andrzej? Przecież ten facet to tykająca bomba!

— Przecież to nie ja to wymyśliłem. Widać, że już od paru lat nie pracujesz w „Mordorze”. Wszystko się pieprzy, a Stary jest na pozycji chłopca na posyłki, nie tylko zresztą on, bo w całej Polsce jest podobnie. Oficjalnie chodziło o to, żeby nie wzbudzać w społeczeństwie niepotrzebnego niepokoju. Pociągający za sznurki mieli nadzieję, że Kapo szybko wpadnie, zanim jeszcze zdąży zrobić coś złego, i wszystko jakoś przyschnie. Wiadomo jednak, że drugim motywem wyciszenia sprawy była obawa przed reakcją mediów i jazgot, jaki podniósłby się po ujawnieniu, że groźny przestępca jest na wolności w wyniku nieudolnych działań zajmujących się jego sprawą organów.

— No dobra, ale skoro go nie znaleźli w krótkim czasie...

— Skoro go nie znaleźli w wyniku cichych poszukiwań, to ogłoszenie o tym, że takie były prowadzone, również wywołałoby trzęsienie ziemi, czyli i tak źle dla władzy, i tak niedobrze. Im więcej czasu mijало, tym decyzja o ujawnieniu całej sprawy była trudniejsza do podjęcia. Błędne koło.

* * *

Andrzej zgarnął papiery i schował je do teczki. Teraz już panowała całkowita ciemność, a światła latarni były na tyle mocne, by móc czytać przy ich świetle.

— Mogę sobie to przejrzeć? — zapytałem, wskazując na żółtą aktówkę.

— Skserowałem to dla ciebie, więc możesz to sobie wziąć. Chciałem ci jednak streścić sprawę, żebyś wiedział, o co mniej więcej w tym wszystkim biega. Muszę przyznać, że sporo pomogli mi chłopacy z dochodzeniówki.

Wiesz, ci na dole są wkurwieni na taki sposób załatwienia sprawy. Oficjalnie mogą tyle, co nic, bo jak by się który wychylił, to od razu w łeb dostanie, ale tak normalnie, po ludzku, ta cała sprawa ich naprawdę mocno uwiera. Zwłaszcza teraz, po tej tragedii, która się wydarzyła.

— Co oni myślą? Sądzą, że to robota Pokocia?

— O widzisz, dobrze, że o to spytałeś, bo zapomniałbym o bardzo ważnej rzeczy. Kapo i ten Zbieński z Rykowa przez ponad dwa lata na początku lat dziewięćdziesiątych siedzieli w jednej celi.

Do tej chwili cały czas miałem nadzieję, że to jednak jakiś koszmarny zbieg okoliczności i za porwaniem stał ojciec Adriana. Julce było już wszystko jedno, ale jednak dawałbym większe szanse na uratowanie Oli, wiedząc, że to Zbieński, a nie Pokoć ją przetrzymuje. Teraz ta moja nadzieja tak naprawdę prysła jak mydlana bańka.

— I co? Nikt tego nie sprawdził?! — powiedziałem takim głosem, jakbym za chwilę miał się rozpłakać.

— Oczywiście, że sprawdzili. Byli w Rykowie zaraz po zniknięciu Pokocia, ale nic nie wskazywało na to, by Zbieński miał coś wspólnego z całą sprawą. Przeszukano jego mieszkanie i piwnicę, ale nic nie znaleziono.

— No tak, facet jest chyba wyjątkowo sprytny, bo zaraz po zaginięciu dziewczynek też nasi u niego byli, i nic.

Gierczak spojrział na zegarek.

— Słuchaj, Zdziszek, o coś jeszcze chcesz mnie spytać? Bo jeśli nie, to będę już leciał.

— Nie, Andrzej, chyba na razie nie. Mam mętlik. Jakby coś, to mogę zadzwonić, gdyby coś mi przyszło do głowy?

— Jasne. W każdej chwili dnia i nocy. Jeszcze raz, strasznie mi przykro, że twojego przyjaciela i ciebie to spotkało. Mam nadzieję, że te informacje ode mnie przynajmniej w jakimś drobnym stopniu ci się przydadzą.

II.

Nie miał daleko, ale i tak podwiozłem go pod jego blok. Otworzył drzwi i już miał zamiar wysiąść, gdy rzekł:

— Jeszcze mi się coś przypomniało. Tam, w tych papierach, to znajdziesz, ale tylko parę zdań i to bez wyjaśnienia, dlaczego ta procedura nie została wdrożona.

— Jaka procedura?

— Nazywa się to Child Alert. Chodzi o to, że zaraz po zaginięciu dziecka ogłasza się informację o takim przypadku we wszystkich możliwych mediach, info dociera też do służb, a nawet do innych krajów, dzięki czemu natychmiast poszukiwania podejmowane są na niebywale szeroką skalę.

— Pierwsze słyszę o czymś takim.

— Nic dziwnego. U nas w Polsce możliwość zastosowania tej procedury wprowadzono pod koniec dwa tysiące trzynastego roku i dotąd ani razu nie została zastosowana.

— Dlaczego? Przecież ciągle giną jakieś dzieci.

Andrzej przymknął uchylone wcześniej drzwi.

— Słuchaj, wspomniałem ci o tym nie dlatego, żeby w pewien sposób pogrążyć komendanta z Rykowa. Przecież nie ma pewności, że gdyby zdecydował się na złożenie wniosku o Child Alert, to dziewczynki by się znalazły. Chcę po prostu, abyś wiedział, że była taka możliwość. Myśmy w wojewódzkiej się nawet trochę dziwili, ale...

— To oczywiste, że nie byłoby pewności odnośnie do powodzenia akcji poszukiwawczej, ale byłaby większa szansa. Dlaczego to nie zostało wprowadzone?

— No dobra, powiem ci to, co wiem. Jest pięć kryteriów, które muszą być łącznie spełnione, aby ten program został ogłoszony. Jedno z nich mówi o tym, że musi występować uzasadnione podejrzenie, iż zaginione dziecko padło ofiarą porwania i zagrożone może być jego życie albo zdrowie. W tym przypadku, sam najlepiej wiesz, jak było, w Rykowie krążyły słuchy, że dziewczynki w wyniku niesnasek rodzinnych mogły zostać ukryte przez jednego z rodziców. Wiesz, jak to jest w naszej firmie. Jak jest jakaś nowinka, której wprowadzenie wymaga ryzyka, a w dodatku wiąże się z możliwością strzału kulą w płot, to wszyscy dmuchają na zimne. W przypadku systemu Child Alert policja jest uczulana, aby stosować go tylko w niepodlegających najmniejszym wątpliwościom przypadkach, a argument jest taki, że jeśli zbyt często taki alarm byłby ogłaszany, to społeczeństwo by wreszcie zubożyło na tego typu komunikaty. Komendant w Rykowie po prostu się bał reakcji przełożonych, jeśli cała sprawa miałaby się okazać zwyczajną rodzinną przepychanką. Zaryzykował, okazało się, że podjął złą decyzję. Takie już życie gliniarza na wyższym stołku.

Gierczak pożegnał się i wysiadł, a ja jeszcze przez dłuższą chwilę bez ruchu siedziałem w aucie.

Było mi źle z tym wszystkim. Okazało się, że państwo zawiodło na wielu płaszczyznach, sprawa Pokocia jak na dłoni pokazała złe funkcjonowanie różnych instytucji — poczynając od sejmu i senatu, poprzez sąd i jego biegłych, kończąc na policji, której skostniały system komplikował życie. Na końcu tego całego łańcuszka była Wiktoria ze swoją bajką o pobiciu, która poniekąd, dzięki powtarzanym w mieście plotkom, wpłynęła na decyzję rykowskiego komendanta powiatowego i niewykluczone, że przyczyniła się do zmniejszenia skuteczności poszukiwań.

Tyle że do Wiktorii miałem chyba najmniejszy żal.

To przecież tylko trzynastoletnia dziewczyna, której nieodpowiedzialne zachowanie okazało się brzemiennie w skutkach, dorastająca nastolatka, która ma prawo popełniać głupie błędy. Los sprawił, że nieszczęśliwy zbieg wypadków wyrze piętno na całym jej życiu i niewykluczone, że to właśnie ona będzie sobie radzić z traumą aż do samej śmierci w sędziwym wieku.

A instytucje? Siedząc po ciemku w samochodzie z włączonym silnikiem, mogłem sobie dać rękę uciąć, że tam właściwie nikt się tym wszystkim bardziej nie przejmował i nie przejmuje. Parlament jak przegłosowywał buble prawne, tak czyni to nadal, sądy, które działają same tylko wiedząc jak i nikt nie wyciąga z tego żadnych wniosków, no i policja, która, nomen omen, przypomina psa goniącego własny ogon, niepotrafiąca złamać wielu złych modeli postępowania, które drążą ją od środka.

Byłem wdzięczny Andrzejowi za informacje. Rzucały one nieco inny cień na ostatnie tragiczne zdarzenia. Cieszyłem się też, że dowiedziałem się o systemie Child Alert i miałem szczerą nadzieję, że Wiktoria się o nim (oraz o przyczynach jego nieuruchomienia w sprawie jej sióstr) nigdy nie dowie.

III.

Podróż powrotna była bardzo trudna.

Dekoncentracja i nawet nowych informacji nie pozwalały mi skupić myśli na prowadzeniu auta. W jednej ze słabo oświetlonych wiosek jakaś kobieta na pasach wyszła mi wprost przed maskę. Miała najwidoczniej przekonanie, iż ważący niemal półtorej tony i poruszający się z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę samochód bez trudu w ułamku

sekundy stanie w miejscu. Nie stanął, wyminąłem ją dosłownie o milimetry i odetchnąłem z ulgą. Naprawdę miałem wtedy mnóstwo szczęścia. Jeszcze tylko tego brakowało, bym sam wpakował się w tarapaty utrudniające mi działania, których plan powoli zaczynał układać mi się w głowie.

Myślałem sporo o znajomości zawartej w więzieniu pomiędzy Zbieńskim a Pokociem i zamierzałem zrobić coś, co w jednoznaczny sposób potwierdzi możliwość brania udziału przez tego drugiego w porwaniu dziewczynek. Owszem, gdy Andrzej mi powiedział, że się znają, sprawa wydała mi się oczywista. Musieli przecież opowiedzieć sobie o przeszłości i nietrudno uwierzyć, że podczas tych przechwałek nie zorientowali się, iż pierwsze przestępstwo popełnili dokładnie tego samego dnia. Nie byłem przestępcą, niemniej jednak zakładałem zaistnienie pomiędzy nimi swego rodzaju więzi, mogącej przetrwać całe lata. Sądziłem więc, że siedząc wspólnie w więzieniu, mogli planować spotkanie w przyszłości, a Zbieński mógł Pokociowi podać adres, który przecież do dziś pozostawał aktualny.

Niemniej jednak policja w Rykowie wciąż szukała przede wszystkim Mieczysława Zbieńskiego. Tajne działania związane z akcją „Kapo 2” zapewne również były prowadzone, trudno mi jednak było uwierzyć, że jeśli ktoś ze śledczych trafiłby na choćby najmniejszą poszlakę uprawdopodobniającą obecność Pokocia w miasteczku, to nie zaczęłoby się o tym natychmiast mówić.

Musiałem jednak pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze o tym, że Kapo to cwana bestia, która pewnie nie podejmowała zbędnego ryzyka, a po drugie — tajna akcja poszukiwawcza to nie to samo, co dochodzenie prowadzone przez organizm posiadający wiele tysięcy oczu. Ryków był po stronie Kamila, chciał pomóc, więc teraz nadarzała się ku temu idealna okazja.

* * *

Przede wszystkim musiałem zdobyć możliwie najbardziej aktualny wizerunek Pokocia.

Zakładałem, że dochodzeniówka z Rykowa otrzymała takowy podczas przygotowań do akcji „Kapo 2”, ale nie sądziłem, że ot tak po prostu mi go udostępni. Dlatego zamiast do mieszkania Kamila pojechałem do siebie i włączyłem komputer, by poszukać jakichś informacji o zbrodniach dokonanych w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Zanim jednak włączyłem wyszukiwarkę, to wcześniej sprawdziłem pocztę

elektroniczną. Do wiadomości, która przyszła kilkanaście minut wcześniej, Andrzej dołączył dwa załączniki z fotografiami, informując, że jedna przedstawia wizerunek Kapo sprzed dwudziestu pięciu lat, a druga, uzyskana przed chwilą od znajomego kryminalnego, ukazuje Pokocia tuż przed zwolnieniem z więzienia.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało chłopaka z kręconymi blond włosami. W zasadzie nie różnił się on prawie niczym od dziewiętnastolatków mijanych przeze mnie codziennie na ulicach. Było jednak coś, co sugerowało, że nie wszystko z nim jest w porządku.

Oczy.

Jasnoniebieskie, nieco wodniste oczy, w których czaiło się coś niepokojącego, coś, co przyprawiało o ciarki na plecach. Im dłużej przypatrywałem się fotografii, tym bardziej wydawało mi się, że to sam szatan mi się z niej przygląda. Miałem wrażenie, że ktoś po prostu wyciął oczy diabła i nakleił je na niewinną chłopięcą jeszcze twarz.

Potem otworzyłem drugi załącznik. Oczy były te same, może tylko z tą różnicą, że teraz czaiło się w nich chyba jeszcze więcej szaleństwa. Przyjrzałem się dokładnie tej twarzy czterdziestosześcioletniego mężczyzny. Była poorana zmarszczkami, po czuprynie blond pozostało już prawie tylko wspomnienie, nie licząc długich, rzadkich, już dość mocno siwiejących włosów nad zakolami i uszami. Dolną część twarzy skrywała bujna, sięgająca do piersi broda, obficie przetykana pasemkami siwizny.

Miałem na komputerze równocześnie otwarte dwa pliki z obliczem tej samej osoby, obliczem sfotografowanym w odstępie ćwierci wieku. Przyglądałem się Pokociowi coraz bardziej intensywnie, starając się znaleźć jakieś podobieństwa, ale gdyby nie te chore od obłędu oczy, to byłoby to naprawdę niezmiernie trudne.

A potem wstałem tak nagle, że aż krzesło za moimi plecami przewróciło się z łoskotem. Czwartek, dwunasty marca. Znów wychodzę z mieszkania Szykowiaków, pozostawiając ich w towarzystwie „Szczurzej Mordy”. Dzwonię do Mamaja, a zaraz potem, wchodząc na rynek, rejestruję jakby znajomego czterdziestoparoletniego faceta. Łapię z tym człowiekiem na moment kontakt wzrokowy i dziwię się, że moja pamięć do twarzy mnie tym razem zawiodła.

Teraz już rozumiałem. Poznałem OCZY, które widziałem przed ponad dwudziestu pięciu laty gdzieś w gazecie albo w telewizji. Twarz była teraz zupełnie inna, ale te szalone oczy mi kogoś przypominały. Wtedy sądziłem,

że to jakiś stary znajomy z policji, a teraz, przed komputerem, zrozumiałem, że to był właśnie on. Poszukiwany przez policję bezlitosny morderca.

Wtedy, w czwartek dwunastego marca, przeszło mi przez myśl, by go zaczepić, ale zrezygnowałem, stwierdziwszy, że mam ważniejsze sprawy na głowie. Czy rzeczywiście były ważniejsze? Czy gdybym wtedy postąpił inaczej, to wpłynąłbym na losy rodziny mojego przyjaciela? Czy Julka wtedy jeszcze żyła?

Gapiąc się cały czas w komputer, zadawałem sobie te pytania, nie mając pojęcia, czy kiedykolwiek uda mi się poznać na nie odpowiedź.

IV.

Pewność, że Pokoć był zamieszany w porwanie dziewczynek, początkowo mnie zmroziła, ale później zacząłem na spokojnie analizować sytuację i planować moje kolejne ruchy. Bez takiej stuprocentowej pewności musiałbym działać trochę po omacku, wiele moich poczynań byłoby zależnych od policji. Wcześniej sądziłem, że może udałoby mi się jakoś wkręcić w poszukiwania, że może nadkomisarz Sitarz, biorąc pod uwagę moją zawodową przeszłość, zgodzi się na moją nieoficjalną pomoc. Jednak nawet gdyby się tak stało, to trzeba byłoby działać bardzo ostrożnie. W momencie, gdy rozpoznałem Kapo, mogłem spróbować zagrać bardziej ostro i ryzykownie. Musiałem jednak liczyć na pomoc kilku ludzi, ponieważ przy złych wiatrach mój plan mógł natychmiast spalić na panewce.

Zadzwoiłem do Andrzeja, nie tylko po to, żeby mu podziękować za zdjęcia. Poinformowałem go też, że rozpoznałem na zdjęciu faceta, którego spotkałem na rynku w Rykowie, i spróbowałem wysondować Gierczaka, czy ma informacje odnośnie do ewentualnej zgody jego informatorów na publikację wizerunku Pokocia. Odpowiedział:

— Zdziszek, sto procent zielonego światła. Mówiłem ci, że dochodzeniówka aż wrze w związku ze sposobem załatwienia tej sprawy. Chodziłoby tylko o to, żeby nikt nie dowiedział się, skąd masz aktualne zdjęcie Pokocia i żeby też zostało między nami, skąd masz wiedzę o „Kapo Dwa”. Sądzę, że ujawnieniem tego całego szajsu sprawiłbyś chłopakom sporo frajdy, a parę tłustych dup na górze mogłoby zacząć trząść się o swoje stołki.

— Dobra, Andrzej. W takim razie spróbuję trochę rozhuścić tę całą sprawę i zrobię to tak, że nikt nie pożałuje podzielenia się z tobą

informacjami.

— Okej.

— Posłuchaj, jest jeszcze jedna sprawa. Otóż Kapo na gościnnych występach w Rykowie wystąpił bez brody, co zdecydowanie zmienia jego wizerunek w porównaniu z tym tuż sprzed wyjścia na wolność. Pewnie ogolił się najpóźniej zaraz przed przyjazdem do Rykowa, więc tutaj wszyscy ewentualni świadkowie znali go już jako gładko ogolonego typu. Mam takie pytanie — znasz może tego rysownika portretów pamięciowych z „Mordoru”? To znaczy, nawet nie wiem, czy ciągle jest ten sam, ale za moich czasów był u nas taki trochę aspołeczny artysta portrecista.

— Tak, cały czas jest ten sam. A znam go dość dobrze, bo grywamy razem w nogę dwa razy w tygodniu. Ja wiem, czy jest aspołeczny? Powiedziałbym, że raczej trochę takiego udaje dla świętego spokoju. Chodzi o to, czy nie zlikwidowałyby Pokociowi brody?

— Trafiłeś w punkt.

— Dobra, w takim razie zaraz go zapytam i natychmiast dam ci znać. Jeśli się zgodzi, to wyślę mu też tę fotę sprzed lat, żeby łatwiej było odwzorować dolną część twarzy i usta bez brody.

Rozłączyliśmy się, a ja zacząłem nerwowo chodzić po pokoju. Dużo zależało od tego grafika. Miałem wielką nadzieję, że się zgodzi pomóc, i już planowałem dalsze kroki.

Andrzej oddzwonił po pięciu minutach. Portrecista zgodził się bez wahania i obiecał, że maksymalnie w ciągu godziny zaktualizuje przesłane mu przez Gierczaka zdjęcie.

* * *

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, dochodziła dwudziesta pierwsza, zatem miałem góra godzinę na ogarnięcie wszystkiego, co trzeba.

Najpierw zadzwoniłem do Mamaja z pytaniem, czy nie zna kogoś w Rykowie, kto ma zakład prowadzący usługi kserograficzne. W dużych miastach to działalność już niemal niespotykana, ale w miasteczkach powiatowych wciąż dość popularna. Usłyszałem w odpowiedzi, że jego znajomy jeszcze z czasów szkolnych prowadzi kiosk ruchu obok urzędu skarbowego i ma tam też kserokopiarkę.

— Znasz go na tyle dobrze, żeby teraz, późnym wieczorem, otworzył i zrobił dla mnie ze dwieście kopii? — zapytałem.

— Myślę, że tak. A powiesz mi, co kombinujesz?

Najbardziej rzeczowo, jak tylko potrafiłem, streściłem mu wszystko, czego dowiedziałem się od Gierczaka. Przerwał mi w tym czasie tylko raz. W momencie, gdy dowiedział się o amnestii z grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, rzekł:

— Mieć w rękach sznurki sterujące losami dziesiątków milionów ludzi i nie umieć myśleć w perspektywie dalszej niż parę lat? Przecież normalnemu człowiekowi to się w pale nie mieści.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłem, jak w tym momencie z niedowierzaniem kręci tą swoją wielką łepetyną tak mocno, aż grzywka opada mu na czoło i dałbym głowę, że to właśnie robił w tym momencie.

— Lepiej bym tego nie ujął, Marian — powiedziałem, a potem kontynuowałem relację ze spotkania z Andrzejem.

Gdy skończyłem, poprosiłem go, aby wszystkie informacje zachował dla siebie. On odparł, że to zupełnie jasne, i zapytał mnie jeszcze o te kserokopie, bo w emocjach, które ponownie wywołały we mnie informacje uzyskane od Andrzeja, zupełnie zapomniałem, że od tego rozpoczęła się nasza rozmowa. Wyjaśniłem zatem sprawę zdjęcia i tego, że zamierzam je powielić i rozwiesić na terenie całego Rykowa.

— Ale wiesz o tym, że na to może być paragraf?

— Wiem. Jasne, że wiem, ale mam to gdzieś, skoro na szali jest życie Oli.

— Rozumiem. Mogę ci jakoś pomóc?

— Nie, dam sobie radę sam. Nie chcę, żebyś miał przez tę sprawę kłopoty. Jesteś przecież ciągle w służbie, więc paragrafów w twoim wypadku należy unikać jak ognia. Ten twój kolega od ksero też nie powinien się niczego obawiać. On nie musi wiedzieć, że to będzie ujawnienie wizerunku bez zgody sądu. Wszystko biorę na klatę z nadzieją, że chociaż trochę sprawa dzięki temu ruszy do przodu.

— Dobra, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. O której by ci pasowało, żeby to ksero się otwarło?

— Przerobioną fotę będę miał najpóźniej o dziesiątej. Myślisz, że o wpół do jedenastej to nie będzie za późno?

— Jeżeli tylko Karol jest w Rykowie i żyje, to na pewno ci pomoże. Już moja w tym głowa.

Rozłączyliśmy się i od razu zadzwoniłem do Darii, żeby zapytać, czy wszystko w porządku (o ile w zaistniałej sytuacji takie sformułowanie

w ogóle może zostać użyte) i powiedzieć, że wrócę albo nad ranem, albo dopiero jutro.

— Panujemy nad sytuacją, w miarę możliwości oczywiście — powiedziała. — Wiki bez zmian, podobnie zresztą jak Kamil. Oboje wyglądają, jakby czekali już tylko na śmierć. A ty? Co z tobą? Dowiedziałeś się czegoś w Mieście Wojewódzkim?

Odparłem, że tak, ale że wszystko jej opowiem rano, bo teraz muszę zająć się ważnymi sprawami. Tradycyjnie na koniec powiedziała mi, że mnie kocha, a ja odpowiedziałem tym samym. Kiedy się rozłączyłem, przysłała mi do głowy absurdalna myśl — uświadomiłem sobie, że oto moja kobieta zostaje na noc tylko z Kamilem i jego córką, która z pewnością zaraz odpłynie po zażyciu nasennych tabletek. Sam się sobie dziwiłem, że w takiej sytuacji mogę odczuwać coś na kształt zazdrości, ale jednak to ukłucie gdzieś w okolicy serca było bardzo wyraźne.

Zaraz potem głupoty wywietrzały mi z głowy, bo zadzwonił Mamaj z informacją, że wspomniany przez niego wcześniej Karol o dwudziestej drugiej trzydziści będzie na mnie czekał przed kioskiem. W tej sytuacji musiałem już tylko przygotować ogłoszenie i czekać na mejla od Andrzeja.

* * *

Zdjęcie, które zostało przerobione za pomocą specjalnego programu komputerowego, dostałem od Andrzeja już za dwadzieścia dziesiąta. To była naprawdę dobra robota, Kapo wyglądał na fotografii dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy go mijałem, wchodząc na rykowski rynek.

Wysłałem Gierczakowi krótką wiadomość z ogromnymi podziękowaniami oraz obietnicą, że kiedyś postaram się odwdziżyć zarówno jemu, jak i grafikowi za pomoc, i zabrałem się za przygotowanie ogłoszenia.

Część pracy już miałem za sobą, ponieważ coś tam zrobiłem już od czasu, gdy skończyłem telefoniczną gorącą linię.

Ogłoszenie składało się z dwóch kartek formatu A4 ułożonych w poziomie. Na jednej, zaplanowanej przeze mnie jako górna część ogłoszenia, główny nacisk położyłem na wyeksponowanie wizerunku Pokocia, tak więc znalazło się tam tylko jego zdjęcie o dużych rozmiarach oraz umieszczony powyżej napis, dużymi wersalikami, o treści „POSZUKIWANY MORDERCA!!!”.

Na drugiej kartce, która miała być dolną częścią mojego „listu gończego”, umieściłem, już nieco drobniejszą czcionką, informację

o imieniu i nazwisku oraz pseudonimie poszukiwanego, a także wiadomość, iż jest on podejrzany o morderstwo Julii Szykowiak oraz porwanie i przetrzymywanie jej młodszej siostry, Aleksandry. W lewym dolnym rogu umieściłem niewielkie portrety dziewczynek w tej formie, w jakiej obecnie były rozpowszechniane w mediach, czyli z rozmytą w celu ochrony wizerunku twarzą Julki i wyraźną Oli, natomiast po prawej, również na dole, podałem swoje imię i nazwisko, numer telefonu oraz prośbę o przekazywanie mi wszelkich informacji mogących przyczynić się do odnalezienia zaginionego dziecka. Dopisałem też, że codziennie, aż do chwili odnalezienia zabójcy, będzie mnie można osobiście spotkać w pizzerii Isabella e Camillo przy Parkowej, gdzie w godzinach od ósmej do dziesiątej będę czekał na ewentualne zgłoszenia osobiste. Po zastanowieniu nazwę lokalu zamieniłem na „Camillo” i wydrukowałem obie kartki, a następnie ułożyłem je jedna nad drugą.

Wyglądało to wszystko całkiem nieźle. Wrażenie robiła przede wszystkim górna część ogłoszenia, która przyciągała swoim prostym przekazem. Zdawałem sobie sprawę, że w obecnej sytuacji to ogłoszenie będzie przez prawo i wierchuszki organów ścigania postrzegane negatywnie, ale, szczerze mówiąc, miałem to po prostu gdzieś.

Poczekalem, aż zdjęcia porządnie wyschną, wyjąłem z żółtej teczki otrzymanej od Andrzeja wydruki i zastąpiłem kartkami, które zamierzałem powielić.

Wyszedłem z mieszkania o dwudziestej drugiej dziesiątej i po drodze do kiosku przy urzędzie skarbowym wstąpiłem jeszcze na stację paliw, żeby kupić sobie hot-doga i kawę. Poczucie dobrze wykonanej roboty wzbudziło we mnie głód, a poza tym zdawałem sobie sprawę, że tej nocy będę potrzebował sporo sił.

* * *

Na umówionym miejscu pojawiłem się za dwie wpół do jedenastej, a mężczyzna, który okazał się Karolem, czyli znajomym Mamaja, właśnie otwierał kiosk. Był otyłym, niewysokim mężczyzną około pięćdziesiątki.

Po przywitaniu i wzajemnym przedstawieniu pokazałem mu dwie kartki i poprosiłem, by powielił je w dwustu egzemplarzach, łącząc w zaplanowany przeze mnie wcześniej sposób w celu uzyskania dwa razy większego formatu A3.

Gdy zorientował się, co jest na ogłoszeniu, jego twarz stężała. Powiedział, że jego wnuczka chodziła do klasy z Julką i do tej pory nie

może otrząsnąć się po informacji, że już nigdy nie zobaczy koleżanki.

Najpierw puścił trzy próbne wydruki, regulując kontrast i dał mi do oceny. Zgodziliśmy się co do tego, że najlepiej wygląda ostatnia kopia, więc pan Karol już bez zmiany ustawień zaprogramował dwieście kopii, po czym wyszliśmy na zewnątrz w oczekiwaniu, aż maszyna wykona swoje zadanie.

Kolega Mamaja wyjął paczkę papierosów i podstawił mi ją pod nos. Gdy odmówiłem, mówiąc, że nie palę, wyjął jednego, odpalił i głęboko zaciągnął się dymem.

— Mam nadzieję, że uda się złapać tego skurwysyna — rzekł.
— Chętnie bym go powiesił za jaja. Chociaż nie... To byłoby dla niego nie dość wystarczającą karą.

Akurat skończył palić, gdy kserokopiarka zamilkła.

Pan Karol nie przyjął ode mnie pieniędzy ani za wydrukowane egzemplarze, ani za dziesięć rolek bezbarwnej taśmy klejącej, dwa pudełka pinezek i nożyczki.

— Niech to będzie mój wkład w te poszukiwania — powiedział.
— Może chciałby pan, żebym wydrukował więcej?

— Nie, dziękuję, tyle powinno w zupełności wystarczyć.

— Da pan sobie sam radę? Marian wspominał coś, że to nie do końca legalne, ale jakby co, to ja chętnie pomogę.

— Tak, dam sobie radę. A jeśli chodzi o pomoc, to i tak zrobił pan wystarczająco dużo. Bardzo panu dziękuję, naprawdę, i przepraszam za kłopot.

— Pan chyba sobie żartuje! Po prostu cieszę się, że mogłem pomóc. A jakby coś było jeszcze trzeba, to wie pan, gdzie mnie szukać.

Podziękowałem i pożegnałem się z moim nowym znajomym, a później ruszyłem w miasto.

Najpierw pojechałem na 1 Maja i tam, głównie w okolicach domu, w którym znajdowało się mieszkanie Zbieńskiego, rozlepiłem na słupach elektrycznych jakieś trzydzieści ogłoszeń. Potem wszedłem do niezabezpieczonej domofonem klatki feralnej kamienicy i tam, na drzwiach, od wewnętrznej strony, nakleiłem kolejną zadrukowaną kartkę. W powietrzu wciąż czuć było mdlący zapach rozkładu, więc zabrałem się stamtąd jak najprędzej, naklejając także ogłoszenie na drzwiach od strony ulicy.

W następnej kolejności udałem się do centrum miasteczka i tam, szczególnie w okolicy rynku i ratusza, rozlepiłem sporą liczbę moich kartek. Była północ, gdy zacząłem się zapuszczać w mniej uczęszczane dzielnice Rykowa, by w każdej z nich zostawić po sobie ślad w postaci wizerunku Pokocia.

Miasto było jakby wymarłe. Do czwartej, kiedy rozwieszałem ostatnie ogłoszenia, spotkałem może ze trzy osoby, które w ogóle nie zwróciły na mnie uwagi.

Szarzało już, gdy wróciłem do swojego mieszkania. Miałem nadzieję, że uda mi się szybko zasnąć. Przede mną był pierwszy dyżur w Camillo, który miał się zacząć już o ósmej.

Ostatnia myśl, jaka przyszła mi do głowy przed zapadnięciem w sen, była taka, że może powinienem wyłączyć komórkę, żeby nikt mnie nie zbudził przed siódmą trzydzieści. Nawet nie pamiętam, czy zdążyłem sobie uświadomić absurdalność tego pomysłu.

Ryków budził się właśnie do życia po nocnej śmierci i w każdej chwili ktoś mógł spróbować zadzwonić do mnie w sprawie Kapo. Przecież teraz dopiero pojawiła się jakaś naprawdę realna szansa na odnalezienie Oli...

24 marca 2015 (wtorek)—27 marca 2015 (piątek)

Wtorek

Ledwie słyszę nastawiony na siódmą dziesięć budzik w telefonie. Sprawdzam, czy nie było w ciągu ostatnich godzin jakichś połączeń lub SMS-ów. Okazuje się, że od momentu, gdy położyłem się do łóżka, nikt nie próbował się ze mną kontaktować, i wtedy czuję, że cała wykonana przeze mnie praca może pójść na marne. Sam sobie tłumaczę w myślach, że lepsze to niż bezczynne trwanie w rozpaczy, beznadziei i obawach, co przyniesie jutro.

Ubieram się, biorę szybki prysznic i zalewam trzy łyżeczki kawy rozpuszczalnej wrzątkiem do połowy kubka. Słodzę i sprawdzam, czy mam w lodówce jakieś mleko. Jest, takie półlitrowe w kartoniku, otwarte już chyba z tydzień temu, ale smakuje normalnie. Błogosławię chemię, uzupełniam kubek do pełna i wypijam kawę kilkoma haustami z nadzieją, że postawi mnie szybko na nogi.

Przed wyjściem z domu zastanawiam się, czy zabrać ze sobą torbę z laptopem. Przeważa fakt, że w Camillo pod koniec ubiegłego roku Kamil zainstalował Wi-Fi, dzięki czemu w oczekiwaniu na ewentualnych informatorów będę mógł poszperać w necie i chociażby poszukać jakichś informacji odnośnie do Kapo. Do torby pakuję też papiery otrzymane od Andrzeja, dokładając do nich jednocześnie, tak na wszelki wypadek, wyjęty teraz z żółtej teczki dwukartkowy pierwowzór ogłoszenia w sprawie Pokocia. W związku z tym, że telefon ciągle milczy, obawiam się, że będę miał w pizzerii dwie godziny na dokładne przestudiowanie materiałów od Gierczaka. „Ale robiąc to, też mogę wpaść na coś wartościowego” — pocieszam się w myślach, zamykając drzwi do mieszkania na klucz.

Dopiero gdy wychodzę na dwór, uświadamiam sobie, że Kamil nic jeszcze nie wie o moich planach, a w szczególności o zamiarze użycia Camillo jako swego rodzaju centrum kontaktowego. Nie wydaje mi się jednak, by mógł mieć coś przeciwko temu, co wymyśliłem. Zwłaszcza biorąc pod uwagę stan psychiczny, w jakim się znajduje, i to, że musi przede wszystkim troszczyć się o Wiktorię.

* * *

Kilka minut przed ósmą parkuję niedaleko pizzerii. Na chodniku stoi jakaś niska, przysadzista kobieta i osłaniając od światła twarz przyłożonymi do niej dłońmi, zagląda do środka przez szybę. Ma na sobie ponaciągany brązowy sweter i jasnoszare spodnie od dresu. Na jej głowie panuje totalny bałagan — trwała w kolorze blond z kilkucentymetrowymi odrostami jest potargana tak, jakby jej właścicielka dopiero co wygrzebała się z betów.

Podchodzę do kobiety i zagajam:

— Dzień dobry. Pani może w sprawie ogłoszenia?

Drga nerwowo, zupełnie tak, jakbym strzelił jej koło ucha papierową torebką, a potem odwraca się w moją stronę. Jej wiek oceniam na jakieś sześćdziesiąt pięć lat, ale równie dobrze może mieć o wiele mniej. Niewykluczone, że napuchnięta twarz, wory pod oczami i przekrwione oczy alkoholicki mocno ją postarzają.

— Tak, w sprawie ogłoszenia — chrypi głosem przezartym papierosowym dymem.

Szczerze mówiąc, jestem trochę rozczarowany, ale nie ma co grymasić — w końcu to pierwsza osoba, która zareagowała na mój autorski i samowolnie wydany list gończy.

— To ja je rozwiesiłem. Pójdę tylko na górę po klucze i wejdziemy do środka, dobrze?

Kobieta patrzy na mnie podejrzliwie, ale powoli potakująco kiwa głową.

Znikam w bramie i biegnę po schodach do góry. Na półpiętrze nieomal taranuję idącą w przeciwnym kierunku Darię.

— Cześć, kochany. Gdzie byłeś tyle czasu?

Przytulam ją i całuję na powitanie.

— Prawie całą noc rozklejałem ogłoszenia. Zobacysz je w całym Rykowie, bo dobrze się przyłożyłem do roboty.

— Jakie ogłoszenia?

— Zdobyłem sporo nowych informacji, ale to dłuższa historia, a na dole czeka kobieta, która być może wie coś istotnego. A że wygląda trochę tak, jakby zastanawiała się, czy nie uciec...

— To w takim razie opowiesz mi, jak wrócę z pracy. Teraz i tak muszę lecieć, bo pierwszą lekcję mam o ósmej.

Ogólniak, w którym uczy Daria, jest jakieś trzysta metrów stąd, wystarczy tylko przejść rynek po przekątnej i zagłębić się w ulicę odchodzącą od niego w stronę północno-zachodnią.

— To w takim razie biegnij, słoneczko — mówię. — O której kończysz?

— Koło trzynastej powinnam być.

— W takim razie do zobaczenia. Powiedz jeszcze, jak Kamil i Wiki.

— Ona spała całą noc, Kamil trochę łąził i mnie parę razy obudził. Oboje są jednak w kiepskiej formie. Mam nadzieję, że po pogrzebie zaczniesz się to wszystko jakoś poprawiać. Pa, skarbie! Muszę bieć!

Klatka schodowa rozbrzmiewa stukotem naszych oddalających się od siebie butów.

Mojego przyjaciela zastaję wraz z córką przy jajecznicy. On pije kawę, mając przed sobą pusty talerz, a Wiktorია grzebie w zimnym już chyba daniu. Jestem pewien, że to Daria wszystko przygotowała i po raz kolejny myślę o niej z niekłamanym podziwem.

— Dzień dobry — mówię i od razu orientuję się, że to nie jest pasujące tu i teraz powitanie. — Kamil, potrzebuję na dwie godziny zająć pizzerię, mogę?

Ruchem głowy daje mi znak, że mogę. Nawet nie wiem, czy słyszał, o co pytałem. Wiki, cała jakby zafascynowana masakrowaniem widelcem jajecznicy; odnoszę wrażenie, że w ogóle nie zauważyła mojego przyjścia.

— Dasz mi klucze?

— Są w kurtce. Chyba — słyszę w odpowiedzi.

— Dacie sobie radę?

Znów odpowiada mi kiwnięcie głowy.

— Będę zaraz po dziesiątej. Jakby co, to jestem na dole.

Nawet nie czekam na jakąkolwiek reakcję. W tym domu śmierć czuje się w powietrzu tak intensywnie, jakby ktoś rozpylił ją tu przed chwilą za pomocą aerozolu.

* * *

Pijaczka wciąż czeka przed pizzerią. Mówię do niej, że tylko wezmę torbę z samochodu i już otwieram. Gdy tu przyjechałem przed kilkanaście minutami i zobaczyłem, że najprawdopodobniej ktoś na mnie czeka, zupełnie zapomniałem o laptopie i papierach, a przecież po to je zabrałem, by skorzystać z nich w ciągu dwóch godzin oczekiwania.

Zamykam auto na centralny zamek i odwracam się w stronę Camillo. Okazuje się, że kobieta zniknęła. Zaczynam nerwowo rozglądać się po ulicy. Serce podchodzi mi do gardła. A co jeśli naprawdę miała mi do przekazania coś ważnego na temat Pokocia albo Oli, lecz zrezygnowała,

czując się przeze mnie ignorowana? Przecież jeśli jej więcej nie spotkam, to będę miał wyrzuty do końca życia!

Nerwowym truchtem zmierzam w stronę wejścia do lokalu i... jednak ją dostrzegam. Widzę, jak pochyla się za tylną krawędzią paki citroena Kamila i szuka czegoś na asfalcie. Wreszcie zauważa, że stoję obok i wtedy na otwartej dłoni pokazuje mi brudną pięćdziesięciogroszówkę.

— Tylko jedna — skrzeczy. — Myślałam, że się komuś więcej rozsypało.

Jej dłoń jest chyba jeszcze brudniejsza niż moneta. Zaniedbana, poszarzała, brudna od papierosowego dymu.

— Proszę, wejdźmy do środka — mówię i otwieram zamek w drzwiach wejściowych pizzerii.

W środku panuje zaduch. Nikogo tu chyba nie było od dziewiątego marca, czyli od dnia porwania. Dziwnie się czuję w tym miejscu, gdy nie pachnie ono przyrządzaną właśnie przez Izę pizzą. Mówię do kobiety, żeby sobie usiadła, wskazując stolik przy drzwiach, a sam podchodzę do okna, by je uchylić. Mijając moją nową znajomą, stwierdzam, że otwarcie okna jest dobrym pomysłem nie tylko ze względu na duchotę królującą w pomieszczeniu. Z pewnością proszek do prania i mydło nie są najlepszymi przyjaciółmi tajemniczej nieznajomej.

Zajmuję miejsce naprzeciw niej, chociaż, szczerze mówiąc, wolałbym usiąść trochę dalej, na przykład przy stoliku ulokowanym po drugiej stronie sali. Sam nie wiem, dlaczego kładę pomiędzy nami, na środku blatu, torbę.

— W takim razie zamieniam się w słuch — mówię.

Ona poprawia włosy prawą ręką, która bardzo drży.

— Pan jesteś z policji?

Świdruje mnie wzrokiem. Nie wiem, co mam odrzec, żeby jej nie zniechęcić do powiedzenia mi tego, co wie. W końcu postanawiam, że najlepiej będzie, jak po prostu nie będę kłamał.

— Nie, nie jestem.

— Ale widziałam pana wtedy pod kamienicą, z policjantem. Wtedy, jak znaleźli Zuzkę nieżywą u Zbieńskiego. — Jej oddech czuć cebulą i przetrawionym alkoholem.

— Tak, to mój znajomy z policji. Ja nie jestem policjantem. Kiedyś byłem. Od kilku lat jestem już na emeryturze, dorabiam też w tutejszej fabryce okien, jako ochroniarz.

Kiwa głową.

— W ONZ?

— Tak.

Wygląda na nieco uspokojoną. Nagle pyta:

— Pożyczysz pan dwadzieścia złotych?

Nie chcę jej traktować źle, ale chyba właśnie w tym momencie rzucam jej bardzo niechętne, może nawet pogardliwe spojrzenie. Trochę zaczynam się obawiać, że wczorajsze zachowanie pana Karola od kiosku z kserokopiarką było jedyne w swoim rodzaju.

— Nie wiem, co ma mi pani do powiedzenia... — zaczynam niepewnie, ale ona wchodzi mi w słowo.

— Mieszkam w tej kamienicy. Na tym samym piętrze, co Mietek Zbieński i Zuza Jaworska. To znaczy, ona to mieszkała, można powiedzieć.

— Dobrze, ale niech pani nie mówi nikomu, że płacę za informacje, bo będę tu zaraz miał na głowie połowę miasteczka, która będzie chciała dorobić do pensji.

Kiwa głową, a ja wyjmuję z wewnętrznej kieszeni kurtki portfel, wysupłuję z niego banknot dwudziestozłotowy i podaję ponad stołem. Kobieta chwyta go łapczywie drżącą ręką i już go nie widzę, ponieważ razem z jej dłonią ukrywa się za krawędzią torby.

— Moje drzwi są te środkowe. Jak się idzie z dołu, to prawie na wprost.

— Czyli drzwi prowadzące do mieszkania Jaworskiej to te po lewej, patrząc od dołu?

— Tak. Widziałam go parę razy na klatce. Tego ze zdjęcia. Mieszkał u Mietka chyba z miesiąc. Zbieński mówił, że to kolega z wojska, chociaż wcale nie pytałam. Raz widziałam też, jak wychodzi z mieszkania Zuzki.

Pojawia się zatem jednak jakaś istotna informacja.

— A czym ona się zajmowała?

— Była kosmetyczką w centrum handlowym. Mieszkanie odziedziczyła po swojej babce, ale chciała je jak najszybciej zmienić na jakieś w lepszej, bogatszej okolicy. Dlatego nie tylko ten znajomy Mietka ze zdjęcia od niej wychodził. Różni byli i raczej nie byli to jej narzeczeni. Jeśli wiesz pan, co chcę przez to powiedzieć...

— Rozumiem. Dziewczynki zostały uprowadzone w poniedziałek dziewiątego marca. Czy od tamtej pory widziała pani może coś dziwnego albo może słyszała przez drzwi lub ścianę jakieś podejrzanе dźwięki, krzyki, cokolwiek, co by mogło świadczyć, że Julka i Ola były

u Zbieńskiego przetrzymywane? — Wciąż nie potrafię mówić o córkach Kamila bez emocji, dlatego głos drży mi zdecydowanie zbyt mocno.

Pijaczka chyba to dostrzega, bo przygląda mi się baczniej, a potem zastanawia się przez chwilę i przecząco kręci głową.

— Jedyne, co wiem, to tyle, co powiedziałam. Myślałam, że pomogę, bo zdaje się, że do tej pory to szukali tylko Mietka, a o tym ze zdjęcia to nie słyszałam.

Uświadamiam sobie, że faktycznie, gdyby nie to, że wiem o wspólnej przeszłości Zbieńskiego i Pokocia w kalenickim więzieniu, to faktycznie byłaby to cenna informacja. No ale tak to oprócz zdobycia informacji o wizytach Pokocia u zamordowanej w mieszkaniu Zbieńskiego sąsiadki dowiedziałem się niewiele.

— Pewnie przesłuchiwali panią w sprawie zabójstwa tej Jaworskiej? Mówiła im coś pani o Pokociu?

— A po co? — chrypi. — Zuzce to i tak życia nie wróci, a mnie nowych kłopotów nie potrzeba. No ale teraz to inna sprawa. To przecież dzieci, a na dodatek jedno może jeszcze da się uratować... Odpowiedz mi, pan, na jedno pytanie?

— Na jakie?

— Dlaczego tak panu zależy na tych dzieciakach?

Milczę przez jakąś minutę, wbijając wzrok w blat stolika, bo znów coś mnie chwyciło za gardło, gdy zadała to zupełnie niespodziewane pytanie. Opanowuję się wreszcie, podnoszę wzrok i napotykam uważne spojrzenie przekrwionych oczu.

— To są córki mojego najlepszego przyjaciela, proszę pani. Staram się zrobić wszystko, żeby pomóc w znalezieniu Oli i tego bandyty.

— Odchrząkuję i pytam jeszcze: — A inni sąsiedzi? Myśli pani, że od nich mógłbym się dowiedzieć czegoś więcej?

— Nie wiem, może i tak. To znaczy, na tej klatce na stałe zamieszkane są jeszcze dwa mieszkania. Oba na parterze. Pod trójką mieszkają Malinowscy. Dość młode małżeństwo, ale już dochrapali się piątki dzieciaków. Najstarsze ma cztery lata, mają też parkę bliźniąt. Mówię panu, patologia. Pod dwójką, czyli dokładnie pode mną, mieszkają Piątkowie. Biedota, panie, że strach. Dzieci odchowane, wykształcone, już od dawna na swoim w Mieście Wojewódzkim, ale do starych rodziców to ani zajrzą. Ledwie przędą, biedaki, na jego rencie i jej emeryturze.

— Jak dobrze rozumiem, mieszkanie Zbieńskiego jest nad Malinowskimi?

— Zgadza się. Natomiast trzecie mieszkanie na parterze, jedyne, to pod Zuzką, stoi puste od zeszłej wiosny. Lokator nie płacił, to eksmisję zrobili i pozamiatane.

— A na górnych piętrach?

— Nad nami jest jeszcze tylko jedno piętro do mieszkania i tylko jedno mieszkanie zajęte, a jeszcze wyżej strych, na którym tylko jakieś rupiecie się walają. Ósemka, czyli nade mną, jest pustostanem, ale jakieś stare meble tam są, metalowy piecyk z rurą odprowadzającą dym na zewnątrz też, więc ten spod trójki to nawet tam pomieszkiwał ostatnimi czasy. Ale od kiedy znaleźli ciało Zuzki, to od tamtej pory go nie widziałam. W siódemce do niedawna mieszkała pani Lutońska, inwalidka po dziewięćdziesiątce, ale zmarła jej się ubiegłej jesieni. Szkoda kobiety, miła była, a i zarobić czasem się u niej dało. A to zakupy, a to posprzątać i ją podmyć czy poprać... No ale zmarła jej się ostatniej jesieni i mieszkanie stoi, jak stało, i nikt tam nawet nie zagląda.

— Jeszcze dziewiątka, nad Zbieńskim. Mówiła pani, że to jeszcze jest zajęte. Czyli że ktoś tam mieszka?

— A, tak, ale ono jest właśnie bardziej zajęte niż zamieszkane. Właścicielem jest Damian Kuna, ale on to na stałe właściwie mieszka i pracuje w Niemczech. Młody taki, koło trzydziestki. Tutaj to tylko przyjeżdża, jak ma wolne, albo na święta, czasem ot tak, jak chce rodziców odwiedzić. Ma dużo kasy, panie, to i odpicował mieszkancko jak się patrzy. Raz tam byłam, to nie wiedziałam nawet, na co patrzeć.

— A ten, co pod jedyneką mieszkał, to jak się nazywa? Nie wie pani, gdzie mogę go znaleźć?

— Nazywa się Wiesiek Stępora. Złom zbiera po całym mieście. Spytaś pan jakiegoś złomiarza albo menela, to będą pewnie wiedzieli coś więcej.

— A kiedy ostatnim razem widziała pani poszukiwanego albo Zbieńskiego?

— Jakoś tak na kilka dni przed odnalezieniem ciała Zuzy. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, moje dni są do siebie bardzo podobne i jeśli coś wydarzyło się wcześniej niż przedwczoraj, to bardzo trudno mi to umiejscowić w czasie.

Sięgam do torby, wyjmuję z niej zadrukowane po jednej stronie kartki od Andrzeja i zapisuję na czystej stronie jednej z nich pozyskane przed

chwilą wiadomości, upewniając się jeszcze raz co do nazwisk i numerów mieszkań.

— Wiem, że niewiele mogłam pomóc, ale tyle, co wiedziałam, to powiedziałam — mówi na koniec kobieta. — Mam nadzieję, że znajdziesz pan tę córeczkę pańskiego przyjaciela i że ona jeszcze żyje. Straszna tragedia, straszna...

Kobieta wstaje i kieruje się do wyjścia. Dziękuję jej, że przyszła i podzieliła się ze mną tym, co wie, ale już ani się nie odwraca, ani nie odpowiada. Po prostu wychodzi i zatrząskuje za sobą drzwi.

Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że nie znam jej nazwiska. Chcę za nią wybiec, by ją o nie spytać, ale dokładnie w tej chwili dzwoni moja komórka.

* * *

Okazuje się, że to jakiś facet z 1 Maja, któremu wydaje się, że kilkanaście dni temu widział poszukiwanego mężczyznę niedaleko kamienicy, w której znaleziono „tę zamordowaną kobietę”. Dziękuję mu, mówię, że w razie czego się odezwę, i zapisuję sobie, tak na wszelki wypadek, numer jego telefonu.

Przez następnych kilkadziesiąt minut wertuję kartki otrzymane od Andrzeja i szperam w Internecie, poszukując informacji na temat Kapo. Ani tu, ani tu nie znajduję niczego, co mogłoby rzucić nowe światło na sprawę porwania. Następnie przeglądam jeszcze strony internetowe w poszukiwaniu czegoś o amnestii z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. W pewnym momencie natrafiam na listę posłów, którzy głosowali za ustawą, umożliwiającą Pokociowi wyjście na wolność. Wśród kilkuset nazwisk znajduję znajome.

Zenon Skowran.

Poseł, na którego głosowałem w wyborach parlamentarnych w dwa tysiące jedenastym roku, ten sam, który pojawił się w serwisie informacyjnym tuż przed rozpoczęciem transmisji na żywo z rykowskiego rynku, mającej relacjonować rozmowę z Izą i Kamilem, przeprowadzoną przez nawiedzonego redaktora. Pamiętam jak dziś, że podczas jednego z pierwszych spotkań z Szykowiakiem, jeszcze przed wyborami, rozmowa zeszła na tematy polityczne. Szybko okazało się, że mamy zbliżone zapatrywania w tej kwestii, więc zapytałem, czy poleca kogoś z tego okręgu jako osobę wartą oddania na nią głosu. Jako świeżo upieczony mieszkaniec Rykowa dopiero zaczynałem się orientować w lokalnych realiach,

a ponieważ dotąd głosowałem gdzie indziej, rada zaufanego miejscowego wyborcy mogła się okazać nadzwyczaj cenna. Kamil bez wahania zachęcał mnie do wsparcia Skowrana i to właśnie ten kandydat otrzymał mój głos.

Przez kolejne lata dowiedziałem się o nim więcej. Okazało się, że zasiada w sejmie nieprzerwanie od sejmiku kontraktowego. Oczywiście, jak większość wybrańców narodu, w tym czasie kilkakrotnie zmieniał barwy partyjne, ale zawsze czynił to na tyle skutecznie, by ciągle utrzymywać wysoki procent zaufania wyborców, w czym chyba pomagała mu przede wszystkim rozpoznawalność medialna. Widywało się go czasami w telewizji, komentującego bieżące wydarzenia, chociaż — z tego, co mi wiadomo — nie był zbyt aktywny na sali sejmowej, zajmując na niej pozycję szarego dostarczyciela poparcia dla swojej partii podczas poszczególnych głosowań.

Raz nawet widziałem go na ulicy Rykowa. Ponoć pełnił tu czasem dyżury parlamentarne, spotykając się z wyborcami i zapewniając, że zrobi w ich sprawie wszystko, co tylko będzie w jego mocy. Czyli — co wie chyba każdy choć trochę śledzący życie publiczne i stąpający realnie po ziemi — najpewniej nie robi nic.

Bardziej dla zajęcia czymś myśli niż w konkretnym celu klikam przez jakiś czas linki związane ze Skowranem i narasta we mnie złość. W pewnej chwili nawet wydaje mi się, że to właśnie on jest głównym sprawcą tego, co się wydarzyło. Nie wiem, co by się stało, gdyby wszedł w tym momencie do pizzerii, ale jestem na tyle wzburzony, że z pewnością nie mógłbym za siebie ręczyć. Powoli zamykam wszystkie otwarte okienka i nagle mój wzrok pada na dolną część jednego z tekstów, zawierającą informację o dyżurach parlamentarnych. Wymienione są tam daty oraz miejsca, gdzie w poszczególnych i ogólnie określonych terminach można spotkać się z posłem Zenonem Skowranem.

„Ryków — każda ostatnia środa miesiąca w godzinach od 12.00 do 15.00. ratusz, sala nr 124, I piętro”.

Mam ostatnio problemy z odnalezieniem się w czasoprzestrzeni, więc muszę sprawdzić kalendarz w Internecie. Dziś jest wtorek dwudziesty czwarty marca, przedostatni wtorek marca. Ale jutro jest dwudziesty piąty i będzie to OSTATNIA środa miesiąca... „Pójdę tam do tego skurczybyka, jak Boga kocham, pójdę!”. Staram się opanować, wyciszyć i przekonać samego siebie, że przecież ten biedny karierowicz nie jest winien nieszczęściu, które spotkało rodzinę Szykowiaków.

— Ale i bez winy nie jest! — wrzeszczy jakiś głos z tyłu mojej głowy.

* * *

Przez dwie godziny mojego „dyżurowania” odbieram cztery telefony i oprócz kobiety z kamienicy Zbieńskiego goszczę też jednego faceta, który przychodzi w sprawie Pokocia.

Prócz wspomnianego wcześniej telefonu jest jeszcze bliźniaczo podobny, od mieszkanki ulicy 1 Maja, kolejny z osiedla domków jednorodzinnych przy drodze na Miasto Wojewódzkie oraz ostatni, ze sklepu z materiałami remontowo-budowlanymi Tęcza, położonego przy tej samej ulicy, co Camillo. Drugi sygnał z 1 Maja traktuję identycznie jak pierwszy, a dwa kolejne postanawiam sprawdzić osobiście. Do kobiety, która dzwoniła ze sklepu, mówię, że odwiedzę ją mniej więcej o dziesiątej trzydzięci; z facetem mieszkającym przy wylotówce umawiam się na jedenastą.

Ryków, niczym Argos, mityczny stuoki i wiecznie czuwający olbrzym, daje znać, że nie spał również i w ciągu ostatnich dni. Miasto ma jednak taką przewagę, że posiada nie sto, a tysiące oczu, które są w wielu miejscach jednocześnie. Z lekkim rozczarowaniem uznaję, że sygnałów jest mniej, niż się spodziewałem. Oczywiście można założyć, iż Pokocia już od dawna nie ma w okolicy, niemniej jednak jedna wizyta i cztery telefony to naprawdę mało. Potwora o imieniu Ryków nie da się uśpić grą fletu, ale niewykluczone, że piętą achillesową mojego obecnego sprzymierzeńca jest zdecydowanie zbyt krótka pamięć.

Za pięć dziesiąta, przeglądając swoje notatki, uświadamiam sobie jedną rzecz, wynikającą bezpośrednio z tego, co działo się tuż po ósmej. Ta kobieta z kamienicy Zbieńskiego i jej zebranie o dwadzieścia złotych. W ferworze przygotowań związanych z pracą nad ogłoszeniem nie pomyślałem o tym, że być może siła apelu do mieszkańców byłaby zdecydowanie większa, gdyby za pomoc w ujęciu Pokocia wyznaczona została nagroda... Jestem na siebie wściekły za to niedopatrzenie. Z drugiej jednak strony, zdaję sobie sprawę, że kwestię związaną z ewentualną nagrodą musiałbym uzgodnić z Kamilem. Czy on jest teraz w stanie sensownie myśleć o takich rzeczach jak pieniądze?

Moje rozważania przerywa otwarcie drzwi. Do pizzerii wchodzi facet i gdy tylko go widzę, wiem, że będzie chciał ze mną porozmawiać o Kapo.

Nienagannie skrojony mundur, po cztery gwiazdki na każdym z pagonów. Oto nadkomisarz Paweł Sitarz w całej okazałości. Obawiam się,

że może mnie czekać niezbyt miła rozmowa.

Podchodzi do mojego stolika, nie spuszczaając mnie z oczu, a potem ciężko opada na krzesło zwolnione przez kobietę z 1 Maja. Wyraz jego twarzy mówi mi, że zalega między nami coś więcej niż tylko laptop, papiery i torba, z której je wyjąłem, leżąca wciąż na środku blatu.

— I co ja mam z panem zrobić, panie inspektorze Mokryna?

— Jeśli już, to podinspektorze, do inspektora brakowało mi jeszcze paru takich błyskotek, jakie pan ma na ramionach. Ale tak w ogóle, to już od dawna jestem podinspektorem w stanie spoczynku. Jak pan zresztą doskonale wie.

Kiwa głową.

— Wie pan, co się od rana dzieje na komendzie?

— Chyba się domyślam. Trzydzieste plenum Spółdzielni Zenum?

Uśmiecha się. To dobry znak.

— Coś w tym stylu. Stary wariuje. Lata po korytarzu i wrzeszczy, że temu, kto puścił farbę o akcji „Kapo Dwa”, nogi z dupy powyrywa. Dzwonili już z wojewódzkiej i głównej. Jedzie do nas BSW. Niezłeś pan nawywijał, panie Mokry.

Tym razem ja się uśmiecham.

— Powinien pan powiedzieć „mokry chuju”, bo zdaje się, że tak byłem nazywany w podległych jednostkach.

— Ten, co po panu nastął, jest taki sam?

— A o kim pan mówi?

— O młodszym inspektorze Gierczaku. On chyba będzie tu węszył w sprawie przecieku.

— Prawie nie znam człowieka — odpowiadam i w myślach błogosławię pomysł Andrzeja, żebyśmy się spotkali w jakimś ustronnym, z pewnością nieuzbrojonym w podsłuchy miejscu. — Ale do BSW to raczej nie biorą aniołów miłosierdzia.

— Oj, nie biorą, nie biorą... — Wzdycha ciężko i patrzy na mnie znacząco. — Wie pan, że będziemy pana słuchać w tej sprawie?

— Wiem. Tak samo jak pan wie, że odmówię składania zeznań, ponieważ mogą mnie one obciążyć.

— Jasna sprawa. Dowiedział się pan może czegoś po tym ogłoszeniu?

— Na razie nic.

— A jak się pan czegoś dowie, to nas pan powiadomi?

— O ile będzie tego wymagało dobro śledztwa — odpowiadam z miną pokerzysty.

— Rozumiem. — Znów się uśmiecha, ale tym razem w ten sposób, jakby dokładnie takiej odpowiedzi się spodziewał. — No ale nie dzielimy skóry na niedźwiedziu. Skoro wiem, jakie zeznania by pan złożył, to teraz nie ma sensu pana przesłuchiwać. Teraz ma pan ważniejsze sprawy na głowie i nie będziemy panu rzucać kłód pod nogi. Jednak jakby co, to proszę dawać znać. Jeśli będzie nas więcej, to będziemy mogli więcej.

— Wyście się już wykazali. Teraz ja spróbuję.

— Cóż... na swoje usprawiedliwienie dodam tylko, że to naprawdę ciężkie śledztwo, a ten cały Kapo to cwańszy typ, niż sądziliśmy.

— Może jakbyście od razu rozesłali za nim list gończy, to nie byłby taki cwany?

Sitarz wzrusza ramionami.

— Może, ale pan wie, kto zdecydował inaczej?

— Domyślam się.

— Gdyby to ode mnie zależało, ogłosiłbym natychmiast, jeszcze w dniu, w którym zagięły dziewczynki, Child Alert i umieścił gębę Pokocia wszędzie, gdzie się da. No ale cóż... Pan chyba kiedyś też miał przełożonych, więc wie, jak jest.

— Wiem — mówię i stwierdzam, że czuję coraz większą sympatię do tego faceta.

Siedzi jeszcze przez chwilę, rozglądając się po lokalu.

— Dobrą tu mają pizzę? — pyta.

— Mieli. Najlepszą — odpowiadam. — Ale osoba, która ją robiła, właśnie czeka na pogrzeb w kostnicy.

Na ułamek sekundy wiotczą mięśnie jego twarzy, nawet lekko opada mu szczęka. Wiem, że to nie było miłe z mojej strony, ale on też powinien się bardziej pilnować.

— Przepraszam — mówi, a z jego twarzą już jest wszystko w porządku.

— Jakoś to wszystko do mnie jeszcze ciągle nie dociera.

— Mam podobnie.

— No nic, będę szedł — oznajmia, ale jego oczy zdradzają, że wciąż nie może się otrząsnąć po sytuacji sprzed chwili.

Klepie się w kolana otwartymi dłońmi, jakby dodając sobie animuszu, ale chyba nie na wiele się to zdaje. Wreszcie energicznie porusza głową tak, jakby dopiero wyszedł z wody i chciał strząsnąć z włosów kropelki.

— Wie pan, moja siostra ma córkę w wieku jednej z tych dziewczynek. Ma na imię Lenka. Jestem jej chrzestnym ojcem i wariuję trochę na jej punkcie. I wie pan, co jeszcze panu powiem? Od tamtego dnia, od dnia porwania, zastanawiam się, jak by to było, gdyby zniknęła właśnie ona. I te myśli są jeszcze gorsze od wtedy, gdy została znaleziona...

— Julka — podpowiadam.

— No właśnie, widzi pan, panie inspektorze. Ja się zajmuję tą sprawą od prawie dwóch tygodni, a mam problem z przypomnieniem sobie jej imienia. Nawet na największe nieszczęście, które nie dotyczy nas bezpośrednio, patrzymy jakby przez przydymioną pancerną szybę. Jakbyśmy spoglądali na pożar szalejący w domu, widzieli jego płonących żywcem mieszkańców, ale nie mogli im pomóc. W dodatku u nas temperatura jest całkiem przyjemna. — Patrzy mi w oczy, jakby chciał się upewnić, czy wiem, o czym mówi. — I dopiero teraz to, co pan powiedział, o tej kostnicy... Chyba dopiero teraz przynajmniej dotknąłem tej niewidzialnej bariery i poczułem na własnej skórze, jak bardzo gorąco jest w środku.

— Ma pan rację. Ale jeszcze gorsze jest to, że niektórzy patrzą w tę szybę z colą w jednej ręce i opakowaniem popcornu w drugiej. To przeważnie ci, którzy siedzą w tylnych rzędach. A są też i tacy, którzy chcą się w ciepłe tego pożaru ogrzać.

— Ma pan kogoś konkretnego na myśli? — Rzuca mi zaciekawione spojrzenie.

— Na przykład ten dziennikarz, który rozmawiał z panem na rynku, przed kamerą. Nie wydaje się panu, że traktuje ten temat jak trampolinę, dzięki której pofrunie wysoko, wysoko, może nawet do Warszawy?

Sitarz macha ręką.

— Szkoda gadać. Mam go po kokardki. Wyjątkowo męcząca i szkodliwa szuja. Dobra, idę już. — Ma zamiar się podnieść, ale rezygnuje i podnosi palec wskazujący prawej ręki, jakby sugerując, że sobie coś przypomniał. — Są już pierwsze wyniki laboratoryjne. Ślady biologiczne potwierdzają obecność Zbieńskiego i Pokocia zarówno w mieszkaniu Zbieńskiego, jak i tej zamordowanej kobiety.

Rzucam okiem na swoje notatki.

— Zuzanny Jaworskiej?

— Zgadza się. Widzę, że nie marnuje pan czasu. I tu bardzo ważna rzecz: w mieszkaniu Jaworskiej znaleźliśmy też włosy i ślady krwi, które

nie należą do nikogo z tej trójki. Kolor włosów jest taki sam jak zaginionych dziewczynek, krwi było na tyle dużo, by pobrać próbki do badań.

— A długość tych włosów?

— Jedne długie, drugie krótkie. Te włosy są w jednym pokoju. W innym, w tym, w którym są ślady krwi, są tylko krótkie. Krew była wycierana, ale sporo wniknęło pomiędzy klepki parkietu. Niedługo będziemy wiedzieć, czy włosy i krew należały do dziewczynek. Na razie przyjęliśmy jako wersję roboczą, że były przetrzymywane u Jaworskiej.

— Sprytnie. Dzięki temu mieszkanie Zbieńskiego było czyste, jak go dwa razy sprawdzaliście.

Tym razem z wrażenia aż kręci głową.

— Chciałbym spotkać tego pańskiego informatora. Naprawdę się spisał.

Myślę, że przy odrobinie szczęścia dziś na komendzie spotka go w dwóch osobach, ale tę uwagę zachowuję dla siebie, bo najpewniej zarówno Mamaj, jak i tym bardziej Andrzej na pewno by sobie tego nie życzyli.

Sitarz kontynuuje:

— Zakładamy też, że zamordowana dziewczynka, Julka...

— Wymawia imię tak, jakby sam przed sobą chciał się pochwalić, że już je pamięta. — ...została zabita właśnie w mieszkaniu pod czwórką, a następnie jej ciało zostało przewiezione autem Jaworskiej i ukryte na terenie przyległym do domu starców. A, właśnie! Dziękuję za to, że wtedy wspomniał mi pan o tym „niebieskim aniele”.

— Zawsze do usług — mówię.

— Liczę znów na pomoc, jakby co — mówi nadkomisarz i wstaje z miejsca. — Jak pan widzi, dzielę się z panem wszystkimi posiadanymi informacjami i liczę na wzajemność.

Uśmiecha się, podaje mi rękę przez stolik, a ja ściskam ją, nie wstając z miejsca.

— Aha, proszę nie rozrzucać pieniędzy, bo to przynosi pecha i biedę — mówiąc to, sięga mniej więcej do miejsca, gdzie kobieta z 1 Maja trzymała drżące dłonie, skrywając je przez moim wzrokiem za krawędzią torby. — Dwadzieścia złotych piechotą nie chodzi — dodaje i wkłada mi w rękę wygnieciony banknot.

* * *

Dopiero kilka minut po tym, gdy Sitarz opuścił pizzerię, otrząsam się z rozmyślań poświęconych pieniądзом, które zostawiła kobieta. To nieprawdopodobne, że zapomniała o nich w stanie, w jakim się znajdowała. Wykluczone też, by wysunęły jej się, a ona by tego nie zauważyła. Niezamożna alkoholiczka trzymająca w dłoni bilet na wycieczkę do paru godzin zapomnienia była po prostu tak poruszona moim bólem związanym z zaginięciem córek przyjaciela, że zrezygnowała z kupczenia posiadanymi informacjami i po prostu oddała mi je za darmo. Jestem pewien, że było to dla niej trudne i tym bardziej doceniam bezinteresowny, w każdym tego słowa znaczeniu, gest. Konstatuję w myślach, że skoro takich ludzi wciąż stać na drobne pozytywne zachowania, to nie wszystko jeszcze stracone. Zarówno jeśli chodzi o Ołę, jak i o niewielkie miasteczka, takie jak Ryków. Mam nadzieję, że ta dwudziestka przyniesie mi szczęście, więc przed wyjściem z Camillo pieczołowicie chowam ją głęboko w przedniej kieszeni spodni.

* * *

W bramie kamienicy spotykam Kamila i Wiktorię. Okazuje się, że jadą do galerii handlowej kupić dla Wiki jakieś stosowne ubranie na czwartkowy pogrzeb. Poprzednia tego typu uroczystość, podczas której żegnaliśmy jej babcię, odbyła się wprawdzie niecały rok temu, ale dziewczyna sporo od tamtego czasu urosła i ubrania stały się za małe.

— Może pojedę z wami? — proponuję.

— Nie, dzięki, panie Zdychu. Damy sobie radę — odpowiada mój przyjaciel.

— Marnie wyglądasz, szczerze mówiąc, nie wiem, czy powinieneś w takim stanie prowadzić — mówię do niego.

— Damy sobie radę — powtarza. — Szliśmy właśnie do ciebie, bo zdaje się, że nie masz kluczy od mieszkania...

— Racja. Do tej pory z Darią radziliśmy sobie, mając do dyspozycji jeden komplet, a tamten pewnie zabrała ze sobą.

— No właśnie. W takim razie trzymaj. — Wyjmuje z kieszeni pęk kluczy, do których przyczepiony jest dobrze znany mi breloczek z pluszową myszą. — Izie już przecież nie będą potrzebne.

Wiktor, do tej chwili całkiem nieobecna duchem, nagle, jakby gwałtownie wyprowadzona z transu, kieruje wzrok na ojca. Widać, że z trudem powstrzymuje się od płaczu. Mam wrażenie, że klucze, które przed momentem dostałem, parzą moje palce.

— Długo wam zejdzie? — pytam, żeby powiedzieć cokolwiek, byle tylko przerwać tę ciężką ciszę, jaka zapanowała po słowach Kamila.

On tylko wzrusza ramionami, obejmuje Wiki i przechodzą obok mnie. W oczach dziewczyny widzę łzy; chciałbym zrobić coś, żeby była mniej załamana, ale przecież nie ma takich słów, które choć trochę uśmierzyłyby jej ból. Może kiedyś uda się takie znaleźć, ale w tej chwili trzeba chyba tylko z nią być i domyślam się, że mój przyjaciel to rozumie.

Patrzę, jak idą w stronę ulicy aż do momentu, gdy znikają za załomem muru. Nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem, pozwalając Kamilowi w takim stanie prowadzić auto, teraz już też nie jestem pewien, czy podjąłem dobrą decyzję z tymi rozklejonymi po całym Rykowie ogłoszeniami. Jeśli Wiki i Kamil natkną się na któreś z nich, może to być dla nich spory szok. Chciałem z nimi o tym porozmawiać, ale nie zdążyłem. Trudno. Postanawiam zająć się kontynuowaniem tego, co rozpocząłem.

Najpierw zanoszę do mieszkania Szykowiaków torbę z laptopem i zapiskami, ponieważ uznaję, że na razie nie będzie mi potrzebna. Zabieram z niej tylko swoje klucze (dopinam do nich klucze z pęku Izy, pluszową mysz ukrywając w torbie, żeby mi ciągle jeszcze bardziej nie przypominała o tym całym koszmarze), komórkę oraz portfel z dokumentami i pieniędzmi. Przed wyjściem znajduję przy lodówce kilka czystych kartek i długopis. To też zabieram, a później jeszcze raz przebiegam wzrokiem notatki spisane podczas rozmowy z kobietą, mieszkającą w tej samej kamienicy, co Zbieński. Wyposażony zarówno w niezbędne gadzety, jak i zdobytą dotąd wiedzę wychodzę z domu, w którym mieszka śmierć.

* * *

W sklepie Tęcza jestem punktualnie o dziesiątej trzydzieści. Takie miejsca to już teraz rzadkość, ponieważ rynek zdominowały przede wszystkim wielkopowierzchniowe markety, w których można kupić wszystko. Jednak w miasteczkach wielkości Rykowa trafiają się jeszcze staromodne rodzinne sklepy, jak ten, gdzie można dostać sporo rzeczy potrzebnych przy remoncie domu, a jednocześnie skorzystać z fachowej porady dotyczącej obsługi. Zaglądałem tu czasami, jak potrzebowałem farb do odświeżenia ścian w mieszkaniu czy paneli, które później ułożyłem w sypialni. Kamil mówił, że ten punkt od momentu powstania, czyli od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, prowadzony jest przez matkę i syna. Może nie ma tu takiego wyboru jak w supermarkecie, ale za to jest

niepowtarzalna atmosfera i dzięki zakupom tutaj mogłem poczuć się jak pełnoprawny i niemal całkiem już zasymilowany rykowanin.

Kobietę, którą zastaję w sklepie, bardziej chyba należałoby określić mianem dziewczyny. Jest ładną szatynką z wielkimi brązowymi oczyma, może mieć jakieś dwadzieścia lat albo niewiele więcej.

Przedstawiam się i mówię, w jakiej sprawie przychodzę.

— Pan jest z policji? — pyta od razu.

Tym razem postanawiam zasłonić się drobnym kłamstwem, ponieważ nie mam czasu ani ochoty na kolejne tłumaczenia.

— Tak, jestem z policji. Zdaję sobie sprawę, że ogłoszenie, na którym nie ma kontaktu do tutejszej komendy, może wyglądać nieco podejrzanie, ale jestem też przyjacielem Kamila Szykowiaka i po prostu robię wszystko, żeby mu pomóc.

Na początku sądziłem, że poprosi mnie o wylegitymowanie się, ale kiedy wspominam o Kamilu, w jej dużych oczach widzę zrozumienie.

— Pierwszy raz tu panią widzę — dodaję jeszcze, mając nadzieję, że jako klient sklepu zostanę jeszcze przychylniej odebrany. — Do tej pory kupowałem albo u pani Zofii, albo u pana Waldka.

Dziewczyna uśmiecha się, co poczytuję za dobry znak.

— Jestem tu od lutego. Pod koniec zeszłego roku wyszłam za Grześka, czyli syna pana Waldka. Babcia mojego męża, o której pan wspomniał, postanowiła przejść na emeryturę i dlatego teraz my jakby zajęliśmy jej miejsce.

— Rozumiem. Widziała pani tego mężczyznę z ogłoszenia? — przechodzę do rzeczy.

— Tak, był tutaj w sklepie.

— Jest pani pewna, że to on?

— Absolutnie. Trochę się wtedy wystraszyłam, bo było dosyć późno i miałam już zamykać, a w sklepie poza mną nie było nikogo. On był... jakiś taki dziwny. Od samego jego spojrzenia miałam gęsią skórkę na ramionach.

Doskonale ją rozumiem.

— A pamięta pani może mniej więcej, kiedy to było?

— Pamiętam bardzo dobrze, dwunastego marca. To był czwartek, imieniny Grzegorza. Już wcześniej zaprosiłam męża na wieczór do Weselnej na taką bardziej uroczystą kolację. Imieniny to jedna okazja, ale

też planowałam mu wtedy powiedzieć, że jestem w ciąży. To miała być niespodzianka i prezent ode mnie.

— W takim razie gratuluję serdecznie.

— Bardzo dziękuję. W każdym razie wtedy przygotowywałam się do zamknięcia i myślałam przez cały dzień o wieczorze. Ten mężczyzna sprawił, że na chwilę zepsuł mi się nastrój.

— Wcale się nie dziwię. Pamięta pani może coś charakterystycznego, coś, co mogłoby pomóc w śledztwie?

— Pamiętam, że był ubrany w kurtkę koloru khaki. Na początku sądziłam nawet przez chwilę, że to żołnierz, ale nie, to była kurtka tylko trochę podobna do wojskowej. Dzisiaj, gdy zobaczyłam to ogłoszenie, to aż mnie zmroziło. Myśli pan, że mógł mi coś wtedy zrobić?

Zastanawiam się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Trudno powiedzieć, pani...

— Sylwio. Mam na imię Sylwia.

— ...pani Sylwio.

— A teraz? Czy uważa pan, że z jego strony nic nam nie grozi?

— Nie mogę tego jednoznacznie określić. Osobiście uważam, że po upublicznieniu jego wizerunku raczej nie będzie starał się rzucać w oczy. Ale, sama pani rozumie, głowy bym sobie za to uciąć nie dał.

— Nie wiadomo, gdzie on może teraz przebywać?

— Kompletnie. Może być wciąż w okolicy, w co raczej wątpię, ponieważ razem z nim zniknął samochód, którego szukamy. Podejrzewam, że Pokoć raczej zaszył się w jakiejś innej części kraju, a może nawet przebywa już za granicą. Zastrzegam jednak raz jeszcze, że to tylko moja opinia.

— Tak, wiem, ale i tak mnie ona trochę uspokoiła.

— Tylko tę kurtkę pani zapamiętała?

— Wiem też, co kupił. Zaraz po telefonie do pana sprawdziłam jeszcze dla pewności na wydruku z kasy fiskalnej. To była ostatnia transakcja tamtego dnia, więc nie musiałam długo szukać.

— Co to było?

Sięga do szuflady i wyjmuje z niej jedną rolkę, na której zielonym spinaczem zaznaczony jest dowód sprzedaży.

— O, proszę zobaczyć. Ten zakup na sto dziesięć złotych i dwadzieścia groszy.

Rzucam okiem na drobne literki, oznaczające coś nic mi niemówiącymi skrótami, po czym proszę Sylwię o przełożenie tych hieroglifów z polskiego na nasze. Okazuje się, że Kapo nabył w sklepie Tęcza przezroczystą plastikową folię osłonową za dziewięćdziesiąt dziewięć złotych i dwie rolki taśmy malarskiej po pięć sześćdziesiąt każda.

— Ma pani teraz na stanie takie same produkty? — pytam.
— Chciałbym zobaczyć, jak dokładnie wyglądało to, co kupił ten mężczyzna.

— Taśma malarska jest na pewno, ale jeśli chodzi o tę folię, to...

Dziewczyna przechodzi na drugą stronę pomieszczenia i przez moment przygląda się stojącym tam zwiniętym w wałki różnokolorowym foliom ochronnym.

— Tak, jest jeszcze jedna taka sama — mówi.

Podchodzę bliżej. Z opisu na etykiecie wynika, że jest to folia o grubości jednej dziesiątej milimetra, szeroka na dwa metry, a długa na pięćdziesiąt. Podnoszę ją na chwilę i szacuję, że wałek waży około dziesięciu kilogramów. Zaraz potem Sylwia przynosi mi pięćdziesięciometrową rolkę taśmy malarskiej, szeroką na czterdzieści osiem milimetrów. Zakupione towary sugerują to, że klient planował malowanie, ale ja podejrzewam, że nabył je, mając na myśli zupełnie inne przeznaczenie.

Dziękuję nowej współwłaścicielce Tęczy, mówię, że bardzo mi pomogła, i życzę zdrowia zarówno jej, jak i dziecku, po czym wychodzę na ulicę. Natychmiast w komórce wybieram numer do Sitarza, a gdy odbiera, bez zbędnych ceregieli pytam, czy w którymś z mieszkań znaleziono plastikową folię luzem albo nawiniętą jeszcze fabrycznie na wałek.

— Nic mi o tym nie wiadomo, panie inspektorze — odpowiada. — Ale ja mogę nie mieć tak szczegółowych informacji, bo mam tylko ogólne dane od chłopaków. Może mi pan powiedzieć coś więcej o tej folii? Zaraz zadzwonię i spróbuję się dowiedzieć wszystkiego u źródła.

Przekazuję mu dokładny opis i na koniec, by udowodnić moją wolę współpracy, mówię, że Kapo kupił folię w czwartek dwunastego marca. Informację o niewielkich rolkach taśmy malarskiej sobie daruję, zakładając, że mogły się policjantom podczas oględzin nawet nie rzucić w oczy.

— Na jaką cholereę mu to mogło być potrzebne? — pyta na koniec Sitarz.

— Nie jestem do końca pewien, ale takie coś idealnie nadawałoby się do zawinięcia zwłok w taki sposób, aby przez dłuższy czas zamaskować zapach rozkładu.

— No dobrze, ale przecież ani Jaworska, ani Julka Szykowiak...

— Tak, wiem — wchodzę mu w słowo. — I właśnie fakt, że ich zwłok nie próbowano nawet jakoś szczególnie ukrywać, niepokoi mnie najbardziej. Trzeba mieć tylko nadzieję, że Kapo, wychodząc wtedy z domu, popełnił błąd, który uda nam się jakoś wykorzystać.

Kończymy rozmowę i ruszam w kierunku auta.

Gdy wkładam kluczyk do stacyjki, dzwoni moja komórka. Sitarz potwierdza, że policjanci jak dotąd nie trafili na ślady folii, którą dwunastego marca Pokoć zakupił w sklepie Tęcza.

* * *

Na jedenastą jestem umówiony z człowiekiem mieszkającym przy drodze wylotowej z miasta i powinienem tam od razu jechać, niemniej jednak intuicja podpowiada mi, że najpierw należałoby odwiedzić swoje mieszkanie. Mało brakowało, a wyłożyłbym się na rozmowie z Sylwią, więc muszę zrobić wszystko, by w przyszłości nie dopuścić do podobnej sytuacji.

Przez całą drogę roztrząsam sensowność przygotowania i rozwieszenia jeszcze jednego „listu gończego”. Nie pomyślałem o sprawie nagrody za pomoc, w pośpiechu nic nie wspomniałem o poszukiwanym samochodzie, a teraz jeszcze dowiedziałem się, że Kapo paradował przez Ryków z dużą i na pewno dość mocno rzucają się w oczy rolką plastikowej folii.

Gdy parkuję przed swoim blokiem, uznaję, że na razie jednak dam sobie spokój z kolejnym ogłoszeniem. Ewentualna nagroda mogłaby wprowadzić fałszywe tropy, o poszukiwanym samochodzie już informowano wcześniej i akurat w Rykowie trudno byłoby się spodziewać go znaleźć. Z kolei informacja o niesionym przez Pokocia wółku też niewiele by wniosła do sprawy. Wydaje mi się oczywiste, że folia została wywieziona z miasta razem z Olą. Oczyma wyobraźni widzę ciemnoniebieską astrę kombi, należąca do nieżyjącej już Zuzanny Jaworskiej, wraz z pasażerami i przedmiotami, których wciąż nie znaleziono. Plecaki dziewczynek, sekator Pokocia, jego bagaże, folia, dwie małe rolki taśmy malarskiej. Wyobrażam sobie, że trójka pasażerów — Kapo, Zbieński i mała córeczka mojego przyjaciela — jedzie, siedząc na swoich fotelach, a to, co zostało kupione w Tęczy, wciąż jeszcze nie zostało odpakowane.

Taki właśnie obraz podpowiada mi wyobraźnia.

Boję się jednak, że jest on jedynie projekcją moich mało realistycznych, nasączonych chciejstwem marzeń.

* * *

Były dwa podstawowe powody, przez które wylądowałem w szambie, jakim jest dla większości policjantów Biuro Spraw Wewnętrznych.

Po pierwsze, nie lubiłem owijać rzeczy w bawełnę na odprawach u Starego. Miałem przez to trochę nieprzyjemności, czasem mijał mnie awans, czasem na konto wpływała premia po kuracji odchudzającej, niemniej jednak lepsze było to niż pokorne tulenie po sobie uszu i bezkrytyczne wdrażanie w życie centralnie wydumanych farmazonów. Moje stawianie się niespecjalnie pomagało, i tak trzeba było pchać syzyfowy kamień pod górkę wciąż i wciąż od nowa, ale przynajmniej dawało poczucie swego rodzaju higieny psychicznej. Dochodziły do mnie słuchy, że Stary chętnie ukręciłby na mnie jakiś zgrabny służbowy pejczyk, ale samo moje pyskowanie to było trochę za mało; on zresztą chyba podskórnie czuł, że rankingi komend wojewódzkich, uzależnione od liczby zastosowanych sankcji, są czystą aberracją, a, przykładowo, zakładanie z góry minimalnego dziennego limitu wystawionych przez drogówkę mandatów zakrawa wręcz na szczucie obywateli umundurowanymi psami.

A po drugie...?

Problem upierdliwego Mokrego rozwiązał się właściwie sam, po jednym z „firmowych” nieodmiennie suto zakrapianych spotkań w naszej ulubionej, prawie że służbowej knajpie, położonej niedaleko komendy wojewódzkiej. Boksy z lejącymi się strumieniami gorzałki zakończyliśmy grubo po północy z piątku na sobotę, weekend minął mi na leczeniu kaca, a brak etui zawierającego moją legitymację i odznakę stwierdziłem dopiero w poniedziałek rano, gdy zbierałem się do roboty.

Przez tydzień nie przyznawałem się do zagubienia cenniejszych od złota artefaktów w nadziei, że albo samemu uda mi się je odnaleźć, albo jakiś uczciwy znalazca sam się do mnie zgłosi. Niestety, poszukiwania spełzły na niczym i bynajmniej nie pomagał w nich fakt, że kompletnie nie pamiętałem, w jaki sposób udało mi się przebyć drogę pomiędzy knajpą a własnym łóżkiem. Wszystko wskazywało też na to, iż drogi uczciwych znalazców feralnej nocy nie skrzyżowały się z moimi. Koniec końców, trzeba było wreszcie przyznać się do wpadki i zapłacić za nią przewidzianą regulaminem cenę. Postępowanie dyscyplinarne, nagana oraz brak premii

okazały się w oczach Starego zbyt małą karą i w ten sposób przywitały mnie gościnne progi BSW. Komendant nawet jakoś szczególnie nie krył satysfakcji z tego, że teraz będę miał za zadanie tropić przewinienia, których sensowność dotąd tak ochoczo podważałem. Nigdy nie zapomnę jego wyrazu twarzy, gdy wręczył mi papiery i, klepiąc po ramieniu, rzekł: „Powodzenia, drogi Zdzisławie. Mam nadzieję, że nie będę się musiał tłumaczyć u Głównego z twoich słabych wyników”.

Jakieś trzy miesiące później pojawił się u mnie w domu zasuszony i dość mocno sterany życiem starszy taryfiarz, który — jak sam twierdził — „jakiś czas temu” wiózł mnie nocą do domu. Ponoć taksówkę zatrzymałem z chodnika, a nie, jak to miałem w zwyczaju, wezwałem ją telefonicznie. Najprawdopodobniej etui wysunęło mi się z kieszeni, gdy wyjmowałem portfel po zrealizowanym kursie. Zapewne podczas niezdarnego wysiadania wepchnąłem je butem pod przednie siedzenie pasażera, a właściciel ledwie trzymającego się kupy fiata 125p nie należał do osób, które z desperacją godną lepszej sprawy dbają o czystość swojego miejsca pracy.

Wujek Alzheimer jeszcze do taksówkarza nie zapukał, więc szofer doskonale pamiętał miejsce, gdzie wytoczyłem się na zewnątrz, i budynek, do którego później pohalsowałem. Pierwszy zaczepiony sąsiad na klatce wskazał mu właściwe drzwi i tak oto ja odzyskałem cenne etui, a staruszek zarobił nadprogramową stówkę.

Sankcje za niefrasobliwe obchodzenie się ze służbowymi atrybutami już mnie spotkały, nie cofnąłby ich zwrot „szmaty” i „blachy”, więc po wizycie taksówkarza uznałem, że je sobie zachowam na wypadek, gdybym kiedyś musiał wcielić się w rolę stojącego na straży prawa funkcjonariusza policji.

* * *

— Jeżeli pan nie jest z policji, to nic nie powiem. Szkoda mi tych dziewczynek, ale muszę też przecież dbać o swoje bezpieczeństwo. Ten typ wygląda na naprawdę bardzo niebezpiecznego kolesia.

Człowieczek, który mi otworzył, ma jakieś metr sześćdziesiąt wzrostu i chytre, nerwowe oczka, przypominające mi nieco dzielnicowego ze szczurzą twarzą. Ma na sobie biały podkoszulek i czerwone bermudy. Gdy zbliżałem się do jego parterowego domu, zauważyłem dym wydobywający się z komina. Widocznie wysokie temperatury panujące na zewnątrz nie do końca przekonują mojego rozmówcę, że koniec marca faktycznie może oznaczać nadejście wiosny.

— Proszę, tu jest moja legitymacja i odznaka — mówię, wyjmując wspomniane przedmioty z kieszeni i podstawiając je ludzikowi pod nos.

Prawie nie patrzy na nie, ale natychmiast się uspokaja.

— Trochę mnie dziwił ten numer komórkowy i brak numeru stacjonarnego na komendę... — zaczyna się usprawiedliwiać.

— Oczywiście w sprawę zaangażowana jest miejscowa policja, ja natomiast jestem z wojewódzkiej i zostałem tu oddelegowany w celu prowadzenia równoległego i w miarę możliwości jak najbardziej dyskretnego śledztwa. — Widok policyjnej odznaki tak go uspokoił, że jest w stanie łyknąć każdą zmyśloną przeze mnie bajeczkę. — Jesteśmy w stałym kontakcie, ale, pan rozumie, niektóre czynności należy wykonywać z dużą ostrożnością.

— Właśnie, właśnie! — podchwytuje ochoczo. — Gdyby to był on, to znaczy ten z ogłoszenia, to będę bezpieczny? Nie dowie się, że to ja go wydałem?

— Może pan być o to najzupełniej spokojny. Potraktuję pańskie zgłoszenie jako wiadomość od anonimowego informatora, a pana danych nie pozna nikt z miejscowej policji.

— To dobrze, to dobrze. Bogu dzięki. Widziałem tego typu u nas na osiedlu dwa razy. Raz w sklepiku, tu na rogu. — Wskazuje niewielką drewnianą budkę upstrzoną kolorowymi reklamami. — I drugi raz dwie przecznice i kawałek dalej, akurat gdy wchodził do jednego z domów.

— Na jakiej ulicy to było? Pamięta pan może numer budynku?

— Na Słonecznej. Numeru, niestety, nie pamiętam, ale to taka sporawa willa pomalowana na jasnopomarańczowy kolor, kryta chyba brązową dachówką. Z pół miliona musiała kosztować, jak nic.

— Gdzie mniej więcej jest zlokalizowana na tej Słonecznej?

— Jak pan minie sklep, to będzie druga ulica w prawo. Dom jest trzeci albo czwarty po lewej, nie pamiętam dokładnie, ale znajdzie pan bez kłopotu. Taka porządna chawira jest tylko jedna. Poza tym to chyba jedyny pomarańczowy dom przy Słonecznej.

— A wie pan może, kto mieszka w tym domu? To niewielkie miasto, właściwie wszyscy się tu znają...

— Ja tu mieszkam od niedawna. Dwa miesiące, panie władzo.

— Potrafi pan może określić, kiedy pan widział tego mężczyznę?

— Jakoś tak półtora tygodnia temu pierwszy raz, w sklepiku. I przedwczoraj drugi. Niedawno, dlatego jestem pewien, że to on.

— Dobrze, bardzo panu dziękuję. Raz jeszcze zapewniam, że pozostanie pan anonimowy.

Żegnaj się z nim, nawet nie pytając o imię i nazwisko.

Kiedy znów zasiadam za kierownicą swojego auta, zastanawiam się, czy ten trop jest chociażby odrobinę wiarygodny. Niby się mówi, że najciemniej jest pod latarnią, ale czy Kapo byłby aż tak bezczelny i pewny siebie, że ukryłby się w miejscu, w którym dokonał przynajmniej dwóch zabójstw? Nie wydaje mi się to prawdopodobne, ale uznaję ostatecznie, że nie wolno mi zlekceważyć żadnej informacji — wszystko jedno, od kogo ona pochodzi.

Po raz drugi tego dnia dzwonię do Sitarza. Tym razem o nic nie pytam, tylko po prostu przekazuję mu świeżo zdobyte informacje. Nadkomisarz obiecuje natychmiast pchnąć kogoś na Słoneczną w celu zweryfikowania tego potencjalnego śladu. Mówi też, że wie, o który dom chodzi. Okazuje się, że to posiadłość znanego rykowskiego dentysty — właściciela prywatnej przychodni stomatologicznej zlokalizowanej nieopodal miejscowego szpitala.

Po zakończeniu rozmowy udaję się na Słoneczną, mijam dom opisany przez odzianego w biało-czerwone barwy człowieczka i zatrzymuję auto jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Dziesięć minut później w lusterku widzę srebrną vectrę i podejrzewam, że to jest to samo policyjne auto, które pojawiło się w parku przy domu starców po znalezieniu ciała Julki. Spodziewam się więc, że wysiądzie z niego Sitarz, jednak jestem w błędzie, ponieważ z opla wyłania się dwóch mężczyzn po cywilnemu, których widzę pierwszy raz. Dopiero teraz przyglądam się rejestracji i wiem, że to jednak nie jest to samo auto. Tamta vectra miała policyjną rejestrację. Jestem pewien, że to dwaj operacyjni. Być może są na świecie osoby, które miałyby trudności z odróżnieniem nieumundurowanych policjantów na służbie od zwykłych cywili, ale ja do takich osób z pewnością nie należę.

Rozdzielają się i nonszalanckim, trochę jakby marynarskim krokiem ruszają, by rozeznąć sytuację pod kątem ewentualnej ucieczki poszukiwanego. Prawdopodobnie jeden z nich zabezpieczy tylne wyjście z budynku i okna którejs z bocznych ścian, ustawiając się tuż za niewidoczną od drogi pierzeją kutego ręcznie metalowego ogrodzenia. Drugi zapewne będzie miał na oku drzwi od garażu wraz z pozostałymi dwiema ścianami i będzie je obserwował zza szpaleru otaczających posesję wysokich na jakieś trzy metry żywotników.

Jest dokładnie, jak przewidywałem. Jeden z policjantów niknie mi z oczu, a drugi zostaje na chodniku, niedaleko najbliższej mnie położonego narożnika podwórza. Stoi niby nieobecny, wygląda jak człowiek, który na kogoś czeka. Od czasu do czasu tylko dyskretnie rzuca okiem w stronę pomarańczowego domu, a także wykonuje dziwny, niemal niezauważalny ruch lewym ramieniem. Zupełnie tak, jakby go coś pod nim lekko uwierało.

Mija kilka minut i w lusterku widzę kolejne auto. Tym razem jest to policyjna srebrnogrnatowa kia cee'd. Zatrzymuje się naprzeciw furtki i wysiada z niej kolejnych dwóch policjantów, tym razem umundurowanych. Jednego z nich pamiętam z mieszkania Zbieńskiego; zdaje się, że widziałem go też w parku w Rykowie Górnym. Znikają za ogrodzeniem.

Czas wlecze mi się niemiłosiernie. Przysięgłbym, że od przyjazdu drugiego auta minął kwadrans, ale gdy ci sami dwaj funkcjonariusze ponownie przekraczają furtkę, stwierdzam, że minęło ledwie pięć minut.

Nie miałem wielkich nadziei, ale serce i tak wali mi jak młotem. Sam jestem zaskoczony swoim rozczarowaniem. Policyjna kia odjeżdża, zaraz potem w moim lusterku widzę dwóch operacyjnych, którzy wsiadają do vectry i mijają mnie powoli, wybierając zapewne dłuższą drogę powrotną, by nikt nie domyślił się, że mieli jakikolwiek związek z wizytą mundurowych. Znikają jak duchy i nikt poza mną na Słonecznej nie ma bladego pojęcia o ich wizycie.

Ruszam ich śladem, a później kieruję się w stronę Parkowej, przy której mieści się pizzeria Camillo. Mniej więcej w połowie drogi odbieram telefon od Sitarza i popełniam wykroczenie drogowe, rozmawiając podczas jazdy. Okazuje się, że „biało-czerwony” widział narzeczonego córki właściciela domu, który od pewnego czasu bywa w Rykowie u swoich przyszłych teściów.

— Akurat był w domu — kończy relację nadkomisarz. — Chłopaki mówią, że faktycznie podobieństwo jest uderzające, tyle że ten młody kochaś mógłby być synem Pokocia. Wylegitymowali go i pozamiatane. Papiery w porządku, szukamy dalej.

Gdy wlokę się po schodach prowadzących do mieszkania Kamila i otwieram drzwi kluczem, który należał do Izy, czuję się naprawdę bardzo zmęczony. Wchodzę do salonu i siadam na kanapie, na której od soboty (nie licząc ostatniej nocy) śpimy z Darią. Opieram się wygodnie z zamiarem zastanowienia się nad swoimi kolejnymi działaniami

i uświadamiam sobie, że chyba specjalnie chcę uciekać z tego domu, w którym jestem. Boję się być z Kamilem i Wiktoria. Boję się nawet być z Darką, żeby nie zobaczyła we mnie tchórza, który nie potrafi sprostać nieszczęściu w zaprzyjaźnionej rodzinie, zamiast tego tak naprawdę markując czynności, niby to mające pomóc w odnalezieniu Oli.

„Przecież ona nie żyje — myślę. — Jonatan Piórkowski nie ma wątpliwości, jego opinia potwierdziła się w przypadku Julki, więc...”. Nie kończę już tej myśli. Ciężki i duszny sen zabiera mnie na krótką krwawą wycieczkę, podczas której skąpane w purpurze dziecięce palce lecą powoli z nieba i tańczą w podmuchach wiatru jak wielkie płyty czerwonego śniegu.

* * *

Daria wraca tak, jak zapowiadała, czyli mniej więcej o pierwszej. Pyta mnie o ogłoszenia i już mam zamiar jej wszystko wytłumaczyć, gdy słyszymy kroki na schodach.

— Skoro właśnie wracają, to może już poczekamy na Kamila? — proponuję. — Pewnie będzie chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tym całym Pokociu...

— Dobrze, kochanie. Ale może lepiej nie mów nic przy Wiktorii. Na przerwie miałam chwilę i wygooglowałam sobie w telefonie to i owo.

— A myślisz, że ona sobie nie wygoogluje?

Darka patrzy na mnie i potem przytakuje skinieniem głowy.

— W sumie racja. Nie pomyślałam o tym.

Ale ani Kamil, ani Wiki nie mają ochoty z nami rozmawiać. Zanoszą kupione rzeczy do pokoju dziewczyny i zamykają za sobą drzwi, wyraźnie dając nam do zrozumienia, że chcą być teraz tylko we dwójkę.

Rozmawiamy z Darią półgłosem, starając się nie mącić grobowej ciszy, która panuje w mieszkaniu. Właściwie mówię głównie ja, relacjonując wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin, a moja narzeczona tylko od czasu do czasu o coś dopytuje. Znalezione przez nią w Internecie informacje na temat Kapo są dość pobieżne; na przykład nie dotarła do tego, że Pokoć wyszedł z więzienia dzięki felernej amnestii. Daria jest wyraźnie poruszona, ale jej wzburzenie osiąga apogeum, gdy dowiaduje się, o tym, że morderca dziewczynek wymknął się nadzorowi organów państwa w wyniku nieudolnej pracy sądu. Patrzy na mnie wtedy, marszczy brwi, a jej oczy zmieniają się w wąskie szparki. To znak, że jest naprawdę wściekła. Jestem pewien, że zaraz polecą przekleństwa.

— Popatrz, Zdziszek, jakie to jest, do jasnej cholery, niesprawiedliwe. Facet tyra przez całe życie, płaci podatki, utrzymuje tych darmożjadów w sądach, tych całych zafajdanych biegłych, a oni nawet nie potrafią dopilnować najprostszych, kurwa mać, ale to naprawdę najprostszych rzeczy! — Z oczu Darii zaczynają się sypać iskry. — Nie ma na nich bata? Zobacz, przecież gdyby nie to, że jeden z drugim pajac dał dupy i nie dopilnował prostej w zasadzie rzeczy, to może siedzielibyśmy teraz razem z Izą i dziewczynkami, zachodząc w głowę, dlaczego ten samolot się rozbił w Alpach.

— W sumie ja też kiedyś byłem częścią systemu i też dostawałem pobory ze skarbu państwa. Teraz mam niby tę wcześniejszą emeryturę, ale przecież składki, które płaciła moja firma, to było takie trochę przesypywanie złotówek z jednej kieszeni spodni do drugiej... — To, co mówię, wygląda tak, jakbym się tłumaczył za system.

— Ale przez twoje niedopatrzenie chyba nikt nie zginął?

— Nie — odpowiadam natychmiast i od razu staje mi przed oczyma twarz Łukasza Pieniążka.

Nie mówiłem Darii dotąd o nim, nie wykluczałem, że jeszcze kiedyś to zrobię. Wiem, że nie chcę jej okłamywać, ale teraz czuję się źle, bo w pewien sposób właśnie to zrobiłem, choć, logicznie rzecz biorąc, powiedziałem prawdę. Tyle że ta prawda wcale nie jest taka, jaką bym chciał się podzielić z moją ukochaną, bo w istocie powinienem odpowiedzieć: „Nie, ale przez nadgorliwość, to i owszem”.

— To dobrze — mówi. — Ja też właściwie jako nauczycielka dostaję wypłatę od instytucji publicznych. Ale gdybym tak dała ciała w jakiejś sprawie, to chyba nie potrafiłabym sobie darować i bym zrezygnowała. Jak się do czegoś nie nadaję, to powinnam mieć odwagę się do tego przyznać, prawda?

Tutaj trochę kamień spada mi z serca. Wszak poniekąd bezpośrednią przyczyną mojego odejścia z policji była samobójcza śmierć mojego młodszego kolegi, a więc chyba zrobiłem to, czego oczekiwałyby ode mnie w takiej sytuacji Darka. Nie chcę jednak dalej drążyć tego tematu, ponieważ wydaje mi się on wyjątkowo grząski.

— Mówiłaś coś o tym, że rozbił się jakiś samolot. Nic o tym nie wiem. To jakaś awionetka, szybowiec...?

— Kursowy airbus A trzysta dwadzieścia ze stu pięćdziesięcioma osobami na pokładzie. — Przez moment patrzy na mnie zdumiona,

a później w jej oczach pojawia się zrozumienie. — A, no tak... przecież ty od dziesiątej jesteś odcięty od wieści ze świata, a pierwsze informacje o tym były chyba gdzieś około jedenastej. To samolot jakiejś niemieckiej linii, o której do tej pory nie słyszałam...

Podnoszę się i sięgam po pilot, by włączyć telewizor.

— Najprawdopodobniej wszyscy zginęli — kontynuuje Daria. — Może więc nie ma sensu włączać teraz wiadomości...? Nie wiem, jak to może odebrać Kamil... będzie przecież słyszał z pokoju Wiki, że coś oglądamy.

Na ekranie pojawia się znana mi dobrze prezenterka ze zbolełym na zamówienie obliczem, która tym razem martwi się pasażerami, którzy podróżowali z Barcelony do Düsseldorfu lotem numer 9525 obsługiwanym przez linie Germanwings.

— Słonko, nie chodzi mi wcale o tę katastrofę — mówię, nerwowo przełączając kanały informacyjne i wszędzie znajdując komunikaty o rozbitym airbusie. — Sądziłem, że od rana media nie będą mówić o niczym innym, tylko o Pokociu, niedopełnieniu swoich obowiązków przez posłów w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym oraz przez sąd całkiem niedawno, a wygląda na to, że jednak Kapo zostanie przykryty przez bardziej nośne i spektakularne wiadomości.

A potem zastanawiam się jeszcze, ile takich rozbitych w perzynę samolotów razem z lecącymi w nich setkami pasażerów oddałby Kamil za to, żeby cofnąć czas i zapobiec temu, co stało się w ostatnich dniach. Nie znam odpowiedzi i chyba nie chcę znać. Śmierć jakichś anonimowych ludzi to przeważnie tylko statystyka, nad którą bez większego trudu przechodzi się do porządku dziennego. Odejście kogoś bliskiego czasem obraca w ruinę cały nasz świat.

* * *

Moje obawy odnośnie do zapomnienia w mediach o Pokociu na szczęście okazują się nie do końca uzasadnione. Wprawdzie głównym tematem dnia jest katastrofa samolotu Germanwings, ale nie dość, że od czasu do czasu w telewizji widać wizerunek Kapo, to jeszcze całkiem niezłe rozdmuchana jest sprawa zaniedbań sądu i nieruchawego biegłego. Sporo jest też o działaniach policji, która po pierwsze nie upilnowała mordercy, a po drugie prowadziła poszukiwania w tajemnicy, co — jak sądzą niektórzy komentatorzy — mogło ułatwić mu ponowny atak. Mieczysław Zbieński jest chwilowo zepchnięty na jeszcze dalszy plan

i obecnie podejrzewa się go co najwyżej o współudział w zbrodni zaplanowanej i przeprowadzonej przez Kapo.

Przez całe popołudnie Kamil i Wiktoria prawie nie wychodzą z pokoju. Tyle, co do toalety, a przed trzecią, przywołani przez Darię, która przygotowała obiad, pojawiają się w salonie. Sam nie wiem, czy jesteśmy im tutaj potrzebni. Podczas obiadu Kamil zjada tylko talerz zupy, Wiktoria trochę ziemniaków i surówki. Celowo pozostawiam włączony telewizor, wyciszając tylko fonię; chcę dowiedzieć się czegoś o informacjach posiadanych przez mojego przyjaciela. Oboje od czasu do czasu rzucają okiem na ekran, ale żadne nie komentuje ani słowem, pomimo że wśród emitowanych obrazów przewija się także twarz Oli. Domyślam się, że to działanie środków uspokajających, ale niewykluczone, że takie zachowanie spowodowane jest ciągle trwającą traumą, którą mi trudno jest sobie wyobrazić.

Po posiłku Wiki wychodzi z salonu jako pierwsza, a Kamil zostaje na moment i mówi do mnie:

— Nawet byśmy nie zauważyli tych plakatów na mieście. Dopiero znajomy w galerii mi o nich powiedział. Wiem, że to twoja robota, i dziękuję ci za nią, chociaż myśl o tym wszystkim, że to ten bandyta i w ogóle... — Wykonuje nieokreślony ruch ręką. — Szkoda, że go zwolnili, i szkoda, że była ta amnestia. Chcielibyśmy, żeby oddali nam naszą rodzinę, żeby mogli zrobić to z taką łatwością, z jaką potrafili ją zabrać...

— A my ze Zdziszkiem? Możemy coś dla was zrobić? — pyta Daria.

— I tak robicie dużo. To dla nas ważne, że chcecie z nami być. Mamy z Wiki nadzieję, że się nie gniewacie, że tak się odgradzamy.

— Jeśli tylko wam to jakoś może pomóc... — zaczynam, ale urywam w pół zdania, widząc smutny i zrezygnowany uśmiech Kamila.

Gdy zostajemy w salonie znów tylko we dwoje z Darką, ona pyta, czy zamierzam jeszcze coś dzisiaj zrobić w sprawie Oli.

— Myślisz, że zrobiłem jeszcze zbyt mało? — warczę, zupełnie wbrew własnej woli.

Daria najpierw odpowiada mi pełnym zaskoczenia uniesieniem brwi, a później mówi spokojnie:

— Nie, kochany, zrobiłeś bardzo dużo, ale... ale sądziłam, że może zechcesz porozmawiać jeszcze z kimś z tej kamienicy. Przecież ja tu bym

mogła sama z nimi zostać, no ale skoro jesteś zmęczony, to jasne, że powinieneś odpocząć.

Zastanawiam, się, czy w tonie jej głosu nie ma zawołowanej złośliwości, ale nie; mówi łagodnie i czule, z troską i zupełnie szczerze. Natomiast ja chyba zaczynam trochę świrować. Wiem, że gdy chodziła z Kamilem do jednej klasy w ogólniaku, to się w nim podkochiwała, a dodatkowo pamiętam, że ostatnią noc spędziła u niego w domu. To nie są okoliczności odpowiednie do zdrady, resztki zdrowego rozsądku, które mi pozostały, tego typu rozwiązanie całkowicie odrzucają, ale coś tam się we mnie gotuje, rośnie we mnie jakiś demon, który podpowiada słowa: „Mogłabyś chociaż poczekać, aż pochowają Izę!” i chce mi się wyć z tego powodu, bo tak naprawdę wcale nie chcę tego powiedzieć i wiem, że Darka kocha mnie tak, jak nikogo innego dotąd.

— Ola najprawdopodobniej już nie żyje, słoneczko — mówię najczulej, jak tylko potrafię i delikatnie biorę w dłonie palce jej prawej ręki; na jednym z nich, serdecznym, błyszczący zaręczynowy pierścionek z brylantem, trochę podobny do tego, który wieki temu kupiłem z myślą o Beacie. — I te poszukiwania są chyba już tylko po to, żeby znaleźć tego skurwysyna wraz z pomagierem, oraz po to, żeby uspokoić własne sumienie.

— Myślisz, że ona nie żyje, bo tak powiedział Kamilowi i Izie ten jasnowidz? — słyszę.

Trochę czyta w moich myślach, ale w życiu nie przyznam się jej do wiary w zdolności Piórkowskiego.

— Myślę, że ona nie żyje, bo w poprzednich przypadkach porwane dziewczynki Kapo przetrzymywał bardzo krótko. — Chcę, aby mój głos brzmiał tak, jakbym mówił coś zupełnie oczywistego. — A nawet jeśli by z jakichś powodów ta cała historia nie skończyła się tak, jak zazwyczaj dotąd, to przecież nie ma co liczyć, że mamy do czynienia z imbecylem, który wciąż się tu kręci i ja go mogę ot tak chwycić za rękę. On na pewno jest gdzieś daleko. Dysponował autem, gdy jeszcze nie było poszukiwane, pewnie wkrótce zostanie odnalezione gdzieś w leśnych ostępach na drugim końcu Polski.

— Możesz mnie przytulić? — pyta Daria.

Słyszę, jak jej głos bardzo drży.

— Pewnie — odpowiadam, a potem przysuwam się bliżej ze swoim krzesłem i obejmuję ją mocno. — Jutro jeszcze spróbuję podziałać, ale dziś

faktycznie jestem już chyba trochę zmęczony. Poza tym chciałbym, żebyśmy spędzili razem trochę czasu, bo chyba nam obojgu jest to teraz bardzo potrzebne.

Środa

Daria ma dziś tylko dwie lekcje i zaczyna pracę około jedenastej, dlatego, kiedy wychodzę tuż przed ósmą z mieszkania, śniadanie jest jeszcze w przygotowaniu. Mimo protestów Darki zrezygnowałem choćby z jednej kanapki, którą dla mnie przed chwilą przygotowała, i zrobiłem to przez zżerające mnie nerwy.

Wczoraj po południu nie było żadnego telefonu w związku z ogłoszeniem i wydaje się, że jeśli nikt nie przyjdzie do pizzerii pomiędzy ósmą a dziesiątą, to tak naprawdę będę mógł zacząć wciągać białą flagę na maszt poszukiwań. Zresztą jeśli miałbym być szczery, to moja wczorajsza tyrada o niewielkich szansach znalezienia Oli żywej oraz Pokocia w okolicach Rykowa trafiła chyba z równą skutecznością do Darii, co do mnie samego. Słowa o uspokojeniu własnego sumienia pasują jak ulał do moich działań i gdy otwieram pizzerię, przed którą nikt nie czeka, jeszcze żywiej niż w nocy i nad ranem brzmia mi w uszach.

Zasiadam przy tym samym stoliku, co poprzedniego dnia, wydaję laptop z torby, uruchamiam go i w pierwszej kolejności zaglądam do swojej skrzynki mejlowej. Prócz spamu znajduję w niej jeden link kierujący do Facebooka, który ktoś wysłał z nieznanego mi konta. Klikam i zostaję przeniesiony na fanpage „Szukamy Oli i jej porywacza”. Okazuje się, że został on założony wczoraj około dziewiątej i przez niecałą dobę zgromadził ponad trzy tysiące fanów. Większość z nich udostępniła na swoich profilach wizerunki Oli oraz Kapo, a także podpięty pod grafikę rzeczowy opis najważniejszych faktów.

Pobieżnie przeglądam zawartość strony, czytam niektóre komentarze i zastanawiam się, kto mógł w ten sposób zadziałać. Obstawiam Andrzeja, ale przypominam sobie, że wczoraj w okolicach dziewiątej albo był już w drodze do Rykowa, albo właśnie się do niej szykował w komendzie wojewódzkiej. W takim razie pewnie cała rzecz została przez niego tylko zaplanowana, a ktoś inny wdrożył ją w życie. Być może ten grafik, który został wtajemniczony w nasz spiszek i sporządził poprawiony portret Pokocia. Wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że to właśnie od niego dostałem link na mój adres, który zapewne otrzymał od Gierczaka.

W jednym z komentarzy znajduję link kierujący na inną stronę i klikam go. To inny fanpage. Nazywa się „Kazimierz Pokoć Kapo” i został założony również wczoraj, ale dopiero około południa. Patrę na liczbę lajkujących i nie mogę uwierzyć własnym oczom. 10 081! Pod spodem

w komentarzach liczne wyrazy wsparcia, życzenia, „trzymaj się Kapo”, wulgarne teksty na temat porwanych dziewczynek, liczne „ChWDP-y” i „propsy” umieszczane głównie przez ludzi młodych, ale także przez dorosłych, którzy najwyraźniej nie widzą nic złego w firmowaniu tego typu szamba swoim własnym nazwiskiem i twarzą. W ciągu paru minut, gdy jestem na tej popierdolonej stronie, liczba jej fanów wzrasta o sześćdziesiąt osób. Chce mi się rzygać i pieprznąć laptopem o przeciwległą ścianę. Hamuję się jednak, ponieważ komputer przecież jeszcze może mi się przydać. Zamykam Facebook i wchodzę kolejno na najpopularniejsze portale informacyjne. Przeważają wiadomości o wczorajszej katastrofie samolotu Germanwings, ale jest też wiele newsów o poszukiwaniach. Do jednego z nich podpięto krótką rozmowę z posłem Skowranem.

Długo wczoraj myślałem o tym, czy pójść dziś na jego dyżur do ratusza, by wygarnąć prosto w tę pyzată twarz to i owo, ale ostatecznie postanowiłem dać sobie spokój. Podjąłem taką, a nie inną decyzję ze względu na sprawę Pieniążka i przetłumaczenie samemu sobie, że każdy przecież może popełnić błąd — tak jak Skowran w osiemdziesiątym dziewiątym i jak ja mniej więcej cztery lata temu.

Teraz jednak bebechy przewracają mi się w środku jak załadowane do pralki automatycznej, gdy patrzę na tę pewną siebie gębę, wyrzucającą z siebie steki bzdur o zaniedbaniach ze strony funkcjonariuszy policji, którzy nie potrafili upilnować porywacza, i nawet niezajakującą się o winie sądu oraz ułomnego prawodawstwa. Na koniec jeszcze, niby to mimochodem, Skowran dodaje, że jego sprawa porwania dotknęła szczególnie.

— Ta wielka i niewyobrażalna tragedia — mówi — wydarzyła się w Rykowie, w pięknym miasteczku, które położone jest w moim okręgu wyborczym. W pełni solidaryzuję się ze wszystkimi mieszkańcami tej miejscowości i innych leżących w jej bezpośrednim sąsiedztwie oraz zapewniam, że jako poseł tej ziemi, jeśli tylko będę mógł, poczynię wszelkie możliwe kroki, by pomóc w ujęciu i ukaraniu sprawcy.

— Jakie na przykład to będą kroki, panie pośle? — pyta rezolutnie młoda dziennikarka.

— Wszelkie dozwolone prawem. Dziękuję pani bardzo.

No tak, do październikowych wyborów do sejmu zostało już tylko niewiele ponad pół roku, więc skoro jest taka okazja, to trzeba ją wykorzystać do polansowania się w mediach. Wyborcy na pewno nie

zapomną, jakim to oddanym ich obrońcą jest poczciwy i niezatapialny poseł Zenon Skowran.

Oglądam sobie parę razy tę rozmowę, za każdym razem nakręcając się coraz bardziej. Wreszcie wyłączam komputer i zaczynam tam i z powrotem kursować po całej pizzerii.

Do dziesiątej nikt nie przychodzi, a telefon milczy, jak zaklęty. Wszystko wskazuje na to, że albo posiadający tysiące oczu olbrzym o imieniu Ryków akurat w ostatnich dniach nieco przysnął, albo Kapo zachowywał się tutaj wyjątkowo ostrożnie.

Tak czy inaczej, nadzieja, która ponoć zawsze umiera ostatnia, w tym konkretnym przypadku jawi mi się jako zjawisko w finalnym stadium niezbyt długo trwającej agonii.

* * *

Zaraz po dziesiątej wpadam na chwilę piętro wyżej, żeby sprawdzić, czy sytuacja jest pod jako taką kontrolą.

Daria sprawdza w salonie ostatnie testy, zaległe po wczorajszym bezproduktywnym, jeśli chodzi o tę czynność dnia. Pyta, czy zostanę z Szykowiakami, bo ona musi za jakieś pół godziny wyjść do pracy.

— Siedzą cały czas w pokoju i trochę się martwię — mówi. — Może poszlibyście na jakiś spacer albo coś?

— Przecież wczoraj wieczorem Kamil stwierdził, że na dłuższą metę trudno wytrzymać to współczucie wyrażane przez każdą napotkaną osobę. Tu wszyscy się znają, słońce, nie przejdzie się paru metrów spokojnie.

— Ty jesteś jakiś zdenerwowany — stwierdza Darka. — Stało się coś?

Zna mnie już tak dobrze... Ciągle myślę o tym Skowranie i o jego wywiadzie, w wyniku czego mam coraz większą ochotę skopać parlamentarzysty ten jego tłusty zadek.

— Na Facebooku założyli fanpage Pokocia. Od wczoraj zdobył już ponad dziesięć tysięcy fanów.

Na razie nie chcę jej mówić nic o dyżurze posła w ratuszu, bo sam chcę podjąć decyzję, czy tam pójść. Daria z tym stoickim spokojem, który rzadko ją opuszcza, z pewnością by mnie zaczęła odwozić od podobnego kroku.

— Och, daj spokój. — Macha lekceważąco ręką. — I to cię aż tak zezłościło? Przecież nie pierwszy raz wchodziłeś dziś do netu i wiesz, że tego typu rzeczy są tam na porządku dziennym.

— Ale to chyba nie jest normalne.

— Nie jest, ale świata nerwami nie zmienisz.

— W sumie może i masz rację. Samymi nerwami trudno cokolwiek wskórać. Muszę jeszcze na jakiś czas wyjść. Może zajrzę do Kamila i Wiki, żeby zapytać, czy zostaną na jakiś czas sami?

— Oni i tak są praktycznie sami ze sobą, pewnie nawet nie zauważą, że nas nie ma. Słuchaj, masz rację z tym Rykowem, ale przecież można by gdzieś podjechać, żeby trochę ich wyrwać z tej otchłani czarnych myśli i wzajemnie nakręcanej spirali smutku?

— To pewnie dobry pomysł, ale chyba dopiero po tym, co wydarzy się jutro. — Boję się użyć określenia „po pogrzebie”. Zupełnie jak dziecko, któremu się wydaje, że jeśli nie będzie wymieniać imienia straszego stwora mieszkającego pod łóżkiem, to na zawsze pozostanie on w ukryciu. — Zresztą jak wrócę, to jeszcze się nad tym zastanowimy. Powinienem być najpóźniej gdzieś tak koło trzeciej. Już wtedy będziesz, prawda?

— Tak, będę. Idziesz do tej kamienicy, żeby porozmawiać z sąsiadami tego Zbieńskiego?

— Tak, właśnie tam się wybieram. — Znów nie chcę okłamywać Darii, dlatego w ułamku sekundy podjąłem decyzję, że się tam wybiorę.

* * *

Najpierw jednak Skowran.

Idąc przez rynek w kierunku ratusza, trochę się boję swojego zachowania. Mam wrażenie, że jestem tak wściekły, że mógłbym zrobić posłowi jakąś krzywdę, a to przecież byłoby znacznie większym występkiem niż pobicie zwykłego szaraka. Obiecuję więc sobie samokontrolę i spokój. Dyżur ma się zacząć za mniej więcej półtorej godziny, mam więc nadzieję, że zdążę do tego czasu trochę ochłonąć.

Najchętniej zjawiłbym się w ratuszu w samo południe, ale obawiam się, że byłbym wtedy daleko w kolejce i kto wie, czy w ogóle zostałbym przyjęty. I faktycznie, gdy melduję się pod salą numer sto dwadzieścia cztery, na pierwszym piętrze, jestem już trzeci w kolejce, a dziesięć po jedenastej sekretarz posła zamyka listę oraz informuje, że osoby pojawiające się od tej pory proszone są o przybycie następnym razem.

W miarę upływu czasu wcale nie staję się mniej zdenerwowany; mam nawet wrażenie, że te kilkadziesiąt minut bezczynnego czekania na rozpoczęcie dyżuru Skowrana i obrazy, które przesuwają się w mojej głowie, niczym emitowane z rzutnika, a związane z ostatnimi wydarzeniami, tylko pogłębiają moją frustrację. Zaczynam rozumieć, jak

bardzo cienka granica dzieli zwykłego człowieka od potencjalnego mordercy. Siedząc w oczekującym tłumku interesantów, czuję, że prawie jestem kimś innym, że muszę używać samouspokajających mechanizmów wypracowanych przez lata służby w policji. To przerażające, ale mam wrażenie, że gdyby ktoś inny z jednakowym bagażem doświadczeń, frustracji i złości był na moim miejscu, to w biurze ratusza mogłoby tego dnia dojść do naprawdę wielkiej tragedii.

Próbuję zająć myśli czymś innym i wsłuchuję się w rozmowy oczekujących osób. Ci najbliżej siedzący paplają coś o rozgrywkach ligowych, ale tamci dwaj w rogu... Tak, zdaje się, że słyszę nazwisko „Szykowiak”. Wstaję i leniwym krokiem kieruję się w ich stronę. Rozmawiają o wydarzeniach w Rykowie Górnym i o sytuacji, gdy Iza wpadła pod załadowaną drewnem ciężarówkę.

— ...no i, rozumiesz pan, ja jestem sąsiadem jej brata — burczy basem wysoki, mniej więcej pięćdziesięcioletni chudzielec. — No i on, znaczy się ten jej brat, powiedział, rozumiesz pan, że nigdy się nie odezwie do swojego szwagra.

— Coś pan? A czemu? — Łysy jak kolano i trochę starszy od chudzielca zażywny facet o wyglądzie przedwojennego adwokata jest wyraźnie poruszony. Poprawia wiszące na nosie okulary stylizowane na binokle i podkręca czarny wąsik.

— No bo, rozumiesz pan, on twierdzi, że ten cały Szykowiak to specjalnie tej swojej żony nie złapał, jak się zachwiała i wpadła pod koła.

— Co pan powiesz!?

— Mało tego, podobno mu ktoś mówił, że być może sam ją popchnął. Ten mój sąsiad uważa, że to całkiem prawdopodobne, bo ten cały Szykowiak mógł być łasy na ten cały majątek, co się go z żoną dorobili. Teraz, rozumiesz pan, wszystko jego, on wolny jak wiatery w polu, a w dodatku ludzie mu współczują.

Przypominam sobie, że szwagierka Izy nie bardzo się z nią dogadywała i najprawdopodobniej chodziło o zazdrość właśnie o to, że Szykowiakom się dobrze powodzi. Uświadamiam sobie też, że od śmierci Izy nie było ze strony jej brata żadnej próby kontaktu. Wszystko więc układa się w logiczną i boleśnie oczywistą całość.

Na moment przenoszę złość ze Skowrana na chudzielca, potem uznaję, że właściwie powinna ona zostać skierowana na brata Izy, i zaraz potem zastanawiam się, czy przypadkiem nie na jego żonę. Gubię się w tym

wszystkim i wtedy przypominam sobie słowa Darii, które słyszałem całkiem niedawno: „Świata nerwami nie zmienisz”. Gdy je wypowiedziała, chodziło jej wprawdzie o Internet, ale wygląda na to, że stwierdzenie to równie dobrze można zastosować do otaczającej nas rzeczywistości.

Ta konstatacja uspokaja mnie tak, jakby ktoś wylał mi na głowę kubel zimnej wody. Wracam na miejsce i zamykam się w sobie. Skoro świat nerwami nie zmienię, to nie chcę też, żeby świat nerwami zmienił mnie.

* * *

Skowran spóźnia się jakiś kwadrans. Gdyby nie dziwny spokój, który mnie ogarnął, pewnie rozsierdziłoby mnie to jeszcze bardziej, tymczasem przyglądam się reprezentantowi narodu, jak przebiera krótkimi nóżkami i mijając czekający na niego tłumek, na prawo i lewo rozdaje wystudiowany uśmiech wyborczy. Prezentuje się wyjątkowo żałośnie. Jest o wiele niższy, niż wydawał się w telewizji, jego pucułowata twarz ocieka potem, który skleja również siwe kosmyki mocno przerzedzonych włosów. Zastanawiam się, jaki zawód mógłbym w ciemno mu przyporządkować, gdybym minął go na ulicy i nie wiedział kim jest. Nie mam pojęcia. Do głowy przychodzi mi trawestacja jednej z kwestii kultowego filmu „Poszukiwany, poszukiwana”, tyle że w tym wypadku żona Skowrana mogłaby stwierdzić, że jej „mąż jest z zawodu posłem”, a nie dyrektorem. Cóż, pan Zenon chyba tylko ten fach posiada w ręku, skoro od tyłu kadencji nie robi nic innego...

Nie chce mi się już czekać, ale okazuje się, że dwaj plotkarze są pierwsi na liście (to oni już czekali, gdy przyszedłem). Wchodzą razem, przy czym załatwiają sprawę w ekspresowym tempie, ponieważ ich pobyt w pokoju sto dwadzieścia cztery nie trwa nawet dwóch minut. Wychodzą tyłem, jak na komendę kłaniając się w pas i ściskając w dłoniach identyczne wizytówki tak kurczowo, jakby to były dwa nieodnalezione dotąd pierścienie, o których Tolkien przez nieuwagę zapomniał wspomnieć w swojej trylogii.

„Cóż, losie, skoro tak ze mną pogrywasz, to niechaj ci będzie” — myślę.

* * *

W obszernym, wyłożonym czerwonym pseudodywanem pokoju, w którym przyjmuje Skowran, znajdują się dwa biurka. Jedno mniejsze, będące do dyspozycji sekretarza, oraz drugie — duże, masywne, z ciemnego błyszczącego drewna. Ponieważ wchodzę bez oczekiwania na

zaproszenie, posła znajduję na środku gabinetu. Wydaje mi się, że ledwie zauważalny grymas na jego czerwonej twarzy może świadczyć o braku aprobaty dla mojego śmiałego zachowania, ale zaraz potem znany mi już uśmiech wypełza na oblicze Skowrana (prawie słyszę, jak myśli: „Wybory, Zenek, pamiętaj, że niedługo wybory...”). Podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką i sztucznie wyszczerzonymi zębami. Witamy się i zaprasza mnie do zajęcia miejsca przy jego biurku. Robię to, a on siada na fotelu po drugiej stronie. Dopiero wtedy na swoim krześle odważa się usiąść także sekretarz.

Skowran kładzie łokcie na blacie, spleta palce i pochyła się lekko w moją stronę, przyglądając mi się z życzliwym zainteresowaniem („Wybory, Zenek, pamiętaj, że niedługo wybory...”).

— Co mogę dla pana zrobić, panie...?

— Nazywam się Zdzisław Mokryna, ale moje nazwisko zapewne nic panu nie powie.

Słyszę, jak sekretarz przewraca stronę notatnika i skrobie w nim długopisem. Gdybym teraz wytargał posła za uszy, to policja nie miałaby problemów ze znalezieniem sprawcy, skoro jego dane już zostały zanotowane. Ale nie mam ochoty na jakiegokolwiek agresywne zachowania. Czuję raczej żal i jest mi przykro, że przez takich „Skowranów” moich bliskich spotkało tak niewyobrażalne nieszczęście. Wyciągam przed siebie nogi, krzyżując je w kostkach, opieram się wygodnie i dłonie zaplatam za głową. Poseł, któremu patrzę teraz w oczy, prostuje się z niepokojem; zapewne nie przywykł do tak swobodnego zachowania w swoim towarzystwie.

— Więc słucham pana, panie Mokryna. Co mogę...?

— Bywa pan od czasu do czasu w Rykowie, prawda? — bezceremonialnie wchodzę mu w słowo, co jeszcze bardziej go niepokoi i jednocześnie zdumiewa.

— Tak, owszem, ale...

— Zna pan może pizzerię Isabella e Camillo przy Parkowej? Tu, niedaleko od rynku, dosłownie rzut beretem. Miejscowi mówią na nią „Camillo”.

— Nie wiem, być może. Teraz sobie akurat nie przypominam, niemniej jednak niewykluczone, że tak — odpowiada jak rasowy polityk. Wybory niedługo, więc lepiej nawet w drobnych kwestiach nie dać się wciągnąć na grząski grunt. — A dlaczego pan pyta?

— Wiem z mediów, że zna pan sprawę porwania dwóch dziewczynek, które miało miejsce tutaj, w Rykowie, kilkanaście dni temu. Jedna z nich została zamordowana i już odnaleziono jej zwłoki, poszukiwania drugiej wciąż trwają, ale nie ma większych nadziei...

— Tak, znam, oczywiście, że znam. To wielka i niewyobrażalna tragedia... — zaczyna swoją śpiewkę, którą już parę razy słyszałem w komputerze.

— Dobra, dobra — przerywam mu i jednocześnie podnoszę dłoń na znak, że ma zamilknąć. — Wiem, co pan o tym myśli, wiem też, że robi pan sobie na tej sprawie kampanię wyborczą. Ślepy i głuchy nie jestem.

Skowran robi się jeszcze bardziej czerwony, choć przed momentem wydawało mi się, że to niemożliwe.

— Jak pan śmie?! — wyrzuca wreszcie z siebie.

— Panie pośle, może wezwę ochronę? — pyta sekretarz, podrywając się z krzesła.

— Pytałem o tę pizzerię, ponieważ jej właścicielem jest mój przyjaciel — mówię spokojnym tonem, zupełnie nie zwracając uwagi na ich reakcje. — Nazywa się Kamil Szykowiak i to właśnie jego córki porwano.

Sekretarz próbuje się wydostać zza biurka, ale gdy słyszy moje słowa, spoglądając na Skowrana, zastyga jak żona Lota. Poseł bierze kilka głębszych oddechów i mówi do asystenta, ciągle patrząc mi w oczy:

— Spokojnie, Adam, to nie będzie chyba konieczne.

Sekretarz zajmuje miejsce za biurkiem, a Skowran kontynuuje:

— Wie pan, ale doprawdy nie rozumiem pana słów...

— Żona mojego przyjaciela też nie żyje. Zakręciło jej się w głowie po tym, gdy wracała z identyfikacji ciała swojej córki, i wpadła pod naczepę ciężarówki wiozącej drewno.

— Boże — szepcze poseł. — O tym nic nie wiedziałem...

— Przychodzę do pana, bo wiem, kto jest za to wszystko odpowiedzialny.

— Ale to może trzeba na policję byłoby zgłosić...? — Skowran podskakuje jak oparzony. — Adam, notuj na wszelki wypadek!

— Właśnie, panie Adam, notuj pan — mówię. — Pierwsza osoba to będzie Zenon Skowran. Poseł. Zapisane? Następnym kilkadziesiąt osób to jego koleżanki i koledzy z ław sejmowych, którzy w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku uchwalili amnestię

łagodzącą kary, w tym zamieniające wyroki śmierci na kary dwudziestopięcioletniego więzienia.

Asystent i parlamentarzysta gapią się na mnie bez słowa. Pozwalam przez chwilę wybrzmieć temu, co powiedziałem, a potem kontynuuję:

— Tak, panie pośle. Bandyta, który odsiedział swoje, właśnie niedawno wyszedł na wolność i to on jest odpowiedzialny za porwanie i przynajmniej jedno kolejne morderstwo. Cały czas w więzieniu sygnalizował, że będzie znów zabijał, a wyście mu na to pozwolili. Czy w ogóle zastanawiał się pan kiedyś nad tym, że pana podniesienie ręki może mieć aż taki wpływ na życie zwykłych ludzi? Gdybyście się wtedy opamiętali, to nie doszłoby do tego wszystkiego. A kto wie, co jeszcze się stanie. Kogo jeszcze dorwie ten, który porwał córeczki mojego przyjaciela, kto z wypuszczonych dzięki wam na wolność znowu zaatakuje...

Przed chwilą jeszcze purpurowy na twarzy poseł nagle zbladł. Widzę, jak trzęsą mu się ręce. Patrzy na mnie z przerażeniem; wygląda na to, że zupełnie nie był niczego świadomy.

— Tak, wiem — mówi cicho. — To był nasz wielki błąd. Kilka razy już za to głosowanie przepraszałem...

— Przepraszał pan, tak? A teraz pójdzie pan do mojego przyjaciela i też go przeprosi? Tym razem osobiście, twarzą w twarz.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, że aż mi się go robi żal, ale nie potrafię mu odpuścić, więc mówię jeszcze:

— Jeśli pan to zrobi, to czy mu trochę ulży? Czy wizyta takiego dygnitarza złagodzi choć trochę ból po stracie ukochanych osób?

Wstaję i kieruję się do drzwi, ale ani poseł, ani jego sekretarz nawet nie drgną.

— Wyobraźcie sobie panowie siebie i swoje rodziny w takiej sytuacji. Nie życzę wam takich tragedii, ale jeśliby one was dotknęły, to następnym razem patrzylibyście na życie zwykłych ludzi z trochę mniej wyniosłej perspektywy.

Wydaje mi się, że powiedziałem wszystko, co było trzeba, więc wychodzę i cicho zamykam za sobą drzwi.

* * *

Czasem jest tak, że zrobienie danej rzeczy nie ma wielkiego sensu, ale człowiek i tak musi ją zrobić, żeby poczuć się lepiej. Tak właśnie było z moją wizytą na dyżurze poselskim Skowrana.

Idę w stronę ulicy 1 Maja i czuję się — oczywiście biorąc pod uwagę wszelkie ponure okoliczności — całkiem przyzwoicie. Tak, właśnie „przyzwoicie”, to bardzo dobre słowo. Człowiek, który postępuje właściwie, potrafi wygarnąć, co mu leży na wątrobie, nawet lokalnemu kacykowi prosto w nos, a także dotrzymuje słowa danego swojej kobiecie, nawet jeśli wcale nie ma na to ochoty. Zamierzam więc za kilkanaście minut niespiesznym krokiem dotrzeć do kamienicy zamieszkannej właściwie już tylko przez moją miłującą procenty informatorkę (pod piątką), siedmioosobową rodzinę Malinowskich (pod trójką) oraz małżeństwo Piątków (pod dwójką). Zmierzam do kamienicy, która w ostatnich czasach dość znacznie się wyludniła i która była świadkiem wielu ponurych zdarzeń, o których wolałbym zapomnieć.

Kiedy już prawie docieram na miejsce i z pewnej odległości patrzę na szeroko otwarte drzwi do tego budynku, nie potrafię uwolnić się od skojarzenia, które już kiedyś mi się nasunęło. Skrzydła masywnych drzwi, podparte cegłówkami w celu uniemożliwienia samoczynnego zamknięcia, przypominają rozdziawioną, czekającą na połknięcie kolejnej ofiary i wiecznie głodną gębę. Zbliżając się do budynku, nie czuję jednak obawy. Bardziej jest to rodzaj swoistej chorej fascynacji, wrażenie dotknięcia czegoś niedotykalnego — oto dom, który zabija, po latach znów poczuł się głodny i podjął swój morderczy proceder. Kiedyś Adrian, nie wiem ilu ludzi od tamtej pory, a teraz znów kilkoro kolejnych osób. Inwalidka Lutońska spod siódemki, pożarta ubiegłej jesieni, Julka, Zuzanna Jaworska, być może Ola i nie wiadomo kto jeszcze... Kto będzie następny? Moja informatorka? Któreś z dzieci Malinowskich? Może ja...?

Stoję przez jakiś czas i przyglądam się szaremu, obskurnemu frontonowi. Od drzwi dzieli mnie co najmniej pięć metrów, a mimo to mam wrażenie, że w powietrzu wciąż czuć ten sam, choć już zdecydowanie słabszy fetor rozkładu, który dawał się we znaki w nocy, gdy znaleziono Jaworską. Wiem, że to niemożliwe, by utrzymywał się tak długo, zwłaszcza przy ciągłym wietrzeniu, zatem jest oczywiste, iż dotknęło mnie coś w rodzaju autosugestii — powiązania zapachu z przeszłości z miejscem, w którym go odczuwałem. Takie swoiste zapachowe *déjà vu*.

Obok drzwi bieleje klepsydra. Podchodzę bliżej i okazuje się, że informuje ona o pogrzebie Zuzy Jaworskiej, który ma odbyć się jutro po południu. Dwa pogrzeby jednego dnia, w tym jeden podwójny. Rozumiem, że Ryków współczuje ofiarom, ale też zdaję sobie sprawę, jak wiele to

wszystko wywołuje emocji i komentarzy. Ludzie pokroju plotkarzy spotkanych w ratuszu, których w Rykowie z pewnością nie brakuje, po części solidaryzują się z ofiarami (nawet Zuzie są skłonni wybaczyć grzeszki związane z jej nagannym prowadzeniem się), a po części drżą z podniecenia na myśl o tym, co się stało, jednocześnie przeczuwając, że to jeszcze nie koniec emocji. Przedstawienie trwa.

* * *

Decyduję, że zacznę od góry.

Po wejściu do budynku jestem zaskoczony, ponieważ w ogóle nie wyczuwam nieprzyjemnego zapachu.

Zza drzwi oznaczonych numerem trzy dobiegają wrzaski dziecięcej czeredki i rozpaczliwe zawodzenie próbującej zapanować nad nią matki. Przez drzwi z dwójką, te na wprost, przedziera się odgłos nastawionego bardzo głośno telewizora; najwidoczniej państwo Piątkowie (lub przynajmniej jedno z nich) mają dość znaczne kłopoty ze słuchem. Żaden dźwięk nie dochodzi z pierwszego po lewej mieszkania, opuszczonego w wyniku eksmisji lokatora.

Wdrapuję się wyżej. Na półpiętrze już delikatnie wyczuwalna jest nieprzyjemna woń, jednak gdybym nie wiedział, co ją wywołało, to nie potrafiłbym jej jednoznacznie skojarzyć z rozkładającym się ciałem. Kiedy jestem na pierwszym piętrze, rozglądam się wokół siebie. Zarówno drzwi do mieszkania Zbieńskiego, jak i do lokalu Jaworskiej oklejone są opieczętowanymi przez policję taśmami, mającymi na celu zapobieżenie lub ewentualne ujawnienie wizyt niepowołanych gości. Zza drzwi oznaczonych numerem pięć nie dobiega żaden dźwięk.

Wspinam się dalej po schodach i docieram na drugie piętro, na którym jeszcze nigdy nie byłem. Kondygnacja wygląda prawie identycznie jak dwie niższe. Jediną różnicę stanowią zdobione drewniane i opatrzone solidnymi zamkami drzwi oznaczone dziewiątką, z całą pewnością najbardziej luksusowe w całej kamienicy. Przypominam sobie, że właścicielem tego ponoć dobrze wyposażonego lokalu jest niejaki Damian Kuna, bytujący na stałe w Niemczech. Dwoje pozostałych drzwi nie odbiega standardem od reszty. Te pośrodku są lekko uchylone, a więc potwierdzają się słowa kobiety spod piątki o pustostanie pod ósemką. Zamierzam zajrzeć do tego mieszkania zaraz po sprawdzeniu strychu.

Otacza mnie gęsta i zawieszista cisza. Odgłosów z parteru nie słychać w ogóle, nie docierają żadne dźwięki z ulicy. Tutaj odór rozkładu jest

mocniejszy niż piętro niżej, ale nie dziwi mnie to, ponieważ w obliczu panujących od kilku dni dość wysokich temperatur oczywiście jest, że na wyższych i w dodatku nieużytkowanych piętrach będzie się on utrzymywał dłużej. Niewielkie okna dają niewiele światła — akurat tyle, żeby odróżnić najważniejsze szczegóły. Chcę zapalić światło na klatce, ale naciśnięciu włącznika nie towarzyszy nic poza cichym kliknięciem. Skoro piętro jest praktycznie nieużywane, to i o wymianę przepalonej żarówki nikt nie dba.

Stawiam dwa pierwsze kroki na drewnianych schodach prowadzących na strych. Towarzyszy temu ich żalosne skrzypienie i... coś jeszcze.

Zamieram przed położeniem buta na trzecim stopniu i, wciąż trzymając prawą nogę w powietrzu, wyteżam słuch.

Nie mam pojęcia, co to było. Odgłos szurnięcia podeszwą, który dobiegł zza któryś z trojga drzwi? Szmer towarzyszący przesuwaniu jakiegoś niewielkiego pudełka albo krzesła? Nie wiem dokładnie, ale tego, że za jednymi z drzwi na drugim piętrze ktoś się czai, jestem absolutnie pewien. Cofam się więc i nieruchomieję w nadziei, że dźwięk się powtórzy.

Cisza. Mija pięć minut, a do moich uszu nie dociera już nic podejrzanego.

„Całkiem prawdopodobne, że to szczur albo mysz” — myślę, ale jednocześnie wiem, że sam siebie próbuję oszukać. To było coś większego, cięższego. Patrzą kolejno na każde z drzwi. Tylko te pod ósemką nie mają judasza. Za dwójgiem pozostałych ktoś może mnie bez ruchu obserwować, tylko kto, skoro mieszkania są podobno puste? Te na wprost mnie są uchylone, każdy mógł tam wejść, więc postanawiam zrobić to i ja.

Robię krok naprzód i lekko pcham skrzydło drzwi. Otwierają się z głośnym skrzypieniem. W środku jest prawie całkiem ciemno, szukam więc odruchowo włącznika światła, ale po chwili orientuję się, że to przecież pustostan, więc prąd na pewno jest odcięty. Postanawiam poczekać parę chwil, aż moje oczy przywykną do ciemności, i wtedy nagle słyszę głośny tupot zbliżających się w moją stronę butów. Rejestruję przed oczyma jakiś błysk i odruchowo uchylam się w prawo. Czuję na twarzy chłodny powiew i najpierw do moich uszu dociera niski jęk powietrza przeciętego przez podłużny przedmiot, który minął moją głowę o włos, a następnie słyszę niemal rozsadzający mi bębenki w uszach metaliczny brzęk.

Przytomność umysłu oraz wiele tysięcy razy w przeszłości wykonywany chwyt pozwala mi oburącz złapać napastnika za ramię

i błyskawicznie je wykręcić. Ułamek sekundy później jego palce rozwierają się, a niewielki łom wysuwa się z nich i upada z łoskotem na próg mieszkania. Krok w tył, lekkie ukierunkowanie bezwładnego już prawie ciała w przód i ku podłodze. Upada, a ja przygniatam kolaniem okolice prawej nerki napastnika i kontynuuję wykręcanie ręki. Wszystko trwa ledwie chwilę, a mężczyzna, mniej więcej mojej postury, leży całkowicie unieruchomiony i zaczyna jęczeć z bólu.

Teraz, gdy jego ramię jest wykręcone niemal do granicy zwicnięcia, bez trudu mogę je przytrzymać tylko jedną ręką. Drugą sięgam po łom. Okazuje się, że jest to bardziej łapka do wyciągania gwoździ niż narzędzie nadające się do wyważania drzwi; ma około metra długości i na pierwszy rzut oka widać, że to solidna kowalska robota, a nie jakieś badziewie z supermarketu.

— No i co, panie cwany? — pytam, luzując nieco uchwyt i pozwalając mu na spojrzenie w moją stronę.

Cała ta sytuacja niespecjalnie mnie poruszyła. Gdy byłem młodszy i pełniłem służbę na pierwszej linii, tego typu zapasy z drobnymi rzeźmieszkami były na porządku dziennym. Zawsze przykładałem się do szkolenia w zakresie walki wręcz, ale nawet po latach praktyki i tak nieodmiennie zaskakiwało mnie to, jak niewielkie szanse ma laik z kimś, kto chociażby liznął fachowej techniki. Jedyne, co warto podkreślić podczas dzisiejszej potyczki to spora dawka szczęścia, że zdołałem uniknąć uderzenia łomem. Na precyzyjny cios tego typu około cztero-, może pięciokilogramowym narzędziem raczej nie ma mocnych.

Kiedy napastnik podnosi głowę, aby spojrzeć w moim kierunku, przez moment zastanawiam się, czy nie miałem jeszcze więcej szczęścia i w moje ręce nie wpadł właśnie Zbieński albo Pokoć. Wprawdzie Kamil opisywał ojca Adriana jako potężnego faceta, to jednak pod uwagę należy brać fakt, że spoglądał na niego powiększającymi dorosłych oczyma małego chłopaka. Zanim zdążam przeanalizować możliwość, że unieszkodliwiłem Kapo, facet obraca twarz w moją stronę i już wiem, że nie. Zbyt wiele podczas rozwieszania ogłoszeń napatrzyłem się na tamtą gębę, żeby mieć teraz jakiegokolwiek wątpliwości.

— Puszczaj — syczy. — Zostaw mnie!

Próg do mieszkania ma mniej więcej na wysokości bioder, więc górna część ciała leży na klatce schodowej. Światła jest mało, ale wystarczająco,

by stwierdzić, że w oczach faceta widać bardziej strach niż nienawiść lub chociażby złość.

— Coś za jeden? Nazwisko! — mówię ostro.

— Mieszkam tutaj... — sapie. — Stępora. Wiesław Stępora.

Dopiero teraz zwracam uwagę na łachmany, jakie ma na sobie. Przy lekkim katarze odór rozkładającego się ciała można byłoby pomylić z ich smrodem. Są przepocone i aż lepkie od brudu. Przypominam sobie o eksmitowanym lokatorze spod jedyńki, który, jak twierdziła kobieta spod piątki, pomieszkuje od czasu do czasu w pustostanie na drugim piętrze i trudni się zbieraniem złomu. Cholera!

— Czemu mnie zaatakowałeś? — pytam.

— Myślałem, że to włamywacz. Bronilem swojego domu.

— Co mi pierdolisz za uszami? Przecież mieszkałeś pod jedyńką, a tutaj nie masz prawa przebywać. Tam zresztą też nie, bo wyleciałeś na kopach komornika.

Nic nie odpowiada, kładzie tylko, zrezygnowany, głowę na podłodze. Odkładam łom i wyjmuję etui z odznaką i legitymacją.

— Tu się patrz! — rozkazuję.

Robi to i lekko się krzywi.

— Właśnie napadłeś na funkcjonariusza na służbie. Zdaje się, że masz ochotę zmienić mieszkanie na takie ze stałą opieką, z którego świat zawsze wygląda w kratkę.

— Nie wiedziałem... — szepcze. — Przepraszam.

— Gównu mnie to obchodzi. Szukam Zbieńskiego i jego kumpla. Widziałeś reklamy jego gęby na mieście, więc wiesz, o kogo chodzi.

— Tak wiem, ale ja go tutaj tylko raz widziałem.

— Słucham cię, Stępora, jak zepsutego radia, ale streszczaj się, bo jak mi ktoś macha łomem koło głowy, to nie mam do niego zbyt wiele cierpliwości.

— Ale ja nic nie wiem, panie władzo! Mówię, że raz go widziałem i to już chyba ze dwa tygodnie temu. Przysięgam! Albo i trzy. Jeszcze zimno było. W każdym razie potem, jak zaczęli się tu kręcić, zachodzić do Mietka, to się zmyłem, żeby się w oczy nie rzucać. Dopiero ostatniej nocy przyszedłem. Myślałem, że już będzie spokój...

— Lubisz słuchać dobrych rad, Stępora?

— Lubię, panie władzo.

— No to posłuchaj tej: albo powiesz mi coś, co pomoże w znalezieniu tego twojego całego zasranego Mietka i jego kumpla spod ciemnej gwiazdy, albo zaraz wołam dyskotekę.

— Ale ja nic nie wiem, przysięgam!

— Widzę, że marzą ci się wczasy pod kratkami, kolego. Jak tam sobie chcesz. — Wyjmuję komórkę i udaję, że zaczynam wybierać numer.

— Wiem, wiem! Przypomniałem sobie!

— No widzisz. To chyba dzięki tym telefonicznym falom radiowym, którymi tak straszą... Słucham ciebie, mój przyjacielu.

— Pomogłem mu coś zanieść do samochodu. Do tego niebieskiego, co go Zuza spod czwórki miała. Aua! Ale niech pan tak mocno nie wykręca!

Rzeczywiście, dopiero gdy krzyczy, to uświadamiam sobie, że nie mając takich intencji, mocniej wykręciłem mu rękę. Luzuję więc uchwyt.

— Dobra, teraz lepiej?

— Tak. Dziękuję.

— Nie zrobiłem tego z uprzejmości, tylko żebyś sobie szybciej i więcej przypomniał.

— Ale ja nic więcej nie pamiętam...

— Kiedy to było, co to było? Proste pytania.

— Nie pamiętam kiedy dokładnie. Przedmiot... Nie wiem, to było coś ciężkiego, zawiniętego w folię.

— Przed znalezieniem ciała Jaworskiej?

— Tak, z tydzień przed. Od tamtej pory tu nie zachodziłem. Bałem się, jak usłyszałem o tym porwaniu.

— Jak wyglądało to, co załadowaliście do samochodu?

— Ciemno było, nie widziałem dokładnie...

— Mogły to być ludzkie zwłoki? — pytam, ale te słowa z trudem przechodzą mi przez gardło. — Na przykład ciało ośmioletniej dziewczynki?

— Tak, ale... Aua! Panie władzo, nie tak mocno! Przecież ja nie wiedziałem wtedy, co to!

— Ale, kurwa, co?! — Jestem wściekły, ale znów mu odpuszczam. Muszę się trochę uspokoić.

— Ale musiały być zawinięte w jakiś ciężki dywan. Ledwośmy je we dwóch dali radę znieść z mieszkania Zuzy.

— Oj, Stępora. Wiesz, że teraz to ja mam ochotę ci łeb rozwalić tym twoim łodem? Czemuś nie poinformował o wszystkim policji?

— Panie władzo, ja nie wiedziałem, co to jest przecież. A potem, jak się okazało co i jak, po znalezieniu Zuzy, to pomyślałem, że już i tak im nie pomogę, a sobie kłopotów nie chciałem szukać.

Prawie dokładnie to samo powiedziała kobieta spod piątki, gdy odwiedziła mnie w pizzerii.

— Dobrze ci radzę... — zaczynam. — Przypomnij sobie coś jeszcze, pókim dobry. — Chowam komórkę do kieszeni, biorę do ręki łom i zaczynam postukiwać nim miarowo o podłogę.

— Pamiętam jeszcze, że to było w nocy z piątku na sobotę, z trzynastego na czternastego marca. Może ze dwie godziny po północy. To pamiętam dobrze, bo jestem przesądny i od razu mówiłem, że za takie rzeczy w pechowy dzień się nie biorę.

— Wiesz co, Wiesiek? Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę. Przecież musiałeś wiedzieć, że to jest udział w jakimś przestępstwie. Nie sądziłeś, że się to wszystko wyda?

— Ale on obiecywał, że nie ma takiej możliwości, żeby się wydało. No i że wszystko jest na legalu, że to przeprowadzka do nowego mieszkania. Myślałem, że to naprawdę jakieś graty zawinięte w folię. No i zapłacił dobrze...

— Dobrze to znaczy ile?

— Tysiaka.

Nie dowierzam, więc przyglądam mu się bacznie.

— Chyba ci się pomyliło ze stówką...?

— Nie, tysiąc złotych mi dał!

— Za pomoc w przeniesieniu jednej rzeczy? Fakt, że noc, no ale sam rozumiesz, że jakoś trudno mi w to uwierzyć...

— Rozumiem, pewno. Ale to było tak, że Mietek znalazł mnie wcześniej na mieście i kazał przyjść o północy, a potem czekać tutaj, w tym mieszkaniu, gdzie jesteśmy, aż mnie zawoła.

— I tak mi się nie chce w to wierzyć. Poza tym... skąd niby Zbieński miałby mieć tysiąc złotych? Podobno raczej mu się nie przelewało...

— A czy ja powiedziałem, że to Mietek mi dał tę kasę? Nie on! Ten, co jego zdjęcie na wszystkich słupach wisi.

— Pokoć?

— No, chyba tak się nazywa. Pan władza wie lepiej... Przyszedł koło drugiej nad ranem i powiedział, że Mietek ma problem z kręgosłupem i że

to z nim mam coś zrobić. Zeszliśmy piętro niżej, z mieszkania Zuzki wzięliśmy ten toból...

— Z mieszkania Jaworskiej? Nie Zbieńskiego?

— Nie. Ten cały... Jak mu tam? ...powiedział wtedy, że zamierzają się z Zuzą pobrać i ona się do niego przeprowadza. Panie władzo, dał mi za zniesienie jednej rzeczy tysiąc złotych, tylko nakazał, żebym nikomu ani słowa. Tysiąc złotych! Tyle to ja czasami przez dwa miesiące na zbieraniu złomu nie zarobię...

* * *

Pięć minut później stoję oparty o framugę drzwi prowadzących do mieszkania numer osiem i w zadumie postukuję o nią zdobycznym łomem. Puściłem Stęporę wolno, bo faktycznie nie bardzo teraz jest się o co do niego przyczepić. Zresztą... skoro one i tak nie żyją, to po co temu biednemu żulowi jeszcze komplikować życie.

„Zaczynasz myśleć tak jak oni” — mówi jakiś głos w mojej głowie.

Mam już pierwszy dowód na to, że Ola też została zamordowana, ale nie zamierzam jeszcze niczego mówić ani policji, ani Kamilowi. Gdyby były chociaż jakieś szanse na znalezienie zwłok, to może miałyby to sens, a tak...? Kapo ze Zbieńskim mogli odjechać kawał drogi stąd i worek z ciałem dziewczynki zakopać w dowolnym miejscu i czasie.

Zamierzam to wszystko jeszcze sobie przemyśleć później, teraz to już raczej nie ma pośpiechu. Przeraza mnie, jak łatwo godzę się ze śmiercią również drugiej córki mojego przyjaciela, ale to chyba przez to, że w głębi duszy już wcześniej się z nią pogodziłem.

Wchodzę do ósemki. Najciemniej jest w przedpokoju. Jedyne pomieszczenie, w którym da się mieszkać, faktycznie ma na wyposażeniu metalowy piecyk z rurą odprowadzającą dym na zewnątrz. Jest tutaj też stary materac, trochę naczyń i dziesięciolitrowy plastikowy kanister na wodę. Królestwo Wieśka. Królestwo, w którym nie pojawi się już nigdy więcej. Taki był mój warunek. Albo zupełnie zmienia adres, albo jak go tylko zobaczę, będzie musiał odpowiedzieć za swoje grzeszki. Przystał na to z ochotą, a po schodach zbiegał tak radośnie, jakby mu w ucieczce pomagała anielska muzyka.

Zostawiam w mieszkaniu łom i idę na strych. Rzeczywiście, rupieciarnia, w której nie znajduję niczego ciekawego. Potem schodzę na pierwsze piętro i stukam do drzwi kobiety, którą poznałem w pizzerii. Cisza. Domyślam się, że zdobyła skądś parę groszy i o tej porze dzięki

przyjaciółce gorzałce (lub jej bratu Jabolowi) znajduje się po drugiej, lepszej stronie swojego życia.

Mam już trochę dość tego miejsca, więc schodząc z pierwszego piętra na parter, zamierzam dać Piątkom i rodzinie Malinowskich spokój. Zakładam, że jeśli coś widzieli, to „w obliczu tego, że już i tak się nie da cofnąć czasu, nie chcieli sobie komplikować życia”. Niemniej jednak, gdy już staję w korytarzu, stwierdzam, że brak próby dowiedzenia się czegoś w dwóch mieszkaniach poniżej miejsca zbrodni byłby mało profesjonalny.

Dzwonię zatem najpierw do Piątków. Para wyglądających na schorowanych starszych ludzi otwiera mi razem. Zachowują się trochę tak, jak syjamskie rodzeństwo i równocześnie na widok odznaki policyjnej robią tę samą, trochę przestraszoną, a trochę znużoną minę.

— Nie, nic nie widzieliśmy, nic nie słyszeliśmy. Zresztą już wcześniej mówiliśmy dokładnie to samo pana kolegom.

Drzwi oznaczone trójką otwiera dość młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Rzuca okiem na odznakę i mimo że Malinowska ma około dwudziestu pięciu lat i jest ponad dwa razy od nich młodsza, to wyraz jej twarzy do złudzenia przypomina zmęczone oblicza jej sąsiadów spod dwójki.

— Przykro mi, nie mogę pomóc. Mąż... Jego teraz nie ma, ale też tak samo. U nas dzieci często hałasują, poza tym ściany i stropy grube, to i nic nie słyhać. Szkoda mi tych dziewczynek i Zuzy... Gdybym tylko coś wiedziała...

* * *

W Rykowie powietrze jest bardzo czyste. Po części dlatego, że to mała miejscina, a po części dlatego, że jest położona wśród rozległych lasów. Już wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku lat zwracałem uwagę na to, jak przyjemnie się tutaj oddycha.

Ale teraz, po opuszczeniu kamienicy, którą mam za plecami, jestem pewien, że powietrze jeszcze nigdy dotąd nie było tak krystalicznie przejrzyste i orzeźwiające niczym woda pita wprost ze źródła górskiego potoku.

* * *

Zastaję Kamila w salonie i jest to dość znaczna odmiana w porównaniu z poprzednimi dniami. Nie spędza czasu z córką, więc coś musiało się stać. Może się pokłócili albo... Nie, wszystko w porządku. Słyszę, jak z pokoju Wiki dobiega głos Darii, któremu wtóruje cichy, jakby nieśmiały i nieco

tłumiony śmiech dziewczyny. Wszystko wskazuje na to, że rozprawiają o czymś w najlepsze, a ich niezbyt głośna, ale najwyraźniej nieskrępowana rozmowa przynajmniej na chwilę rozpędza gęsty, przygnębiający nastrój, jaki od paru dni niepodzielnie tu panował.

Mój przyjaciel siedzi z marsową miną przy stole, na którym pozostały nieuprzątnięte naczynia po obiedzie oraz jeden jeszcze nieużywany zestaw talerzy, który z pewnością czeka na mnie.

Mina nie jest strapiona, zrozpaczona albo przepęhiona bólem. Jest właśnie marsowa, a czoło Kamila groźnie się marszczy.

— Stało się coś, że tak wyglądasz? — pytam, zajmując obok niego miejsce.

— Nie wiesz, co się stało? — odpowiada pytaniem na pytanie. W jego głosie wyraźnie słychać irytację. — Dopadła cię skleroza?

— Nie o to chodzi. Wyglądasz tak, jakby cię ktoś właśnie porządnie wkurzył.

Siedzi bez ruchu, a po chwili zaczyna bębnić palcami w stół. Nie chcę naciskać, uznając, że jeśli zechce, to sam mi powie, co się stało. Nakładam sobie na talerz trochę ryżu, potrawki z kurczaka i surówki z kapusty pekińskiej. Wszystko wskazuje na to, że poza mną niewiele osób wykazało zainteresowanie czymś do jedzenia. Ryż jest już prawie zimny, ale potrawka nie zdążyła jeszcze za bardzo wystygnąć.

Od rana nic nie jadłem, więc łapczywie pochłaniam połowę tego, co mam na talerzu. Kamil wciąż wlepia we mnie zezłoszczony wzrok i wciąż bębni palcami o blat. W końcu nie wytrzymuje i mówi:

— Widzę, że apetyt ci niezłe dopisuje, panie Zdzichu.

— Nie jadłem nic od wczoraj... A czy to jakiś grzech, że chcę zjeść trochę ryżu?

— Ależ skąd. Proszę, może jeszcze sobie dołoż. — Bierze półmisek z ryżem i podaje mi go z usługną miną. Na usta Kamila wypełził złośliwy uśmiech.

Przejmuję od niego naczynie i odstawiam je tak, żeby po raz drugi nie mógł do niego dostać ze swojego miejsca.

— Możesz mi powiedzieć, co cię ugryzło, Kamil? — pytam już lekko zniecierpliwiony, odkładając widelec. — Zrobiłem coś nie tak? A może ktoś inny zrobił coś nie tak i się odgrywasz na mnie?

Patrzy mi w oczy i nagle poważnieje.

— Nic mnie, kurwa, nie ugryzło — zaczyna beznamiętnym tonem.
— Czuję się świetnie i to jest po prostu zajebiste, że moi przyjaciele też. Pan Zdzichu w najlepsze wpiernicza sobie obiad, aż mu się uszy trzęsą, jego narzeczona chichocze z moją córką w pokoju. — Lekko podnosi głos.
— Niezwykle mi miło, że po prostu tak się tutaj na Parkowej życie toczy jak gdyby nigdy nic.

Wstaję i zamykam drzwi na korytarz, żeby dziewczyny nie usłyszały, że w salonie zaczyna się sprzeczka, a Kamil kontynuuje:

— Może dziś wieczorem zejdziemy na dół i odpalimy piec do pizzy? Niech inni też się pocieszą z tego, że życie u Szykowiaków tak szybko wróciło na dawne tory. Wprawdzie niemal połowa rodziny leży jeszcze w kostnicy, ale co tam! Życie toczy się dalej, prawda, panie Zdzichu? Jutro...

— Wyhamuj, Kamil — próbuję mu przerwać, ale bezskutecznie.

— Jutro wyskoczmy na chwilę, załatwimy sprawę w kościele i na cmentarzu, a potem znów będziemy świętować powrót do normalności, prawda, przyjacielu? Jak dobrze, że jesteście z nami, na wyciągnięcie ręki!
— Teraz już mówi mocno podniesionym tonem. — I nie pozwalacie na...

— Na co nie pozwalamy? — tym razem wchodzę mu w słowo, ostro i bezceremonialnie. — Na twoje siedzenie z Wiktorią i wasze ciągle zadreżczanie się? Przeszkadza ci, że Darka na chwilę wyrwała ją z tego kręgu rozpacz, w którym tkwiła razem z tobą od soboty? Opanuj się, człowieku! Oboje to przeżywamy, jest nam ciężko, ale czego oczekujesz, stary? Czego oczekujesz ode mnie, od Darii? Od Wiktorii? Jeśli sprawa dotyczyłaby tylko ciebie, to najchętniej siedziałbym cały czas razem z tobą i pewnie chlalibyśmy razem na umór, bo taki rodzaj radzenia sobie ze smutkami i tragediami czasem facetom pomaga. Ale tu chodzi o twoją trzynastoletnią córkę, która musi sobie też z tym jakoś poradzić. Mało tego, ona uważa się za winną tego, co się stało, i jak jej pomagasz? Powiedz, co zrobiłeś, żeby się mogła choć trochę otrząsnąć, chociaż na moment zapomnieć? Daria siedzi tam teraz z nią i mogę ci przysiąc, że wcale nie jest jej łatwo, ale przynajmniej walczy. Jest nauczycielką, może jej to pomaga, ale na pewno walczy sama z sobą i udaje przed Wiki, że może myśleć o czymś innym, bo dzięki temu pozwala twojej córce spojrzeć na wszystko pod innym kątem. Ja siedzę teraz przy tobie...

— Jak chcesz, to możesz wypierdalać — odparowuje, ale w jego głosie brak jest stanowczości.

— Wiem, że mogę, ale nie chcę. Siedzę przy tobie, bo sądziłem, że tego właśnie potrzebujesz. Przy córce nie możesz się rozkleić, a przy mnie możesz, jeśli tylko chcesz. Ale ty, do kurwy nędzy, wolisz zapiekać się w tej swojej złości na cały świat, w żalu, bólu, zazdrości, że inni mają lepiej. Myślisz, że od tego tobie się poprawi? Jeśli tak sądzisz, to oświadczam ci, że jesteś w jednym wielkim pierdolonym błędzie. Kręcę się trochę po mieście ostatnio, rozpytuje, mam nadzieję, że coś mi się uda ustalić i, nie powiem, być może jest to swego rodzaju ucieczka, ale skoro chciałeś być z córką, to ja nie zamierzałem tego kwestionować. Może i było mi to na rękę, no ale też nie bywam na co dzień w tego typu sytuacjach, więc wybacz... Ale teraz? Jak nagle twoja córka na chwilę wróciła do życia, zapomniała, uśmiechnęła się dzięki Darii, to co? Ty masz o to żal? Weźże się, człowieku, trochę ogarnij!

Gdy kończę, Kamil przez dłuższy czas przygląda mi się, jakby to, co mówię, docierało do niego z opóźnieniem. Wreszcie spuszcza głowę, a jego plecy nagle się garbią. Wygląda tak, jakby ktoś nagle spuścił z niego powietrze.

— Nie wiesz wszystkiego — mówi cicho. — Może kiedyś ci powiem, ale nie wiesz wszystkiego... Niemniej jednak w bardzo wielu kwestiach masz rację. Przepraszam i... dziękuję. — Ostatnie słowo szepcze tak cicho, że ledwie je rozumiem.

Patrzę na swój talerz i stwierdzam, że nagle straciłem apetyt.

* * *

Siedzimy tak przy nieposprzątanym stole przez ponad dwie godziny. Rozmawiamy tylko od czasu do czasu. Parę razy próbuję wejść na trudny temat tragedii, ale za każdym razem Kamil wyślizguje się, jak piskorz, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że nie ma ochoty poruszać tej kwestii.

Wreszcie łapię się ostatniej — jak mi się wydaje — deski ratunku i przypominam przyjacielowi, że też nagle straciłem rodziców. Opowiadam, jak bardzo trudny było to dla mnie okres, ale też wspominam, że później sporo z tych traumatycznych przeżyć zatarł czas. Kamil kiwa głową, ale nawet nie wiem, czy potrafiłby powtórzyć ostatnich kilka moich słów. Ciągle mam nadzieję, że uda mi się go choć na chwilę wyrwać z tego bezbrzeżnego jeziora rozpacz, w którym tonie, że przynajmniej na moment uda mi się wykrzesać w jego oczach błysk życia, ale moje nadzieje spełzają na niczym.

Kończę opowiadać o tym, co tak bardzo mnie kiedyś dotknęło, a on tylko swoim zwyczajem patrzy w jakiś nieokreślony punkt na ścianie. Trwamy w ciszy może przez dwie minuty, a on stwierdza sucho:

— Rodzice nie powinni grzebać swoich dzieci.

Nie mam pojęcia, czy sugeruje w ten sposób, że dobrze się stało, iż moi odeszli przede mną, czy też może ma na myśli swoją obecną sytuację.

Na dworze zaczyna się powoli ściemniać. Właściwie rezygnuję już z dalszych prób przywrócenia Kamila do żywych, ale właśnie wtedy, być może trochę pod wpływem tego, co przed chwilą powiedział, przypominam sobie o Adrianie Zbieńskim.

— Pamiętasz twojego przyjaciela z dzieciństwa? — pytam. — Opowiedziałeś mi, że dzięki tej książce, dzięki „Cudownej podróży” uświadomiłeś sobie coś ważnego.

Kamil spuszcza głowę i wpatruje się w swoje oparte na udach przedramiona. Wiem, że stąпам po kruchym lodzie, i boję się trochę, czy nie przesadzam, przywołując dawne, trudne wspomnienia, ale kontynuuję:

— Jeszcze dużo życia przed tobą, jeszcze więcej przed Wiktoria. Nie pozwól, by wasze kolejne karty zostały zapisane tylko czarnymi literami. Ojciec Adriana przegrał życie, bo nie dość, że zabił własnego syna, to jeszcze nawet nie mógł go pocho... — Przerrywam w pół słowa, bo Kamil powoli podnosi głowę i przeraźliwie jednostajnym, upiornym wręcz ruchem odwraca ją w moim kierunku.

Jego oczy płoną.

To spojrzenie Szykowiaka jest najbardziej przerażającym, jakie do tej pory w życiu widziałem. Jest w nim szaleństwo, ból, niepewność i nienawiść. Rozpacz i beznadzieja. Żal i smutek. Determinacja i nieskończenie wiele znaków zapytania.

Życie i śmierć.

Wiem na pewno, że ta chwila i te płonące szarym ogniem oczy zostaną już ze mną na zawsze.

Czwartek

Kilka minut do pierwszej w nocy.

„Za dwanaście godzin już będzie po wszystkim, już będą w ziemi” — myślę, leżąc obok Darii na kanapie w salonie mieszkania Szykowiaków.

Za nami trudny wieczór. Po tym, gdy wspomniałem o Adrianie, mój przyjaciel całkiem zamknął się w sobie, a niedługo potem, gdy usłyszał, że drzwi od pokoju Wiktorii się otwierają, wyszedł na korytarz. Jego córka właśnie szła do toalety, dzięki czemu Kamil wykorzystał sytuację i zaszył się u niej na dobre. Daria pobyla tam jeszcze trochę, ale ponieważ dziewczyna przy ojcu znów przywdziała swoją woskową maskę, stwierdziła, że nic tam po niej.

Ani Kamil, ani jego córka nie chcieli kolacji, więc już do momentu, gdy trzeba było położyć się do łóżek, czas spędziliśmy w dwóch podgrupach.

Leżymy z Darką na łyżeczkę, opieram dłoń na jej prawym biodrze i choć ostatnio wymieniliśmy kilka słów parę minut temu, to wiem, że nie śpi. W pewnym momencie kładzie prawą rękę na mojej i kieruje pod koszulkę. Już sam zmierzam ku pełnym piersiom i zaczynam je delikatnie pieścić. Jej sutki reagują natychmiast, ja również czuję coraz większe podniecenie, lecz w pewnym momencie przypominam sobie o tym, gdzie i dlaczego jesteśmy. Moja dłoń najpierw zamiera, a potem wycofuje się i znów wraca na biodro Darii.

— Nie chcesz? — szepcze Darka.

— Nie, słoneczko, nie dzisiaj. Źle bym się z tym czuł, że... sam nie wiem, jak to powiedzieć.

Tak naprawdę dobrze wiem, jak to powiedzieć, tylko po co?

„Źle bym się z tym czuł, że robimy to w mieszkaniu Izy, podczas gdy ona ciągle nawet nie została jeszcze pochowana. Wiem, że to głupie, ale czułbym się jak ktoś, kto tańczy fokstrota na stypie. Poczekajmy z tym przynajmniej do jutra” — tak właśnie mógłbym powiedzieć, tylko po co, skoro Daria zna mnie już na tyle dobrze, by doskonale znać moje myśli.

Leżę jeszcze jakiś czas bez ruchu, a potem odwracam się plecami do mojej narzeczonej. Mam nadzieję, że już śpi, więc robię to możliwie najdelikatniej.

— Już nie chcę tutaj być, skarbie. Obiecuj mi, że wyniesiemy się stąd najszybciej, jak tylko to będzie możliwe — szepcze, a chwilę później czuję, jak jej ciałem wstrząsa bezgłośny szloch.

* * *

Jestem tchórzem.

Rano, jeszcze przed siódmą, szybko wstaję i zostawiam Darii kartkę, że pojechałem do domu po garnitur. Piszę też, że postaram się wrócić jak najszybciej, ale zapowiadam jednocześnie, że jeszcze koło ósmej muszę być w pizzerii, gdyby jakiś informator coś sobie przypomniał i chciał mi osobiście przekazać informacje.

Wiem, że Darka już wcześniej przywiozła sobie sukienkę, którą zamierza dzisiaj założyć. Wydaje mi się też, że będzie potrafiła się zająć Kamilem i Wiktoria o wiele lepiej wtedy, gdy będą tu tylko we trójkę, a ja pojawię się koło dziesiątej.

Wiem, wydaje mi się — gówno prawda.

Niewiele rzeczy w sobie jakoś szczególnie cenię, ale jedną z nich jest to, że po głębszym zastanowieniu potrafię rozszyfrować własne ściemy wobec samego siebie. Tak więc kiedy jadę autem w stronę Osiedla Solidarności, jest mi wstyd, że w tak trudnym momencie dla mojego przyjaciela, dla jego córki i mojej narzeczonej po prostu udaję, że mam ważne rzeczy do załatwienia, rejteruję, tłumacząc się jakimiś pierdołami, a tak naprawdę to strach mnie obleciał, i tyle. Co innego stawić czoło bandycie w ciemnym zaułku, co innego brać udział w policyjnej obławie zakończonej strzelaniną, a co innego być z kimś w obliczu śmierci kogoś z jego najbliższej rodziny. O nie, aż tak odważny to ja nie jestem.

* * *

Czarny garnitur razem z krawatem tego samego koloru wisi w szafie. Pamiętam, że ostatni raz miałem go na sobie podczas pogrzebu jednego z bliskich kolegów z komendy wojewódzkiej, który zginął podczas akcji z ręki goryla narkotykowego watażki. To było chyba z siedem lat temu, więc przechodzi mi przez myśl, że mogę nie zmieścić się w spodnie i mieć problemy z dopięciem marynarki.

Nic podobnego. Rower i ostatnie wydarzenia wyssały ze mnie sporo kilogramów, więc bez trudu zapinam się na pierwszą dziurkę w pasku, a marynarka jest na mnie zdecydowanie zbyt obszerna. Stoję bokiem do lustra w przedpokoju i, zapominając o bożym świecie, próbuję wypiąć brzuch, żeby ubranie leżało na mnie lepiej. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę z absurdalności swojego własnego zachowania i facetowi w lustrze zadaję pytanie:

— Całkiem ci odwalilo czy grasz na czas?

Nic nie odpowiada, ale chyba ta druga opcja jest prawdziwa. No, może nie do końca; powiedzmy, że bliższa prawdzie — bardziej gram na czas, a mniej mi odwaliło. Przynajmniej na razie.

Kończę przymiarki, biorę długi prysznic, a następnie równie długo się golę. Gdy mam to za sobą, bardzo dokładnie, wręcz z psychopatyczną starannością, prasuję białą koszulę, bacząc, aby nie pozostało na niej nawet mikroskopijne zagięcie.

Mam jeszcze kilka niezwykle ważnych i niecierpiących zwłoki zadań przed sobą, takich jak sprawdzenie prognozy pogody czy zejście na dół i otwarcie skrzynki na listy, ale jest już za dziesięć ósma, więc to może ostatecznie poczekać.

„Poczekać na kolejną sytuację, w której zrejterujesz, jak zwykły szczyl” — mówi mi w środku głowy ktoś, kogo bardzo nie lubię.

A może lubię? Sam już nie wiem. Mama zawsze mi powtarzała, że warto doceniać tych, którzy potrafią powiedzieć prawdę prosto w oczy.

— On mi tego nie mówi w oczy, mam — szepczę, zbiegając po schodach.

Chyba jednak zaczyna mi całkiem odwalać.

* * *

Jestem na miejscu trzy po ósmej. Jadąc, byłem pewien, że nikt nie będzie na mnie czekał i faktycznie, chodnik naprzeciw pizzerii jest pusty. Nie można tego jednak powiedzieć o samej ulicy Parkowej, która funkcjonuje jak gdyby nigdy nic. Uważam, że to nie fair, chociaż wiem — takie są realia. To trochę jak z tym rozbitym przedwczoraj samolotem Germanwings. Ułamek populacji, głównie europejskiej, cierpi z powodu straty bliskich, a dla pozostałych mieszkańców Starego Kontynentu tragedia jest tylko ciekawostką lub rzeczą, o której warto co najwyżej porozmawiać ze znajomymi. Dziś Ryków będzie Europą w skali mikro. Niby dwa pogrzeby, niby pożegnanie z trzema osobami, ale większość ludzi i tak będzie głównie zajęta swoimi sprawami. Wizytą u dentysty, kłopotami w pracy, zakupem farb z myślą o malowaniu domu, planowaniem zbliżającej się Wielkanocy.

Wiem, że tak naprawdę to powinienem pójść na górę, ale kontynuuję „grę w odwlekanie” i otwieram drzwi do Camillo, oszukując samego siebie, że posiedzę tu kwadrans, tak na wszelki wypadek.

Piętnaście minut upływa mi na zwalczaniu przemożnej ochoty, która spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Piwo w beczce podłączonej do

nalewaka pewnie po tylu dniach nie nadaje się do konsumpcji, ale chłodziarka z rządami równiutko poustawianych butelek jest wręcz nieprzyzwoicie kusząca. Boję się tego pogrzebu i wiem, że dwa, trzy piwa złagodząłyby te obawy.

„Jedno — myślę. — Tylko jedno i koniec”.

Na szczęście dokładnie w tej chwili do pizzerii wchodzi mój brat bliźniak.

Nie chodzi o to, że jest do mnie podobny fizycznie, ale o fakt, że jest ubrany dokładnie tak samo, jak ja. Czarny garnitur, czarny krawat i biała koszula. Wydaje mi się, że skądś znam tego faceta. Podchodzi, wyciąga rękę i mówi:

— Pan Mokryna, prawda? Moje nazwisko Ryszard Pikacz, pracuję w domu pogrzebowym.

Teraz go sobie przypominam. Pomagał Kamilowi wybierać model trumien, gdy byliśmy w Irysie, żeby załatwić konieczne formalności.

— A tak, teraz sobie przypominam — odpowiadam i ściskam jego chłodną i suchą rękę.

— Mamy dylemat. Dzwoniłem rano w tej sprawie do pana Sitarza z policji, żeby coś doradził, bo sprawa jest dość delikatna.

Mój rozmówca ma jakieś pięćdziesiąt lat. Jest trochę niższy ode mnie, ma ciemne, gęste i starannie przyszczyżone włosy oraz zadbane cienki wąsik. Przypomina trochę przedwojennego odźwiernego, którego zadaniem jest wprowadzanie gości na salony. Budzi zaufanie i sprawia wrażenie bardzo dyskretnego. Sądzę, że mógłbym wyrazić zgodę, aby po mojej śmierci zajął się moimi doczesnymi szczątkami. Jednym słowem — właściwy człowiek na właściwym stanowisku. Ciekaw jestem, czy od dziecka marzył, żeby zostać grabarzem.

— I co doradził?

— Żebym, zanim ewentualnie skontaktuję się z panem Kamilem Szykowiakiem, najpierw porozmawiał z panem. Podobno się panowie przyjaźnicie, pamiętam, że był też pan z nim u nas...

— Dobrze, więc o co chodzi?

— Pan nadinspektor Sitarz powiedział mi, że tutaj być może pana zastanę zaraz po ósmej.

Zrobiłem już wszystko, co w mojej mocy, by przeszedł do rzeczy, więc teraz już tylko patrzę na niego z uprzejmym zniecierpliwieniem na twarzy.

— Chodzi o palec córki pana Kamila — odpowiada beznamietnym głosem, a ja czuję się tak, jakby mi ktoś z całej siły przywalił pięścią w splot słoneczny.

Chyba to zauważył, ponieważ szybko dodaje:

— Obawiałem się reakcji pana Szykowiaka, dzisiaj jest pogrzeb jego córki i żony, więc to mogłoby być niestosowne, gdybym...

— Panie Pikacz, co z tym palcem?

— Potrzebna mi decyzja pana Kamila, ale skoro przed nim takie przeżycia, to pomyślałem, że może jego przyjaciel może ją podjąć. Nie chcę, żeby miał później pretensje, że...

— Strasznie pan owija w bawełnę. — Trochę już doszedłem do siebie i zaczynam chyba być niemiły. Jednocześnie powinienem zrozumieć człowieka. W końcu chyba nie tak często ma możliwość kontaktu z żywym klientem. — Proszę do rzeczy, jeśli uznam, że mogę, to postaram się zdecydować.

Kiwa głową raz, a dobitnie, jakby z wystudiowaną grzecznością.

— Otóż w działania policji najprawdopodobniej wkradło się ostatnio trochę chaosu. Mieliśmy ten pa... tę część ciała otrzymać po wszelkich badaniach w zakładzie medycyny sądowej najpóźniej we wtorek, ale sprawa chyba utknęła w martwym punkcie...

— To celowe czy z przyzwyczajenia? — warczę przez zęby, ale całkowicie zaskoczona mina Pikacza uzmysławia mi, że kompletnie nie wie, o co mi chodzi. — Dobrze, nieważne. — Macham ręką. — Proszę dalej.

Jest trochę speszony, ale to dobrze, bo resztę swojej sprawy wyłuszcza krótko i treściwie:

— Palec dostaniemy dopiero dziś, za pół godziny. Chcemy go umieścić w trumnie razem ze zwłokami, chodzi tylko o to, że gdyby kupić takie specjalne rękawiczki dla dziewczynki, do połowy palców, to można byłoby tak wszystko zamaskować, jakby nic się nie stało. O ile wie pan, co mam na myśli... — Tu zawiesza głos, ale ponieważ ja nie podejmuję tematu, to kontynuuje: — Oczywiście do zakładu medycyny pojedzie nasz wóz pogrzebowy. Szczątki traktujemy w takich sytuacjach z należyтым im szacunkiem; nawet jeśli chodzi o tak niewielki... niewielką część... to znaczy nawet jeśli chodzi o palec.

Waham się przez moment, ale w końcu decyduję, że faktycznie dobrze się stało, że Pikacz przyszedł z tą sprawą najpierw do mnie. Kamil dziś nie

powinien się zajmować tego typu rzeczami. Poza tym jestem właściwie pewien, że zgodziły się z moją opinią.

— W takim razie proszę załatwić to tak, aby możliwie najlepiej zamaskować uszkodzenie ciała.

— Obiecuję, że nic nie będzie widać.

— Czy w związku z tym należy się jakaś dodatkowa opłata?

— Dwieście złotych to byłoby aż nadto.

Wyjmuję portfel, płacę i zaraz potem zostaję sam.

Pikacz dobrze zrobił, że przyszedł najpierw do mnie, ale po tej rozmowie z nim już wcale nie jestem tak bardzo przekonany, czy chciałbym, aby to właśnie zakład Irys przygotowywał mnie do liczącej niecałe dwa metry wyprawy w głąb ziemi.

* * *

Postanawiam, że pójdę na górę o wpół do dziesiątej, i to zwlekanie mści się na mnie po kilku minutach.

Drzwi od Camillo otwierają się i do środka wtacza się dwóch strażników miejskich w pełnym rynsztunku. Każdy z nich wyposażony jest w mundur, gaz, notatnik w skórzanym etui, służbową tonfę i mętne spojrzenie spod błyszczącego daszka.

— Pan Zdzisław Mokryna? — pyta starszy.

— Zgadza się, a o co chodzi? Źle zaparkowałem?

Przedstawia się, a potem znów zadaje mi pytanie:

— Czy to pan rozwiesił ogłoszenia na terenie całego Rykowa?

— Tak.

— W wielu przypadkach wiszą w niewłaściwych miejscach. Jestem zmuszony wezwać pana do ich usunięcia. — Sięga po pokrowiec i okazuje się, że ma w nim również bloczek mandatowy. — A także do ukarania pana mandatem karnym kredytowanym w wysokości stu złotych. Czy przyjmuje pan mandat?

— Czytał pan, co jest na tych ogłoszeniach? — pytam spokojnie, ale czuję, że moja cierpliwość właśnie przed chwilą została wystawiona na nie lada próbę.

— Tak, czytałem. I tu jest jeszcze dodatkowy problem.

— Jaki mianowicie? Za małe litery czy może treść zbyt zawija?

Dwie pary rybich oczu lustrują mnie beznamiętnie. Tym razem odpowiada mi młodszy z funkcjonariuszy:

— Zamieścił pan na tym ogłoszeniu wizerunek osoby, bez zgody sądu. Zarzuca pan jej porwanie, a zdaje się, że nie ma na to jeszcze nawet cienia dowodu. No ale to już jest sprawa do rozpatrzenia przez inne organy władzy. Nam zależy na tym, aby miasto nie było zaśmiecanie tego typu makulaturą.

Gdy weszli, siedziałem przy stoliku. Teraz wstaję i podchodzę do nich.

— Wiecie, co o was mówią na mieście?

— Mniej więcej wiemy, ale niech się pan zastanowi, czy na pewno chce pan nam to przekazać — odpowiada mi starszy. — Jeśli pan się zagalopuje, to może pan również dostać mandat za znieważenie funkcjonariusza.

— Dobrze, najwyżej jakoś to będę musiał znieść. Mówią o was na mieście, że bardziej dbacie o mandaty za różnego typu pierdoły niż o bezpieczeństwo mieszkańców. Prawda to? — Pytanie zawisa w próżni, a ja kontynuuję: — Ciekaw jestem, gdzie byliście dziewiętego marca, gdy zostały porwane córki mojego przyjaciela. Jedna z nich już nie żyje i dziś o jedenastej rozpocznie się jej pogrzeb. Drugiej jeszcze nie odnaleziono. Pewnie też już jest martwa, ale dopóki nie będę miał co do tego pewności, to będę jej szukał do utraty tchu i z wykorzystaniem wszelkich możliwych środków. Jeśli trzeba będzie, to ogłoszenie powieszę waszemu komendantowi na czole i nie odwiedzie mnie od tego żaden mandat, panowie. Może i te ogłoszenia nie zdobią miasta, ale są one rozwieszane, ponieważ dają szansę na odnalezienie jednej z mieszkańek Rykowa. I tak naprawdę to powinno być dla was ważne, a nie jakieś pieprzone mandaty za tę — jak to jeden z panów określił — makulaturę.

— Wykonujemy tylko nasze obowiązki — próbuje bronić się starszy, ale z tonu wnoszę, że sam nie jest przekonany do tego, co stara mi się wmówić.

— Może i tak, ale również i przy wykonywaniu obowiązków trzeba czasem spojrzeć na sprawę trzeźwo i z empatią.

Strażnicy spoglądają na siebie. Starszy z wyrazem niezdecydowania na twarzy stuka białym w otwartą lewą dłoń, aż wreszcie mówi:

— Poprzestaniemy dziś na pouczeniu, panie Mokryna. Proszę usunąć te ogłoszenia w możliwie szybkim terminie. Bardzo współczujemy panu Szykowiakowi, wiemy, że stracił też żonę, ale jesteśmy u pana dziś na wyraźne polecenie szefa. Będziemy się musieli gęsto tłumaczyć z tego, że nie ukaraliśmy pana mandatem.

— Proszę powiedzieć, że mnie nie zastaliście. Ja was nie wsypię, bez obaw.

Młodszy z funkcjonariuszy w ogóle już na mnie nie patrzy, natomiast starszy zdejmując czapkę i z zadumą drapie się w purpurową łysinę.

— Dobrze — mówi. — Niech tak będzie, ale proszę się spodziewać powtórnej wizyty. Nasz komendant raczej tak łatwo nie odpuści.

Po tych słowach wciska czapkę na głowę i kieruje się do wyjścia. Jego młodszy kolega drepcze jego śladem, a ja mam jeszcze ochotę zapytać, dlaczego żadnego ze strażników miejskich nie widziałem w mieście i okolicach, gdy trwały poszukiwania dziewczynek. Odpuszczam jednak. To zapewne decyzja tego ich ważniaka, a oni sami i tak się dziś najedli trochę wstydu. Niewykluczone też, że po prostu akurat tak się złożyło, że nie natknąłem się podczas akcji na żadnego z nich. Wolę, aby tak właśnie było i przestaję się nad tym głowić. I tak niczego to nie zmieni. Przynajmniej jeśli chodzi o to konkretne porwanie oraz wszelkie jego następstwa.

* * *

Początek mszy pogrzebowej zaplanowano na godzinę jedenastą w rykowskim kościele położonym nieopodal rynku. Trzy kwadransy wcześniej ma nastąpić pożegnanie Julki i Izy przez najbliższych w specjalnie do tego przeznaczonych sali zakładu pogrzebowego Irys. Przez najbliższych, czyli przez Kamila, Wiktorię, Darkę i mnie.

Jedziemy we czwórkę moim autem.

Tuż przed wyjściem z mieszkania Daria powiedziała mi na osobności, że Kamil zaaplikował sobie i Wiki trochę większą niż zwykle porcję środków uspokajających. Ja natomiast z nich zrezygnowałem — przede wszystkim ze względu na konieczność prowadzenia samochodu.

W progu firmy Irys zostajemy przywitani przez człowieka z cienkim wąsikiem, który odwiedził mnie rano w Camillo. Jest bardzo dyskretny i zachowuje się niezwykle taktownie. Zupełnie tak, jakby był, a chwilę potem całkiem zniknął — w zależności od potrzeb pogrążonych w smutku żałobników. Idziemy za nim wąskim korytarzem, a ja zastanawiam się, jak to jest wykonywać taki zawód. Wcinasz rano parówki z musztardą, później preparujesz zwłoki, by ładnie wyglądały w trumnie. Na drugie śniadanie kanapka, a potem sam sobie wybijasz z głowy sprawy kulinarne, by empatycznie i profesjonalnie obejść się z bliskimi tych, po których została już jedynie cielesna powłoka. Z pewnością nie są to rozważania na miejscu,

niemniej jednak jestem im wdzięczny za to, że choć na chwilę odgoniły moje myśli od tego, co będzie się działo za drzwiami, które właśnie otwiera mistrz ceremonii.

Na środku sporego pomieszczenia stoją dwa katafalki z trumnami. Jedna większa, dębowa, a druga mała, pomalowana na biało. Ich wieka oparte są o ścianę, a we wnętrzach widać dwie postaci — kobiety i dziewczynki. Obie wyglądają tak, jakby spały, nie widać żadnych uszkodzeń ich ciał, ale wiem, że to tylko profesjonalna robota Ryszarda Pikacza lub jego kolegów z firmy. Drugie, na co zwracam uwagę, to palec Julki. Jest tak fachowo ucharakteryzowany, że zupełnie nie widać, iż był wcześniej odcięty. Kątem oka zezuję na Kamila, ale jemu w głowie zupełnie inne rzeczy.

O ile ja staram się skupić myśli na jakichś mniej istotnych sprawach, o tyle on stoi w nogach obu trumien i patrzy na swoją żonę oraz córkę, a z jego oczu płyną łzy. Wiki jest przerażona, stoi pół kroku z tyłu, a bladość twarzy niewiarygodnie wręcz ostro kontrastuje z czarnymi jak smoła włosami. Kamil podchodzi do Julki i całuje ją w czoło. Później obchodzi trumny i staje obok Izy. Przez chwilę czule pieści jej włosy, a potem całuje w policzek, na którym zostaje jego łąza. Wiki wygląda tak, jakby miała za chwilę upaść, więc na wszelki wypadek staję obok niej. Widzę, że nie zdecyduje się na podobne gesty jak tato, więc obejmuję ją delikatnie i prowadzę w stronę krzeseł ustawionych pod jedną ze ścian.

Daria siada obok nas, a Kamil jeszcze przez dłuższą chwilę stoi przy trumnach z takim wyrazem twarzy, jakby zupełnie nie wiedział, co się dzieje. Potem klęka i zaczyna się modlić, a my we trójkę idziemy za jego przykładem.

* * *

To intymne pożegnanie ze zmarłymi trwa około dziesięciu minut.

Pikacz, który po wprowadzeniu nas do sali w niewytłumaczalny sposób się ulotnił, znów się materializuje i cicho mówi:

— Już czas, proszę państwa, jeśli mamy zdążyć na jedenastą.

Kamil prosi o ostatnie dwie minuty.

Siedzimy we czwórkę na krzesłach, zupełnie się do siebie nie odzywając. I wtedy nagle Wiktoria wstaje i podchodzi najpierw do trumny, w której spoczywa jej mama, a później przechodzi do tej drugiej, mniejszej. Dopiero wtedy, gdy zaczyna manipulować przy zamknięciu swojej dużej szkolnej torby, zauważam, że ma ją ze sobą. Prawą ręką podnosi klapę,

a lewą wyjmuję coś burego i kładzie w trumnie Julki, a potem podchodzi do nas i mówi:

— Teraz możemy już iść.

Gdy się podnoszę z miejsca, dostrzegam, że Wiki przyniosła Julce misia Zygmunta, którego dałem jej, jak pierwszy raz odwiedziłem dom Szykowiaków. Widzę, że Daria, która również nie wzięła środków na uspokojenie, zaczyna płakać. Chwyta mnie kurczowo za przedramię, a moje niesforne myśli wędrują do znajdującego się nad pizzerią Isabella e Camillo pokoju dziewczynek, w którym został jeszcze trochę podobny do burego misia biały zając. Zastanawiam się, czy Wiki przyniesie go także Oli zaraz przed kolejnym pogrzebem.

* * *

Nabożeństwo rozpoczyna się punktualnie o jedenastej.

Rano sądziłem, że Ryków będzie Europą w skali mikro, że większość ludzi o jedenastej będzie zajęta swoimi sprawami, ale kiedy rozglądam się wokół, to mam wątpliwości, czy miałem rację.

Neogotycki, wydawałoby się, że zbyt duży jak na taką miejscinę kościół, pod wezwaniem Aniołów Stróżów, dosłownie pęka w szwach, a kiedy wchodziliśmy do środka, zauważyłem, że sporo osób stoi także na zewnątrz.

W pierwszych rzędach jest mnóstwo dzieci. Od razu widać, że nie pojawiła się tu tylko klasa Julki, ale też zarówno starsi, jak i młodszy uczniowie szkoły, do której chodziły córki Kamila. Są też ludzie w różnym wieku — od młodzieży gimnazjalnej po sędziwych emerytów. Widzę Mamaja z rodziną. Nie brakuje władz miasta. Obok burmistrza dostrzegam posła Skowrana, który gdy orientuje się, że na niego patrzę, speszony spuszcza wzrok.

Większość kobiet płacze, wielu mężczyzn ma zaczerwienione oczy, ale gdy ksiądz rozpoczyna nabożeństwo, zgromadzeni w świątyni ludzie przestają się dla mnie liczyć. Widzę tylko dwie trumny, które stoją obok siebie. Jedna brązowa, o standardowych rozmiarach, a druga, pomalowana na biało, zdaje się wręcz nieprzyzwoicie mała.

„To niesprawiedliwe” — myślę, a potem zastanawiam się, jakie myśli mogą się teraz kłębić w głowach Kamila i Wiktorii, by ostatecznie zrozumieć, że po prostu nie jestem w stanie tego ogarnąć. Odpływam więc w swego rodzaju trans. Śpiewy prowadzącego nabożeństwo księdza i odpowiadających mu wiernych, monotonne głosy podczas czytań

i kazania, lekko przytępiający zmysły dym z kadzidła, dzwonki i gong podczas podniesienia, perfumy zgromadzonych wymieszane z zapachem potu. Wiem, że za kilka dni niewiele będę z tego wszystkiego pamiętał, poza kilkoma pytaniami, które uparcie powracają do mnie co kilka minut...

Gdzie byliście, Aniołowie Stróżowie, w poniedziałek dziewiątego marca?

Jak można modlić się do kogoś, kto pozwala na takie rzeczy?

I ostatnie, wręcz nieprzyzwoicie banalne...

Czy warto w ogóle tutaj być i wznosić modły do kogoś, kogo pewnie i tak nie ma?

Bo przecież gdyby istniał i był — jak mówią — dobry, to przecież oczywiście jest, że nie pozwoliłby na coś takiego. Nie pozwoliłby, prawda?

* * *

Po mszy żałobnej znów przemierzamy się do Rykowa Górnego, tym razem mijając zakład pogrzebowy i zmierzając w kierunku cmentarza.

Jedziemy samochodami, sprzeniewierzając się lokalnej tradycji, która preferuje piesze przebycie tych kilku kilometrów. Takie rozwiązanie bardzo gorąco doradzałem Kamilowi, sugerując, że po pierwsze, nie ma sensu przedłużać całej uroczystości, a po drugie, dzięki przejazdowi zmniejszy się liczba osób na cmentarzu. Okazuje się, że miałem rację, ponieważ poza dwoma karawanami, samochodem księdza i naszym w żałobnej kawalkadzie podąża nie więcej niż dziesięć samochodów.

Po wyjęciu trumien z aut i przejściu na miejsce pochówku wszystko toczy się już błyskawicznie. Krótkie pożegnanie przy szerokim, mającym pomieścić dwie trumny grobie, opuszczanie ich na dół i ten okropny huk ziemi o ich wieka, nagłaśniany rezonans w połowie pustych przestrzeni. Pracujący jak maszyny grabarze i rozchodzący się z wolna w ślad za księdzem ludzie.

Wreszcie zostajemy we czwórce nad nowo uformowaną, udekorowaną kilkoma wieńcami i kilkunastoma wiązkami kwiatów mogiłą. Wciąż nie możemy uwierzyć w to, co się stało, jednak tabliczka przymocowana do krzyża, na której widnieją dwa znajome imiona i jedno nazwisko nie pozwala ludzić się, że coś nam się po prostu przywidziało.

Kamil wzdycha ciężko i mówi:

— No i po wszystkim. Chodźcie, pójdziemy teraz jeszcze w jedno miejsce.

Rusza, obejmując Wiktorię ramieniem. Daria patrzy na mnie, nieco zaskoczona, ale posłusznie idzie w ślad za moim przyjacielem, a ja zamykam ten przedziwny, zważywszy na okoliczności, czteroosobowy pochód.

Mijamy kolejne groby, przemierzamy alejkę za alejką. W pewnym momencie mój wzrok przyciągają dwa usytuowane obok siebie groby, w których spoczywają dwaj wiekowi mężczyźni o tym samym nazwisku. Adolf i Władysław Krawczykowie. Na tabliczce tego drugiego napisano, że był olimpijczykiem i mistrzem Polski w boksie. Adolf nie zapisał się najwyraźniej niczym szczególnym. „Ciekawe, czy byli braćmi?” — zastanawiam się.

Minutę później Kamil przystaje przy jednym z lastrykowych nagrobków. Na fotografii nagrobnej dostrzegam uśmiechniętego, mniej więcej dziesięcioletniego chłopca z szopą blond włosów na głowie. Nie muszę czytać wyrytych w płycie napisów, by zorientować się, że tutaj spoczywa Adrian Zbieński, przyjaciel Kamila z czasów wczesnej podstawówki, zabity wiele lat temu przez swojego ojca w tym samym mieszkaniu i prawdopodobnie na tym samym łóżku, co Zuzanna Jaworska.

Kamil przykuca, kładzie dłoń na płycie nagrobnej i mówi:

— Adek, ty już tam jesteś od jakiegoś czasu i wiesz co i jak... Zaopiekuj się nimi, żeby nie czuły się obco w nowym miejscu, przyjacielu. Wiem, że mogę na ciebie liczyć. — Szykowiak milknie na chwilę, ale wygląda tak, jakby nie był pewien, czy powiedział wszystko, co trzeba. Po chwili dodaje: — A jeśli mógłbyś zrobić coś w sprawie znalezienia Oli... To... to wiesz. Byłbym ci za to po prostu bardzo wdzięczny.

* * *

Obawiam się o Kamila chyba jeszcze bardziej niż o Wiki.

Jego zachowanie przy grobie Adriana zapala w mojej głowie pierwszą lampkę ostrzegawczą, a to, co dzieje się po naszym powrocie do mieszkania przy Parkowej, sprawia, że lampka przekształca się w ogromną pulsującą na czerwono latarnię.

Po raz pierwszy od czasu, gdy tymczasowo zamieszkaliśmy tu z Darią, tuż po tym, gdy Kamil wraz z córką zniknęli w pokoju, słyszę dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Zostaję z moją narzeczoną odcięty od gospodarzy i zupełnie nie wiem, co o tym myśleć.

Przez całe popołudnie i wieczór do naszych uszu docierają na przemian to odgłosy cichej rozmowy, to podniesiony ton, jakim mówi do ojca Wiki,

to trwająca nawet kilkadziesiąt minut głucha cisza. Wychodzą tylko do toalety, by potem znów zamknąć się w swoim własnym dwuosobowym świecie.

Daria jest również bardzo zaniepokojona, ale równocześnie rodzi się w niej coś w rodzaju żalu podszytego buntem.

— Zobacz — mówi, gdy już przed zaśnięciem leżymy w salonie — jesteśmy tu z nimi, a oni w ogóle nas nie potrzebują. Chyba jednak powinniśmy dać sobie z tym spokój i pozwolić im samym dojść jakoś do siebie, pogodzić się z tym wszystkim...

Przytulam ją i szepczę:

— Dobrze, słoneczko. Postaram się porozmawiać z nim jutro. Też mi jest z tym ciężko, ale musimy chyba zrozumieć Kamila. To rozsądny facet i nawet w obliczu niewyobrażalnej tragedii mam nadzieję, że wie, co robi.

Przed zaśnięciem słyszę, jak Kamil wchodzi do salonu, otwiera umiejscowioną w aneksie kuchennym szafkę z lekarstwami, wyjmuje z niej coś, a potem idzie najpierw do Wiki, a później do swojego pokoju. Uważam, że to dobry znak i dzielę się tym spostrzeżeniem z Darką:

— Zobacz, wezmą teraz trochę środków na uspokojenie, wyśpią się w swoich łóżkach i jutro wszystko będzie lepiej. Zobaczysz.

Mówię to z pełnym przekonaniem, poniekąd zaklinając rzeczywistość, a poniekąd faktycznie mając nadzieję, że tak właśnie będzie.

Piątek

Budzę się, gdy jest jeszcze prawie całkiem ciemno, i czuję, że muszę pójść do toalety. Zwlekam z tym przez jakiś czas, ponieważ nie chcę budzić przytulonej do mnie Darii. Nie mam też ochoty wygrzebywać się spod cieplej pościeli, ale wreszcie stwierdzam, że dłużej już nie wytrzymam.

Siedzącego w półmroku ubranego tylko w szorty Kamila dostrzegam dopiero w drodze powrotnej. Opiera się o prawą ścianę korytarza, tuż przed drzwiami do pokoju Wiktorii. Nogi ma wyprostowane, ręce ułożone wzdłuż tułowia wspierają się dłońmi o podłogę po obu stronach ud. Jego głowa zwisa luźno, opierając się brodą o klatkę piersiową. Mój przyjaciel wygląda jak porzucona marionetka, którą znudziło się jakieś rozkapryszone wielkie dziecko.

Jestem przerażony. Natychmiast dopadam do niego i przyklękam, jednocześnie gwałtownie szarpiąc go za lewe ramię. W ogóle nie reaguje.

— Kamil? — mówię półgłosem, jednocześnie lekko uderzając wierzchem dłoni o jego policzek. — Kamil, co z tobą?!

Dopiero po chwili otwiera oczy i patrzy na mnie półprzytomnym wzrokiem. Oddycham z ulgą.

— Co z tobą, stary? — pytam. — Czemu nie jesteś w łóżku?

Potrząsa głową, jakby chcąc w ten sposób przyspieszyć powrót do rzeczywistości. Mówi coś, ale nie jestem w stanie zrozumieć nawet jednego słowa.

— Chodź, pomogę ci wrócić do łóżka — mówię, po czym wstaję i próbuję go podnieść.

Najpierw zupełnie nie reaguje, a później lekko kręci głową.

— Zostaw mnie, panie Zdychu — mówi. — Zostaw... Jeszcze tu chwilę tak posiedzę i wracam do siebie. Przepraszam, że cię wystraszyłem. — Jego głos brzmi już teraz prawie całkiem normalnie. Wygląda na to, że po prostu spał głębokim snem.

— Poczekam tu.

— Nie, idź do siebie. Zaraz zrobię to samo, obiecuję — mówi i trzeźwo spogląda mi prosto w oczy.

Serce wali mi wciąż bardzo mocno, ale widzę, że chyba faktycznie nie mam już powodów do obaw.

— Dobrze, ale jeśli nie usłyszę, że idziesz do swojego pokoju w ciągu trzech minut, to wrócę i zaciągnę cię tam siłą.

Kiwa głową na znak zgody, a ja wracam do łóżka.

Zaraz potem słyszę jego ciężkie kroki, a następnie odgłos zamykanych drzwi.

Wydaje mi się, że nie uda mi się już zasnąć, ale pięć minut później znów tonę w objęciach swoich wciąż niemających ochoty mnie opuścić sennych koszmarów.

* * *

Daria wstaje jako pierwsza i zaczyna krzątać się w kuchennej części salonu, co sprawia, że i ja opuszczam łóżko.

Jest w pół do dziewiątej. Opowiadam o porannej sytuacji i postanawiamy sprawdzić, czy u Kamila i Wiki wszystko jest w porządku. Darka idzie do pokoju dziewczyny, a gdy słyszę, że rozmawiają, udaję się do sypialni mojego przyjaciela. Leży ze wzrokiem wbitym w sufit, podkładając dłonie pod głowę.

— Nieźle mnie rano wystraszyłeś — mówię. — Wszystko w porządku?

— Tak, wiem, przepraszam. A jeśli chodzi o to, czy wszystko jest w porządku, to nie, nie jest. Nic nie jest w porządku.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc po prostu się wycofuję. Mam wrażenie, że w obecnej sytuacji mogę go rozdrażnić każdym słowem. A jeśli się nie będę odzywał, to zirytować go może moje milczenie.

* * *

Wydaje mi się, że Daria kończy dziś lekcje kwadrans po czternastej, ale na wszelki wypadek upewniam się, czy mnie nie zawodzi pamięć. Okazuje się, że nie, więc ustalamy, że tego dnia wrócimy tutaj, do domu Kamila i Wiki, o w pół do trzeciej. Żadne z nas nie mówi tego głośno, ale chyba oboje czujemy, że faktycznie nadchodzi pora odpowiednia do tego, by zostawić ich samych, ponieważ zaczynamy się tutaj czuć jak nieproszeni goście.

Wychodzimy razem. Daria do szkoły, a ja chcę zawieźć do domu ten cholerny garnitur i trochę pobyć w samotności. Pytam, czy ją podwieźć, ale mówi, że woli się przejść i pooddychać trochę świeżym powietrzem, rozstajemy się więc przy bramie, na pożegnanie mocno się do siebie przytulając. Patrzę, jak ona żwawym krokiem zmierza po chodniku i, zadając sobie pytanie: „Skąd w niej tyle energii?”, trochę jej zazdroszczę. Potem wlokę się ciężko do auta, siadam za kierownicą i przez jakiś czas tępo wpatruję się gdzieś przed siebie. Może po dwóch minutach przekręcam kluczyk w stacyjce i ruszam.

Dopiero wtedy widzę starszą kobietę w beżowym, trochę przybrudzonym płaszczu i kwiecistej chustce, która stoi przy drzwiach pizzerii, rozglądając się niepewnie wokół siebie.

„Następna, która pewnie widziała Pokocia na 1 Maja” — myślę i mam ochotę odpuścić sobie rozmowę z nią i po prostu dodać gazu. Pamiętam jednak o moim postanowieniu, że nie zlekceważę nawet najmniej wiarygodnego tropu. Wycofuję zatem na zwolnione przed momentem miejsce przy krawężniku.

* * *

Podchodząc do babuleńki, uświadamiam sobie, że klucze od Camillo zostawiłem na górze, więc decyduję, że tym razem rozmowę przeprowadzę na zewnątrz. Zakładam, że będzie ona bardzo krótka.

— Dzień dobry pani — mówię, stając obok kobiety. — Pani może w sprawie ogłoszenia?

Myślę, że może mieć osiemdziesiąt pięć, a może nawet dziewięćdziesiąt lat. Jest już dość mocno przygarbiona, a jej twarz poorana jest siecią niezliczonych zmarszczek. Na chodniku przy witrynie pizzerii stoi na wpół zapełniona kraciasta torba. Zakładam, że jest bardzo lekka, bo w przeciwnym razie kobieta z pewnością nie dałaby rady jej sama przytaskać.

— Dzień dobry — odpowiada. — Tak, przeczytała żem ogłoszenie, widziała zdjęcie. Ja w sprawie ogłoszenia. — Jej bezzębne wargi poruszają się lekko, gdy mówi, lekko sepleniąc.

— To ja je rozwiesiłem. Przepraszam, że nie zaproszę pani do środka, ale nie mam przy sobie kluczy.

Macha ręką.

— I tak się spieszę na pekaes. Nie mam dużo czasu.

— To ja w takim razie panią podwiozę i w tym czasie wszystko mi pani opowie, dobrze?

— Dobrze, młody człowieku, dobrze.

Chcę pomóc jej z torbą, ale stwierdza, że sama da sobie radę, więc ruszamy do auta. Ja przodem, ona za mną. Pomagam jej usiąść na fotelu pasażera, ale pasów nie pozwala zapiąć, ponieważ upiera się, żeby torbę trzymać cały czas na kolanach. Nie protestuję. To przecież tylko kilka przecznic.

Włączam się do ruchu i zachęcam ją do opowiedzenia swojej historii. Zakładam już, że się pomyliłem i nie mam do czynienia z mieszkanką

1 Maja. Ona potwierdza to już na samym początku swej opowieści:

— Raz na czas przyjeżdżam tu na targ, proszę pana. Przeważnie siedzę u siebie, w Opiołach, i nigdzie się nie ruszam, bo syn nie pozwala, ale czasem przyjeżdżam. W piątki targ jest w Rykowie, można rzeczy potrzebne w gospodarstwie tanio kupić.

Opioly to licząca kilka gospodarstw wioska położona jakieś osiem kilometrów stąd. Byłem tam wielokrotnie na rowerze.

— Czyli mieszka pani w Opiołach i prowadzi pani gospodarstwo?

— Ja, to już tylko tak tyle, co dla siebie. Gospodarkę oddała żem synowi za rentę od państwa, ale on, to, panie... — Kobieta macha ręką z rezygnacją. — ...inne ma sprawy na głowie. Niedobre. Żle żem go wychowała, panie, bardzo źle...

— A co z tym ogłoszeniem?

— A no właśnie. Bo ja żem widziała tego pana ze zdjęcia. Był u mojego syna. Rozmawiali.

— Jest pani pewna, że to ten sam?

— Ten sam — mówi zdecydowanie i potwierdza jeszcze swoją opinię kiwnięciem głowy.

— Dawno to było?

— Może ze dwie albo trzy niedziele temu. Jakoś chyba tak, ale żem nie jest całkiem pewna.

— A o czym rozmawiali?

— Panie, ja to nie wiem. Przez okno żem go widziała, jak z moim synem gadał.

Parkuję przy dworcu autobusowym.

— Tylko prośbę mam — mówi, zbierając się już do wysiadania.

— Żeby syn mój się nic nie dowiedział, że to ja żem panu znać dała. I tak już mieszkam w starej chałupinie, a gdyby się na mnie zdenerwował, to mógłby i z tego domu wyrzucić.

— Niech pani będzie spokojna. Na pewno się nie dowie.

— To dobrze. Trochę mnie strach panu o tem mówić, no ale tych dzieciowinek to tak mi szkoda, że aż serce się kraje, panie...

— Dobrze, dziękuję bardzo, że się pani fatygowała.

— Proszę, młody człowieku, proszę... Żal, panie, tych dzieciowinek, żal... To musi być zły człowiek, panie, że coś takiego robi. Trza go złapać, panie, trza koniecznie...

Zamyślam się i nie pomagam jej przy wysiadaniu, ale sama daje sobie jakoś radę. Gdy odpowiadam na jej „do widzenia” i zostaję sam w samochodzie, uświadamiam sobie, że nie podała mi nawet numeru domu. Wiem, że to nie ma sensu, ale na wszelki wypadek wysiadam i ruszam jej śladem.

* * *

Opioły osiem.

W domu zastanawiam się, czy informować Sitarza o tak mętym śladzie. Biję się z myślami chyba ze trzy godziny, aż wreszcie, parę minut po południu, jednak biorę telefon i wstukuję numer nadkomisarza. Zastrzegam, że z pewnością nic z tego nie będzie, ale sugeruję, żeby podesłał kogoś na miejsce. Na pytanie, skąd mam te informacje, zgodnie ze słowem danym staruszce, nie odpowiadam.

* * *

Dochodzi druga, gdy odbieram telefon od Sitarza. Biorąc aparat do ręki, zastanawiam się, czy przeproszać go za informację o fałszywym tropie, czy nie. Zaraz potem jednak przestaję już mieć tego typu dylematy.

— Panie inspektorze! — Jest tak podekscytowany, że prawie krzyczy do słuchawki. — Znaleźliśmy auto Jaworskiej.

— Ale jak to, gdzie? — Jestem tak zaskoczony, że nawet nie przechodzi mi przez myśl, że stało się to dzięki pozyskanym przeze mnie informacjom.

— Tam, gdzie pan mówił. W Opiolach, pod numerem ósmym. Właśnie tam jadę. Przyjedzie pan?

— Oczywiście! A wie pan już może coś na temat tego, co jest w samochodzie?

— Chłopaki właśnie zaczęli oględziny. Wiem niewiele. Tylko tyle, że w oplu są rzeczy, które należały do dziewczynek, a w bagażniku odkryto zwłoki i jakieś zapisane kartki. Na maszynie do pisania.

Przez moment nic nie mówię. Jest mi smutno i mam żal do całego świata, że to, co przechodziliśmy we czwórkę poprzedniego dnia, tak szybko będzie trzeba powtórzyć. Przez myśl przechodzi mi absurdalna wątpliwość, czy grabarze poszerzą dla Oli mogiłę, czy też postawią jej trumnę na tych dwóch zakopanych wczoraj.

— Halo, panie Mokryna? — Sitarz najwidoczniej zastanawia się, czy połączenie nie zostało przypadkiem przerwane. — Jest pan tam?

— Tak, jestem — odpowiadam pełnym rezygnacji głosem. — Spotkamy się na miejscu. Myśli pan, że powinienem już teraz podjechać

do Szykowiaka, żeby poinformować go o znalezieniu zwłok Oli?

Policjant przez chwilę milczy, więc zakładam, że zastanawia się nad odpowiedzią, a potem odchrząkuje i mówi niepewnie:

— Panie inspektorze, już sam nie wiem, wszystko mi się z tych emocji miesza... Czy ja wspomniałem coś, że te odnalezione zwłoki to ciało najmłodszej córki pana Szykowiaka?

— Nie, pan nic nie wspominał, ale dla mnie to oczywiste, bo spotkałem ostatnio w kamienicy...

— Nie, panie Mokryna! Bogu dzięki, już myślałem, że coś ze mną nie tak... W bagażniku tkwią szczelnie owinięte w przezroczystą folię zwłoki Mieczysława Zbieńskiego.

Nimb

N N I M M BBBB
NN N I MM MM B B
N N N I M M M BBBB
N NN I M M B B
N N I M M BBBB
TYTUŁEM WSTĘPU

Jeżeli to czytasz przed pierwszym kwietnia, to znaczy, że coś poszło nie po mojej myśli.

Szanse na taki scenariusz są nikłe (oceniając je na 10%), niemniej jednak słabe ogniwa zdarzają się w każdym, nawet najlepiej opracowanym planie.

Jeżeli to czytasz przed pierwszym kwietnia, to znaczy, że stało się jasne, iż Mieczysław Zbieński nie jest moim współnikiem (precyzyjnie rzecz ujmując - już za kilka godzin nie będzie). Przydaje się, pomaga jak może, było, minęło i jest. Ale nie będzie. Dziś w nocy niczego niespodziewający się Miecio poległ na polu chwały. Ofiara w ważnej sprawie. Jak miliony. Nie wierzysz? Zapytaj polityków i generałów.

3% zagrożenia - Opiola.

Na takiej wsi dwa tysiące to majątek, a cztery to fortuna. Zwłaszcza jeśli jest to cena za przechowanie samochodu przez niecałe trzy tygodnie. Jednak na takiej wsi osoby pokroju Józka Opioly lubią się chwalić kolegom przy butelce piwa lub wina pod sklepem, jakie to dobre interesy zrobili. Jeśli komuś powiedział, że zainkasował ode mnie dwa tysiąki z góry i ma jeszcze kolejne dwa obiecane w chwili odbioru, to powinien trzymać język za zębami, ale uważam go za jedno z dwóch najsłabszych ogni. Takich jak on język świerzbi. Mógł puścić farbę, sprawa poszła dalej i dotarła do jakiegoś wścibskiego gliniarza i dlatego to czytasz wcześniej, niż powinien. Wścibscy gliniarze czasem są nadgorliwi i potrafią zbabrać nawet najlepsze idee.

3% zagrożenia - Mietek.

Drugie z najsłabszych ogni. Dużo kręcił się koło pizzerii, obserwując dziewczynki i czekając na odpowiedni moment. Udało się nam wreszcie w poniedziałek, 9 marca (opel Zuzy zatrzymany obok parku, Mietek łapie pierwszą dziewczynkę, a ja po krótkim pościgu tę drugą, wolniejszą i mniej wysportowaną), ale przecież ktoś mógł coś widzieć. Ktoś bystry mógł

wcześniej Mietka przyuważyć i zapamiętać. Wprawdzie uczulałem go, by uważał, ale osobom o jego inteligencji można wiele tłumaczyć i wychodzi z tego jedno wielkie nic. Równie dobrze czasem można coś tłumaczyć sosnowemu pieńkowi. Tak jak na przykład wczoraj z tymi zakupami. Mówiłem, żeby był ostrożny, a on zachował się jak skończony debil.

2% zagrożenia - okoliczności, których nie da się przewidzieć.

Przypadkowy świadek z dobrą pamięcią do twarzy (ja przecież też często obserwowałem pizzerię i dom Szykowiaków z terenu parku, chociaż z pewnością robiłem to o wiele dyskretniej od Mietka), kamera monitoringu, o której nie wiem, uderzenie meteorytu w garaż Opióły (żart), postawienie interesu publicznego wyżej niżli chronienie własnej dupy przez tych, którzy do dziś przed społeczeństwem ukrywają moje zniknięcie. Ktoś mógłby założyć, że tego również nie piszę ~~na poważnie~~ poważnie, niemniej jednak takie są fakty. Ci na górze nie zawahają się podjąć ryzyka (zwłaszcza iż na szali nie położono życia kogoś z ich bliskich, a jedynie życie dwóch mało znaczących dziewczynek, będących córkami mało znaczących osób w mało znaczącej miejscinie), bo lecieliby ze stołków jeden po drugim. Siedzą cicho, mają nadzieję, że sprawa przyschnie, a Bestia odnajdzie się cała, zdrowa i niegroźna. SZACH i MAT, sukinkoty!

2% zagrożenia - nieznamy gliniarz, którego spotkałem wczoraj w rynku, jak szedłem po folię do opakowania Mietka.

Psa i klawisza rozpoznam wszędzie. Z tymi drugimi przez te wszystkie lata miałem sporo do czynienia, ale i pierwsi są łatwi do rozszyfrowania (zresztą z nimi też sporo się stykałem przy różnych okazjach). Mają coś takiego w oczach, że wiesz od razu. On to miał. Wydawało mi się, że mnie rozpoznał, ale nie. Coś mu zaświtało, zadzwonił w jego pustym łbie jakiś dzwon, ale glina nie rozpoznał z jakiego to kościoła. Jeśli jednak zacznie węszyć, kopać głębiej, to może trafić na ślad. Zwłaszcza że gdy znajdą pierwszą dziewczynkę, to dostaną poszlakę w postaci brakującego czwartego palca. To trochę ryzykowne, wiem, ale ja lubię taką adrenalinę. Niech się kręcą w kółko, niech nie wiedzą, czy szukają Zbieńskiego, czy Pokocia. To lubię i to mi się podoba. Tyle że ten glina... Nawet mi się przez chwilę zdawało, że mnie zaczepi. Mogłoby to wszystko popsuć, więc dobrze, że się rozmyślił. Powiniennem wysłać Mietka po tę folię, przecież łyknąłby wszystko, co bym mu naopowiadał, ale przecież ta zmiana mojego wyglądu jest dobra i zdawało mi się, że nie ma ryzyka... Trochę chyba

przeszarżowałem z tą adrenalinką. Trudno. Trzeba pamiętać, żeby w przyszłości uważać z tego typu rumakowaniem.

Jeżeli to czytasz przed pierwszym kwietnia, to pewnie jesteś tępym gliniarzem, który znalazł niebieskiego opla Zuzki Jaworskiej w garażu Józka Opióły, więc potrzebujesz wyjaśnień - otóż 10% to bardzo niewiele. To tak jakby w ~~nieprzeszkłonym~~ nieprzeszkłonym pojemniku było 9 czarnych kulek i jedna biała. Ile byś postawił, że z zamkniętymi oczyma po zamieszaniu wyciągniesz właśnie białą?

Nie czytasz więc tego zapewne, a ja ujawnię się pierwszego kwietnia i wszystko zakończy się dobrze. Oczywiście nie dla Zuzki (ona leży już od przedwczoraj z nożem w kształtnej piersi, w mieszkaniu Mietka), nie dla Mietka (on siedzi akurat teraz po drugiej stronie stołu i przygląda się z niepewnym, ale też głupkowskim uśmiechem, jak piszę na maszynie), nie dla pierwszej dziewczynki (ona leży w drugim pokoju, już nieżywa, bo wczoraj z rana znowu mnie trochę poniosło) oraz najpewniej i nie dla drugiej, zamkniętej i czekającej na rozwój wypadków w kuchni (choć jeśli o dziewczynki chodzi, to jeszcze zależy, z której strony i pod jakim kątem na to wszystko spojrzeć; ale o tem potem).

Niniejsze notatki spisuję na wypadek, gdyby mi się coś jednak stało. Czasami w życiu wyciąga się białą kulkę. Czasami wylosowuje się kulkę z policyjnej pukawki, więc nie mogę się nie zabezpieczyć. Do tej pory nikt nie wie, co mną powodowało, dlaczego zabijałem, co chciałem osiągnąć, więc czuję się w obowiązku podzielić się tą wiedzą, by kiedyś inni mogli iść moim śladem w stronę bycia lepszym człowiekiem. Warto nad sobą pracować, a moja praca trwa już ponad ćwierć wieku, więc muszę przekazać wszystko potomnym.

Oczywiście, nie mam dziś dużo czasu i będą to tylko ~~pobierne~~ pobieżne notatki, a gdy już zakończę swoją misję, gdy pierwszego kwietnia będę mógł się ujawnić i ogłosić światu, że oto wygrałem z samym sobą, to wtedy na spokojnie w celi spiszę wszystko od początku do końca. Powstanie książka, która będzie sprzedawać się w milionach egzemplarzy na całym świecie, moje nazwisko nigdy nie zostanie zapomniane, a - kto wie? - może będą tacy, którzy pomyślą o tym, że warto ~~zinstytu~~ zinstytucjonalizować kroczenie drogą, którą wybrałem...?

Książka będzie nosiła tytuł "NIMB", a podtytuł widoczny na okładce dookreśli, co niedookreślone.

/N/a [/I/mię [/M/i [/B/estia.

/partię tekstu "TYTUŁEM WSTĘPU" spisano w piątek, 13 marca 2015 roku w godz. od 14.21 do 15.13/

/odnotowano cztery błędy, wynik uznaje się za dobry, sugerowane dążenie do całkowitego zlikwidowania pomyłek podczas pisania w celu usprawnienia prac redakcyjnych w wydawnictwie, które wyda "NIMB"/

NIMB

/N/a /I/mię /M/i /B/estia

Notatki wstępne

(ku pamięci, na wypadek białej kulki):

Cytat pierwszy (z pamięci):

"W niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu żyjących bez grzechu i niepotrzebujących nawrócenia".

Cytat drugi (z pamięci):

"Ty, mój synu, zawsze jesteś przy mnie i wszystko, co moje, jest twoje. A trzeba się cieszyć i radować dlatego, że ten brat twój był umarły, a ożył, zaginął, a odnalazł się".

Cytat trzeci (z pamięci):

" ~~Pozwólcie~~ Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie"

Małgosię kochałem nad życie i to, co jej zrobiłem, to, co się stało, było złe. Nic jednak nie dzieje się przecież bez przyczyny.

Ja miałem wtedy lat dziewiętnaście, ona - dziewięć. Byłem od niej o wiele silniejszy, więc zawsze uważałem, aby w czasie naszych wspólnych zabaw w siłowanie nie zrobić jej krzywdy. Mamunia wiedziała, że tak się ze sobą bawimy, ale zakładała (i słusznie!), że to wzmacnia naszą siostrzano-braterską więź. Nic złego w tych siłowaniach nie było, czasami się po prostu kotłowaliśmy na dywanie albo na łóżku (ale bez żadnych innych podtekstów).

Wtedy byliśmy sami w domu.

Małgosia przez przypadek włożyła mi podczas siłowania kciuk w otwarte oko. Boże, jak to bolało! Wściekłem się, ale tylko na chwilę, i złapałem jej głowę dwiema rękami, chciałem nią tylko potrząsnąć, żeby Małgosia się opamiętała i nie sprawiała mi bólu, a ona zaczęła się ze mnie śmiać, że jestem beksa. Miałem dziewiętnaście lat i wcale nie byłem beksą,

tylko oko mi łzawiło, bo mi w nie wsadziła kciuka z paznokciem. Potrząsnąłem jej główką najpierw w przód i w tył, a potem na boki i wtedy coś chrupnęło. Wiedziałem, że dzieje się coś złego, bo zaczęła gwałtownie ruszać nogami i rękoma, więc chciałem jej zrobić sztuczne oddychanie. Uczyli nas tego na Przysposobieniu Obronnym, mówili, że trzeba odchylić głowę do tyłu. I wtedy chrupnęło jeszcze raz, głośniej, a Małgosia znieruchomiała, patrząc na mnie otwartymi i zdziwionymi oczyma.

Nie wiedziałem, co robić, z jednej strony byłem przestraszony, z drugiej - zrozpaczony, ale oko wciąż mnie bolało. Dlatego odciąłem jej ten cholerny kciuk sekatorem przyniesionym ze składziku z narzędziami.

Żebyśmy byli kwita.

Nawet teraz, po tylu latach, gdy o tym piszę, to staję się nerwowy /choć w tej partii tekstu zrobiłem jak dotąd tylko jeden błąd i ten wynik uznaję za bardzo dobry/.

Myślę, że nawet trochę po mnie widać, że się zdenerwowałem, ale to nic, bo jestem teraz w pokoju sam. Mietka wysłałem na poszukiwania kogoś, kto pomógłby nam znieść do samochodu ciała Zuzki i dziewczynki. Powiedziałem mu, że coś łupnęło mnie w krzyżu i nie mogę nosić. Dziewczynkę by zniósł sam, ale Jaworskiej by chyba nie dał rady. A ~~nawet~~ nawet jakby dał radę, to przecież nie on tu rządzi. Kazałem mu kogoś zawołać, wspomniał, że może poprosić tego eksmitowanego sąsiada, Wieśka Stopyrę. Stopyrę...? Nie, chyba Stępora się nazywa. Tak. Zabawne - Mietek szuka kogoś, kto w nocy pomoże mi zanieść ciało tegoż samego Mietka do samochodu. Życie niesie za sobą wiele niespodzianek, mój drogi Mieczysławie, towarzyszu spod celi, druhu, który zacząłeś swoją morderczą drogę dokładnie wtedy, co ja. Ty jednak zachowałeś się jak kretyn, bo zabiłeś własnego syna, a potem bezrefleksyjnie odsiedziałeś swoje, a następnie stoczyłeś się prawie na samo dno. Na szczęście pojawiłem się ja i dzięki temu masz możliwość odegrać niewielką rolę w wielkim spektaklu.

Rólki odegrały też dziewczynki, które były po Małgosi. Najpierw ta w Białymstoku, później ta, którą spotkałem w Zakopanem. Każda z nich miała szansę na wielką, drugoplanową wręcz rolę, ale obie to spartoliły. Były niecierpliwe, nie pozwalały mi opiekować się nimi tak, jak należy. Ja chciałem udowodnić, że to z Małgosią to był tylko przypadek, że nie jestem wcale złym człowiekiem, że umiem dbać o małe dziewczynki, które

ode mnie zależą, ale one tylko się szarpały, próbowały krzyczeć, uciekać, wyrwać się, a nawet mnie podrapać czy uderzyć. Miałem więc prawo się zdenerwować prawda? Każdy by miał. A zwłaszcza że ja przecież miałem wtedy tylko dziewiętnaście lat, byłem młodym, wchodzącym dopiero w życie chłopakiem.

Nie udało mi się dopiąć swego wtedy, więc przez te wszystkie lata spędzone w celi marzyłem tylko o tym, by teraz, gdy jestem już bogatszy o doświadczenia, o treść wartościowych (w tym religijnych) lektur, z którymi zapoznałem się w więzieniu, o samodzielną naukę medytacji na podstawie podręcznika „Nauka medytacji w weekend,, by teraz właśnie spróbować raz jeszcze, tym razem z właściwym i pożądanym przez wszystkich skutkiem.

O Zbieńskim myślałem od lat, zastanawiałem się, w jaki sposób go zaangażować, i wreszcie postanowiłem zachęcić go do współpracy w sposób najprostszy z możliwych:

"Mietek, to będzie naprawdę duża kasa!".

Sam zaproponował tych całych Szykowiaków od pizzerii i innych gastro punktów. Mnie pasowało. Mogło być. Ganz egal. Wsio rawno. A zwłaszcza mi pasowało, że mogą to być dwie dziewczynki. Dwie szanse. Zawsze warto się zabezpieczyć na wypadek wpadki, no nie?

Było nam potrzebne mieszkanie Zuzki, bo oczywistym było, że Mietka będą sprawdzać (i faktycznie - zrobili to następnego dnia po uprowadzeniu). Dziewczynki były wtedy u Zuzy, pod moją opieką, a Jaworska już wcześniej została wtajemniczona w całą sprawę. Oficjalna wersja: porwanie dla okupu, troje porwaczy, okup dzielimy po równo na trzy. Zuzka potrzebowała kasy, bo chciała się stąd wyrwać. Dawała też dupy za forszę, czyli że była zwykłą kurwą. I chyba wolałaby żyć inaczej (choć gdy ją posuwałem, to przysięgłbym, że kocha to robić, mimo że płaciłem z góry, więc teoretycznie mogła odpuścić - no, chyba że inwestowała w przyszłość). Zresztą ona i tak była prędzej czy później do odstrzału (szkoda takiej ognistej dupy, ale co zrobić), ale przyspieszyła akcję swoim sentymentalizmem. Zaczęła się roztkliwiać nad tymi małymi już w środę, czyli w dwa dni po porwaniu, więc trzeba było podjąć pewne kroki, które zaowocowały trupem w mieszkaniu Mietka. Zbieński trochę się rzucał, ale krótko. Przekonało go inne, bardziej korzystne dzielenie okupu.

Tyle że ustaliliśmy wspólnie, że pierwszy kontakt z rodzicami dziewczynek nastąpi w najbliższą niedzielę (piętnastego), czyli w niecały tydzień od uprowadzenia. Nie powiemy im, że pierwsza dziewczynka nie żyje, drugiej i tak nie uwolnimy mimo innych ustaleń z jej rodzicami, i wszystko będzie git. To wersja dla Mietka. Tyle że z tej wersji całe gówno wyjdzie, bo mi nie jest potrzebny żaden okup. Mamunia zaopatrzyła mnie w wystarczającą ilość kasy, gdy wywoziła mnie z naszego domu w Gdyni, skulonego na tylnej kanapie samochodu. Mamunia zawsze mi wierzyła, teraz też. Powiedziałem, że cierpię z powodu kręcących się wokół domu gliniarzy i że nie zrobię już nigdy nic złego.

I przecież tak naprawdę nie zrobiłem.

Pierwsza dziewczynka już nie żyje, bo zachowywała się równie nieodpowiedzialnie jak tamte dwie, pod koniec lat osiemdziesiątych. Mogła się nie szarpać, nie próbować wrzeszczeć, wtedy bym nie musiał jej kneblować. A jak ją kneblowałem, to się jeszcze bardziej rzucała, denerwując i rozpraszając mnie w ten sposób. Wreszcie nie wytrzymałem i skończyła, jak skończyła. A ten palec serdeczny pierwszej dziewczynki, zawinięty w sreberko i włożony w kieszeń spodni Zuzy? Cóż... Są pewne dziwactwa, drobne grzeszki i psikusy, od których nawet przez te wszystkie lata nie potrafiłem się uwolnić.

/w całej obszernej partii tylko dwa drobne błędy - widać szybkie pisanie w skupieniu bardzo mi służy; wynik należy ocenić na celujący minus; ~~naka~~ (kurwa!) nauka pisania na maszynie w Kalenicy odnosi dobre skutki, choć teraz jestem zmuszony obniżyć sobie ocenę do bardzo dobrej/ Przechodzę teraz do rzeczy chyba najbardziej istotnej.

Na imię mi Bestia.

Tak mnie nazywają (podobnie jak innych w mojej sytuacji, których niby trzeba byłoby leczyć albo przynajmniej trzymać pod kluczem). Jeśli chcecie, możecie mnie tak nazywać. Czas pokaże, że nie mieliście racji, bo nie jestem żadną bestią. Jestem człowiekiem, który z poświęceniem podąża swoją drogą, by stać się lepszym.

Mówicie o dziewczynkach? Że niby je krzywdzę? Świat jest okrutny, nie wiadomo, jak potoczyłoby się ich życie, a dzięki mnie takie aniołki jak one natychmiast trafiają do Pana. Jeśli jestem już na skraju wytrzymałości, to robię, co należy. Jeden ruch, bez bólu, ułamek sekundy. Palec zawsze odcinam po wszystkim, więc dbam o to, by nie cierpiały. To wszystko jest

oczywiste, czuję się trochę skrępowany, że muszę to pisać tak wprost, ale chcę uniknąć jakichkolwiek nieporozumień.

Mówi się o niektórych, że są bestiami w ludzkiej skórze. Ja jestem ich przeciwieństwem. Jestem dobrym człowiekiem w skórze bestii i kiedyś to zrozumiecie, pojmiecie swój błąd. Kto wie? Może nie będzie jeszcze zbyt późno, bym mógł wam ~~przenaczyć~~ przebaczyć. Wszak ciągle nad sobą pracuję, z każdym dniem bardziej.

Druga dziewczynka jest obiecująca. Trochę się niepokoiła, jak zniknęła jej siostra, ale jej zachowanie uległo poprawie, gdy powiedziałem, że Julka (tak chyba miała na imię pierwsza dziewczynka) jest już z rodzicami, cała i zdrowa. Wtedy obiecałem drugiej dziewczynce, że jeżeli do pierwszego kwietnia wytrzyma (pokazałem jej na kalendarzu, że to wcale nie jest tak długo), to i ona też wróci bezpiecznie do rodziców.

- A nie oszuka mnie pan? - zapytała. - Pierwszy kwietnia to przecież prima aprilis!

Cwana bestia. Niby taka mała, a już tak wiele wie o świecie.

Oczywiście, że ją oszukam i postąpię dokładnie tak samo, jak z pozostałymi, niemniej jednak TYM RAZEM będzie to się odbywało na MOICH WARUNKACH. Nie pod wpływem emocji, nie w nerwach, tylko wszystko na spokojnie, zgodnie z planem, tak jak w książkach napisali. Pierwsze minuty pierwszego kwietnia - TRACH, CIACH i sprawa załatwiona. Ujawniam się, wszyscy widzą, jak bardzo się zmieniłem, jestem spełnionym, dobrym człowiekiem, który część tantiem z książki "NIMB" przeznaczy na jakiś zbożny cel społeczny. Pewnie spędzę resztę życia w celi, ale tłumy będą spijać słowa z mych ust.

Gdy będę stary, na pewno będę mógł powiedzieć: "Było warto, bo to było dobre życie".

A teraz posłuchaj mnie, skurwysynu, który znalazłeś te kartki w samochodzie Zuzy Jaworskiej. Jeżeli wypadła biała kulka, a jednocześnie nie ma jeszcze pierwszego kwietnia, a jednocześnie nie znacie miejsca, w którym przebywam, to dobrze radzę: odpierdol się ode mnie. Jeśli tylko usłyszę, że po mnie idziecie, to druga dziewczynka będzie cierpieć. Zaczę od tego, że CIACH będzie przed TRACH (jeśli wiesz, co mam na myśli), a wiedz, że to nie będzie jeszcze koniec zabawy. Uważaj więc, żeby przez ciebie nie stała się małej krzywda.

A teraz znikam. Jadę daleko. Możecie mnie i małej szukać jak wiatru w polu. Oczekujcie wieści ode mnie w prima aprilis. Gdy okaże się, czego

dokonałem, wszyscy będą sądzili, że to niemożliwe, że takie informacje to tylko mało smaczne żarty robione przez media.

A to będzie prawda!

SZACH i MAT, sukinkoty!

/w kolejnej partii tylko jeden błąd - ocena obiektywna i zasłużona to celujący minus/

/podsumowanie całości tekstu: liczba błędów - jak wyszczególniono powyżej, ocena ogólna: bardzo dobry minus. wnioski ogólne na przyszłość: 1. szybkie pisanie w skupieniu wpływa pozytywnie na jakość powstającego tekstu i skutkuje mniejszą liczbą błędów. 2. rozpraszanie się i zadowolenie z osiągniętych postępów może rozpraszać i obniżać jakość powstającego tekstu/

Ola

I.

Trzykrotnie przeczytałem bardzo uważnie te chore wypociny świra, siedząc w komendzie, w pokoju, w którym pracuje Mamaj, i za każdym razem te same dwie rzeczy były dla mnie najważniejsze.

Po pierwsze, skoro samochód z maszynopisem został odnaleziony w piątek, dwudziestego siódmego marca, a do tego dnia nic o Pokociu i Oli nie było wiadomo, to fakty te dawały graniczącą z pewnością szansę, że najmłodsza córka Kamila wciąż żyje, a więc ciągle są hipotetyczne możliwości jej uratowania.

Druga kwestia była może mniej istotna, jeśli chodzi o całokształt tej ponurej sprawy, niemniej jednak ja osobiście dzięki niej poczułem się odrobinę lepiej. Do tej pory wielokrotnie zastanawiałem się, czy gdybym wtedy, w rynku, późnym popołudniem w czwartek, dwunastego marca, zaczął Pokocia, to czy dałoby się zapobiec śmierci Julki. W napisanych na maszynie i datowanych na piątek, trzynastego marca zwierzeniach porąbanego psychologa napisał on: „...ujawnię się pierwszego kwietnia i wszystko zakończy się dobrze. Oczywiście [...] nie dla pierwszej dziewczynki (ona leży w drugim pokoju, już nieżywa, bo wczoraj z rana znowu mnie trochę poniosło)”, a skoro tak, to mijałem się z nim już po śmierci Julki i moja słaba pamięć nie miała wpływu na losy średniej z córek Kamila. Jeśli chodzi o Izę, to już inna rzecz, no ale to jakby już wiedziałem zaraz po jej śmierci pod kołami ciężarówki z drewnem. W tym przypadku jednak — jakkolwiek okrutnie by to nie brzmiało — to ona sama podjęła decyzję, zrezygnowała z walki. Poniekąd to zrozumiałe, niemniej jednak trudno, bym mógł za jej rozpaczliwy wybór się jakoś szczególnie winić.

II.

W Opiolach pojawiłem się mniej więcej dziesięć po drugiej.

Gospodarstwo oznaczone ósemką wskazały mi zaparkowane na poboczu samochody policyjne oraz stojący między nimi karawan zakładu pogrzebowego Irys, ale w tak niewielkiej wiosce i tak bym trafił od razu. Wsiadłem z corolli i natychmiast zacząłem rozglądać się w poszukiwaniu nadkomisarza Sitarza. Domyślałem się, że nikt nie powie mi więcej, niż on i rzeczywiście, kilka minut później okazało się, że szef rykowskiej dochodzeniówki nie zamierza przede mną niczego zatajać.

Zobaczyłem go, jak ubrany w mundur rozmawia ze znanym mi już z widzenia policjantem prowadzącym śledztwo w sprawie zaginięcia dziewczynek. Sitarz machnął do mnie ręką, dając mi znać, że zarejestrował moje przybycie, więc oparłem się o przednią maskę swojego auta i postanowiłem spokojnie poczekać, aż do mnie podejdzie.

Kilkanaście minut wcześniej, gdy do mnie dzwonił, sygnalizował, że dopiero jedzie do Opiołów, co pozwoliło mi teraz przypuszczać, że właśnie przybył na miejsce i jego rozmowa z podległym funkcjonariuszem trochę potrwa. Uznałem, że warto wykorzystać ten czas na telefon do Darii. Umówiliśmy się, że spotkamy się u Kamila o wpół do trzeciej, a do tej godziny pozostało już niewiele ponad kwadrans. Odczekałem chwilę, pamiętając, że jej ostatnia lekcja kończy się piętnaście po drugiej, i chwyciłem za komórkę.

Gdy Daria odebrała telefon, zdążyłem ją tylko poinformować, że ze względu na nowe odkrycie policji będę na pewno później. Na pytanie o więcej szczegółów nie zdążyłem odpowiedzieć, ponieważ padła mi bateria w komórce. W zamieszaniu ostatnich godzin zupełnie zapomniałem o jej naładowaniu. Może gdyby były jakieś telefony w sprawie ogłoszenia, to bardziej bym o nią zadbał. Tak czy inaczej, zupełnie nie mając takich intencji, pozostawiłem Darię w niepewności. „Dobrze, że przynajmniej nie będzie się zastanawiać, dlaczego się spóźniam” — pomyślałem dokładnie w chwili, gdy Sitarz ruszył w moją stronę.

— Gratuluję, panie inspektorze — rzekł, ściskając mi rękę. — Muszę przyznać, że pańskie śledztwo przynosi lepsze rezultaty niż nasze.

— Cóż, wy musicie się ściśle trzymać prawa i procedur, a ja mogłem sobie pozwolić na trochę większą swobodę.

— To prawda, ale i tak doceniam, że pan o tym wspomina, zamiast rzucić wszystko na naszą indolencję — odparł z uśmiechem.

— Proszę pamiętać, że kiedyś jechałem na tym samym wózku.

— Tak, pamiętam. W każdym razie po znalezieniu tego auta i jego zawartości nie ma już wątpliwości, że za sprawą porwania dziewczynek stoi Pokoć. Ukrył w samochodzie list pełen jakichś swoich chorych wynurzeń.

— Mógłbym go przeczytać?

— Oczywiście, z tym że najpierw technicy muszą zdjąć z niego wszelkie możliwe ślady. Sam jeszcze go nie widziałem. Tak naprawdę to będzie pan mógł sobie w komendzie wykonać jego kserokopię, rzecz jasna, wyłącznie na własny użytek. Podtrzymuje pan postanowienie

o nieujawnieniu informatora, który wskazał to miejsce? — Bez oglądania się za siebie Sitarz wskazał kciukiem prawej ręki murowany, nieotynkowany garaż, zbudowany z białych pustaków i przykryty niebieską blachą trapezową.

— Może mi pan wierzyć, panie nadkomisarzu, że to niczego nie wniosłoby do prowadzonych poszukiwań.

— Chyba nie mam innego wyjścia. — Znów się uśmiechnął. — Właścicielem gospodarstwa jest niejaki Józef Opióła. Przejął je od matki, a ją samą trzyma w warunkach gorszych niż czasem hodowane są zwierzęta. O, tam, niech pan popatrzy.

Podążyłem wzrokiem w kierunku, który teraz wskazywał. Drewniana rudera, być może pochodząca jeszcze z czasów sprzed drugiej wojny światowej, z dachem załamany lekko na środku, przykryta papą i obita dookoła arkuszami dykty, kontrastowała z piętrowym domem zbudowanym w podobnej technologii jak garaż.

— Jak się domyślam, matka Opióły mieszka w tym mniej zaniebanym budynku?

— Strzał w dziesiątkę. Sam Opióła to taki drobny cwaniaczek. Wie pan, z takich, co to tylko kombinują, jak by tu zrobić, żeby zarobić, a się za bardzo nie narobić. Znał się ze Zbieńskim i to ponoć właśnie poprzez niego spiknął się z Pokociem. Przysięga, że nie wiedział, z kim ma do czynienia w momencie, gdy Kapo zostawiał samochód u niego w garażu i płacił mu dwa tysiące w gotówce, obiecując jednocześnie kolejne dwa przy odbiorze auta pierwszego kwietnia — mówił Sitarz. — Natomiast w to, że nie rozpoznał Pokocia na rozwieszonych przez pana w Rykowie plakatach, to już raczej trudno mi uwierzyć. Twierdzi, że był w ostatnich dniach parę razy w miasteczku, ale ogłoszeń nie widział. Mało prawdopodobne, że to prawda, ale raczej trudno będzie udowodnić mu, że było inaczej.

— Powie mi pan coś więcej o tym liście napisanym przez Kapo? — spytałem, dając do zrozumienia, że wątek Józefa Opióły uznaję za raczej mało istotny. — Skłamałbym, gdybym stwierdził, że nie zżera mnie ciekawość od chwili, gdy pan o nim wspomniał.

— Jest napisany na maszynie. Podobno to swego rodzaju psychopatyczny bełkot. Ponoć wynika z niego, że najmłodsza z córek pana Szykowiaka wciąż jeszcze może żyć... — Ostatnie słowa artykułował, lekko zwalniając wypowiedź, jakby w obawie, czy nie zdenerwuję się, że

mówi mi o tym dopiero teraz. — Niewiele wiem, sam go nie czytałem, więc wolałbym nie rozbudzać zbyt wielkich nadziei...

— Jasna sprawa, to oczywiste — wszedłem mu w słowo. — Też poczekałbym do jednoznacznych lub przynajmniej uprawdopodobnionych wniosków, aż go zobaczę. A maszyna do pisania?

— Ponoć standardowa czcionka, będziemy starali się ustalić, czy w ten sposób uda nam się natrafić na jakiś ślad...

— Domyślam się, ale nie o to pytałem. Chodzi mi o to, gdzie ona teraz jest?

Przyglądał mi się uważnie przez moment, jakby starając się nadążyć za tokiem mojego rozumowania, a potem pokiwał głową, przeprosił mnie na moment i oddalił się w stronę funkcjonariusza, z którym rozmawiał, gdy przyjechałem. Zamienili kilka słów, po czym Sitarz znów do mnie podszedł.

— Maszyny nie ma ani w samochodzie, ani w żadnym z zabezpieczonych przez nas dotąd mieszkań przy Pierwszego Maja.

— Takie urządzenie to nie igła i waży też trochę więcej niż piórko, prawda, panie nadkomisarzu?

Z roztargnieniem pokiwał głową, a potem po raz kolejny mnie przeprosił, na odchodne dodając:

— Ten list jest już na komendzie. Zaraz zadzwonię, aby go panu udostępnił po zdjęciu śladów. A najlepiej, żeby sami zrobili dla pana kopię. Proszę tam pojechać, jeśli ma pan ochotę... — Głos Sitarza brzmiał tak, jakby policjant już wcześniej przygotował sobie tę kwestię, a teraz ją po prostu wyrecytował.

Zauważyłem, że jego oczy są nieobecne i sądziłem, że myśli zajęte są już teraz moją sugestią odnośnie do maszyny, na której Pokoć napisał list, zawierający — jak to określił przed kilkoma minutami Sitarz — „psychopatyczny bełkot”.

Chciałem to przeczytać jak najszybciej.

* * *

Dwadzieścia minut później byłem na komendzie w Rykowie.

Przez drogę zastanawiałem się, czy nie wstąpić na Parkową i nie powiedzieć Darii (to na pewno) oraz Kamilowi i Wiktorii (być może) o tym liście Pokocia, który ponoć daje szansę na to, że Olę wciąż można uratować.

Ostatecznie uznałem, że najpierw sam powinienem zapoznać się z treścią zapisanych na maszynie kartek. Uznałem, że te kilkadziesiąt minut nie zrobi wielkiej różnicy, a raz wznieconą nadzieję trudno będzie później ugasić, tłumacząc jej powołanie do życia niezamierzonym nieporozumieniem.

Technik policyjny, którego Sitarz zobowiązał do udostępnienia mi kserokopii maszynopisu, czekał na mnie przed wejściem do budynku komendy. Okazało się, że widział mnie już wcześniej — najpierw w mieszkaniu Zbieńskiego po znalezieniu zwłok Jaworskiej, a później w parku, niedaleko domu starców Irys — dlatego z miejsca wręczył mi plik kartek.

— Mogłem od razu po telefonie szefa zacząć kserować. Na tamtych kartkach w zasadzie są tylko odciski palców, które już zdążyliśmy zdjąć — powiedział. — Nie będzie z nich zbyt wiele pożytku.

— Dziękuję panu. A czy mógłby mi pan powiedzieć coś więcej o znalezionych dziś zwłokach? Zapytałbym nadkomisarza Sitarza, ale on chyba niedawno pojawił się w Opiolach i chyba nie wiedział na ich temat zbyt wiele...

— Nie ma problemu, zdaje się, że szef panu ufa. Facet został najpierw ogłuszony jakimś ciężkim narzędziem, na co wskazuje rana tłuczona głowy, ale nie na tyle silna, by zabić takiego konia. Bezpośrednią przyczyną śmierci było najprawdopodobniej uduszenie. Na przykład kablem od radia. Oczywiście to wszystko jeszcze zostanie poddane weryfikacji podczas sekcji, ale na moje oko tak to właśnie wyglądało; odkryte przez nas ślady na szyi pasowałyby idealnie do takiego scenariusza.

— Później został zawinięty w plastikową folię i dokładnie pozaklejany taśmą malarską?

— Zgadza się. Dokładniej rzecz ujmując, wcześniej jeszcze zawinięto go w dywan. Tej folii poszło bardzo dużo, taśmy też. Wygląda na to, że zabójcy bardzo zależało na tym, by nie dopuścić do rozprzestrzeniania się woni rozkładu.

Pomyślałem, że to w sumie logiczne, jeśli auto miało stać przez jakiś czas u Opioly i nie wzbudzać jakichkolwiek podejrzeń.

— Sądzi pan, że zużył na to całą rolkę folii o długości pięćdziesięciu metrów i szerokości dwóch?

— Och, nie. Jeśli takie były wymiary tej folii, to z pewnością jeszcze sporo jej zostało.

Podziękowałem policjantowi i zapytałem o drogę do pokoju Mamaja. Miałem nadzieję, że zastanę go jeszcze w pracy i będę mógł w spokoju, jeszcze przed udaniem się do mieszkania Kamila, zapoznać się z treścią kserokopii zapisanych maszynowo kartek.

* * *

Mamaj zwykle siedział w pokoju z dwoma innymi funkcjonariuszami, ale akurat tamtego popołudnia byli oni w terenie. Mariana zastałem w chwili, gdy już w zasadzie był spakowany i powoli szykował się do domu. Streściłem mu pokrótce wydarzenia dnia i pomachałem plikiem kartek.

— Chciałbym to sobie u ciebie na spokojnie przeczytać — powiedziałem. — Mogę?

Skinął swoją wielką głową i odgarnął z czoła grzywkę.

— Może zarefleksujesz na herbatę albo kawę?

— Nie, dziękuję, to zajmie mi tylko chwilę. Po prostu nie wiem, czego się po tych zapiskach spodziewać, bo Sitarz wzbudził we mnie nadzieję. Boję się, że za chwilę legnie ona w gruzach.

— W takim razie czytaj sobie spokojnie — odparł, wstając zza biurka. — Ja jeszcze mam załatwienie w innym pokoju. Pójdę i je załatwię.

Domyślałem się, że nie ma do załatwienia żadnego załatwienia, tylko po prostu dyskretnie chce się ulotnić, żeby mi nie przeszkadzać. Stary dobry Mamaj. Cały czas interesował się sprawą, praktycznie nie było dnia, żeby nie wysłał SMS-a z zapytaniem, czy są może jakieś nowe wieści. Rzadko dzwonił. Chyba się bał, że usłyszy coś, czego wolałby nie usłyszeć. Wcale się mu nie dziwiłem. Też wolałbym złe wieści najpierw zobaczyć jako wiadomość w komórce.

Za pierwszym razem wręcz pochłonałem te pieprzniete bzdety, zastanawiając się, jaki zryty beret trzeba mieć, żeby coś takiego mogło się komuś pojawić w głowie. Później przeczytałem raz jeszcze, bardzo powoli, słowo po słowie, tak aby nic nie umknęło mojej uwagi, a następnie rzuciłem kartki na biurko Mamaja i postanowiłem to wszystko dokładnie sobie przemyśleć. Właśnie wtedy do pokoju wrócił Majka i od razu zauważyłem, że nie wie, czy to już, czy może jeszcze nie pora na jego powrót.

— Chodź, Marian. Jak chcesz, to przeczytaj. — Wskazałem leżący na blacie plik. — Obaj chyba sporo dziwów widzieliśmy w robocie, ale takiego to chyba jeszcze nie.

Zachęcony przeze mnie Mamaj zagłębił się w lekturze, a ja wróciłem do swoich myśli. Faktycznie, wszystko wskazywało na to, że Sitarz się nie mylił i wciąż jeszcze są szanse dla Oli. Tylko jak ją znaleźć? Przecież razem ze swoim porywaczem mogła być praktycznie wszędzie...

Mamaj uporał się z tekstem szybciej niż ja. Trochę miałem o to do niego żal, bo wyglądało to tak, jakby przeleciał po nim bardzo pobieżnie. Nic nie mówiąc, raz jeszcze wziąłem te kserokopie i raz jeszcze wszystko przeczytałem. Znow nadzieja, jeśli chodzi o Olę, i po raz trzeci ulga, jeśli chodzi o Julkę, że moja słaba pamięć do twarzy nie wpłynęła na jej tragiczny los.

III.

— Czyli że musiał mieć jeszcze jeden samochód — odezwał się Mamaj, niby zajęty pakowaniem jakichś szpargałów do swojej wielkiej teczki.

— Co powiedziałaś? — Wyrwał mnie z moich rozmyślań, więc wolałem się upewnić, czy się nie przesłyszałem.

— Nigdzie nie znaleźli osobistych rzeczy Pokocia. Ani w żadnym z mieszkań, ani — z tego, co wiem — w opłu Jaworskiej. Nie wyparowały przecież. Maszyna do pisania, na której napisał te śmieci, też zniknęła w tajemniczy sposób. Nie patrz tak, dokładnie zapoznałem się z aktami sprawy.

Po raz kolejny byłem przekonany, że się tu marnuje. Wprawdzie do zbliżonych wniosków doszedłem sam, ale przecież z pewnością niewiele osób w komendzie posądzałoby pocziwego Mamaja o przenikliwy umysł. No tak, kamuflaż, który pozwalał mu unikać trudnych i niewygodnych zadań. Przede mną nie musiał się maskować.

— Tak, ta maszyna też mi nie daje spokoju — odparłem. — Poza tym przed wejściem do komendy technik stwierdził, że musiało zostać jeszcze sporo tej folii, w którą owinięty był Zbieński. Ona też raczej się nie zdematerializowała. No ale nic, Marian. To są sprawy do rozpatrywania na potem. Teraz mi poradź, czy mam w ogóle wspominać coś Kamilowi i Wiktorii o tych zapiskach sporządzonych przez Kapo?

Zaczął się nad tym zastanawiać i dokładnie w tym momencie zadzwoniła jego komórka. Sięgnął po nią do kieszeni, spojrzął na wyświetlacz i sapnął:

— Elżbieta. Pewnie obiad już na stole, a ona ulega irytacjom, że wciąż mnie nie ma, a powinienem być.

— Nie ma sprawy, zaraz cię podwiozę. Powiedz, że najdalej za dziesięć minut będziesz w domu.

Kiwnął łepetyną, a potem odebrał połączenie. Zdążył tylko powiedzieć „Halo”; potem już tylko słuchał, a jego twarz robiła się coraz bardziej poważna. Gdy się rozłączył, rzekł:

— Słuchaj, nie podwieziesz mnie, bo wcale to nie chodzi o obiad. Daria stara się ciebie jak najszybciej namierzyć i zadzwoniła do nas do domu. Numer znalazła w internetowej książce telefonicznej. Prosiła, żeby Elżbieta skontaktowała się ze mną i zorientowała, czy nie wiem, gdzie jesteś.

— Ale o co chodzi, Marian?!

— Nie wiem. Wiem tylko tyle, że twojej narzeczonej zależy, abyś jak najszybciej pojawił się na Parkowej, w mieszkaniu Szykowiaków.

IV.

— Widziałeś na dole, że nie ma samochodu? — spytała Daria, jak tylko wszedłem do mieszkania.

Popatrzyłem na nią zdziwiony, ale zaraz potem zupełnie zapomniałem o jej pytaniu, skupiając się przede wszystkim na niekontrolowanym drzeniu jej głosu oraz wyglądzie. Jeszcze nigdy nie widziałem Darki w takim stanie. Zazwyczaj była niezwykle opanowana, potrafiła stawiać czoło najtrudniejszym wyzwaniom, ale teraz wyglądała zupełnie jak nie ona. Przeraziła mnie bladość jej twarzy i oczy, które były zaczerwienione od płaczu.

— Co się stało, słonko? — zapytałem. — Czemu jesteś taka roztrzęsiona?

Zamiast odpowiedzieć, wybuchnęła płaczem i podeszła bliżej, żeby się do mnie przytulić. Chwilę trwało, zanim się uspokoiła, ale wreszcie sięgnęła do torebki po chusteczki higieniczne. Jedną otarła oczy i policzki z łez, a za pomocą drugiej wyczyściła porządnie nos. Następnie westchnęła kilka razy głęboko, a potem powiedziała, już zdecydowanie spokojniej:

— Myślałam, że zauważysz... Nie ma samochodu Kamila.

— Nie zwróciłem uwagi. Goniłem jak do pożaru, bo to, że mnie tak intensywnie poszukujesz, niezłe mnie wystraszyło. Jak rozumiem, nie ma w domu ani Wiki, ani Kamila?

Skinęła w odpowiedzi głową.

— Może pojechali do sklepu albo...

Nie skończyłem, bo tym razem jej głowa intensywnie zaprzeczyła temu, co mówię.

— Nie ma ich rzeczy w pokojach — stwierdziła Daria. — Może nie powinnam wchodzić, ale... no, wiesz, wystraszyłam się, że jest tak pusto w domu. Skoro powiedziałaś, że nie zdążysz na wpół do trzeciej, to uznałam, że mogę jeszcze chwilę zostać w szkole i poogarnąć kilka zaległych spraw, które nagromadziły mi się przez te ostatnie dni...

— Ale jak to nie ma rzeczy w pokojach? — wszedłem jej w słowo.

— Zwyczajnie. Wygląda na to, że spakowali się i wyjechali na dłużej.

— Jak to wyjechali? Tak bez słowa?

Daria odpowiedziała mi wzruszeniem ramion.

— Przeszło mi przez myśl, że może Kamil coś ci powiedział, zadzwonił albo... no nie wiem. No ale widzę, że masz dokładnie tyle informacji w tej sprawie, co ja.

Zacząłem przechadzać się po pokoju, żeby trochę ogarnąć myśli. Te spakowane i zabrane rzeczy... Rzecz naprawdę niepokojąca i tajemnicza. Powiedziałbym, że zupełnie nie w stylu Kamila, no ale w tych okropnych okolicznościach nie należało bezrefleksyjnie przewidywać określonych zachowań nawet najbliższego przyjaciela.

Wreszcie przyszło olśnienie.

— Poczekaj, słonko! Przecież mnie się wyładował telefon, więc prawdopodobnie próbował się dodzwonić, ale nie mógł!

Naprawdę mi ulżyło, ale Darii chyba nie do końca.

— Przecież on ma numer mojej komórki — stwierdziła, lekko pociągając nosem. — Niby dlaczego nie zadzwoniłby do mnie, jeśli twoja się wyładowała?

— Nie wiem, kochanie. Ale podejrzewam, że za chwilę wszystko się wyjaśni.

Szukając ładowarki, pokrótce opowiedziałem Darii o znalezieniu zwłok Zbieńskiego w garażu w Opiołach, a potem dałem jej do przeczytania przyniesione z komendy kartki, z prośbą o zwrócenie szczególnej uwagi na sprawę Oli.

— Zastanawiam się, czy powinienem już teraz coś powiedzieć Kamilowi. Boję się, aby nie wzbudzić niepotrzebnie jego nadziei...

— Mamaj nie zdążył mi poradzić, więc chciałem, żeby teraz Darii nikt nie przeszkadzał.

Łącznie ze mną.

Zabrałem ładowarkę i aby nie rozpraszać mojej narzeczonej, poszedłem do sypialni Kamila („Jeszcze niedawno Kamila i Izy” — pomyślałem).

Wolne gniazdko było przy nocnym stoliku i tam właśnie podłączyłem komórkę. Mniej więcej po dwóch minutach włączyłem zasilanie, a sygnał przychodzącej wiadomości brzdąknął dosłownie kilkadziesiąt sekund później.

— I co?! — krzyknęła z salonu Daria. — To od Kamila?

Zacząłem czytać wiadomość i wtedy telefon odezwał się po raz kolejny, a następnie jeszcze może ze cztery lub pięć razy. Poza pierwszym SMS-em wszystkie informowały mnie o tym, że Darka próbowała się do mnie dodzwonić. Poza pierwszym, który został napisany przez mojego przyjaciela. Znałem już jego treść, gdy odkrzyknąłem:

— Nie, to nie od niego! Na razie przychodzą tylko powiadomienia, że dzwoniłaś.

Nie mogłem postąpić inaczej, ponieważ wiadomość była następująca:

Na razie nic nie mów Darii! Przeczytaj list ode mnie (jest w pudełku, pod moim łóżkiem, razem z komórkami), a potem dopiero zdecyduj, ile powinna się dowiedzieć. Przepraszam, ale musiałem to zrobić. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz (zrozumiecie?), chociaż zapewne nie będzie to łatwe. Kamil

W pudełku po butach znalazłem telefony Kamila i Wiktorii, a także przełamane karty SIM oraz kilka zapisanych w pośpiechu ręką mojego przyjaciela kartek w kratkę, wyrwanych ze szkolnego zeszytu. Zanim zacząłem czytać, zastanowiły mnie te przełamane karty SIM. Miałem nadzieję, że w pisemnej wiadomości wszystko zostanie wyjaśnione, bo póki co zupełnie nie miałem pojęcia, po co trzeba było je nieodwracalnie zniszczyć.

V.

Panie Zdzichu, mój Drogi Przyjacielu!

Wiele trudnych chwil musiałem przejść ostatnio. Napisanie tego listu jest kolejnym ciężkim dla mnie momentem. Wykorzystuję czas, kiedy nie ma Was z nami, ponieważ nie chcę tłumaczyć swojej decyzji twarzą w twarz. Poza tym chyba nie potrafił jej uzasadnić na tyle przekonująco, byście pozwolili na zrealizowanie mojego planu, który może wydawać się chory i podjęty pod wpływem impulsu. Ale to nie jest rzecz nieprzemyślana. Mało tego — sądzę, że wyjazd jest najlepszym posunięciem, jakie mogę w tej chwili wykonać.

W nocy z soboty na niedzielę, zaraz po tych strasznych wydarzeniach, które miały miejsce w Rykowie Górnym w okolicy domu starców,

powiedziałem Wam, że Wiktoria mi i Izie wspominała, że zamierza ze sobą skończyć. Nie wiecie, że próbowała to zrobić. Jednej nocy (chyba w nocy z szesnastego na siedemnasty) połknęła kilka tabletek nasennych, ale przestraszyła się tego, co robi, nie wzięła ich więcej i przyszła do nas do sypialni. Wywołaliśmy natychmiast wymioty, skończyło się na strachu i jej zapewnieniu, że nigdy więcej nie będzie podejmowała tego typu prób, że nie sprawi nam jeszcze większego bólu. Dwudziestego marca rano, w piątek, gdy wstałem i poszedłem do salonu, wyczułem w powietrzu zapach gazu. Przyparta do muru przyznała, że w nocy, gdy spaliśmy, znów próbowała ze sobą skończyć, ale ponownie wycofała się w ostatniej chwili. Ponownie nas zapewniła, że więcej tego nie robi, ale nie potrafiliśmy jej do końca uwierzyć. Nadzieję dawało to, że jest zbyt słaba psychicznie i jak przyjdzie co do czego, to ponownie się wycofa. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że tak właśnie będzie, bo przecież jeśli ktoś jest w stu procentach zdeterminowany, to nie da się go upilnować. Jest wiele sposobów dostępnych na wyciągnięcie ręki. Od żyletek poczynając, na otwartym oknie w pokoju na drugim piętrze kamienicy kończąc.

Gdy została odnaleziona Julka i gdy zginęła Iza, zacząłem Wiktorię rozumieć. Od tamtego czasu wiele godzin spędziliśmy we dwójkę w jej pokoju, o czym wiecie doskonale. Nie wiedzieliście, o czym rozmawialiśmy. Teraz już wiesz.

Nie masz dzieci, ale potrafisz myśleć i czuć, odpowiedz mi zatem na pytanie: „Czy zastanawiałeś się kiedyś, co czuje ojciec córki, która dzień w dzień, godzina po godzinie, ma do niego tylko jedną prośbę, którą zawrzeć można w jednym krótkim zdaniu «Zabij mnie, tato?»”. A potem uzasadnia szerzej: „Zabij mnie, tato, bo ja sama nie potrafię tego zrobić, a nie będę potrafiła żyć z tym, co się stało, ze świadomością, że wszystko to wydarzyło się przeze mnie”.

Czy zastanawiałeś się, co czuje ojciec w takiej chwili, jeśli dodatkowo doskonale prośbę córki rozumie, i gdyby nie to, że uważa, iż jest i będzie jej potrzebny, to najchętniej sam by ze sobą skończył? Przechodziłem przez to w ostatnich dniach i nienawidziłem siebie za to, że są momenty, w których uważam, że takie właśnie ostateczne rozwiązanie byłoby dla nas obojga najlepsze.

Dziś rano omal nie doszło do tragedii.

Znalazłeś mnie w korytarzu, jak siedziałem przy drzwiach pokoju Wiktorii. Miałem ręce opuszczone wzdłuż tułowia, a Ty byłeś z mojej lewej

strony. Nie mogłeś zobaczyć, że w prawej trzymam najostrzejszy nóż, jaki udało mi się znaleźć w kuchni.

Zbudziłem się nad ranem i zdecydowałem, że to zrobię. Najpierw ona. We śnie, żeby nie cierpiała, ponieważ zrobiłbym to bardzo szybko. Nawet by się nie zorientowała, ponieważ zaaplikowałem jej przed snem większą dawkę środków nasennych. Czy w takim razie wieczorem już to planowałem? Nie jestem do końca pewien, że tak, ale z pewnością nie potrafiłbym tego jednoznacznie wykluczyć.

Gdy się obudziłem, też wziąłem tabletki, a dodatkowo wypłem dla odwagi pół butelki whisky, którą też sobie wieczorem przyniosłem z barku. Jak widzisz, potwierdza to moje wcześniejsze słowa o rozważaniu tego scenariusza już wczoraj. Odczekałem pół godziny. Zaczęło mi się strasznie kręcić w głowie, omal nie zasnąłem, a cała ta sytuacja wydała mi się tylko snem. Tak więc niby śniąc, wstałem i wyszedłem z pokoju. To był rodzaj transu, coś w rodzaju maligny. Przed oczyma przewijały mi się twarze Izy, Julki i Oli. Poszedłem na chwilę do łazienki, żeby tam podjąć ostateczną decyzję, odczekałem dziesięć minut i wciąż uważałem, że muszę to zrobić. Skierowałem się więc korytarzem do pokoju Wiki. Wszedłbym tam, ale przed drzwiami, zagrządzając mi drogę, zmaterializowała się postać małej dziewczynki. Nie wiem, czy to była Ola, czy Julka, ale nie potrafiłem jej odepchnąć. Pomyślałem, że może właśnie widzę jedną ze swoich córek po raz ostatni, więc usiadłem pod ścianą i się jej przyglądałem, czekając, aż zniknie. I wtedy właśnie zmorzył mnie sen, który skończył się, gdy mnie obudziłeś.

Być może masz mnie teraz za potwora, może uważasz, że skoro zdecydowałem się na coś takiego, to wcale nie jestem lepszy od starego Zbieńskiego, który podniósł rękę na swojego syna. A może jestem nawet gorszy, bo przecież sam sobie przysięgałem, że nigdy czegoś podobnego nie zrobię... Masz prawo tak myśleć. Tyle że on zabił swoje dziecko, pozbawiając je prawdopodobnie zwyczajnego, być może nawet szczęśliwego życia, a ja bym to zrobił po to, by swoją córkę uchronić od cierpienia, od koszmaru, który będzie ją dręczył dzień w dzień, aż do grobowej deski.

Sam też nie chcę tego przeżywać, ale dziś rano cieszyłem się, że nie zrealizowałem swojego zamierzenia. Niemniej jednak zaraz potem znów zaczęły ogarniać mnie wątpliwości. I są one ze mną cały czas, nawet wtedy, gdy piszę te słowa. Najlepszy w tej sytuacji będzie więc wyjazd i spokojne

przemyslenie wszystkiego w miejscu, które nie jest aż tak bardzo związane z naszymi kochanymi zmarłymi. Z Izą, Julką i Olą. Może gdzie indziej spojrzę na wszystko bardziej racjonalnie. Mam taką nadzieję i dlatego wyjeżdżamy.

Zostawiamy telefony, żeby nikt nie mógł się z nami skontaktować, zniszczyliśmy karty SIM, żeby uniknąć pokusy zadzwonienia do Ciebie, do Was, do Rykowa. Oczywiście możemy się skontaktować inaczej, chociażby przez telefon stacjonarny albo dzwoniąc na policję w Rykowie, ale o tym pomyślałem dopiero po złamaniu kart. Jak widzisz, nie myślę do końca racjonalnie. To kolejny powód, by wyjechać.

Mam nadzieję, że będziesz potrafił mnie zrozumieć choć trochę.

Mam nadzieję, że tak.

Tym bardziej że mam do Ciebie wielką prośbę. Jeśli nasza przyjaźń coś dla Ciebie znaczy, to nie próbuj nas szukać. Chciałbym, żebyś powiedział Darii, policji i każdemu, kto będzie się zastanawiał, gdzie się podzialiśmy, że chcieliśmy na jakiś czas uciec z Rykowa i wrócimy, gdy od tych wszystkich miejsc odpoczniemy. To nie będzie jakieś wielkie minięcie się z prawdą, ponieważ przecież tak też się to wszystko może skończyć. Gdybyś zdecydował się rozpocząć poszukiwania, to nie będę miał dostatecznego komfortu i mogę podjąć jakieś decyzje pochopnie, a tego z pewnością ani Ty, ani ja byśmy nie chcieli. Wiem, zabrzmiało to teraz trochę jak szantaż, nie taka była moja intencja, ale w pośpiechu i emocjach nie potrafię tego lepiej ubrać w słowa.

Zdaję sobie sprawę, jak wielki ciężar składam teraz na Twoje barki, ale ufam, że nie będziesz miał do mnie o to żalu. Z przyjaciółmi tak już jest, że czasami bywają także ciężarem.

Nie mówię „żegnaj”, nie mówię „do widzenia”, ponieważ nie wiem, które z tych słów byłyby najbliższe prawdzie.

Twój przyjaciel
K.S.

PS

Myślę teraz o sobie w czasie, gdy byłem tylko trochę młodszy od Wiktorii, o tym chłopaku, który zmagał się z myślami, że być może przez niego zginął jego najlepszy przyjaciel. Pamiętam, jak bardzo mi było wtedy ciężko, a przecież o ile lepsza była moja sytuacja od tej, w której teraz znalazła się Wiki... Ja mogłem jedynie przypuszczać, że przyczyniłem się do śmierci Adriana, a ona tak naprawdę jest pewna, że to przez nią porwanie

było możliwe i bez tego to wszystko prawdopodobnie by naszej rodziny nie spotkało. Nie potrafię jej przetłumaczyć, że źli ludzie po prostu są na świecie i czasem robią coś bardzo złego. Jest chyba jeszcze za młoda, żeby to wszystko zrozumieć.

Swoją drogą, to wszystko wygląda mi trochę na dziedziczenie cierpienia. Kto wie, może córka lub syn Wiktorii też musiałby przechodzić przez tego typu sytuacje? To oczywiste, że nie da się tego przewidzieć. Ale pewne przesłanki świadczą o tym, że...

Dobrze, tyle ode mnie. Bo zaraz pomyślisz, że tak naprawdę podjąłem już decyzję i po prostu nie chcę, by ktoś przeszkodził w realizacji planu.

Bądź ze mną myślami, Panie Zdzichu.

I pomóż mi, tak na odległość, podjąć właściwą decyzję.

* * *

Kiedy skończyłem, byłem wściekły, że nie ma go teraz przy mnie i że nie mogę mu prosto w twarz wykrzyknąć, że po prostu zwariował.

A potem mi przeszło i opadłem na łóżko, żeby przynajmniej spróbować jakoś poradzić sobie z tym, co na mnie przed chwilą spadło. W jednym Kamil miał naprawdę rację — złożył na moje barki tak wielki ciężar, że nie miałem pojęcia, czy będę potrafił go unieść.

* * *

Nie miałem zbyt wiele czasu na ogarnięcie kotłowaniny myśli, która na dobre zaczęła się w mojej głowie, ponieważ z drugiej części mieszkania dał się słyszeć głos Darii:

— Ten facet zupełnie oszalał! — krzyknęła. — Zdziszek, przecież to jest jakiś cholerny psychopata.

W sumie spodziewałem się po Darce więcej niż stwierdzenia oczywistego faktu, ale też z drugiej strony zupełnie nie dziwiłem się jej emocjonalnej reakcji. Usiadłem na łóżku i powiedziałem głośno:

— Już do ciebie idę. Zaraz o tym porozmawiamy, może uda się nam coś wyczytać pomiędzy wersami.

A potem schowałem list do tylnej kieszeni spodni, zamknąłem pudełko i ukryłem je tam, gdzie było wcześniej. Wiedziałem, że muszę się nad tym wszystkim poważnie zastanowić, ale też, że nie mogę zrobić tego już teraz. Poszedłem więc do łazienki, żeby przemyć twarz zimną wodą. Nie chciałem, aby Daria zorientowała się, że dostałem od życia nowy cios między oczy.

Przed wyjściem wysłałem do siebie pustego SMS-a, który brzdęknięciem zasygnalizował swoje przybycie dokładnie w chwili, gdy wchodziłem do salonu.

— O, dopiero teraz przyszła wiadomość od Kamila — powiedziałem i zacząłem udawać, że czytam.

— No i co pisze?

— Poczekaj, trochę tego jest... — odparłem, a po dłuższej chwili wygasilem komórkę i odłożyłem ją na stół. — Napisał, że postanowili na jakiś czas wyjechać z Rykowa, żeby w jakimś obcym miejscu spróbować oswoić się z tą całą sytuacją. Przeprasza, że tak bez pożegnania, ale podobno bał się, że będziemy oponować. — Czułem, że mój głos drży i byłem pewien, że wciąż jestem tak samo blady, jak widziany przed chwilą w łazienkowym lustrze facet.

Daria przyglądała mi się bacznie przez dłuższą chwilę.

— Tylko tyle napisał? Wyglądasz i zachowujesz się tak, jakbyś przed chwilą dostał wiadomość o czyjejś śmierci.

„Bo być może tak właśnie było” — pomyślałem, a potem, już głośno, odparłem, siląc się na uśmiech:

— Nie, słonko. Uwierz mi, że akurat w tej wiadomości nie było niczego, czym można byłoby się martwić.

VI.

Chyba przez godzinę rozmawialiśmy z Darią na temat spisanego na maszynie bełkotu Pokocia. Oboje zgadzaliśmy się co do tego, że wciąż jest szansa na odnalezienie Oli żywej, ale równocześnie na tych kartkach nie było prawie nic, co mogłoby chociaż odrobinę ułatwić poszukiwania.

Prawie.

Była kwestia samochodu, który prawdopodobnie został skradziony, a który mógł okazać się kluczowy dla sprawy, więc postanowiłem natychmiast zadzwonić do Sitarza w tej sprawie. Gdy się z nim połączyłem, okazało się, że Mamaj podzielił się ze śledczymi tą samą uwagą, co ze mną, i rzecz potencjalnie użytego przez Kapo auta stała się priorytetowa. Niestety, od początku roku nie zgłoszono żadnej kradzieży samochodu ani na terenie samego miasta, ani w całym powiecie. Nadkomisarz zapewnił mnie, że będą się jeszcze rozglądać, kontaktować z innymi komendami, by spośród wielu kradzieży aut spróbować wytypować te, które mogłyby mieć związek z Pokociem, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że ten trop może okazać się niemożliwy do podjęcia.

Drugą rzeczą, na którą zwróciliśmy z Darią uwagę, były kwestie, które za poszukiwanym psychopatą określiliśmy mianem „słabych ogniów”.

Mało brakowało, a wpadłby przez jedno z nich, gdy poczuł się na tyle pewnie (kierowała nim także chęć poczucia — jak to określał — „adrenalinki”), by w okresie intensywnej poszukiwań wyjść na miasto. Fakt, że wtedy zawałem, ale też żaden z poszukujących Kapo, wtajemniczonych policjantów także go nie rozpoznał. Brak brody wprawdzie bardzo zmieniał Pokocia, niemniej jednak, skoro trwała akcja „Kapo 2”, to przecież igrał on wtedy z losem.

Na zapisanych maszynowo kartkach wspominał on też o jakichś zakupach, których dzień przed powstaniem tekstu „NIMB” (a więc dwunastego marca) dokonał Zbieński. „Mówiłem, żeby był ostrożny, a on zachował się jak skończony debil” — pisał Pokoć i z pewnością była to rzecz warta zgłębienia, ale ani Darii, ani mnie nic konkretnego w związku z tym nie przychodziło do głowy.

Tak szczerze mówiąc, to ja w ogóle miałem podczas tej rozmowy kłopoty z koncentracją. Wciąż gdzieś z tyłu głowy uwierała mnie troska, co teraz stanie się z Kamilem i Wiktoria, miałem ochotę na spokojnie sobie to wszystko przemyśleć, spróbować rozstrzygnąć, czy dobrze postąpiłem, nie mówiąc prawdy ani Darce, ani Sitarzowi, do tego jednak potrzebne mi były samotność i spokój. Dlatego też, gdy bez wytchnienia wciąż przeglądaliśmy zapiski Pokocia, ale już od kilkunastu minut nic nowego nie przyszło nam do głowy, powiedziałem:

— Posłuchaj, słoneczko. Ja to chyba tu zostanę, ale ty w ostatnich dniach miałaś takie urwanie głowy, że powinnaś sobie odpocząć u siebie. Jak widzisz, na nic nowego już pewnie dzisiaj nie wpadniemy, więc po co mamy się oboje zadręczać? Może podwiozę cię do domu?

Przyjrzała mi się uważnie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem czegoś nie kombinuję za jej plecami, ale test najwyraźniej wypadł przyzwoicie, bo odparła:

— W sumie masz rację, że padam z nóg. Ostatnie dni, takie trochę na walizkach, w ciągłej huśtawce emocjonalnej, zupełnie mnie wykończyły. Szczerze ci powiem, że nawet się trochę ucieszyłam, że Kamil wyjechał z Wiki trochę odsapnąć od Rykova i tego mieszkania.

W tym miejscu na chwilę znów popatrzyłem na zapiski Pokocia w obawie, że moje oczy mogą zdradzić zbyt wiele.

— Ja też z przyjemnością odpoczęłabym — ciągnęła.
— Zwłaszcza od tego mieszkania.

— No widzisz, w takim razie zrobimy tak, jak zaproponowałem — powiedziałem, starając się dołożyć do swoich słów trochę entuzjazmu.
— Zawiozę cię i...

— A no właśnie, i co...? Może zostałbyś u mnie? Zaczyna się weekend, spędzilibyśmy go razem.

Pokiwałem głową i stwierdziłem całkiem szczerze:

— Bardzo bym chciał, słoneczko, ale raczej nie przed pierwszym kwietniem. Do tego czasu muszę zrobić wszystko, co tylko możliwe, żeby spróbować odszukać Olę. Poza tym nie wiadomo, na jak długo wyjechali Kamil z Wiktoria. Może wrócą jutro? Chyba lepiej będzie, jeśli nie będzie na nich czekać to przeraźliwie puste mieszkanie.

— To może jednak zostanę...? Może będę ci mogła pomóc w tym, by dowiedzieć się czegoś o Oli?

— Pokoć i Ola pewnie są już gdzieś daleko stąd. Pokręcę się trochę dziś wieczorem i jutro z rana po Pierwszego Maja. Może wpadnę na jakiś pomysł, może się czegoś dowiem? Myślę, że Kamil z Wiki na pewno nie wrócą wcześniej niż jutro po południu — „O ile w ogóle kiedyś wrócą” — powiedział jakiś zły głos w mojej głowie. — Jak będę węszył sam, to są większe szanse, że złapię jakiś trop. Naprawdę uważam, że będzie lepiej, jeśli odpoczniesz sobie w domu.

— No dobrze... — rzekła Daria, ale bez wielkiego przekonania.
— Ale obiecaj mi, że jeśli będę ci potrzebna, to dasz znać, dobrze?

— Obiecuję.

— A jutro wieczorem? Może wtedy bym tu do ciebie zajrzała?

— Jeśli tylko nie masz dość tego mieszkania...

— Ciebie nie mam dość — przerwała mi najpierw słowami, a później zupełnie niespodziewanym pocałunkiem.

Było mi strasznie wstyd, że nie powiedziałem jej całej prawdy.

VII.

Najpierw zawiozłem Darię pod jej blok, a później pojechałem do siebie.

W Internecie znalazłem zdjęcie Zbieńskiego i je sobie wydrukowałem. Wprawdzie było dla mnie oczywiste, że większość mieszkańców Rykowa wie, jak wygląda, ale jeśli przychodzisz do jakiegoś sklepu i masz zamiar spytać, czy dana osoba nie robiła zakupów, które mogły być

charakterystyczne, to lepiej, żebyś miał przy sobie wizerunek poszukiwanego.

Początkowo miałem zamiar od razu z Osiedla Solidarności pojechać na ulicę 1 Maja, ale po drodze zmieniłem zdanie, uznając, że potrzebuję dłuższego spaceru, by raz jeszcze zastanowić się nad listem od Kamila i po raz kolejny, już na chłodno, rozważyć, czy dobrze postąpiłem, zachowując jego treść tylko dla siebie. Określenie „na chłodno” było w tym wypadku tym bardziej na miejscu, że po długim okresie wyżowej, ciepłej i bezchmurnej pogody, w piątkowe popołudnie nad Ryków nadciągnęły ołowiane chmury, a temperatura obniżyła się do około dziesięciu stopni. Zimny wiatr przenikał ubranie i niespodziewanie mroził przyzwyczajony do cieplejszych dni organizm. Gdy wysiadłem z auta nieopodal pizzerii Camillo, poczułem to aż nadto dotkliwie. Przez moment zastanawiałem się nawet, czy nie podjechać raz jeszcze do domu, po coś cieplejszego do ubrania (w mieszkaniu Szykowiaków miałem tylko kilka lżejszych rzeczy), ostatecznie jednak z tego zrezygnowałem w nadziei, że chłód pozytywnie wpłynie na moje procesy myślowe.

Nie wszedłem nawet na górę, tylko od razu podążyłem w stronę rynku, a potem dalej, ku najmniej zamożnej dzielnicy miasteczka, częścią której była również ulica 1 Maja. Idąc, zastanawiałem się, co może robić teraz Kamil i jakimi drogami krążą jego myśli. Miałem wielką nadzieję, że jednak otrzeźwieje, że zmiana miejsca pobytu dobrze mu zrobi, że będzie potrafił trochę chłodniej i choć odrobinę przychylniejszym okiem spojrzeć na przyszłe losy jego i Wiki. Mimo że wiem, iż zachowanie dla siebie tego, co było w liście, jest w pewien sposób akceptacją najgorszego scenariusza, to nie wyobrażam sobie, bym mógł postąpić inaczej. Trochę wprawdzie oburza mnie ten szantaż emocjonalny — „albo nikogo nie poinformujesz, albo mogę podjąć pochopną decyzję” — niemniej jednak chyba go trochę rozumiem, a przynajmniej bardzo się staram. Przychodzi mi do głowy, że Kamil w tej chwili stanął przed wyborem, jakiego muszą czasem dokonać bliscy kogoś, kto prosi o eutanazję w obliczu nieuleczalnej choroby, z tą różnicą, że ma teraz bardzo chorą duszę, a nie ciało. Mój przyjaciel jak nikt inny będzie potrafił postawić diagnozę, czy jest to choroba, która daje jakieś szanse na wyleczenie. Gdybym, idąc w stronę kamienicy, w której zginęła przynajmniej jedna z jego córek, mógł mu przesłać telepatycznie jakąś myśl, to byłoby to chyba coś takiego: „Popatrz, Wiki dzięki Darii potrafiła na chwilę o tym pamiętać mniej”. Myślałbym oczywiście

o sytuacji ze środy, kiedy Kamil razem ze mną siedział przy zastawionym jeszcze po obiedzie stole, a z pokoju jego córki dobiegały odgłosy normalnej rozmowy, a czasem nawet zdawkowy śmiech. Wiem, że wtedy go to denerwowało, ale to było przecież przed pogrzebem, więc może i trochę trudno się dziwić. Idąc w stronę 1 Maja, pamiętałem, że pogrzeb już się odbył i, Bóg mi świadkiem, chciałem, żeby ten fakt dotarł również do Kamila. Powiedziałbym mu, że teraz to już z każdym dniem będzie coraz lepiej.

„Aż do chwili, gdy znajdą ciało Oli” — prawie usłyszałem jego głos i na tę ripostę nie miałem już dobrej odpowiedzi.

* * *

Do kamienicy, którą zdążyłem już serdecznie znienawidzić, dotarłem około osiemnastej trzydzieści. Gdyby nie pochmurna pogoda, być może ulicę rozświetlałby jeszcze ostatni blask dnia, ale ciężkie chmury skutecznie zabiły jego resztki. 1 Maja wyglądała dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy ściągnął mnie tu Mamaj po to, bym przyjrzał się odciętemu palcowi dziecka. Wzdrygnąłem się na to wspomnienie, a później, żeby nie rozpamiętywać tego po raz kolejny, przez głodną nowych ofiar ościeżnicę ponownie zagłębiłem się w mrocznej i dość dobrze mi już znanej klatce schodowej, a następnie zapaliłem światło, które rozświetliło ją słabym blaskiem.

Sam właściwie nie wiedziałem, dlaczego zaczynam swoją eskapadę od tego właśnie miejsca. Może chciałem spojrzeć na nie już po lekturze zapisków szaleńca, żeby spróbować wnikać w jego umysł, a później podążyć jego śladem? A może chciałem raz jeszcze spróbować z moją tajemniczą informatorką spod piątki? Tak czy inaczej, na parterze nie za bardzo miałem czego szukać, więc by nie tracić czasu, wspiąłem się jak najszybciej po schodach na pierwsze piętro. Dopiero gdy się zatrzymałem i poczułem mdlący, ale też już prawie niewyczuwalny zapach rozkładu, uświadomiłem sobie, że na parterze pachniało już normalnie. Tam po Zuzie Jaworskiej nie pozostał już nawet taki ślad.

Drzwi mieszkań pod czwórką i szóstką wciąż były oklejone taśmami policyjnymi. Miałem wrażenie, że od poprzedniej mojej wizyty nic się nie zmieniło jeśli chodzi o rozmieszczenie zabezpieczeń, a więc najprawdopodobniej nikt ze śledczych nie miał powodu, by się tutaj fatygować. Jedyna zmiana, jaką udało mi się zarejestrować, dotyczyła drzwi oznaczonych numerem piątym, a w zasadzie dźwięków, które się zza

nich wydobywały. Ostatnio panowała za nimi grobowa cisza, a teraz słychać było odgłosy nastawionego na kanał informacyjny telewizora.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy przed odwiedzinami pod piątką warto jeszcze raz zajrzeć na drugie piętro i zdecydowałem się to zrobić, głównie z myślą o sprawdzeniu, czy Stępora zastosował się do mojego polecenia. Szczerze mówiąc, teraz trochę żałowałem, że mu je wydałem, ponieważ w obliczu faktu znalezienia w garażu Opióły zwłok Zbieńskiego może przypomniałby sobie coś, co pomogłoby w poszukiwaniach.

Idąc po schodach, musiałem uważnie patrzeć pod nogi. Podczas środowej wizyty w tym budynku zauważyłem, że żarówka na drugim piętrze jest przepalona, a ponieważ od tamtego czasu nic się nie zmieniło, to musiałem się posiłkować blaskiem tej umiejscowionej na niższej kondygnacji.

W środę nie zdziwiło mnie, że na drugim piętrze zapach rozkładu jest silniejszy niż poniżej, i nie zdziwiłoby mnie i tym razem, gdyby nie fakt, że wydał mi się on silniejszy od tego, który wyczuwałem ostatnio. Minęły dwa dni, więc powinien on osłabnąć, ale nic z tych rzeczy. Gdy pokonałem ostatni stopień, zatrzymałem się i zacząłem węszyć jak wilk przed polowaniem. Z dołu dobiegał hałas emitowany przez włączony telewizor, a poza tym otaczała mnie absolutna cisza. Przyzwyczailem wzrok do półmroku i stałem tak przez kilka minut, zastanawiając się, czy fetor faktycznie przybrał na sile, czy też może stałem się już przewrażliwiony na jego punkcie. Ostatecznie przekonałem sam siebie do tej drugiej opcji, chociaż zmysł powonienia mówił mi zupełnie co innego niż zdrowy rozsądek.

Byłem rozczarowany, że pod ósemką nie było nikogo. Wyglądało na to, że Wiesiek Stępora ulotnił się na dobre. Kiedy wróciłem na korytarz, już miałem schodzić niżej, ale coś mnie podkusiło, żeby zapukać jeszcze do pozostałych drzwi. Najpierw do mieszkania pod siódmką, a później do tego oznaczonego numerem dziewiątym. W tym pierwszym raczej wiedziałem, że nikogo nie zastanę, skoro jego właścicielka ubiegłej jesieni przeniosła się na tamten świat, ale cień szansy wiązałem z numerem dziewięć i nadzieją, że może zamieszkujący na stałe w Niemczech Damian Kuna akurat przyjechał do Polski. Do obu lokali stukałem po trzy razy, ale za każdym razem z tym samym skutkiem.

* * *

Trzy razy zapukałem też w drzwi oznaczone piątką, ale te, w przeciwieństwie do poprzednich, wreszcie zostały uchylone. Moja informatorka, którą poznałem we wtorek, była tak samo potargana, jak wtedy. Najprawdopodobniej miała też na sobie to samo ubranie.

— Dzień dobry pani — powiedziałem, w tej samej chwili zauważając, że powinienem raczej powiedzieć „dobry wieczór”.

— Dzień dobry, panie Mokryna. Jak idą poszukiwania?

Przez chwilę stałem zaskoczony, że zna moje nazwisko.

— Niestety, na razie bez przełomu, chociaż...

— Ale zaraz... — weszła mi w słowo. — Nie będziemy przecież rozmawiać tak w progu. Proszę, nich pan wejdzie dalej.

Zaprowadziła mnie do wyglądającego na całkiem schludny pokoju gościnnego i wyłączyła telewizor.

— Może się pan napije herbaty?

Pomijając fryzurę, kobieta wyglądała o wiele lepiej niż we wtorek. Być może kac po wczorajszych zmaganiach z jablem już minął, a nowe zawody jeszcze się nie rozpoczęły.

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu...

— To naprawdę żaden kłopot. Właśnie zgotowałam wodę, bo miałam sobie robić, więc po prostu zaleję jeszcze jedną torebkę.

— W takim razie chętnie, dziękuję. Na dworze się bardzo ochłodziło.

Kiedy zostałem sam, zastanawiałem się, czy podczas wtorkowej rozmowy z kobietą podałem jej swoje nazwisko. Ponadto dziwiło mnie, jak bardzo dużej metamorfozie uległa. Kilka dni temu była zachrypnięta, zwracała się do mnie prostym, można byłoby nawet stwierdzić, że prostackim językiem, a tu nagle — zaskoczenie.

Po jej powrocie z kuchni, z dwiema parującymi filiżankami napełnionymi po brzegi herbatą („Znikło też drzenie rąk” — zauważyłem mimochodem), zapytałem:

— Czy ja pani podawałem moje nazwisko? Zna je pani, a zdaje się, że podczas naszej rozmowy ono nie padło...

Stawiając przede mną moją filiżankę, uśmiechnęła się i odparła:

— Przecież było umieszczone na ogłoszeniu.

— Ach, rzeczywiście! — Klepnąłem się otwartą dłonią w czoło, zupełnie nie panując nad tym odruchem.— Całkiem o tym zapomniałem.

— Zdarza się. Ale swoim pytaniem przypomniał mi pan o jednej ważnej rzeczy.

— A mianowicie?

— O tym, że ja się wtedy panu nie przedstawiłam. Nazywam się Nowicka. — Wyciągnęła do mnie wciąż jeszcze zaniedbaną dłoń, a ja ją uścisnąłem, podnosząc się na chwilę z krzesła. — A pamięć do nazwisk została mi jeszcze z dawnych lat, kiedy byłam nauczycielką w jednej z tutejszych podstawówek.

* * *

Od razu skojarzyłem nazwisko z opowieścią Kamila o Adrianie oraz o przewijającej się też w tej historii nauczycielce. Szykowiak nie wspominał wtedy nic o jej wieku, więc wyobrażałem sobie ją jako starszą matronę, tymczasem skoro w dwa tysiące piętnastym wyglądała maksymalnie na sześćdziesiąt, to w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku mogła co najwyżej dobić do trzydziestki.

— Zrobiło mi się wtedy wstyd, że zebrałam o te dwadzieścia złotych — powiedziała, gdy w skrócie opowiedziałem jej o wynikach poszukiwań. — Wiedziałam, że to dzieci Kamila, ale nie przeszkodziło mi to w próbie sprzedania informacji, które posiadałam. Dobrze, że spotkałam pana wtedy. Mam nadzieję, że będzie to dla mnie początek nowego życia.

Okazało się, że na 1 Maja sprowadziła się całkiem niedawno. Wcześniej mieszkała w wolno stojącym, piętrowym domu, który dostała w spadku po samotnym wujku. Prócz domu odziedziczyła także po wujku samotność. Nie pytałem jej nawet, dlaczego musiała sprzedać ten budynek, który z pewnością był wart o wiele więcej niż mieszkanie w tak obskurnej dzielnicy (o tym, że za ścianą miała teraz zabójcę swojego ucznia, już nawet nie wspominając). Nie zadałem jej takiego pytania, ponieważ odpowiedź na nie była dla mnie zupełnie oczywista.

Dobrze się stało, że do niej wtedy poszedłem nie tylko dlatego, że dzięki temu dowiedziałem się, iż przynajmniej na jedną osobę cała ta sprawa wywarła jakiś pozytywny wpływ. Najważniejszy był ten błysk w jej oczach, kiedy dowiedziała się, że w aucie należącym do Jaworskiej znaleziono zwłoki Zbieńskiego.

* * *

Nowicka nie powiedziała mi niczego nowego, więc po wyjściu od niej postanowiłem trzymać się swojego wcześniejszego planu. Obszedłem wszystkie czynne jeszcze wtedy okoliczne sklepy (przed dwudziestą działały już tylko spożywcze) i wymachując odznaką oraz wydrukowanym wizerunkiem Zbieńskiego, pytałem, czy mniej więcej trzy tygodnie temu

nie robił on w nich zakupów, które byłyby warte zapamiętania. Wszędzie go rozpoznano i wszędzie odpowiedzi były do siebie bardzo podobne: „Owszem, robił u nas czasem zakupy, ale przeważnie kupował tani alkohol i byle jakie jedzenie”. Tak więc tego dnia moje poszukiwania zakończyły się zupełną klapą.

Kiedy już położyłem się do łóżka w salonie mieszkania należącego do Kamila, bardzo długo nie mogłem zasnąć. Myślałem o moim przyjacielu i jego najstarszej córce, zastanawiając się, gdzie teraz są i co robią.

Dużo myślałem też o Oli.

Myśl, że od tak długiego czasu może być więziona gdzieś przez tego cholernego psychopata, doprowadzała mnie do szału.

Podobnie jak przecucie, że już od dawna nie żyje.

* * *

Następnego dnia znów wybrałem się w okolice 1 Maja i tym razem obszedłem pozostałe sklepy. Głównie były to małe klitki oferujące odzież używaną, ale zajrzałem też do obuwniczego, metalowego i apteki. Nikt nigdzie nie naprowadził mnie na jakikolwiek ślad.

Wieczorem na Parkowej odwiedziła mnie Daria, która przyniosła ze sobą dwie butelki czerwonego wytrawnego wina oraz wszystko, co było potrzebne do przygotowania jej popisowego dania, czyli spaghetti z własnoręcznie (czyli bez użycia proszków w torebkach i półproduktów oferowanych w słoikach) robionym sosem bolońskim.

Przez kilka godzin przestałem myśleć o rodzinie Szykowiaków i — wstyd przyznać — było mi z tym bardzo dobrze. Spędziliśmy uroczy wieczór, ani razu nie wspominając tego, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach.

Około jedenastej wylądowaliśmy w łóżku.

Tamtego wieczoru, w sobotę, dwudziestego ósmego marca, kochałem się z Daria po raz ostatni.

VIII.

W niedzielę rano obudziłem się z podwójnym kacem.

Jednym — takim zwykłym, poalkoholowym, i drugim, który szarpał moje myśli wyrzutami sumienia związanymi z tym, że poprzedniego wieczoru beztrudnie spędziłem czas z Daria, zamiast próbować zrobić coś, co mogłoby pomóc Kamilowi i jego córkom.

Darka spała u mojego boku, a ja wpatrywałem się w sufit, zastanawiając się nad planem na trzy najbliższe dni. Najgorsze było to, że nie

przychodziło mi do głowy nic konkretnego.

Zjedliśmy razem śniadanie, oglądając najnowsze wiadomości w telewizji na różnych kanałach. Za Pokociem rozesłano list gończy i co chwilę emitowano wizerunki Kapo i Oli, dodając jednocześnie informację, że za pomoc w ujęciu przestępcy poseł Skowran wyznaczył nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy złotych. Z jednej strony cieszył mnie ten jego gest, a z drugiej zastanawiałem się, na ile jest on wywołany chęcią pomocy, na ile wyrzutami sumienia, a w jakim stopniu mającymi nastąpić jesienią wyborami parlamentarnymi. Niestety, doświadczenie i zdrowy rozsądek podpowiadały mi, że ta ostatnia pobudka jest chyba najbardziej prawdopodobna.

O jedenastej odwiozłem Darię, a później pojechałem do siebie po cieplejsze ubrania, po czym skierowałem się w stronę 1 Maja, gdzie ostatecznie nie udało mi się dotrzeć autem, ponieważ okazało się, że zabrakło mi paliwa. Z tego wszystkiego zapomniałem zatankować, ale to akurat było najmniejsze zmartwienie. Zostawiłem auto przy krawężniku, jakieś dwieście metrów od celu mojej podróży, a dalszą drogę przebyłem pieszo, stwierdzając, że wrócę po samochód z kanistrem najwcześniej we wtorek. Dalszych wyjazdów nie planowałem, a Ryków jest na tyle mały, że przez te trzy dni od biedy mogłem poruszać się pieszo.

Pokręciłem się po 1 Maja bardziej dla spokoju własnego sumienia niż w jakimś konkretnym celu. Nie widziałem już nawet sensu wchodzenia do kamienicy, pooglądałem tylko samochody stojące przy niej, jakby to miało naprowadzić mnie na jakiś ślad. Kilka z aut miało jeszcze czarne tablice rejestracyjne, co świadczyło o tym, że najprawdopodobniej właścicieli nie było stać na zmianę samochodu po wprowadzeniu nowego wzoru tablic w dwutysięcznym roku. Jedno auto było z Ukrainy, jedno na niemieckich blachach. Zastanawiałem się, jak to się stało, że Pokociowi udało się wymknąć z Olą niezauważonym, ale potem pomyślałem, że wystarczyło, aby w podróż ruszył późną nocą, a nikt by go na 1 Maja nie niepokoił. Ta dzielnica każdej nocy umierała, by rano znów zmartwychwstać.

Niedziela mijała powoli. Wracając na Parkową, znów zacząłem oceniać szansę Oli na to, że jeszcze wciąż pozostaje przy życiu.

* * *

Biorąc pod uwagę jej temperament, mogło być tak, że udało jej się przetrwać przez te wszystkie dni bez doprowadzenia Pokocia do furii. W przeciwieństwie do Julki zawsze była spokojna, opanowana i cierpliwa.

Konsekwentnie realizowała te zadania, które przed sobą postawiła, a także te, które stawiali przed nią rodzice. Umiała logicznie i rzeczowo ocenić to, co jej się najbardziej opłaca. I te cechy z pewnością odziedziczyła po Kamilu.

Przypomniałem sobie dzień, w którym go pierwszy raz zobaczyłem. Przywiózł wtedy do Camillo produkty potrzebne do produkcji pizzy i od razu rzuciło mi się w oczy to, że nie wyglądają one zbyt zachęcająco. Później dowiedziałem się, że wędliny nabywał od najlepszego producenta w okolicy, który nie stawiał na estetykę opakowania, a na jakość tego, co oferuje swoim odbiorcom. Byłem pewien, że gdyby Ola odziedziczyła kiedyś rodzinny biznes, to postępowałaby dokładnie tak samo.

Nawet w swoim wieku miała smykałkę do zakupów. Zwykle raczej ospała i wycofana, w sklepie stawała się inną osobą. Doskonale wiedziała, gdzie są zlokalizowane dane produkty, potrafiła znaleźć sklep, w którym jej ulubione żelki były najtańsze, nie umknęła jej uwagi żadna promocja. Kamil nie mógł się nacieszyć, że ma taką rezolutną córkę.

Kiedyś opowiedział, że w domu zorganizował dwóm młodszym córkom coś w rodzaju testu marshmallow, zwanego przez niektórych testem cukierkowym. Na pierwszy ogień poszła Julka, która dostała pod nos trzy musujące cukierki, które akurat wtedy stanowiły jej wielką fascynację. Zgodnie z zasadami poinformował średnią córkę, że jeśli będzie potrafiła się opanować i ich nie zje od razu, to dostanie kolejne trzy za jakiś czas. Oczywiście łakocie zniknęły w trzy minuty. W przeciwieństwie do żelków, które kilka dni później Kamil położył przed Olą. Czekala godzinę i pewnie mogłaby wytrzymać dłużej, aby zdobyć większą liczbę żelowych misiów.

Tak, Ola miała cechy, które dawały jej szanse, ale...

Ale nie wiadomo było, czy cechy, które ma Pokoć, pozwoliłyby jej aż tyle przetrwać. No i nawet jeśli tak, wciąż nic nie było wiadomo na temat miejsca, w którym dziewczynka może przebywać razem ze swoim przyszłym oprawcą.

A zegar nieubłaganie tykał.

O ile Kapo nie blefował w maszynopisie (a uznawałem jednoznacznie, że nie miał najmniejszych powodów, aby to robić), to Oli zostały już tylko nieco ponad dwa dni życia.

* * *

Niedzielę wieczór, poniedziałek i prawie cały wtorek przesiedziałem w mieszkaniu Szykowiaków, w ogóle nie wychodząc z domu

i przygotowując się na to, co już chyba nieuniknione. Daria parę razy w tym czasie do mnie dzwoniła, ale wykręcałem się od spotkania z nią, kłamiąc, że cały czas pracuję nad sprawą. Tak naprawdę chyba nie chciałem jej się pokazać w tak marnym stanie. Wiem, że jej też pewnie było ciężko, że w pewien sposób wykazałem się godnym pogardy egoizmem, ale nie potrafiłem inaczej. Został we mnie jeszcze ten zatwardziały gliniarz, który w trudnych chwilach po prostu potrzebuje być sam.

Wtorek był ostatnim dniem miesiąca i wiedziałem, że równocześnie może to być także ostatni dzień życia Oli. Po południu zadzwoniłem do Sitarza z pytaniem, czy przypadkiem nie wiadomo czegoś nowego. Nie wspomnieliśmy w rozmowie nic na temat kończącego się właśnie marca, ale po jego przygaszonym głosie wnioskowałem, że on również doskonale pamięta o tym, co napisał Pokoć.

Nie miał dla mnie żadnych nowych informacji.

* * *

Około dwudziestej drugiej, na dwie godziny przed nadejściem kwietnia, złapałem się na tym, że cały czas wpatruję się w małą wskazówkę wiszącego w kuchennym aneksie zegara.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak bezradny.

Jedyne, co mogłem wtedy zrobić, to zejść na dół, otworzyć pizzerię, a potem wziąć z niej butelkę wódki. I dokładnie to zrobiłem. Miałem ochotę ją otworzyć, jak najszybciej wypić, a potem zasnąć. Parę razy sięgałem w jej stronę. Postawiłem już nawet przed sobą kieliszek, ale ostatecznie uznałem, że muszę poczekać do północy.

Pomoc wielookiego miasta okazała się niewystarczająca. Nie poskutkował ani mój ruch z ogłoszeniami, ani postawiona na nogi policja w całym kraju. Nie pomógł też Adrian, którego Kamil na cmentarzu prosił o pomoc w odnalezieniu Oli.

Teraz mogłem liczyć co najwyżej na cud.

Ale nie taki, spowodowany ingerencją Boga, bo w istnienie Boga przestałem wierzyć parę dni temu.

Przecież gdyby istniał, to nie pozwoliłby na to wszystko.

IX.

Dokładnie o dwudziestej trzeciej trzydzieści jeden odezwał się mój telefon, informując o przyjściu nowej wiadomości.

Byłem pewien, że to Daria. Zarówno w niedzielę, jak i poprzedniego dnia przed snem, mniej więcej o tej porze, wysyłała mi SMS-y z pytaniem

o to, czy udało mi się dowiedzieć czegoś nowego i czy jakoś się trzymam.

Jeśli mam być szczery, to doprowadzała mnie tym do szału. Nie, nie dlatego, że się o mnie troszczyła, ale dlatego, że musiałem jej odpisywać wiadomością o braku postępów. Teraz w ogóle nie miałem na to ochoty i postanowiłem, że nie przeczytam tej wiadomości, żeby znów nie musieć odpisywać. A potem pomyślałem, że co mi tam i że najwyżej odpiszę jutro.

Wiadomość została wysłana z nieznanego mi numeru, a w jej treści napisano:

Piszę w sprawie poszukiwanego. Jeśli jeszcze Pan nie śpi, to proszę o oddzwonienie. A jeśli nie, to jutro. A.Z.

Serce zabiło mi mocniej, ale od razu sam siebie próbowałem uspokoić.

„Przecież nawet jeśli to byłaby jakaś cenna informacja, to i tak już się nie da uratować Oli, bo do północy jest już mniej niż pół godziny” — pomyślałem.

Ale oczywiście oddzwoniłem natychmiast.

* * *

— Halo?

Usłyszałem w słuchawce głos należący do młodego mężczyzny, może nawet do chłopaka.

— Dobry wieczór. Z tej strony Zdzisław Mokryna. Dostałem właśnie SMS-a, że ma pan jakieś informacje o poszukiwanym.

— A, tak. Dziękuję, że pan oddzwonił. Wie pan, bo ja... to znaczy ten... Ja nazywam się Adrian Zbieński i moja dziewcz...

— Jak się pan nazywa?!

Żeby odczytać wiadomość, musiałem wstać, bo telefon leżał na stole w gościnnej części salonu. Na stojąco też nawiązałem połączenie. Teraz nogi się pode mną ugięły i ciężko opadłem na fotel. Gdyby go tam nie było, to chyba wylądowałbym na dywanie.

— Adrian. Zbierski.

— Aha, Zbierski przez „er” w środku nazwiska? Nie „eń”?

— Nie, proszę pana. Przez „er”.

Odetchnąłem głębiej, a później powiedziałem:

— Dobrze, w takim razie słucham pana, panie Adrianie.

— Chodzi o to, że rozmawiałem właśnie ze swoją dziewczyną o całej tej sprawie, no wie pan, o tym porwaniu...

— Tak, wiem.

— No i ona powiedziała, że w sobotę u niej w sklepie... bo ona jest sprzedawczynią w sklepie z butami na Pierwszego Maja... był jakiś facet, pokazywał zdjęcie tego Zbieńskiego, co to mieszkał na tej ulicy...

— Świetnie pan trafił, bo to byłem ja.

— No właśnie, numer przed chwilą znalazłem na ogłoszeniu, co jest powieszony koło mojego domu. Tak myślałem, że to może pan, więc pomyślałem, że się skontaktuję.

— I co panu powiedziała pańska dziewczyna?

— No właśnie, że pan pytał o jakieś dziwne zakupy, które ten cały Zbieński robił. Ja już wcześniej wiedziałem, że on był poszukiwany, ale podobno go znaleźli nieżywego, więc nie wiem, czy to jeszcze ma znaczenie.

Nie wiedziałem, czy w końcu przejdzie do rzeczy, ale postanowiłem mu nie przerywać, żeby go przypadkiem nie spłoszyć.

— No bo ja pracuję w sklepie spożywczym — ciągnął. — W takim dużym, w naszym centrum handlowym. I u nas od nowego roku jest taka usługa, że można sobie zamówić zakupy do domu. Albo przez Internet, albo zadzwonić.

— No i...? — Jednak nie wytrzymałem.

— No i miałem telefon chyba w czwartek, dwunastego. Zamówienie na Pierwszego Maja. Dużo rzeczy.

— Co to były za rzeczy? Pamięta pan?

— Woda w pięciolitrowych butelkach, konserwy, dżemy, jakieś słodczy. O, żelki! Dużo żelków. Dużo chrupkiego pieczywa, jakieś zupki błyskawiczne...

„No tak — pomyślałem. — Kapo o tym pisał, że Zbieński robił zakupy i mógł ich przez nie wsypać. Przygotowywali się do wyjazdu, Zbieński myślał, że on też pojedzie, tyle że nie podejrzewał, że w bagażniku i zawinięty w dywan i folię”.

— Bardzo panu dziękuję. Chyba wiem, po co były te zakupy. Dobrze, że pan dał znać. Być może uda się to jakoś wykorzystać w śledztwie. Jak rozumiem, zawiózł pan to wszystko na Pierwszego Maja?

— Tak.

— I zaniósł pan na pierwsze piętro?

— Zaniósłem, ale na drugie.

— Na pierwsze — powiedziałem łagodnie, żeby mu nie sprawić przykrości. — Zbieński mieszkał na pierwszym.

— Nie, proszę pana właśnie to było dziwne, bo wiem, że on mieszkał na pierwszym. Mieszkał na pierwszym, otworzył mi drzwi na pierwszym, ale kazał zanieść piętro wyżej i zostawić wszystko na klatce schodowej. Potem też na pierwszym mi zapła...

Nie słyszałem już, co działo się dalej na pierwszym piętrze, bo rozłączyłem się, złapałem klucze i kurtkę, a potem wybiegłem z mieszkania w takim pośpiechu, jakby za kilka minut miało eksplodować.

* * *

Wypadłem z bramy i oniemiałem.

Mojego auta nie było w miejscu, gdzie zwykle stało zaparkowane. „Ukradli mi samochód — pomyślałem. — Właśnie teraz? Właśnie dziś?”. A potem sobie przypomniałem, że stoi z pustym bakiem w innej dzielnicy miasta. Jednak wtedy w ogóle mnie to nie pocieszyło. Do północy zostało już tylko dwadzieścia minut i obawiałem się, że mogę nie zdążyć na czas.

Kiedy w dwa tysiące jedenastym roku sprowadziłem się do Rykowa, nie było w nim ani jednej taksówki. Teraz, o ile się orientowałem, już jeździło ich kilka, a jeden z dwóch postojów był zlokalizowany w rynku. Ruszyłem więc biegiem w tamtą stronę w nadziei, że przynajmniej jedno auto będzie miało dyżur. Szanse oceniałem pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Postój w rynku często stał pusty, zwłaszcza w dni powszednie i o tak późnej porze, a taksówki bardziej przydawały się pasażerom wysiadającym z kursowych autobusów, więc obok dworca łatwiej je było spotkać. Tyle że o tej porze nie przyjeżdżały już do Rykowa żadne autobusy, więc może jednak...?

Wypadłem na otwartą przestrzeń i zorientowałem się, że tym razem przeważała ta gorsza połowa.

„Mam dwadzieścia minut, dokładnie tyle, ile potrzebuję na przebycie drogi. Jeśli będę biegł, może uda mi się dotrzeć kilka minut szybciej. Ale co wtedy?”

Uznałem, że muszę to przemyśleć po drodze. Zacząłem już nawet truchtać w stronę 1 Maja, gdy jedna z pierzei rynku została omieciona samochodowymi reflektorami, a chwilę później zobaczyłem auto z kogutem jaśniejącym na dachu. Początkowo sądziłem, że to radiowóz, i uznałem, że to też nie najgorszy traf, ale potem przyjrzałem się bliżej.

Taryfa.

Szybkim krokiem podążyłem w stronę postoju.

— Jest pan wolny? — spytałem taksówkarza.

— Tak jest, szefuniu.

— To w takim razie proszę włączyć licznik. Kurs na ulicę Pierwszego Maja.

— Się robi.

Skoro dysponowałem autem i na miejscu mogłem być w trzy minuty, to miałem chwilę na zastanowienie.

Pierwsza myśl — telefon na policję. Tyle że oni zajechaliby na miejsce z wyjącymi syrenami i błyskającymi kogutami, co mogłoby skłonić Pokocia do realizacji swojej groźby. Sitarz? Pewnie jest teraz w łóżku, zanim się zbierze, będzie już za późno... Mamaj? To samo. A przecież wiedziałem doskonale, że sam mogłem sobie nie dać rady z Kapo.

I wtedy przypomniałem sobie słowa Janusza Przywary, mojego kolegi z pracy, które wypowiedział w środę, jedenastego marca, jak spotkałem go niedaleko komendy. Przekazał mi wtedy mniej więcej coś takiego: „Niezależnie od tego, jak to się wszystko skończy, zawsze i bez względu na okoliczności możesz na mnie liczyć. Mam nadzieję, że uda się nam dopaść tego skurwysyna”. Wiedziałem, że on pomógłby mi najskuteczniej, miałem numer jego komórki, nie miałem pojęcia, gdzie teraz jest i co robi, ale stwierdziłem, że nie zaszkodzi spróbować.

— Czołem, Zdziszek. — Odebrał w połowie drugiego sygnału. Dobry znak. — Co się dzieje? — Jak zwykle konkretny, nietracący czasu na czczą gadaninę.

— Janusz, potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o porwaną dziewczynkę. — Stałem wtedy kilka metrów od czekającej na mnie taksówki, ale na wszelki wypadek i tak ściszyłem głos, wypowiadając to drugie zdanie. — Gdzie teraz jesteś?

— W robocie. Gdzie trzeba przyjechać i kiedy? Znalazłeś skurwysyna?

— Myślę, że wiem, gdzie się ukrywa i chyba przetrzymuje tam córkę mojego przyjaciela. Groził, że zabije ją, gdy tylko dziś w nocy wybije północ. To długa historia, a do dwunastej zostało kilkanaście minut.

— Dobra. Gdzie mam przyjechać?

— No ale praca... Sam jesteś na zmianie, prawda?

— Chuj z pracą. Zamknę tu wszystko i jadę.

— Na Pierwszego Maja. Będę na ciebie czekał przy krawężniku, mniej więcej w połowie ulicy, jak będziesz jechał od centrum.

— Klamkę zabrać?

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że jednak los sprzyja mi bardziej, niż mógłbym tego oczekiwać.

Każdy z ochroniarzy pracujących w fabryce ONZ miał zezwolenie na broń, a szef nie miał nic przeciw temu, by przechowywać ją w zlokalizowanym w dyżurce sejfie i nosić przy sobie podczas nocnych dyżurów. Przywara miał glocka, którego trzymał w kupionej na Zachodzie małej walizeczce. Było w niej też miejsce na naboje, akcesoria do czyszczenia, smar, a także tłumik.

— Weź, Janusz. Zabierz też na wszelki wypadek tłumik.

— Okej. Najpóźniej za dziesięć minut będę. Powinniśmy zdążyć.

Gdy wspomniałem o tłumiku, nie mogłem już przed sobą dłużej udawać, dlaczego nie zadzwoniłem na policję. Jeśli wspomniałbym dyżurnemu, że mają podjechać po cichu, to by tak zrobili. Problemem najwyższej byłoby to, czy udałoby im się pojawić na miejscu przed północą.

Inną przeszkodą dla moich planów byłoby przestrzeganie procedur. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z założeniami, to po prostu zatrzymaliby Pokocia i po sprawie. A przecież on tak lubił „adrenalinę”.

Przy odrobinie szczęścia była szansa, aby zapewnić mu trochę niezapomnianych wrażeń...

A funkcjonariusze na służbie przecież tylko popsuliby całą zabawę.

* * *

Podczas trwającej trzy minuty podróży taksówką raz jeszcze przypomniałem sobie swój tok rozumowania, starając się znaleźć w nim słabe punkty.

Nie było żadnych.

Pokoć najzwyczajniej w świecie ukrył się na drugim piętrze kamienicy, w której wcześniej zamordował Zuzę, Julkę, a na koniec Zbieńskiego. Sam wspominał, że lubi emocje i wyrafinowane gierki z policją. Poza tym tak naprawdę trudno byłoby o lepsze i bardziej chytre rozwiązanie. Spędził ponad ćwierć wieku w więzieniu, pewnie trochę gubił się we współczesnym świecie, a wyjeżdżając z Olą z Rykowa, łatwo mógłby popełnić jakiś błąd — tym bardziej w sytuacji, gdy szukała go cała Polska. A na 1 Maja? Był bezpieczny i nic mu nie groziło. Najciemniej jest pod latarnią — na pewno doskonale znał tę zasadę i po prostu postanowił przekonać się, czy faktycznie sprawdza się ona w praktyce.

Z pomocą Zbieńskiego zgromadził zapasy, które miały jemu i Oli wystarczyć do pierwszego kwietnia, a następnie zaszył się w swojej norze, jak niedźwiedź w gawrze z nadejściem zimy. Domyślałem się, że z pewnością wcześniej przygotował odpowiednio mieszkanie w taki

sposób, by jego i Oli przebywanie w nim nie budziło żadnych podejrzeń. Pewnie założył jakieś koce na okna, żeby z zewnątrz nie było widać palącego się wieczorami światła. Miał jeszcze ułatwione zadanie, bo ani pod nim, ani za ścianą (nie licząc pomieszkującego tam od czasu do czasu Wieśka Stępory), ani na górze nikt nie mieszkał.

Zaszył się w mieszkaniu po zmarłej jesienią Lutońskiej. Zamek w drzwiach oznaczonych numerem siódmym był tradycyjny, pewnie bez trudu go otworzył. Być może bardziej komfortowa byłaby dziewiątka, w której od czasu do czasu zatrzymywał się Damian Kuna, ale jeden rzut oka na zabezpieczające ją zamki wystarczył, by stwierdzić, że nie otworzyłby ich bez oryginalnego klucza nawet najlepszy włamywacz.

Wszystkie elementy układanki nagle znalazły się na swoich miejscach.

Jedyne, co mnie niepokoiło, to ten odór rozkładu, który, jak mi się wydawało, ostatnio się nasilił.

Przychodziły mi do głowy dwa scenariusze.

Jeden taki, że Kapo nie wytrzymał, zabił Olę w przyпадку furii, a później z rozpaczy, że nie dotrzymał danego sobie słowa, sam ze sobą skończył. Druga opcja — równie koszmarna — zakładała, że może wykitował z emocji, zostawiając związaną Olę na pastwę losu. Drugi scenariusz wprawdzie dawał jakieś iluzoryczne szanse na ratunek, ale jeśli Kapo kopnął w kalendarz wcześniej niż tydzień temu, to mogło być już za późno, a dziewczynka zmarła w cierpieniach z pragnienia i głodu.

Cała sprawa miała się wyjaśnić nie dalej niż za kilka minut.

Gdy zatrzymywaliśmy się na 1 Maja, serce waliło mi jak młotem.

* * *

— Czternaście złotych — powiedział taksówkarz, wrywając mnie z rozmyślań.

— Słucham?

— Należy się czternaście złotych za kurs, szefuniu.

Jeszcze tego brakowało. Wybiegając z domu, w ogóle nie pomyślałem o zabraniu portfela. Czekają mnie więc teraz tłumaczenia, próby uspokojenia szofera, obietnice, że zapłacę mu, jak...

„O Boże — pomyślałem. — Jednak los naprawdę mi sprzyja”.

Sięgnąłem do przedniej kieszeni spodni i wyjąłem z niej dwudziestkę, której we wtorek rano ostatecznie nie zabrała z pizzerii Nowicka. Przez te wszystkie dni (nie licząc czasu spędzonego na uroczystościach

pogrzebowych) chodziłem w tych samych spodniach, zupełnie zapominając o schowanym w nich banknocie.

Zapłaciłem, a później, nie czekając na wydanie reszty, wyszedłem na zewnątrz i, stojąc na krawędzi chodnika, patrzyłem, jak taksówka znika w ciemnościach nocy.

* * *

Janusz pojawił się na 1 Maja cztery minuty przed północą.

— Cholerny zamek w bramie — sapnął z irytacją. — Mam nadzieję, że nie jestem za późno.

— Nie, chyba zdążymy.

Wbiegliśmy do kamienicy. Ja przodem, Przywara tuż za mną. Najwyraźniej zauważył, że staram się jak najciszej stawiać kroki, bo gdy podążaliśmy na górę, prawie go nie słyszałem za plecami.

Korytarz na drugim piętrze tonął w ciemnościach, jednak ja już dość dobrze znałem rozkład klatki schodowej. Żarówka z niższej kondygnacji trochę pomagała, więc drzwi prowadzące do mieszkania numer siedem i zamek je zabezpieczający widzieliśmy dość dobrze. Ja widziałem też pistolet z nakręconym tłumikiem, który Janusz pewnie trzymał w dłoni.

— Przestrzelisz? — zapytałem szeptem, wskazując na dziurkę od klucza. — To te drzwi.

— Chyba nie ma takiej potrzeby. Framuga wygląda na słabą, chyba wystarczy przywalić z buta. Wchodzimy?

— Wchodzimy.

Odsunąłem się nieco, a Janusz fachowym kopniakiem grzmotnął w drzwi tuż obok klamki.

Głuchy odgłos otwieranych gwałtownie drzwi poniósł się po korytarzu i zaraz potem znaleźliśmy się w środku.

Światło w mieszkaniu nie było odcięte, więc zapaliliśmy je najpierw w przedpokoju, a później w każdym z pomieszczeń, do których kolejno wchodziliśmy. Trudno mi było uwierzyć w to, że tak bardzo się pomyliłem, więc raz jeszcze sprawdziłem w pokojach, kuchni i łazience. Ani śladu Pokocia, Oli i wszystkich tych zapasów spożywczych, folii, maszyny do pisania...

Wróciłem do Janusza, który teraz jak wryty stał w przedpokoju, i spojrzałem na niego bezradnie. Odpowiedział mi zdezorientowanym spojrzeniem, a zegarek na jego dłoni piknął dwukrotnie, sygnalizując nadejście pierwszego dnia kwietnia.

1 kwietnia 2015 (środa)

Wzruszam ramionami i spuszczam głowę.

— Wszystko wskazuje na to, że się pomyliłem — mówię. — Wypada mi tylko przeprosić cię za fałszywy alarm.

— Żaden problem. — Janusz macha lekceważąco ręką. — Gorsze jest to, że nie udało się znaleźć tej małej. — Przez chwilę milczy, a potem odzywa się znów. — On naprawdę może to zrobić...?

— Naprawdę. Dobra, zwijamy się. Zadzwonię zaraz na komendę, żeby tu kogoś przysłali. Oczywiście o twojej obecności nie wspomnę ani słowem.

Gaszę światło we wszystkich pomieszczeniach i wychodzimy na korytarz. Przymykam drzwi na tyle, na ile pozwalają ich uszkodzenia. Stoimy jeszcze przez moment bez ruchu, aby przyzwyczaić oczy do półmroku. Janusz zabezpiecza broń i mówi:

— Kurwa, co tu tak cuch... — Pytanie zamiera mu na ustach, a potem on chwyta mnie nagle za ramię. — Słyszałeś to?

— Co słyszałem?

— Jakieś takie jakby... kwilenie...? Wydaje mi, że dobiegało zza tamtych drzwi. — Wskazuje te oznaczone dziewiątką.

— Nie, nic nie słyszałem — odpowiadam, ale czuję, jak ciarki przebiegają mi po plecach. — To pewnie dzieci Malinowskich. Może obudził je hałas, a ponieważ mieszkają w tym samym pionie, co dziewiątka, to pewnie poniosło się przez ściany.

Gdy tylko kończę wypowiadać ostatnie słowo, ciszę rozdziera przeraźliwy, niemal zwierzęcy wrzask dziecka. Żaden z nas nie ma wątpliwości, że dobiega on zza drzwi oznaczonych numerem dziewięć. Janusz dopada do nich, błyskawicznie taksuje wzrokiem zamki, odbezpiecza glocka i oddaje po dwa ciche strzały w każdy z nich, a następnie próbuje zrobić to, co wcześniej. Niestety, tym razem jego kopniak nie powoduje takich rezultatów, co poprzednim razem.

— Kurwa, ale mocno trzymają — sapie, a potem bierze rozpęd i potężnym barkiem uderza tak mocno, że metalowa dziewiątka upada na ziemię. — Chodź, spróbujemy razem.

Krzyk dziecka ustał, jak ucięty nożem. Obawiam się najgorszego, ale stosuję się do polecenia Janusza. Kilkakrotnie na trzy cztery próbujemy masą naszych ciał wyważyć drzwi, ale faktycznie ani drgną.

Tysiąc myśli przebiega mi przez głowę. Staje mi przed oczyma samochód na niemieckich tablicach rejestracyjnych, który zaparkowany jest przed kamienicą, i zaczynam rozumieć. Damian Kuna pojawił się w Rykowie niespodziewanie, niezauważony przez nikogo. Prawie przez nikogo. Prawdopodobnie Zbieński jednak zorientował się, że jego sąsiad z góry jest obecny w mieszkaniu, a później wszystko staje się oczywiste. We dwóch z Pokociem z pewnością dali radę niczego się niespodziewającemu młodemu mężczyźnie.

Walimy bezskutecznie w drzwi, które wydają się ze stali, a za nimi po raz kolejny rozlega się wrzask. Tym razem trwa długo. Domyślam się, że prawdopodobnie Ola wyrwała się Pokociowi, a on próbuje ją dopaść. Jestem na siebie wściekły, że kazałem wynieść się Stęporze, bo zakładam, że we trzech dalibyśmy sobie radę z tymi cholernymi drzwiami. I wtedy przypominam sobie o łomie, którym zaatakował mnie Wiesiek.

— Czekać, Janusz! To znaczy nie! Jeśli masz siłę, to wal, strzelaj, rób, co możliwe. Ja zaraz wracam.

Zagłębiam się w ciemnym mieszkaniu pod ósemką i po omacku zmierzam do miejsca, w którym zostawiłem łom. Modlę się, by nie okazało się, że złomiarz Stępora wbrew mojemu zakazowi wrócił tu po swój skarb, za który być może otrzymałby równowartość jabola.

Łom zostawiłem w korytarzu, ale teraz go tu nie ma. Macam gorączkowo, wbijając sobie w dłonie drzazgi ze zrujnowanej podłogi, wsłuchuję się w krzyki pod dziewiątką i miarowe uderzenia. Już tracę nadzieję, gdy moje palce natrafiają na cudownie chłodny przedmiot. Natychmiast wracam do Janusza, kątem oka rejestrując jakiś ruch na schodach. To Nowicka, zaniepokojona hałasami przyszła sprawdzić, co się dzieje.

— Panie Mokryna, czy mam wezwać policję?

— Żadnej policji! — mówię kategorycznie, a zaraz potem razem z Januszem chwytamy łom. Przywara nakierowuje go w odpowiednie miejsce — pomiędzy framugę a zamek. Ciągniemy ile sił i zamek puszcza ze szczękiem. Z drugim idzie równie łatwo. Sądzę, że to zasługa niewymienionej wciąż drewnianej futryny, ale nie to jest teraz najistotniejsze. Uchylające się ciężko drzwi do mieszkania numer dziewięć stoją przed nami otworem. Krzyk znów ucichł, ale słyszę stłumione dźwięki, które wskazują na to, że być może Kapo zatyka dziewczynce usta dłonią.

Drzwi coś blokuje od środka, nie otwierają się zbyt szeroko, ale wystarczająco, by Janusz wśliznął się za nie i zapalił światło. Dzierżąc w dłoni łom, idę jego śladem i stwierdzam, że ostatnią zaporę przeszkadzającą nam w dostaniu się do mieszkania stanowiły owinięte folią zwłoki, najprawdopodobniej mężczyzny. Odór, który od nich bije, jest nie do zniesienia. Kapo tym razem nie przyłożył się do roboty.

Przywara jak kot dopada do drzwi, zza których dobiega jęk. Oburącz trzyma broń i w nie mierzy. Bierze krótki wdech i, jakby dla uspokojenia nerwów, szybko wypuszcza powietrze, a zaraz potem naciska lewym łokciem kłankę i zdecydowanym ruchem odpycha ją od siebie. Wchodzi do pokoju, a ja zaraz za nim.

Najpierw patrzę na Pokocia, który przed chwilą najwyraźniej przestał zatykać prawą dłonią usta dziecka. Teraz w lewej ręce trzyma sekator, a prawą wbrew oporom dziewczynki wciska jej rączkę pomiędzy ostrza narzędzia. Gdyby Janusz teraz wystrzelił, mięśnie Kapo mogłyby się samoczynnie naprężyć i Julka pozostałaby kaleką do końca życia, pozbawiona palców, a może nawet połowy dłoni.

„Zaraz — myślę. — Jak to, Julki?”

Patrzę na buzię i widzę wyraźnie, że to nie Ola, a Julka szamocze się w silnym uścisku swojego oprawcy. Ma tylko dłuższe włosy niż wtedy, gdy widziałem ją ostatnim razem.

„Kogo zatem pochowaliśmy razem z Izą?” — zadaję sobie w myślach pytanie.

Jestem przez moment oszołomiony, ale jasność myślenia wraca. Teraz już wiem, skąd ta moja pomyłka — po prostu najmłodsza z córek Kamila dość mocno zmizerniała i przez to upodobniła się do swojej starszej o rok siostry. Wiem, że muszę wziąć się w garść, bo to nie jest dobry moment na deficyt logicznego i chłodnego myślenia.

Kapo siedzi przy stole, trzymając wyrywającą się mu Olę na kolanach. Widać, że stara się nią trochę zasłonić, ale zdaje sobie sprawę, że to marna ochrona, więc najmocniejszą jego kartą jest trzymany w lewej ręce sekator ogrodowy. Oddycha ciężko, podobnie jak ja. Janusz stoi niewzruszony, niczym wykuty w skale, ciągle trzymając Pokocia na muszce.

— Niech pan odłoży tę pukawkę — odzywa się Kapo. Jego głos jest metaliczny, wyprany ze wszelkich emocji. — W przeciwnym razie będę musiał obciąć małej paluszki. — Patrzy to na mnie, to na Przywarę tymi

swoimi mętnymi oczyma. Jedyne, co mogłoby wskazywać na jakiegokolwiek zdenerwowanie, to nieco zbyt szybko mrugające powieki.

— Jeżeli to zrobisz, natychmiast dostaniesz kulkę i świat się nie dowie o twoich wyczynach. — Słyszę swój głos tak, jakby docierał do mnie z bardzo daleka. — Zakopimy cię jak psa, jak najgorszego kundla.

— Chyba pan sobie raczej żartować. — Mówiąc to, szczyrzy zęby w grymasie, który w jego przekonaniu chyba ma być uśmiechem. — Macie przecież procedury i...

— Nie jesteśmy z policji, durniu — przerywam mu i wtedy przez jego twarz po raz pierwszy przemyka cień strachu.

Do pokoju wchodzi Nowicka, która przykładła dłonie do policzków, rozgląda się po pomieszczeniu i wygląda tak, jakby za chwilę miała zacząć krzyczeć.

— Pani Nowicka, lepiej, żeby pani stąd wyszła — mówię, a jednocześnie zupełnie mimowolnie podążam wzrokiem za jej spojrzeniem.

To największy pokój w mieszkaniu; prawdopodobnie zamieszkiwał go Pokoć. Na stole rzuca się w oczy wielka maszyna do pisania, obok niej piętrzy się stos zapisanych drobnym maczkiem kartek. Zakładam, że pewnie bandyta bał się pisać na maszynie, aby nie zdradzić swej obecności niepotrzebnym hałasowaniem. W oknach, zgodnie z moim przewidywaniem, wiszą koce, ale w pokoju i tak włączona jest tylko lampka, umieszczona obok maszyny do pisania.

— Wujku...? — Głosik Oli jest słaby i niepewny. Mam wrażenie, że nie jest przekonana, czy dobrze mnie rozpoznała.

— Tak, to ja, Oleńko — mówię do niej najłagodniej, jak tylko potrafię. — Już wszystko dobrze. Teraz już nikt cię nie skrzywdzi.

— Chcę do mamy. — Gdy słyszę tę prośbę, przenoszę wzrok na Pokocia, który znów zaczyna się szczyrzyć.

W pokoju na ścianie wisi duży telewizor, z którego Kapo na pewno dowiedział się, że Iza nie żyje. Pewnie jednak nie powiedział o tym dziewczynce, żeby jej nie denerwować. Zapewniał przecież Olę, że Julka wróciła do domu i jeśli ona wytrzyma do pierwszego kwietnia, to ją wypuści.

— Ani słowa, Pokoć — mówię.

— Twoja mama umarła — zaczyna, wciąż się szczyrząc. — Ciężarówka z drewnem rozjechała ją na placek. Starsza siostrzyczka też nie żyje.

Skręciłem jej łebek, jak kurce. Trach i już było po niej.

Ola otwiera buzię i patrzy w moją stronę wielkimi z przerażenia oczyma, jakby w nadziei, że zaprzeczę, ale wiem, że to nie ma sensu. I tak prędzej czy później się dowie.

— Źle robisz, Kapo.

— Niech mnie pan tak nie nazywa.

— Źle robisz, Kapo, i dobrze o tym wiesz, skurwysynu.

Dziewczynka zaczyna płakać. Nie wiem, czy z żalu po mamie i siostrze, czy ze strachu, czy też może dlatego, że nigdy dotąd nie słyszała, abym wypowiadał przy niej tak wulgarne słowa. Staram się opanować, bo czuję, że nerwy mi puszczają i jeszcze trochę, a rzucę się do przodu, nie zważając na konsekwencje.

— Może ja jednak wezwę policję...? — odzywa się drżącym głosem Nowicka. Wie, że nie jestem już funkcjonariuszem. Powiedziałem jej to podczas pierwszego spotkania. Teraz trochę żałuję.

— Tak, niech pani zadzwoni po policję — skwapliwie podchwytuje Pokoć.

— Z policją jeszcze zdążymy — mówię, patrząc mu prosto w oczy.
— Zostaw dziewczynkę, puść ją, a potem dopiero zadzwonimy.

— Skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę?

— Znikąd. Ale to twoja jedyna szansa.

Widać, że się waha. W zamyśleniu to ściska, to rozwiera lewą dłoń, sprawiając, że ostrza sekatora co chwila dotykają skóry Oli.

— Mam warunek — oświadczam. — Przypilnujcie, żeby te moje zapiski zostały bezpiecznie zdeponowane jako dowód rzeczowy. Napracowałem się nad nimi przez te ostatnie dni. Mam już prawie całą książkę. Jeśli puszcze małą, to będą bezpieczne, zgoda?

— Zgoda — odpowiadam.

Kapo waha się jeszcze przez moment, a potem rozwiera uścisk, puszczając Olę wolno. Dziewczynka zrywa się z jego kolan i biegnie w moją stronę. Odrzucam łom, przyklękam i płacząc razem z nią, biorę ją w objęcia.

Dokładnie w tej samej chwili Janusz strzela Pokociowi w prawe ramię.

— Coś ty zrobił, człowieku? Coś ty zrobił, człowieku? — piszczy Kapo, trzymając się lewą dłonią za ranę.

Przed chwilą rzucił sekator na środek pokoju, teraz zaczyna się kiwać w przód i w tył, a pomiędzy jego palcami pojawia się krew.

Przywara nawet nie drgnął. Wciąż trzyma Pokocia na muszce.

— Szach i mat, sukinkocie — mówię, przerywając lamenty. — Prima aprilis.

Nie chcę przy małej streszczać tego, co wypisywał ten bandyta na maszynie, ponieważ mam wrażenie, że przyjdzie na to jeszcze odpowiednia pora.

— Dobrze ci tak — syczy Nowicka przez zaciśnięte zęby. — Ten pan powinien ci strzelić w głowę, żebyś już teraz zaczął gnić w piekle!

— Moja ręka, o matko, jak to boli! — lament podnosi się znów.

— To tylko draśnięcie — odzywa się Przywara. — Przestań histeryzować, bo poprawię.

W pokoju zapada cisza. Sądzę, że to jest dobry moment na wykonanie telefonu. Jedną ręką wciąż tulę do piersi córeczkę mojego przyjaciela, a drugą wyjmuję z kieszeni kurtki komórkę i dzwonię do Darii. Po zaspanym głosie wnioskuję, że już spała. Pytam ją, czy mogłaby teraz przyjechać na 1 Maja. Mówi, że tak, ale nie ma czym. Odpowiadam jej, że zaraz zadzwonię jeszcze raz. Rozłączam się i wybieram numer Mamaja.

Wysłuchując się w miarowe buczenie, spoglądam w stronę Kapo. Wciąż się kiwa, ale robi to bez słówka skargi. Podejrzewam, że wycelowana w jego głowę, lekko poruszająca się w takt pokłonów lufa Januszowego glocka działa jak najlepszy środek przeciwbólowy.

Mamaj wreszcie odbiera. Jest zaspany o wiele bardziej niż Daria, ale jego senność natychmiast znika, gdy mówię, że uwolniliśmy Ołę. Proszę go, aby podjechał przed blok Darki i mówię, gdzie jesteśmy. Nie pyta o nic, po prostu natychmiast zaczyna działać. Później jeszcze jeden telefon do mojej narzeczonej i wygląda na to, że będziemy teraz mieli jakieś piętnaście minut do zagospodarowania.

Niespodziewanie odzywa się Pokoć. Jego głos brzmi zupełnie normalnie, tak samo jak podczas pierwszych wypowiedzianych do nas tego wieczoru zdań. Zwraca się do mnie:

— Jak pan mnie znalazł? Rozpoznał mnie pan wtedy na rynku czy zdradziły mnie zakupy, które zrobił ten żałosny dureń?

— Pani Nowicka, czy moglibyśmy teraz we trójkę zejść do pani mieszkania? — Zupełnie ignoruję pytanie. — Nie sądzą, że mała powinna dłużej tu przebywać.

— Tak, oczywiście! — W jej głosie jest tyle entuzjazmu, jakby to był najlepszy pomysł, jaki usłyszała w życiu.

— Janusz, poradzisz sobie?

— Jasne.

— Wracam, jak mała pojedzie do domu, okej?

— Okej.

Biorę Olę na ręce, a przed wyjściem rzucam jeszcze Pokociowi spojrzenie. Po raz drugi w ciągu kilku minut mam wrażenie, że się boi. Że zupełnie zapomniał o bólu, a w moich oczach wyczytał coś, co mu się bardzo nie spodobało.

— Jeszcze się zobaczymy, Kapo — mówię na odchodne, a on robi taką minę, jakby się miał zaraz rozplakać.

* * *

U Nowickiej spędzamy z Olą jakieś dziesięć minut. Mała zaczyna przysypiać. Uznaję to za dobry znak. Schodzą z niej emocje, sędzę, że jest w takim wieku, że z czasem będzie się jakoś potrafiła otrząsnąć z traumy.

Gdy uznaję, że Mamaj z Darią powinni się zaraz pojawić, mówię do byłej nauczycielki Kamila, że zaraz mała pojedzie do domu, a wtedy jeszcze będziemy mieli do pogadania z Pokociem. Pytam, czy będzie nam w stanie pomóc, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Jedno skinięcie głową i zdecydowany wyraz twarzy kobiety nie pozostawiają mi wątpliwości, że mogę na nią liczyć.

Znoszę śpiącą dziewczynkę na dół. Wszystko wskazuje na to, że na parterze nikt nie usłyszał hałasów, które dobiegały z drugiego piętra. Dziękuję za to opatrności, a potem wychodzę na dwór.

Po dwóch minutach przed kamienicę zajeżdża skoda Mamaja. Przekazuję Darce dziewczynkę, a potem daję jej klucze od mieszkania przy Parkowej. Nie muszę nic mówić, i dobrze, bo gdy widzę, jak moja ukochana płacze, aż mnie coś ściska za gardło. Mamaj z pewnością powiedział jej, co się stało, więc zdążyła się oswoić z dobrymi wiadomościami, nie na tyle jednak, by szok zdążył ją choć na chwilę opuścić.

Gdy już mają odjechać, proszę Mariana, żeby wrócił na 1 Maja, i informuję go, że będę na drugim piętrze, pod dziewiątką.

Potem wracam do Nowickiej i mówię jej, że jeśli chce, to może jeszcze przez jakieś dziesięć minut zostać u siebie, ale jednocześnie proszę o to, żeby gdy tylko usłyszy kroki na schodach, przyszła do mieszkania należącego do Damiana Kuny, który teraz, zawinięty w przezroczyście folię, blokuje swój własny przedpokój.

Oczywiście aż tak bardzo precyzyjnie nie formułuję swojej prośby.

* * *

Kiedy znów jestem na drugim piętrze, zaglądam do przepelnionego zapachem rozkładającego się ciała mieszkania i widzę, że nic się w nim nie zmieniło. Kapo kiwa się dokładnie tak jak wtedy, gdy wychodziłem, Janusz ani na jotę nie zmienił swojej pozycji. Zastanawiam się, czy na zagranicznych misjach przypadkiem nie miał na koncie snajperskiego epizodu, ale to nie jest dobra pora, by rozmawiać o takich rzeczach.

Tym bardziej że mam do zrobienia jedną bardzo ważną rzecz.

Kieruję się do mieszkania oznaczonego ósemką, ale jest tam tak ciemno, że wiele nie zwojuję. Wracam do mieszkania Kuny i szukam w kuchni zapalek. Szczęście dopisuje mi po raz kolejny, ponieważ w jednej z szafek znajduję także kilka świeczek. Uznaję, że jedna mi wystarczy.

Metalowy piecyk spod ósemki jestem w stanie sam przenieść i robię to. Później wracam po rurę odprowadzającą dym. Następnie otwieram jedno z okien w pokoju, w którym znajduje się Kapo, wystawiam przez nie rurę i podłączam do niej kozę.

Pokoć z niepokojem przygląda się moim poczynaniom, ale widzę, że zupełnie nie ma pojęcia, co planuję. Dopiero gdy sięgam po stertę zapisanych papierów, zaczyna mnie błagać, żebym nie niszczył owoców jego wielodniowej pracy. Podnosi się z miejsca, ale gdy Janusz postępuje krok w jego stronę, natychmiast siada. Nagle zaczyna błagać, składając w moją stronę ręce, jak do modlitwy.

— Błagam pana, zrobię wszystko, czego pan chce, tylko niech pan tego nie pali. — Po jego policzkach spływają łzy wielkie jak grochy.

Nie wiem dlaczego, ale zupełnie nie działają na mnie jego modły.

Gdy ogień buzuje żywo w piecyku, Pokoć chowa głowę w ramionach i tylko cicho pochlipuje.

— Palę to, Kapo. Mimo twoich próśb wszystkie twoje wypociny są właśnie w drodze do nieba. Ale i tak zrobisz wszystko, czego chcę.

Podnosi głowę, patrzy mi w oczy i teraz to już nie cień strachu maluje się na jego ryju. Widzę na nim niedające się opisać dzikie przerażenie.

Chyba nawet Janusz przygląda mi się z niepokojem. Tyle że on nie ma pojęcia, co było na kartkach, które Pokoć zostawił w niebieskim oplu wraz z zawiniętymi w dywan i folię zwłokami Mieczysława Zbieńskiego.

* * *

Kiedy Mamaj wchodzi do mieszkania, rękopisy właśnie dopalają się w koczce. Nie przygotowałem go wcześniej na to, co tu zastanie, więc przez chwilę musi oswoić się z sytuacją. Widzę, że przychodzi mu to z wielkim trudem, ale jakoś daje radę.

Dwie minuty później do pokoju, w którym jesteśmy, wkracza Nowicka. Kapo kiwa się na krzesło, a gdy ją zauważa, mówi błagalnym tonem:

— Proszę pani, błagam, niech pani coś zrobi. Ja krwawię, dłużej już tego nie wytrzymam. Proszę wezwać karetkę, jestem ranny. Proszę...

Janusz wciąż trzyma Pokocia na muszce, ale zaczyna poruszać się niespokojnie. Jest bardzo zaskoczony tym, że Majka pojawił się wśród nas. Pamiętam naszą pierwszą rozmowę o przedziwnym sierżancie policji i wcale się temu nie dziwię. Nie miał pojęcia, że znam się z Mamajem bliżej i chyba nie bardzo wie, co o tym wszystkim myśleć. Widzę, że jeszcze trochę, a zacznie mieć poważne wątpliwości, czy właściwie postępujemy. Nowicka patrzy na przemian to na mnie, to na Kapo. Ona też chyba już by wolała, żeby to wszystko się skończyło. Wtedy słyszę spokojny głos Mamaja:

— Pan tego nie wytrzyma? A co mają powiedzieć te wszystkie dziewczynki, które pan zamordował? Co mają powiedzieć ich rodziny? Nie miał pan dla nich litości, więc dlaczego oczekuje pan jej od nas?

— Januszowi i pani Nowickiej jestem chyba winien kilka słów wyjaśnienia. Nie wiecie o tym, że w samochodzie, który należał do zamordowanej przez tę kreaturę Zuzanny Jaworskiej, znaleziono zapiski w których ten oto biedny i, nomen omen, postrzelony Kazimierz Pokoć zapowiadał, że dzisiaj, tuż po północy, zamorduje również Olę. Tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności tak się nie stało. Wydaje mi się, że nie powinniśmy się przesadnie nad nim litować...

Później w skrócie opowiadam o treści sporządzonych na maszynie do pisania notatek. Mamaj dopowiada wiele szczegółów, czyniąc moją relację bardziej precyzyjną. Znowu jestem zaskoczony jego pamięcią i jasnością umysłu. Gdy kończymy, Nowicka po raz kolejny tej nocy przykłada do policzków otwarte dłonie, ale tym razem nie wygląda na osobę, która za chwilę zacznie krzyczeć. Po prostu z przerażeniem przygląda się Pokociowi. Janusz wyraźnie pobladł. Szrama ciągnąca się przez jego kwadratową twarz jest teraz o wiele bardziej widoczna niż zwykle. Stoi nieruchomo, wciąż celując w głowę Kapo. Przysięgłbym, że ma ochotę pociągnąć za spust.

Na koniec w kilku słowach relacjonuję, w jaki sposób udało mi się dociec, że porywacz ukrywa się w kamienicy, w której do tej pory zabił cztery osoby. Wspominam też na wszelki wypadek o trzech zamordowanych przed laty dziewczynkach, które były mniej więcej w wieku Oli.

Potem przez kilka minut w pokoju panuje cisza. Wydaje mi się, że ani Nowicka, ani Janusz nie mają już nawet odrobiny współczucia dla wciąż kiwającego się na krześle zwyrodnialca. Co do Mamaja to nie mam wątpliwości, że jego odczucia nie różnią się od moich. Widzę to w jego oczach, którymi piorunuje Pokocia.

Zastanawiam się, co dałbym za to, by móc teraz zadzwonić do Kamila i ściągnąć go w to miejsce. Boże, przebaczone, ale przysięgam, że pozwoliłbym mu zrobić z tą nędzną kreaturą, co tylko by chciał. To byłaby właśnie prawdziwa sprawiedliwość, bo jestem przekonany, że dożywotnie więzienie to zbyt mało, by Kapo choć w połowie odkupił swoje winy.

Nagle odzywa się Mamaj.

— Ja bym to widział tak... Przyjechaliśmy tutaj, na Pierwszego Maja, we trzech. Ten pan z pistoletem postrzelił tego pajaca w ramię, podczas gdy jeszcze Ola nie była wolna. W tak zwanym międzyczasie przysłała pani. A później porywacz, ciągle jeszcze trzymając sekator w ręce, zagroził, że jeśli go nie uwolnimy natychmiast, to poobcina nim sobie wszystkie palce u prawej ręki.

— U lewej — wtrącam. — Chciał obcinać palce Oli lewą ręką, więc z pewnością jest mańkutem.

— U lewej — zgadza się ze mną Marian. — Jego groźby jakoś nadzwyczajnie do nas nie trafiają, więc zaczyna od kciuka, a kończy na małym palcu. Wtedy dzwoniemy na policję i wszyscy zeznajemy jednakowo. Oczywiście oprócz porywacza, ale przecież to nie jemu uwierzą śledczy, tylko nam.

Patrzę na Nowicką, a ta kiwa z aprobatą głową. Później na Janusza i w jego oczach również widzę zgodę. Uważając, by nie znaleźć się na linii strzału, podnoszę więc sekator z podłogi i kładę go na stole, przed Pokociem.

— Jeżeli tego nie zrobisz, Kapo, to do zeznań dołączymy również twoją dziwną groźbę. Taką, że oprócz odcięcia palców wydłubiesz sobie też sekatorem oczy. Jeśli chcesz je zachować, masz pięć minut. Powiedzmy, że minutę na każdy twój zaszary palec.

Odsuwam się na kilka kroków i patrzę mu prosto w oczy. Wie, że nie ma wyjścia. Gdyby miał co do tego wątpliwości, pewnie jeszcze próbowałby nas przebłagać, ale tego nie robi.

Zastanawiam się, czy my, we czwórkę, ze mną na czele, nie stajemy teraz poniekąd w jednym szeregu z oprawcą. W dwudziestym pierwszym wieku cywilizowani ludzie nie powinni robić takich rzeczy... Może i nie powinni, ale ja mam to gdzieś.

Wrzask Pokocia, wydobywający się z jego gardła, gdy z determinacją, patrząc mi prosto w oczy, obcinał sobie kolejno wszystkie palce lewej ręki, do dzisiaj brzmi w moich uszach.

Skłamałbym, twierdząc, że nie chciałbym jeszcze raz usłyszeć tego na żywo.

* * *

Kiedy jest już po wszystkim, znajduję w kuchni plastikowy worek na śmieci i robię z niego prowizoryczną opaskę uciskową na przedramieniu Kapo. Jest bładny jak ściana, jego źrenice z bólu uciekają pod powieki, ale nie stracił przytomności.

Chwilę później dzwonię na policję, a potem wybieram numer pogotowia.

W kieszeni mam jeszcze jeden worek na śmieci. Wkładam w niego dłoń, przez folię zbieram palce Pokocia, a później zanoszę je do łazienki, wrzucam do muszli klozetowej i spuszczam wodę.

W dzisiejszych czasach medycyna tak poszła do przodu, że chirurdzy są w stanie przyszyć odcięte części ciała, jeśli od wypadku nie minęło zbyt wiele czasu.

Licząc się z tym, że za ten czyn odpowiem przed sądem, uznaję, że w przypadku kogoś takiego jak Kazimierz Pokoć, tego typu interwencja lekarzy zupełnie nie jest potrzebna.

* * *

Mniej więcej o dziesiątej rano, gdy składałam swoje pierwsze zeznania na komendzie, do pokoju, w którym jestem przesłuchiwany przez nadkomisarza Pawła Sitarza, wpada Mamaj. Nie zwracając uwagi na trwające właśnie czynności, mówi do mnie:

— Słuchaj! Wojtek jest chory i nie poszedł dzisiaj do szkoły!

Patrzę na niego osłupiały i zastanawiam się, czy przypadkiem nocne wrażenia nie poprzestawiały trochę klepek pod tą jego wiecznie opadającą na czoło grzywką.

— Gratuluje, no i co z tego? — odzywam się po dłuższej chwili milczenia.

— Dzwonił do mnie, że przed chwilą widział w telewizji Szykowiaka i jego córkę! Podobno była jakaś migawka w serwisie. Są w Warszawie, przed sejmem, na Wiejskiej...

— Kto, Kamil i Wiki?! — pytam i podrywam się z miejsca.

— No tak!

Spoglądam na Sitarza, on również wstaje.

— Jesteś pewien, Marian? — pyta.

— Jestem pewien, że mi to Wojtek powiedział. A czy ten fakt jest autentyczny, to głowy za to nie dam.

Nadkomisarz przygryza nerwowo wargi, a potem zwraca się do mnie:

— Musi pan tam natychmiast jechać. Przesłuchanie może poczekać.

— Ale nie mam paliwa w aucie...

— Nie ma chwili do stracenia — wchodzi mi w słowo Sitarz. — Pojedziemy służbową vectrą. Jak postawię na dachu kogut, to na miejscu będziemy w pół godziny.

* * *

Wieści w Rykowie szybko się rozchodzą, więc przed komendą kłębi się tłumek ciekawskich. Dostrzegam w nim znanego mi już dość dobrze rozedrganego redaktora. Idziemy z Sitarzem w stronę stojącego na parkingu auta i wtedy redaktor podtyka mi mikrofon pod nos.

— Jesteśmy w Rykowie, przed tutejszą komendą policji — mówi, a potem zwraca się do mnie, zastępując mi drogę: — Proszę o komentarz. Czy to prawda, że miał pan udział w zatrzymaniu Kazimierza Pe, pseudonim Kapo?

Staram się go wyminąć, bo wiem, że nie ma chwili do stracenia, ale on wtedy — nie mogę po prostu w to uwierzyć, ale to się dzieje naprawdę — on chwyta mnie za rękaw kurtki. Zatrzymuję się i mówię do mikrofonu, patrząc dziennikarzynie prosto w oczy:

— Czy transmisja jest prowadzona na żywo?

— Tak, jesteśmy na żywo w całej Polsce — odpowiada z dumą. — Czy to prawda, że miał pan udział...?

Wyprowadzam najlepszy cios w szczękę, na jaki mnie stać. Mikrofon szybuje do góry, a redaktor jak rażony piorunem leci do tyłu, zatrzymując się na otaczających nas gapiach.

Wszyscy stoją oniemiały, a ja wtedy dołączam do Sitarza.

— Należało mu się — mruczy pod nosem, a potem wsiadamy do srebrnej vectry i ruszamy przed siebie.

* * *

Droga zajmuje nam czterdzieści minut.

W Warszawie leje jak z cebra, ale nie zważam na to, tylko gdy już parkujemy w okolicy sejmu, wybiegam na zewnątrz i pędzę, szukając wzrokiem Kamila i Wiktorii.

Wojtek miał rację.

Stoją objęci na Wiejskiej. Kamil w ręce trzyma kartkę z odręcznie napisanymi czterema słowami. Z trudem je odczytuję, bo deszcz prawie całkiem już je rozmył.

ODDAJCIE NAM NASZĄ RODZINĘ!

Podchodzę bliżej. Wokół nie ma już żadnego dziennikarza, który chciałby poinformować, że dwójka obywateli pikietuje pod siedzibą parlamentu.

Pierwsza rozpoznaje mnie Wiki. Kamil wpatruje się gdzieś w dal. Żeby zwrócić na siebie jego uwagę, muszę potrząsnąć jego ramieniem. Patrzy mi w oczy, ale nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, że to ja stoję przed nim.

— Wiecie już, co się stało dziś w nocy? — pytam.

Mój przyjaciel marszczy brwi, jakbym powiedział coś w obcym języku, a on próbuje teraz mnie zrozumieć.

— Co się stało, wujku? — odpowiada mi pytaniem Wiktorii.

W jej oczach widzę strach przed kolejnym ciosem ze strony przeznaczenia.

— Nic złego — mówię uspokajającym tonem, patrząc to na nią, to na Kamila. — Wracajcie do domu. Ola już się was nie może doczekać.

Ulewny deszcz spływa po jego wychudzonej już teraz i nieogolonej od paru dni twarzy. Jest dezorientowany.

— Serio mówisz, panie Zdzichu? To nie jest prima aprilis?

— Nie, to nie jest prima aprilis. — Chyba nawet się nie dziwię, że w jego stanie może zakładać tego typu żarty z mojej strony. — Ola jest cała i zdrowa. Jedźmy już. Nic tu po nas.

Ale jeszcze przez chwilę stoimy bez ruchu. Wiki zaczyna szlochać, tuląc się do ojca, a Kamil przygląda mi się z niedowierzaniem. Przysiagłbym, że po jego policzkach nie spływa tylko deszcz.

Potem obejmuję Wiktorię z drugiej strony i delikatnie kieruję ich w stronę policyjnej vectry, przy której stoi Sitarz.

Wiem, że pewnie gdzieś w okolicy zostawili Citroena z napisem „Isabella e Camillo”. Ale on może poczekać. Najwyżej zabiorę go stąd w bardziej odpowiedniej chwili.

POSTLUDIUM

11 sierpnia 2018 (sobota)

Lato w tym roku jest chyba jeszcze gorętsze niż to, które nastąpiło po tragicznych zdarzeniach w dwa tysiące piętnastym roku.

Od mojego ostatniego pobytu tutaj Ryków bardzo się zmienił i wcale nie wygląda na dziurę w dupie świata. Mam wrażenie, że nawet wypiękniał. A może tylko mi się tak wydaje, dlatego że prawie od trzech lat już tu nie mieszkam.

Przyjechałem swoją wysłużoną już teraz dość mocno corollą dokładnie w południe i zrobiłem sobie mały spacer. Po pizzerii Isabella e Camillo nie ma już śladu. Lokal został przekształcony na siedzibę banku. Z tego, co mówił mi Kamil przez telefon, jakoś tak pod koniec dwa tysiące piętnastego roku. Mój przyjaciel sprzedał swoją część kamienicy i kupił niewielki domek na przedmieściach. Nie jestem tego do końca pewien, ale prawdopodobnie nie chciał sprawdzać, czy po marcu dwa tysiące piętnaście jego mieszkanie będzie pachniało inaczej.

Jestem z Szykowiakiem w stałym, ale raczej sporadycznym kontakcie. Mój drewniany dom w Bieszczadach, na który zamieniłem rykowskie mieszkanie, wystarcza mi w zupełności za cały świat. Poza tym za każdym razem, gdy rozmawiam z Kamilem, mam wrażenie, że budzą się w nim demony przeszłości. Ostatnią rzeczą, jakiej chcę, to rozpamiętywanie przez mojego przyjaciela wydarzeń sprzed ponad trzech lat.

* * *

Kamil, Wiki i Ola przez kilka miesięcy wracali do jako takiej normalności.

Staraliśmy się z Darią być przy nich jak najwięcej czasu. Być może trochę im to pomagało. Na stan Wiktorii podobno niesamowicie pozytywny wpływ miała przyjacielska dłoń wyciągnięta przez Zosię, córkę Mamaja. Tak, tę samą, którą Wiki swego czasu zwyzywała od głupich wieśniar. Właściwie od początku znajomości z Marianem Majką wiedziałem, że to facet na poziomie, który wychowuje dzieci tak, aby były podobne do niego.

* * *

Za uderzenie dziennikarza, uniemożliwienie pomocy w ratowaniu palców Pokocia oraz bezprawne ujawnienie jego wizerunku (za co mnie osobiście pozwał) dostałem łącznie dwa lata wyroku w zawieszeniu na trzy

lata. Sąd potraktował mnie w sumie dość łagodnie, ale chyba miał na to wpływ nadkomisarz Sitarz, który niedługo po zakończeniu sprawy porwania Julki i Oli dostał awans na stopień podinspektora, a także zmienił na stołku dotychczasowego komendanta policji w Rykowie.

Warto w tym miejscu dodać, że z nieoficjalnych źródeł wiem, iż był on chyba jedyną osobą, która miała wątpliwości, co do wersji wydarzeń przedstawianej podczas zeznań przez Nowicką, Mamaję, Przywarę i mnie. Mnie też wydawało się, że wersja Pokocia momentami wydaje się Sitarzowi bardziej prawdopodobna, ale najwyraźniej nie widział on większego sensu w drażnieniu tematu. Sąd wydał wyrok, sprawa zamknięta.

W połowie dwa tysiące szesnastego roku z pobocza w Opiólach została wciągnięta na siłę do samochodu jedenastoletnia dziewczynka. Sitarz natychmiast wdrożył procedurę Child Alert, dzięki czemu małą odnaleziono dwie godziny później niedaleko granicy z Niemcami. Sprawcą był zwolniony niedawno z więzienia pedofil, który przypadkowo przejeżdżał przez powiat rykowski i nie potrafił się powstrzymać. Niewykluczone, że Iwonka (bo tak miała na imię ofiara porwania) w jakiejś małej części zawdzięcza szybki efekt poszukiwań wydarzeniom z marca dwa tysiące piętnastego roku. Chociaż gdyby Sitarz już wtedy był komendantem, to nie wiadomo, jak to wszystko by się potoczyło.

To, że system sądowniczy, sposób działania niektórych biegłych oraz procedury administracyjne po porwaniu Julki i Oli w ogóle nie uległy zmianie, nie zdziwiło mnie ani trochę.

Mieszkam w Polsce.

* * *

Były poseł Skowran, ku mojemu pozytywnemu zaskoczeniu, zrezygnował z polityki i zajął się pomaganiem ofiarom przestępstw. Pierwsze środki jego fundacja pozyskała dzięki starej Opiólowej, która nie zgodziła się przyjąć dwudziestu pięciu tysięcy złotych nagrody za pomoc w śledztwie. Bała się reakcji syna, że przez nią miał kłopoty. Zresztą, jak twierdziła, i tak na pewno wszystko by jej zabrał i pewnie przepił.

Drugą połowę nagrody otrzymał Adrian Zbierski. On już nie protestował przeciwko gratyfikacji finansowej, a dwadzieścia pięć tysięcy złotych na pewno przydało się jemu i jego dziewczynie pracującej kiedyś w sklepie obuwniczym na 1 Maja. Wzięli ślub latem dwa tysiące piętnastego roku, a gotówka nowożeńcom zawsze się przydaje. Chociażby

na zorganizowanie nieco bardziej wystawnego przyjęcia w restauracji Weselna.

* * *

Kapo tym razem dostał dożywocie bez możliwości ubiegania się o przedterminowe zwolnienie. Siedzi w więzieniu w Kalenicy, utrzymywany między innymi z podatków, które płaci Kamil. Obcięte palce utrudniały mu spisanie swoich bełkotliwych idei przemieszanych z biografią, ale w końcu dopiął swego. Na początku dwa tysiące siedemnastego roku książka „NIMB” (z podtytułem „[N]a [I]mię [M]i [B]estia”) pojawiła się w księgarniach. Podobno najlepsze wydawnictwa były się do upadłego o pozyskanie do niej praw. Ostatecznie wygrała oficyna, mieniąca się najbardziej opiniotwórczą w Polsce, która nie pogardzi gniotami, jeśli można na nich nieźle zarobić. Wiedziała, co robi, ponieważ książka autorstwa Kazimierza Pokocia natychmiast trafiła na szczyty list bestsellerów. Zresztą podobno nadal świetnie się sprzedaje, a są już też czynione pierwsze przymiarki do ekranizacji, być może nawet zrealizowanej przez amerykańskiego producenta filmowego.

Kapo stał się gwiazdą. Jego fanpage na Facebooku ma już ponad pół miliona polubień. Postacią psychopatycznego mordercy fascynują się ludzie na całym świecie, ponoć gdzieś w Ameryce Południowej powstała już nawet sekta pod jego wezwaniem. Świrów nie brakuje i z każdym rokiem zdaje się ich przybywać.

Niedawno znów stało się głośno o Pokociu. W mediach informowano o tym, że spływają do niego dziesiątki ofert matrymonialnych od kobiet i mężczyzn wielbiących go całym ciałem i duszą. W styczniu tego roku Kapo stanął na ślubnym kobiercu (o ile tak można powiedzieć) w zakładzie karnym w Kalenicy. Szczęśliwa wybranka nie miała wtedy nawet skończonych dwudziestu lat.

Wydano zgodę na intymne widzenie po ślubie, podczas którego Pokoć odgryzł szczęśliwej wybrance język. Był nawet trochę zdziwiony, że niektórzy się za to na niego oburzają.

— Przecież nie mogłem postąpić inaczej — tłumaczył. — Powiedziała, że mnie kocha, więc na wszelki wypadek postanowiłem uniemożliwić jej powtórzenie tego w stosunku do innego mężczyzny.

Świrów nie brakuje.

* * *

Do pracy w ONZ już nie wróciłem.

Może powinienem to zrobić, ale po tym wszystkim nie potrafiłbym się chyba skupić na robocie.

Janusz Przywara nie dość, że nie poniósł konsekwencji za opuszczenie stanowiska pracy podczas dyżuru, to jeszcze dostał sową premię i podwyżkę.

Później wypiliśmy we dwóch jeszcze parę flaszek.

Dwie flaszki wypiliśmy też z Andrzejem Gierczakiem i portrecistą z komendy wojewódzkiej. W końcu im całe śledztwo zawdzięczało chyba najwięcej.

* * *

Największy wpływ na powrót rodziny Szykowiaków do jako tako normalnego życia miała Daria. Była dla dziewczynek jak matka, a dla Kamila jak żona. Te absurdalne ukłucia zazdrości, które towarzyszyły mi podczas śledztwa, teraz przestały być irracjonalne. Pamiętałem ciągle, że Darka podkochiwała się w Kamilu w czasach liceum, i nie wykluczałem, że to uczucie może odżyć na nowo. Tak więc w czerwcu dwa tysiące piętnastego roku postanowiłem działać.

Daria

I.

Poznałem ją pod koniec dwa tysiące trzynastego roku.

Wszystko zaczęło się od Basi, koleżanki Darii, która wprowadziła się mniej więcej wtedy do mojego bloku.

Wybierałem się właśnie do Kamila, obiecałem mu, że pomogę mu w malowaniu mieszkania, i bardzo mi się spieszyło. Kiedy zszedłem na dół, zobaczyłem, że moje auto ktoś zastawił srebrnym alfa romeo tak, że w żaden sposób nie mogłem wyjechać z parkingu.

Mój wścibski sąsiad zobaczył, co się dzieje, i stwierdził, że to najprawdopodobniej sprawka „takiej drobnej brunetki, mieszkającej od niedawna w naszej klatce”.

Pieklilem się i wtedy właśnie w drzwiach pojawiła się drobna brunetka, którą wtedy widziałem po raz pierwszy.

— To pani mnie tak sprytnie zastawiła? — zapytałem z pretensją w głosie. — Jeśli tak, to bardzo proszę przestawić auto, bo niestety górą nie potrafię go ominąć — dodałem zjadliwie.

— Nie, proszę pana. To nie moje, ja nawet nie mam prawa jazdy — odparła z uśmiechem, a ja wyszedłem na kompletnego idiotę.

Pięć minut później z klatki wyszła inna drobna brunetka, która odblokowała mi wyjazd.

W drodze w kierunku Parkowej zobaczyłem moją nową znajomą, idącą w stronę centrum. Zatrzymałem się przy niej i zapytałem, czy w ramach rekompensaty za swoje niestosowne zachowanie mogę ją podwieźć. Zgodziła się chętnie, a kilkadziesiąt metrów dalej na jej prośbę zatrzymałem się po raz kolejny. Tym razem, by zabrać też spieszącą w tę samą stronę jej koleżankę. Drobna brunetka miała na imię Basia, a jej koleżanka — Daria.

Obie były nauczycielkami, z tym że moja sąsiadka uczyła w podstawówce, a Daria (wtedy jeszcze dla mnie „pani Daria”) w liceum. Szkoła podstawowa była bliżej, do liceum trzeba było jeszcze podjechać kawałek, ale zrobiłem to z dużą przyjemnością.

Bardzo spodobał mi się uśmiech mojej nowej znajomej i skryte za okularami surowej pani profesor szarozielone oczy, w których można było utonąć. Pierwszy raz w życiu (po wcześniejszym upewnieniu się, że na jej serdecznym palcu nie ma obrączki) zebrałem się na odwagę i kobietę,

z którą miałem przyjemność rozmawiać, zaprosiłem na kawę. Wyglądało na to, że propozycja jej się spodobała, a ja wsiąknęłam na amen.

II.

Początkowo obawiałem się, że różnica wieku, która nas dzieli, będzie przeszkodą, ale nic z tych rzeczy. Rozumieliśmy się bez słów, mogliśmy całymi godzinami gadać o wszystkim i niczym, i nigdy nam się to nie nudziło.

Miałem nawet wrażenie, że Darce odpowiada związek ze starszym od niej o osiem lat mężczyzną, a ja z kolei chyba przy niej trochę odmłodziłem. Jedno jest pewne — zdecydowanie więcej się śmiałem niż kiedyś i prawie zapomniałem już o sprawie Pieniążka i związku z Beatą.

Po pół roku znajomości byliśmy w sobie zakochani po uszy, a naszą miłość cementowała jeszcze przyjaźń z rodziną Szykowiaków. Dobrze mieć takich znajomych, przy których ze swoją drugą połówką człowiek czuje się swobodnie i prawie jak w rodzinie.

Oświadczyłem się Darii w Wigilię dwa tysiące czternastego roku, dokładnie jedenaście lat po tym, gdy odeszła ode mnie Beata, ale ten fakt uświadomiłem sobie dopiero po Bożym Narodzeniu. Gdy jesteś szczęśliwy, nie pamiętasz o niepowodzeniach przeszłości.

A ja byłem szczęśliwy jak jasna cholera. Najbardziej wtedy, gdy siedząc przy choince i wpatrując się w zaręczynowy pierścionek, Daria popłakała się, a potem obsypała mnie pocałunkami i, patrząc na mnie tymi swoimi niesamowitymi oczyma, powiedziała, że od miesiący nie marzy o niczym innym tak bardzo, jak o spędzeniu ze mną całego życia.

Jedyną, co ją dręczyło, to fakt, że nie może mieć dzieci. Postawiona kilka lat wcześniej diagnoza lekarska była jednoznaczna. Właśnie wtedy, na przełomie lat dwa tysiące czternaście i dwa tysiące piętnaście, chyba po raz pierwszy chciałem, aby w moim życiu pojawił się jakiś maluch. Oczywiście w życiu moim i Darii.

Niedługo potem, bo w styczniu, Wiki zapragnęła pojechać na koncert, a Kapo wyszedł z więzienia.

Po pierwszym kwietniu dwa tysiące piętnastego roku nikt nie namówiłby mnie na dziecko. Widziałem, przez co przechodził Kamil. To mi wystarczyło i było dla mnie najlepszą lekcją, jeśli chodzi o ewentualnych potomków.

III.

W czerwcu dwa tysiące piętnastego roku wyjechałem kilka razy do Miasta Wojewódzkiego, tłumacząc Darii i Kamilowi, że muszę jeszcze podziękować paru osobom z tamtejszej komendy policji. Wtedy jeszcze wciąż czasami nocowaliśmy w mieszkaniu przy Parkowej, ale mój przyjaciel już rozglądał się za domem.

W lipcu parę razy spędziłem noc poza Rykowem, a potem oznajmiłem Darii, że w komendzie wojewódzkiej spotkałem znajomą z dawnych lat, w której się podkochiwałem. Powiedziałem też, że tamto uczucie wróciło, a ponieważ osoba, będąca niegdyś obiektem moich westchnień niedawno się rozwiodła, to postanowiliśmy ze sobą być.

Nie muszę chyba opisywać tego, jak bardzo Daria to przeżyła. Wręcz szalała z rozpaczy. Podobnie jak ja, tyle że ja musiałem grać rolę chłodnego sukinsyna bez serca.

Gdy jakoś w tym czasie spotkałem się z Mamajem, on już wiedział o całej sprawie.

Powiedział mi, że jestem debilem.

IV.

Wyjechałem z Rykowa.

Z Kamilem kontaktowałem się wtedy jeszcze dość często. Za każdym razem z drżącym nadzieją sercem. Daria trwała w stanie, który można byłoby określić „żałobą po najważniejszym dla niej związku”, ale wciąż opiekowała się dziewczynkami. I moim przyjacielem.

O tym, że postanowili spróbować być razem, powiedział mi niespokojnym głosem na początku dwa tysiące siedemnastego. Gdyby potoczne określenia potrafiły się materializować, to usłyszałby, jak na bieszczadzską ziemię spada z mojego serca wielki głąz.

— Oczywiście, że nie mam do ciebie żalu — odparłem w odpowiedzi na jego pytanie. — Cieszę się i życzę wam szczęścia — dodałem, starając się powściągnąć emocje.

Dopiero gdy się rozłączył, mogłem odtańczyć polkę radości i upić się ze szczęścia.

Owszem, ktoś mógłby powiedzieć, że potraktowałem Darię i jej uczucia bardzo instrumentalnie, i gardzić mną za takie zachowanie. Ja jednak do dziś uważam, że tak należało zrobić. Nie tylko ze względu na nią. Kiedy decydowałem się postąpić tak, a nie inaczej, myślałem też o Kamilu oraz o dorastających Wiktorii i Oli, które potrzebowały kogoś, kto zastąpi im mamę.

11 sierpnia 2018 (sobota)

Po raz pierwszy od pogrzebu Izy i Julki mam na sobie garnitur.

Tamten, czarny, wyrzuciłem niedługo potem, ponieważ nie wyobrażałem sobie, bym mógł go jeszcze kiedykolwiek założyć.

Jest mi gorąco jak jasna cholera, mimo że siedzę na ławce w cieniu, nieopodal szemrzającej cicho i dającej trochę chłodu fontanny. Zauważam, że w rynku wycięto kilka drzew.

Zegarek wskazuje, że do piętnastej pozostał już tylko kwadrans, uznaję więc, że to już pora.

Wstaję, wsuwam pod pachę przepięknie wydaną „Cudowną podróż” Selmy Lagerlöf i kieruję się w stronę restauracji Weselna, która od dwóch lat jest własnością Kamila.

* * *

Po raz pierwszy od pogrzebu Izy i Julki wahałem się, czy przypadkiem nie pójść do kościoła, ale jednak się na to nie zdecydowałem.

Wciąż uważam, że nie ma sensu tracić czasu dla kogoś, kto nie istnieje, bo gdyby istniał i mógł wpływać na losy świata, to z pewnością nie dopuściłby do tego, co się tu wydarzyło ponad trzy lata temu.

Wielokrotnie się nad tym wszystkim zastanawiałem, nad kilkoma szczęśliwymi zbiegami okoliczności, które przytrafiły mi się w nocy z trzydziestego pierwszego marca na pierwszego kwietnia, ale wygodniej mi jest być za nie wdzięcznym Adrianowi Zbieńskiemu. Wiem, że to głupie i trochę nielogiczne, ale uważam, że to właśnie przyjaciel Kamila z dzieciństwa pomógł ocalić Olę. Nie wiem, jakim cudem, skoro Boga nie ma, ale tak właśnie uważam.

Sądzę także, iż w odwrotnej sytuacji Kamil zachowałby się tak samo.

Przypominam sobie teraz jedną z pierwszych rozmów z Szykowiakiem po odnalezieniu Oli. Zapytałem go wtedy, dlaczego zdecydował się wrócić i stawić czoło życiu. Odparł, że w piątek, niedługo po wyjeździe, przyszło mu na myśl, że skoro Wiki w towarzystwie Darii jeszcze przed pogrzebem siostry i mamy potrafiła w miarę normalnie funkcjonować, a nawet się śmiać, to stwierdził, że chyba dadzą radę. Odczekał parę dni, ale swojej decyzji, którą podjął już właściwie w piątek, raczej nie zamierzał zmieniać.

Nie powiedziałem mu już, że właśnie w piątek po jego odjeździe zastanawiałem się, co bym mu powiedział, gdybym miał radzić i na myśl

przyszedł mi właśnie czas spędzony wspólnie w tym najtrudniejszym okresie przez Darię i Wiki.

Pewnie tak naprawdę moje myśli nie miały wpływu na wybór Kamila, ale lubię sobie wmawiać, że było inaczej.

* * *

Poza obsługą w restauracji Weselna nie ma jeszcze nikogo.

Witam się z Nowicką, ciesząc się, że znajduję ją w dobrej formie, ściskam też dłoń Adriana Zbierskiego, gdy odstawia na stolik tacę napełnioną kieliszkami z szampanem. Zarówno on, jak i moja stara znajoma z 1 Maja pracują teraz u Kamila.

Przed restaurację zajeżdża luksusowe auto, a za nim kilkanaście mniej ekskluzywnych pojazdów.

Sala zapełnia się gośćmi, a ja stoję pod ścianą, za innymi, i nie mogę oderwać oczu od Darii i o tych jej niesamowitych oczu, w których można utonąć. Chwytam jej przelotne spojrzenie i widzę, że jest zdziwiona moją obecnością. Chyba nikt się nie spodziewał, że jednak przyjadę.

Wchodzi Mamaj z żoną i Zosią. Dziwię się, że nie ma z nimi Wojtka, ale chwilę później go dostrzegam, bo wyraźnie góruje nad innymi wzrostem. Jest z dziewczyną, którą trzyma za rękę. Przypatruję się jej uważnie i z zaskoczeniem poznaję, że to Wiktoria. Boże, jaka ona jest teraz podobna do Izy!

Mamaj kiwa mi głową na powitanie, a jego całkiem już siwa grzywka opada mu na czoło. Nie mogę się oprzeć, by nie spojrzeć na jego spodnie. Oczywiście, że są zdecydowanie za krótkie.

Pierwszy toast, a potem brzęk tłuczonego na szczęście szkła.

A zaraz potem pierwszy taniec państwa młodych.

Patrzę to na Kamila, to na Darię, jak wirują w walcu. Widzę, że są teraz bardzo szczęśliwi.

Podczas jednej z rozmów telefonicznych mój przyjaciel powiedział mi, że taka strata, jakiej on doświadczył, nigdy nie staje się mniej dotkliwa, bo czas wcale nie leczy ran. Twierdził wtedy, że to nie jest jak choroba, którą można wyleczyć, a jak obcięta noga, do braku której z czasem się można przyzwyczaić. Bywa, że do tego stopnia, iż czasem śmigasz z kulami tak sprawnie, że zapominasz o własnym kalectwie.

Tak mi wtedy powiedział, ale ja już nie chcę myśleć o obciętych nogach ani o obciętych palcach.

Przyglądam się rozpromienionym twarzom świeżo upieczonych małżonków i dzięki temu na krótki czas zapominam o świecie, w którym czai się aż tak bardzo wiele zła.

O świecie, w którym na pewno teraz jakiś „Kapo” zasadza się na swoją kolejną ofiarę.

Przemyśl, 14 października 2015 r.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[PRELUDIUM](#)

[12 marca 2015 \(czwartek\)](#)

[Kamil](#)

[I.](#)

[II.](#)

[III.](#)

[IV.](#)

[V.](#)

[VI.](#)

[VII.](#)

[VIII.](#)

[IX.](#)

[12 marca 2015 \(czwartek\)](#)

[Wiki](#)

[I.](#)

[II.](#)

[III.](#)

[IV.](#)

[V.](#)

[12 marca 2015 \(czwartek\)](#)

[Mamaj](#)

[I.](#)

[II.](#)

[III.](#)

[12 marca 2015 \(czwartek\)](#)

[INTERLUDIUM](#)

[13 marca 2015 \(piątek\)—20 marca 2015 \(piątek\)](#)

[Julka](#)

[I.](#)

[II.](#)

[III.](#)

[IV.](#)

[21 marca 2015 \(sobota\)](#)

Iza

- I.
- II.
- III.
- IV.
- V.

23 marca 2015 (poniedziałek)

Kapo

- I.
- II.
- III.
- IV.

24 marca 2015 (wtorek)—27 marca 2015 (piątek)

Wtorek

Środa

Czwartek

Piątek

Nimb

Ola

- I.
- II.
- III.
- IV.
- V.
- VI.
- VII.
- VIII.
- IX.

1 kwietnia 2015 (środa)

POSTLUDIUM

11 sierpnia 2018 (sobota)

Daria

- I.
- II.
- III.
- IV.

11 sierpnia 2018 (sobota)